

Nina G. Jones

**Zabierz
mnie ze
sobą**

CHOMIKO_WARNIA

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA - PROLOG

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

CZEŚĆ DRUGA - Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

CZEŚĆ TRZECIA - Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Epilog

**Zabierz
mnie ze
sobą**

TYTUŁ ORYGINAŁU

Take me with you

Copyright © 2016. Nina G. Jones

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber, 2020

Copyright © by Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber, 202

Redaktor prowadząca: Anna Ćwik

Redakcja: Anna Fiałkowska-Niewiadomska

Korekta: Patrycja Siedlecka

Opracowanie graficzne okładki: Marcin Bronicki, behance.net/mbronicki

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Beata Bamber

Wydanie 1

Gołuski 2020

ISBN 978-83-66429-82-6-999

Wydawnictwo Papierówka Beata Bamber

Sowia 7, 62-070 Gołuski

www.papierowka.com.pl

Przygotowanie wersji ebook:

Agnieszka Makowska www.facebook.com/ADMakowska

Poniższa opowieść jest fikcją literacką. Wszystkie osoby i miejsca są fikcyjne. Nazwiska postaci i nazwy własne stanowią wytwór wyobraźni autorki, a jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych miejsc oraz ludzi – żywych lub zmarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Nina G. Jones

Zabierz mnie ze sobą

Nie bez powodu ciszę nazywa się martwą

PRZEŁOŻYŁA
Anna Piechowiak



OSTRZEŻENIA

Wszelkie możliwe. Poważnie. To nie romans. To nie książka dla osób o słabych sercach. Tam, dokąd się wybierasz, nie ma światła.

Playlista:

Every Breath You Take – The Police
How Deep is Your Love – Bee Gees
Night Fever – Bee Gees
You Should Be Dancing – Bee Gees
It's Too Late – Carole King
You're So Vain – Carly Simon
Killing Me Softly With His Song – Roberta Flack
I'm Not In Love – 10cc
So Far Away – Carole King
Can't Stand Losing You – The Police
She's Not There – The Zombies

CZEŚĆ PIERWSZA

PROLOG

1978

Noc należy do mnie. Tylko wtedy mogę poruszać się swobodnie, bez maski. Nie, nie chodzi o kominiarkę, ale o maskę noszoną za dnia, gdy udaję, że jestem jednym z nich. Jednym z tych pięknych ludzi o perfekcyjnych uśmiechach i wesołym głosie. Kpią ze mnie. Dogryzają mi. Lecz nocą, kiedy pustoszeją ulice, to ja staję się radosny. To ja się głośno śmieję, gdy zakradam się do ich domów i wpełzam w ich skórę, zabierając im wszystko. Noszę ich życia jak pożyczone ubrania. Kiedy jednak je zwracam, są obszarpane i zniszczone, a ja muszę przenieść się do kolejnego domu, by naznaczyć go swoimi pasożytniczymi potrzebami.

Przez tych kilka godzin, gdy staję się jednym z nich, mogą posmakować mojego bólu, a ja przyjmuję skoncentrowaną dawkę ich codzienności, którą oni biorą za pewnik. Adrenalina uderza gwałtownie do głowy jak rzeka zrywająca tamę. Zalewa mnie obezwładniające poczucie, że znalazłem swoje miejsce. Ale wody opadają równie szybko, jak się wzburzyły. Gdy zaczyna wstawać słońce, patrzę na płynący u moich stóp płytki strumień i czekam cierpliwie na powrót ciemności, by znowu móc skraść emocje.

Poluję. Vesper jest w szkole, jej brat na terapii, a rodzice na kolejnej wycieczce. Vesper – wieczorna modlitwa. Cóż za ironiczne imię. Jeśli cały świat jest sceną, a ironia pisze najlepsze scenariusze, to ona urodziła się dla tej roli. Nie jest pierwsza, zdecydowanie nie, ale ma w sobie coś takiego, że fascynuje mnie bardziej niż inne. A było ich wiele.

Każdy dom, do którego wchodzę, staje się obiektem niezdrowej fiksacji. Dlatego fakt, że to ona zajmuje moje myśli – pomimo wszystkich innych domostw, do których się włamuję – czyni mnie niecierpliwym. A cierpliwość to najważniejsza broń w moim arsenale. Dokładnie planuję każde polowanie. Przez okna podpatruję ich życie. Uczę się ich rutyny. Wchodzę do domów, przeszukuję dobytek i zabieram małe pamiątki. Rzeczy, których nie zauważą albo założą, że położyli je w innym miejscu. Mogę przestawić zdjęcie, coś zjeść. Tylko tyle, by gdzieś w podświadomości poczuli moją obecność na długo, zanim pojawię się przed nimi. Wcześniej to wystarczało – po prostu tam być, w otoczeniu ich własności, śladów codziennego życia. Wystarczało mi, że patrzyłem na zdobyte trofea i przypominałem sobie przyływ emocji towarzyszący znalezieniu się w ścianach, które obserwowałem z daleka. Ale adrenalina osłabła dawno temu. Zniknęła w spektakularnej erupcji tamtego dnia, gdy odeszła jedyna osoba, która mnie rozumiała. Bez niej samotność stała się nieznośna, a gniew narastał. Wypełnił mnie, aż zacząłem czuć, jak sączy się przez skórę. Byłem tak pełen wściekłości i bólu, że musiałem przenieść je na kogoś innego, by wreszcie zniknęły. Patrzenie przestało wystarczać. Musiałem słyszeć ich głosy, widzieć twarze, kraść życia. Więc zamiast po prostu zbierać zacząłem też zostawiać: taśmy, sznury, rękawiczki, lubrykanty. Rzeczy, których użyję później, gdy będę gotowy. A jeśli policja kiedykolwiek mnie zatrzyma, nie znajdą przy mnie niczego.

Ostrożnie dobieram cele. Zawsze tak, by wydawały się losowe. Nie chcę powtarzać jasnego schematu. Praca budowlańca pozwala mi podróżować po całej środkowej Kalifornii, gdzie dorastałem. Dobrze znam te rejony. Pamiętam każdy skrót, każde połączenie ulic. Wiem, dokąd prowadzą wszystkie zjazdy z autostrad i którędy można szybko uciec. Agenci nieruchomości dają mi zlecenia na remonty domów. Sprawdzam wykazy i wybieram te, nad

którymi wcześniej nie pracowałem. Jeśli polubię sąsiadów, używam tych pustych domostw jako bazy, z której obserwuję okolicę. Nocą stanowią świetne kryjówki. Zdarza się, że po prostu kogoś zauważam i nagle ogarnia mnie pragnienie, więc obserwuję i sprawdzam, czy się nadaje. Z pozoru wszystko to wygląda na przypadek, ale nic tu nie jest przypadkowe.

Przeszukuję stojące na komodzie szkatułki z biżuterią Vesper. Nadal mieszka z rodzicami, choć nie dzieli nas duża różnica wieku. Ma dwadzieścia kilka lat, ale jej błyskotki są mieszanką dorosłych ozdób i pamiątek z dzieciństwa, jak wiele innych rzeczy w pokoju. W kącie na krześle wisi jedwabny szlafrok, który musi pięknie otulać jej krągłe cycki i tyłek, a zaraz przy nim siedzi mały, pluszowy miś, sfatygowany od częstego przytulania. Krzesło wygląda na stare. Ktoś pociągnął je białą farbą, ale przez lata zdążyła zszarzeć i poodpryskiwać. Siedzisko z kwiecistym wzorem jest wytarte w miejscu, na którym Vesper siadała mnóstwo razy. Przesuwam palcami po bladych kwiatach, które dotykały jej skóry, a potem po jedwabnym szlafroku. Podnoszę misia i przyglądam mu się przez chwilę, po czym odkładam go na miejsce, ale przekrzywionego o jakieś czterdzieści pięć stopni.

Na jednej ze ścian wisi tablica na zdjęcia. Taka, do której można je przypinać albo wsuwać za krzyżujące się wstążki. Na wielu z nich jest Vesper oraz jej chłopak. Pan Przyszły Lekarz. Pan Perfekcyjny Uśmiech i Chodzący Czar. Tablica jest tak zapełniona, że fotografie nachodzą na siebie wieloma warstwami. Na każdej utrwalono radosnych ludzi. Wszyscy się tylko uśmiechają, co przypomina mi o kurewskie mdłości.

Nie jesteś taki jak inni.

Ci ludzie nie znają bólu ani samotności. Może wiedzą coś o przejściowym dyskomforcie w postaci ulotnego smutku, ale nie mają najmniejszego pojęcia o nieustępującej agonii, jaką wywołuje bycie wyrzutkiem. Ludzie tego pokroju uczynili mnie tym, kim jestem. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Vesper Rivers. Jej matka jest – a raczej była – hippiską. Nie szukałem żadnego celu, kiedy to się stało, chociaż zawsze pozostaję otwarty na wszelkie możliwości. Wybrałem się do sklepu spożywczego po długim dniu pracy. Byłem spocony i brudny, ubrania miałem poplamione farbą i smołą. Chciałem jedynie szybko coś kupić, zbyt zmęczony całym tygodniem nocnego grasowania po cudzych domach, by myśleć o czymkolwiek innym. Ujrzałem ją przechodzącą przez alejkę z płatkami śniadaniowymi w dłoni. Miała na sobie wiązany na szyi top w rdzawym kolorze. Był na tyle krótki, że widziałem jej płaski brzuch. Wystrzępione szorty ledwie zakrywały kształtny tyłek, przez co nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Włosy miała brązowe, muśnięte złotem, długie i wycieniowane. W tej fryzurze bardzo przypominała Farrah Fawcett z plakatu, który w tamtych czasach wszyscy mieli u siebie na ścianie. Ale ta dziewczyna była znacznie piękniejsza. Jak klejnot w stercie kamieni i brudu. Trzymała za rękę małego chłopca. Na oko mógł liczyć jakieś osiem lat, lecz ona wyglądała zbyt młodo na to, by mieć syna w tym wieku.

– Chcesz te, Johnny? – zapytała słodkim głosem.

Chłopiec kiwnął głową. Rękę miał zniekształconą, jedną z nóg dziwne zgiętą, a usta wykrzywione. Był inny. Niepełnosprawny. A ona zachowywała się wobec niego z taką czułością. Może nie była jak większość ludzi? Może znajdowała się gdzieś pomiędzy istotami takimi jak oni a takimi jak ja.

Musiła wyczuć, że na nią patrzę. Z reguły jestem dyskretny. Osiągnąłem mistrzostwo w obserwowaniu ludzi, ukrywaniu się tuż pod ich nosami, ale ona wytrąciła mnie z równowagi. Podniosła głowę i na ułamek sekundy pochwyciła moje spojrzenie, zanim się odwróciłem. Nie mogłem pozwolić, żeby zobaczyła moją twarz, i nagle ucieszyłem się, że jestem brudny.

Pośpiesznie udałem się do kasy, nie zwracając nawet uwagi na to, co mam w rękach. Chciałem dotrzeć do auta, zanim ona dotrze do swojego. Czekałem piętnaście minut, aż wyszła

ze sklepu. Towarzyszący jej chłopiec uśmiechał się szeroko. Nie rozumiem, jak mógł być szczęśliwy. Wiem, że świat potrafi być okrutny dla tych, którzy swoje niedoskonałości noszą na zewnątrz.

Wsiadła do białego pontiaca, wyglądającego na rocznik '73. Później odkryłem, że pomyliłem się o rok. Zanotowałem numer rejestracyjny. Patrzyłem, jak wyjeżdża z parkingu, a potem ruszyłem za nią, trzymając się dostatecznie daleko, żeby mnie nie zauważyła.

I oto jestem teraz w jej domu, kilka tygodni później. Nie po raz pierwszy.

Porywam zdjęcie, za którym raczej nie będzie tęsknić, skoro niemal w całości było schowane za innymi. Na fotografii siedzi na kłodzie, a w tle widać jezioro. Głowę ma odchyloną nieco do tyłu i uśmiecha się, pokazując białe zęby. Na jej szyi błyszczą wisiorek. Będą uśmiechać się do ciebie, a potem śmiać się za twoimi plecami.

Spoglądam na zegar na nocnym stoliku. Jest wprawiony w porcelanową figurkę jednorożca i mam nadzieję – dla jej dobra – że to kolejna pozostałość z czasów dzieciństwa. Muszę się stąd wydostać. Wolę nie przedłużać wizyty i nie ryzykować, że zepsuję to polowanie. Poza tym mam dziś wieczorem randkę, na którą powinienem się przygotować.

Otwieram małą szkatułkę pokrytą wielobarwnym strasem. W środku jest kilka poplątanych błyskotek, wśród których zauważam złoty sierp księżycy nanizany na łańcuszek. Ten sam, który widziałem przed chwilą na zdjęciu. Teraz jest mój.

Podobnie jak podczas poprzedniej wizyty i tym razem mam coś dla niej. Wyciągam szpulę sznurka i chowam ją pod poduszką na krześle, na której siedzi jej pluszowy miś.

Cierpliwości.

Rozdział 1

VESPER

– Przed wycieczką muszę jeszcze zrobić szybkie zakupy. Pilnuj brata. Ogląda telewizję – mówi matka, idąc do stojącego na chodniku samochodu.

Jest ciepły słoneczny dzień, więc postanowiłam umyć swoje auto na podjeździe. Ojczym płaci mi za szkołę, ale codzienne wydatki pokrywam z własnej kieszeni, więc oszczędzam, jak tylko mogę. Między innymi na myjni.

– Jasne, mamó – odpowiadam bez entuzjazmu.

Nie dlatego, że nie lubię zajmować się Johnnym, który jest całym moim światem. Wydaje się, że jej światem nie jest. Coś o tym wiem. Na dobrą sprawę wychowywałam się sama, ale Johnny jest niepełnosprawny. Urodził się z pępowiną owiniętą wokół szyi, co spowodowało, że cierpi na porażenie mózgowie i kilka innych schorzeń. Potrzebuje jej, a ona dopiero co wróciła z Karaibów i lada moment wylatuje z ojczymem na kolejne dwa tygodnie do Egiptu.

Albo nie zauważa mojego tonu, albo zwyczajnie jej to nie obchodzi, bo po prostu odjeżdża. Odkładam gąbkę i idę do domu zobaczyć, jak ma się Johnny. Siedzi na kanapie ze skrzyżowanymi nogami przed *The Electric Company*¹, podskakując co chwilę i machając zdrową ręką w rytm piosenki Easy Readera. Czasami porusza ustami, ale nie wydostają się z nich żadne słowa. Jest niemal całkowicie niemy. Wydaje jedynie nieartykułowane dźwięki, kiedy jest zły albo szczęśliwy, jednak przez większość czasu milczy.

– Johnny, myję samochód przed domem. Chcesz mi pomóc?

Ignoruje mnie lub jest zbyt pochłonięty programem, żeby zrozumieć, że do niego mówię.

– Hej! – wołam, stając przed nim i zasłaniając telewizor. – Słyszałeś, skarbie?

Przechyliła się na bok, żeby wyjrzeć zza moich nóg. Ewidentnie jestem irytującą przeszkodą.

– Okej. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, jestem na zewnątrz, dobrze?

Kiwa głową, nawet na mnie nie patrząc i kołysząc się do rytmu piosenki. Pieszczotliwie mierzwię mu włosy, odsuwam zasłonę, żeby móc widzieć salon z zewnątrz, po czym wracam na podjazd.

Jest gorąco, a zimna woda z mydłem przynosi ulgę rozgrzanym dłoniom, gdy zanurzam gąbkę w wiadrze. Włączam radio w połowie piosenki Donny Summer i wtedy to czuję. Ktoś mi się przygląda.

Wrażenie jest piorunujące. Podnoszę się i odwracam w stronę ulicy. Trwa typowe piątkowe popołudnie: dzieci bawią się przed domami, kilka osób kosi trawniki. Moją uwagę zwraca ciemny samochód. Przejeżdża powoli, a przyciemniona szyba jest zsunięta na tyle, że mogę zobaczyć tylko oczy kierowcy. Lecz choć znajduje się daleko, widzę je wyraźnie. To nie pierwszy raz, kiedy poczułam się obserwowana, a wrażenie déjà vu mówi mi, że być może widziałam te oczy już wcześniej. Nie odwracam wzroku, starając się na nich skupić. Żołądek skręca mi się od mieszaniny podenerwowania i ekscytacji. Takie oczy muszą być częścią czegoś pięknego. To jednak nie powinno mieć teraz znaczenia. Nie powinnam zwracać uwagi na nikogo, kto okazuje mi zainteresowanie, zwłaszcza w taki sposób. Jestem już zajęta.

Jednocześnie zauważam coś innego, coś znajomego, ale mężczyzna jest już za daleko, żebym mogła mieć pewność. Kilka dni temu byłam w bibliotece i uczyłam się do egzaminu, a kiedy w jednej z alejek szukałam książek o pielęgniarstwie, nagle ogarnęło mnie to samo

wrażenie. Zdjęłam tomik z półki i wydałam zduszony okrzyk na widok oczu po drugiej stronie. Wpatrywały się we mnie tak intensywnie, że zdołałam dostrzec wyraźną złotobrazową plamkę na lewej tęczę. Po chwili już ich nie było. Z duszą na ramieniu ostrożnie podeszłam do końca alejki, by wyjrzeć zza regału, ale nikogo nie zobaczyłam. Nie słyszałam nawet kroków. W bibliotece panowała absolutna cisza, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy nie mam zwidów po bezsennej nocy spędzonej na nauce.

Czy były to te same oczy? Niemożliwe. Patrzę na odjeżdżające auto, zmagając się z wrażeniem paranoi. Jestem zestresowana. Uczę się w szkole pielęgniarstwa, pracuję, mam chłopaka i opiekuję się Johnnym. To po prostu stres, który objawia się na różne sposoby. Rozważam zwierzenie się ze swoich obaw matce albo Carterowi, ale co miałabym im powiedzieć? Że nawiązałam kontakt wzrokowy z hipnotyzującymi oczami w bibliotece? Że jakiś facet przejeżdżał ulicą i gapił się na mnie, kiedy myłam samochód w bikini i szortach? To brzmi jak przygoda z życia każdej, choć odrobinę atrakcyjnej kobiety.

Być może jest w tym coś więcej niż paranoja. Coś, do czego nie przyznałabym się nawet sama przed sobą, nie wspominając już o zwierzeniu się Carterowi czy matce. Niepokój miesza się z czymś głębszym. Z intensywnym uczuciem, że ktoś może mnie pożądać. Nie z odrazą, którą przepełniają mnie faceci krzyczący za mną na ulicy albo próbujący słodkiej gadki, lecz z cichym pragnieniem. Jestem z Carterem tak długo, że zapomniałam już, jak to jest grać w tę grę. Jak cieszyć się spojrzeniami mężczyzn, które trwają nieco dłużej, niż powinny. Uodporniłam się na nie. Wyłączyłam swoją seksualność dla wszystkich poza moim długoletnim, wiernym chłopakiem.

Ale nie tym razem. Teraz nie potrafię wyzbyć się ciekawości. Zastanawiam się, czy gdyby mężczyzna, którego widziałam – albo którego wydawało mi się, że widziałam – wszedł do alejki, gdzie stałam, reszta jego osoby okazałaby się równie oszałamiająca jak oczy? Czy pchnąłby mnie bez słowa na regał z taką siłą, że książki pospadałyby na podłogę? Czy przycisnąłby do niego moje ciało i pieprzył z pasją, aż dojdę? Czy wyrwałby mnie z rutyny i zobowiązań, którymi jestem uwiązana?

Kilka razy fantazjowałam o tych oczach, kiedy kochałam się z Carterem, tylko po to, by osiągnąć szczyt. Podobały mi się te brudne, zakazane myśli. Im bardziej nieprzyzwoite były, tym bardziej mnie podniecały, ale nigdy nie mogłabym powiedzieć o tym Carterowi. Nie chciałam, by poczuł, że mnie nie zadowala. Poza tym fantazje to prywatna sprawa. Żyją tylko w twojej głowie i nie są po to, by je urzeczywistnić.

Czuję pociągnięcie za spodenki. Johnny nie jest w stanie wypowiedzieć mojego imienia. Przyzwyczaiałam się, że mnie dotyka.

– Mmmhmm? – odpowiadam, wciąż pogrążona we własnych myślach. Szybko jednak dochodzę do wniosku, że Johnny jest ważniejszy niż jakieś pozbawione znaczenia, zupełnie przypadkowe spotkania, i poświęcam mu całą uwagę. – Jesteś głodny?

Kiwa głową.

– Tosty z serem?

Zaprzecza.

– Płatki?

Potakuje.

– Okej, mycie dokończę później. Chodźmy do domu.

Prowadzę Johnny'ego do drzwi, ale zanim przekroczy próg, spoglądam za siebie.

Ulica jest pusta.

SAM

Skóra świerzbi mnie, by znów to poczuć. Od ostatniego domu minął tydzień i już potrzebuję więcej. Pogorszyło mi się przez ostatni miesiąc, odkąd po raz pierwszy zobaczyłem Vesper. Ale jeszcze nie jestem na nią gotowy. Nadal muszę poczynić więcej przygotowań. Ostatni dom, odwiedzony tego samego dnia, w którym zabrałem wisiołek Vesper, zdławił pragnienie, ale wróciło ono szybciej i z większą intensywnością niż kiedykolwiek. Nigdy nie pożałowałem kogoś tak bardzo.

Na razie muszę zadowolić się Hoeksmami. Obserwuję ich uważnie od kilku tygodni. Ona jest pielęgniarką pracującą na ostrym dyżurze, on nauczycielem. Mieszkają w uroczym domku w Rancho Sol. Wiem, że dzisiaj ona ma wolne i pewnie będą się pieprzyć. Zazwyczaj ciągle się mijają, więc robią to, kiedy tylko nadarza się okazja. Zaczekam, aż zasną. Ona będzie wyczerpana po trzech tygodniach pracy non stop, a on zmęczony rżnięciem.

Wysiadam z auta zaparkowanego kilka ulic dalej. Jest po północy i w okolicy panuje cisza. Światła palą się tylko w kilku oknach ustawionych w szereg domów-bliźniaków, przed którymi rozciągają się wypielęgnowane trawniki. Ostatni raz poprawiam czarną perukę i wąsy, po czym ruszam zdecydowanym krokiem do najbliższej przecznicy. Za zakrętem narzucam na głowę kaptur bluzy i zaczynam bieć, udając kogoś, kto wybrał się na późny jogging.

Pochylam ją nisko, by żaden ewentualny przechodzień nie zobaczył mojej twarzy. Takie detale są bardzo istotne. Jeśli nikt nie zdoła dokładnie mi się przyjrzeć, a ja ucieknę z miejsca zajścia, nigdy nie zostaną zidentyfikowany. Zawsze staram się wyglądać inaczej.

Bieg na miejsce nie nastrecza żadnych trudności. Mijam tylko jedną osobę, wyprowadzającego psa mężczyznę, który nawet na mnie nie patrzy, i zmierzam w kierunku pustego domu obok posesji Hoeksmów. Zakładam rękawiczki i przeskakuję przez drewniany płot na ich podwórze. Tak jak podejrzewałem, wszystkie światła są zgaszone, a samochody stoją na podjeździe. Hoeksmowie już śpią, jednak wciąż jest za wcześnie. Znam noc. Rozkwitam w ciemności. Dla mnie godzina trzecia piętnaście jest najcichszym momentem doby. Dla większości ludzi to zbyt późno, by być na nogach, i za wcześnie na wstawanie. To czas, gdy człowiek czuje się najbardziej bezpieczny. Kiedy wydaje mu się, że jest najbardziej samotny. Przychodzę właśnie wtedy, gdy wszyscy stają się zupełnie bezbronni.

Godzinami czekam cierpliwie w krzakach, aż ostatnie mdłe światła w okolicznych domach pogasną. Wreszcie nadchodzi trzecia. Czas zaczynać. Connie i Don mają okienny klimatyzator, który ryczy głośno w ich sypialni, dzięki czemu nieco mniej muszę się obawiać, że mnie usłyszą. Przed wyjściem z gęstwiny wyjmuję z kieszeni czarną kominiarkę i ją zakładam. Podchodzę do doniczki przy szklanych przesuwanych drzwiach, gdzie ostatnim razem zostawiłem duży śrubokręt. Pracuję nad podważeniem drzwi, starając się nie wydawać dźwięków, ale głód rośnie. Ogarnia mnie ekscytacja. Tygodnie planowania i w końcu jestem tak blisko kolejnego domu, kolejnego życia, kolejnego wyrzutu adrenaliny.

Rama drzwi jest grubsza niż zwykle, lecz w końcu udaje mi się ją wygiąć i dosięgnąć do zasuw. Biorę głęboki oddech i przesuwam drzwi drżącymi z ekscytacji rękami. Nasłuchuję odgłosów. Nic. Nie bez powodu ciszę nazywa się martwą.

Wejście prowadzi prosto do ładnie urządzonego salonu. Do mistrzostwa opanowałem bezszelestne poruszanie się. Nie wydając żadnego dźwięku, podchodzę do sofy i podnoszę siedzisko, pod którym schowałem taśmę klejącą. Po raz ostatni przyglądam się zdjęciom zdobiącym cały pokój. Szczęśliwa para. Pielęgniarka i nauczyciel. Śpią błogo, uważając swoje aktualne życie za coś pewnego.

Znowu chcę cię skrzywdzić.

Podkradam się do drzwi sypialni. Podczas ostatniej wizyty naoliwiłem zawiasy, żeby nie

skrzypaneły, kiedy wejść do środka. Ostrożnie naciskam klamkę. Drzwi nie są zamknięte na klucz, więc otwieram je delikatnym pchnięciem. Ustępują bez problemu, nie wydając żadnego dźwięku.

Staję u stóp łóżka i patrzę, jak Connie i Don śpią. On leży na brzuchu, kołdra częściowo zakrywa jego goły tyłek, jedna noga zwisa mu z łóżka. Nie wie, że boogeyman może ją złapać? Connie śpi na plecach, jeden cycek wyziera spod kołdry. Leży rozluźniona, pewna, że mąż może ją obronić. Mój cień pada na jej częściowo nagie ciało.

Jest delikatna, śliczna, ale to nie Vesper. Nienawidzę faktu, że przez nią muszę to zrobić. Dawniej każda napaść funkcjonowała jako odrębny byt. Kolejne doświadczenia były nowe, miały unikalny smak. A teraz zdaję sobie sprawę, że w każdym domu zastanawiam się, jak by to wyglądało z Vesper. Kradnie mi dreszczyk emocji. Sprawię, że za to zapłaci.

Powolne oddechy Connie i Dona sugerują, że żadne z nich nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności. Stoję tak przez kilka minut, a napięcie rośnie. Jestem już tak naładowany, jak tylko mogę być. Całe ciało pulsuje od niezaspokojonego pragnienia. Wyciągam pistolet z kabury i małą latarkę z kieszeni. Kładę taśmę na nocnym stoliku obok Connie.

A potem świecę jej w oczy.

Krzywi się i zasłania twarz dłonią.

– Obudź się – warczę.

– Co? O mój Boże. Don...?

– Ciii... – mówię, przystawiając jej pistolet do czoła.

Don porusza się.

– Bierz taśmę – rozkazuję, wskazując na rolkę.

Connie patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczami, ale wykonuje polecenie. Don unosi głowę, wciąż dezorientowany. Świecę mu w oczy, więc natychmiast je zamyka.

– Co, do kurwy? – mamrocze, podnosząc się ociężale.

– Nie ruszaj się – mówię ściszym głosem, maskując jego prawdziwe brzmienie. – Chcę tylko waszych pieniędzy.

To newralgiczny moment. Ich jest dwoje, ja jeden. Muszę ich spacyfikować. Muszę mieć unieruchomionego Dona. Łatwiej jest kontrolować umysł niż ciało.

– Jak sobie życzysz, stary – odpowiada, usiłując wstać. – Proszę, weź, co chcesz, i po prostu idź.

– Nie ruszaj się – rozkazuję. – Connie, skrępuj go taśmą.

Jest skamieniała. Ręce jej drżą, kiedy chwyta taśmę, a spojrzenie ma cały czas utkwione we mnie. Nie może zobaczyć mojej twarzy. Nie kiedy mam założoną kominiarkę, a latarka świeci jej prosto w oczy, ale próbuje.

– Najpierw ręce, potem nogi.

– Proszę, nie rób nam krzywdy – błaga Connie głosem drżącym z przerażenia.

– Rób, co mówię, a nic się wam nie stanie.

Próbuje zakryć nagie ciało kołdrą.

– Nie – odzywam się. – Nie ma na to czasu.

Ciągnie za koniec taśmy. Ręce trzęsą się jej tak bardzo, że przez długą chwilę nie może oderwać kawałka od rolki, ale w końcu się jej udaje.

– Nie przestawaj. Chcę, żeby jego dłoni w ogóle nie było widać. – Connie posłusznie owija ręce Dona taśmą. – Teraz kostki, przynajmniej dziesięć razy dookoła. Licz na głos.

– Raz... – chlipie i milknie.

– Licz dalej – warczę.

– Trzy... cztery... pięć...

Czekam, aż skończy. Po chwili główne zagrożenie leży na boku, unieruchomione. Wrywam Connie taśmę z rąk i krępuję jej ręce za plecami.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze do niej Don.

– Stul pysk! – nakazuję.

Został kompletnie wykastrowany. To ja jestem teraz głową tego domu. To mój pierdolony zamek.

Kiedy Connie leży już związana, ściągam Dona z łóżka na podłogę. Z głuchym łupnięciem ląduje na zielonym, włochatym dywanie. Teraz łóżko zasłania mu widok.

– Pokaż mi, gdzie masz portfel – żądam, zmuszając Connie, by wstała, po czym wlokę ją do salonu.

W tej chwili jesteśmy tylko we dwoje, Don nie istnieje. Zdobyłem wszystko to, co należało do niego.

– Ale powiedziałaś...

– Jeśli się nie zamkniesz, zabiję go, do kurwy nędzy – chrypię jej do ucha.

Nie będzie więcej zapewnień o bezpieczeństwie. Teraz kontrola należy całkowicie do mnie. Szlocha, a ja popycham ją na kanapę i krępuję jej stopy razem.

– Masz wybór – oświadczam gardłowym głosem.

Podchodzę do kominka i łapię pogrzebacz.

– O mój Boże – jęczy.

– Uderzę go tym z całej siły. Pięć razy w głowę, pięć razy w brzuch. Albo cię zerznę. – Macham prowokacyjnie pogrzebaczem tuż przed nią. – Jak bardzo go kochasz?

– Proszę, nie – skomle, opuszczając głowę w geście całkowitej uległości.

– Wybieraj albo ja wybiorę za ciebie.

– Nie bij go. Zrobię to – odpowiada pokonana.

– No cóż, nie ty o tym zdecydujesz, tylko on.

– Proszę, nie! – błaga, nieco za głośno jak na mój gust.

Zaklejam jej usta taśmą i zakładam na oczy opaskę, wcześniej ukrytą pod kanapą. Jest jeszcze kilka rzeczy, które muszę zrobić, żeby wszystko odbyło się zgodnie ze scenariuszem. Zostawiam Connie w salonie, biorę z kuchni stos talerzy, a potem idę do sypialni. Don próbuje właśnie przegryźć taśmę na rękach.

– Po prostu bierz, co chcesz – mówi.

– Masz wybór. Taki sam dałem Connie. – Unoszę pogrzebacz w złowieszczym geście. – Albo przyjmiesz po pięć ciosów w głowę i brzuch, albo ją wyrucham. Masz ochotę zgadnąć, co wybrała?

– Ty chory pojebie! – ryczy gniewnie. – Mówiłeś, że chcesz tylko pieniędzy!

– Powiedziała, że mam tu przyjść i rozpierdolić ci łeb. Ale myślę, że zgłoszę weto. Wolę jednak pizdę.

Don desperacko usiłuje się uwolnić, ale ciągnę go za włosy, wyginając mu kark, po czym zaklejam usta i oczy.

– Kolana i ręce na podłodze – rozkazuję.

Nie reaguje, buntownik jebany.

– Powiedziałem, kurwa, kolana i ręce na podłodze – powtarzam. – Ona ma szansę przeżyć.

Przystawiam mu pistolet do czoła i tym razem nie muszę mówić nic więcej. Spełnia posłusznie polecenie. Kładę stertę talerzy na jego plecach. Ściągam poszewkę z jednej poduszki, zakładam mu na głowę i zaklejam taśmą wokół szyi.

– Jeśli spróbujesz coś zrobić, usłyszę. Zabiję najpierw ciebie, a potem ją.

Poszewka zasysa się i wybrzusza przy każdym jego oddechu. Mam świadomość, że z taśmą na ustach może się udusić. Nie jestem tu jednak po to, żeby zabijać. Groźby to tylko jeden ze środków kontroli. Z kabury na kostce wyciągam więc nóż myśliwski i robię niewielkie rozcięcie w materiale, by trochę poprawić wentylację. Na więcej łaskawości z mojej strony nie ma co liczyć. Scena jest gotowa i czas, by stała się tylko moja.

Wracam do salonu. Connie klęczy i desperacko obraca głowę na wszystkie strony, usiłując zorientować się, gdzie jestem. Nie ma pojęcia, że stoję tuż przed nią. Jęczy, kiedy ją popycham, ale taśma tłumi dźwięk. Próbuje coś powiedzieć, pewnie chce błagać, lecz to bezcelowe. Nie znam litości. Ściągam dresy i łapię ją za cycek, żeby się nakręcić. Normalnie byłbym twardy jak skała, jednak dzisiaj nie do końca jestem w nastroju. Słyszę dźwięk rozbijanego talerza. Skurwysyn. Biegnę do sypialni. Don nadal jest na swoim miejscu, jeden talerz ześlizgnął się ze stosu.

– Nie testuj mojej cierpliwości – warczę.

Przypominam sobie, że lubrykant jest w szufladzie jej nocnej szafki. Nie musiałem przynosić swojego, bo sami mają spory zapas.

Kiedy wracam do salonu, Connie skacze w kierunku frontowych drzwi, naga, związana i z zasłoniętymi oczami. Niemal podziwiam jej upór, ale gniew bierze górę. Łapię ją w pasie i podnoszę jednym ruchem. Szarpie się i kopie, lecz kilka sekund później jest już na podłodze. Siadam na niej, smaruję kutasa lubrykantem i pocieram główką o jej cipę. Nadal nie chce się zrobić całkiem twardy.

– Kurwa. Ja pierdolę – syczę.

Krzyczy głośniej, przerażona, że moje słowa sygnalizują złe wieści dla niej. Mało brakowało, by to samo wydarzyło się poprzednim razem. I jedyną rzeczą, która uczyniła mojego kutasa tak twardym, że mógłbym dojść bez wchodzenia, było myślenie o niej. O tej pierdolonej pięknej dziewczynie widzianej w sklepie. Tej trzymającej za rękę małego chłopca, na którego patrzyła z taką miłością. Tej wiodącej miłe życie z chłopakiem i rodzicami. Zamykam oczy i wyobrażam ją sobie: oczy w kolorze szampana, gładka skóra, krągły tyłek i jędrne cycki.

To nasz dom. To życie należy do nas. Przez następnych kilka godzin mogę mieć ją dla siebie. Uśmiechnie się do mnie tak samo jak na tych zdjęciach i ja także będę się śmiał zamiast stanowić powód do śmiechu.

Wizja twarzy Vesper wykrzywionej mieszaniną agonii i przyjemności sprawia, że mój fiut robi się gruby i twardy. Wciskam go więc brutalnie w wilgotne wnętrze, a potem pcham i pcham, ostatkiem sił powstrzymując się przed wykrzyczeniem jej imienia. Nie mogę pozwolić, by ktokolwiek ostrzegł ją, że będzie następna, więc milczę zawzięcie.

To jej gorąca cipka zaciska się na moim kutasie. I jeśli fantazja potrafi dać tyle przyjemności, to nie wiem, czy wytrzymam rzeczywistość. Ledwie słyszę krzyki Connie, kiedy dochodzę, wymazując ostatniego mężczyznę, który w niej był. Dla mnie w ogóle jej tu nie ma. Stanowi jedynie substytut, dopóki nie posiadę ostatecznego celu.

Wysuwam się na zewnątrz rozładowany. Szalejący we mnie bezlitosny ogień został tymczasowo zdławiony. Nie zawracam sobie głowy zakładaniem spodni. To nie koniec, mam jeszcze tyle do zrobienia. Idę przez dom, przerzucam rzeczy, staram się zapamiętać to wszystko. Próbuję jakoś przeżyć całe ich życie w ciągu najbliższych dwóch godzin.

Connie ma mnóstwo książek o medycynie, ale lubi też klasyki: Dumę i uprzedzenie, Annę Kareninę, Niebezpieczne związki. Don kolekcjonuje modele samochodów. Nie mają dzieci, ale trzymają tu mnóstwo zdjęć przedstawiających, jak sądzę, ich bratanków czy siostrzeńców. Mógłbym zrobić to ostrożnie. Mógłbym być cicho. Ale chcę, żeby słyszeli, jak rozdieram ten dom na strzępy. Pragnę kontrolować ich strach, karmić się przerażeniem. A poza

tym dopóki słyszą, jak szaleję, nie będą próbowali niczego głupiego.

Otwieram frontowe drzwi.

– Nie jestem jeszcze gotowy – syczę, po czym je zamykam. To tylko kolejny fałszywy trop, dzięki któremu policja będzie szukać kogoś, kto nie działa sam.

Zaliczam kolejną rundkę z Connie, która przypomina mi, że Vesper pochłania moje myśli.

– Niech to się skończy. Niech to się skończy – jęczę, zabierając się za dalsze szperanie w ich dobytku.

Następny sposób na odwrócenie uwagi, na przekonanie ich, że jestem pomyłony. Nie jestem. Doskonale wiem, co robię. Pokazuję swoją twarz za dnia. Jestem twoim sąsiadem. Twoim bratem. Facetem, który buduje ci ten piękny ganek albo naprawia klamkę we frontowych drzwiach.

Jest czwarta piętnaście, a ja robię się głodny. Otwieram lodówkę i znajduję w niej kawałek kurczaka. Pochłaniam go na patio za domem, delektując się faktem, że jem ich jedzenie. Wszystko tutaj należy do mnie, jak długo jestem w tym domu. To moje życie. Upajam się świadomością posilania się na zewnątrz, tuż pod nosami sąsiadów – kompletnie nieświadomych, co się dzieje zaledwie kilka metrów dalej.

O tej porze jest tak cicho, aż można by pomyśleć, że w okolicy w ogóle nikt nie mieszka. To moja godzina. Ciemność należy do mnie. Zostałem odrzucony, zapomniany, ale nigdy nie odszedłem. Jestem tutaj.

Zaspokoilem głód – ten cielesny i ten fizjologiczny – więc czas się zbierać. Nie mogę zostać do świtu, kiedy ranne ptaszki będą już na nogach. Zostawiam kości na stole i wracam do środka. Zakładam spodnie i oczyszczam dom ze wszystkiego, czego nie chcę zostawić, po czym wyslizguję się na zewnątrz.

– Hej! – krzyczy za mną jakiś mężczyzna.

To nic, takie rzeczy się zdarzają. Mam kominiarkę i rękawiczki. Nawet się na niego nie oglądam. Przeskakuję przez płot, a potem przez następny i jeszcze jeden. Gnam w kierunku wejścia do rozległego systemu kanałów, dzięki któremu przemieszczam się z jednej okolicy do drugiej.

Gubię tamtego faceta z łatwością. Wbiegam w przydrożne zarośla, by złapać oddech, zdejmuję kominiarkę, rękawiczki, czarną perukę i wąsy, po czym upycham to wszystko w kieszeniach spodni. Zdejmuję bluzę i zostaję w białym T-shircie. Odgarniam jasnobrązowe włosy do tyłu, a potem ruszam w stronę zaparkowanego samochodu. Mijam kolejnego niczego nieświadomego rannego ptaszka spacerującego z psem. Kiwa mi głową na powitanie, ale ja swoją trzymam nisko, żeby nie mógł przyjrzeć się mojej twarzy, i tylko macham mu ręką.

Wreszcie docieram do auta, a po chwili odjeżdżam w kierunku autostrady i wolności. Niedługo będę musiał znowu nasycić głód. Nie wiem, ile jeszcze pociągnę na tych marnych kaskach, przygotowując się do prawdziwej uczyty.

1. Program edukacyjny dla dzieci. W postaci Easy Readera – miłośnika czytania – wcielił się Morgan Freeman (przyp. tłum.).

Rozdział 2

VESPER

Jest sobotni wieczór. Stoję przed telewizorem, oglądając odcinek *Sanford and Son*² i czekając na nową porcję popcornu. Johnny już śpi, a mama i ojczym pojechali na lotnisko kilka godzin temu. Powinam więcej wychodzić, ale często muszę zajmować się Johnnym, a poza tym przeważnie jestem zmęczona szkołą i pracą. Carter i ja planowaliśmy iść jutro na elegancką kolację, ale kiedy mama w drodze z Karaibów zdecydowała, że wykupi wycieczkę do Egiptu, musieliśmy ją odwołać.

Gdy odgłos pękających w kuchni ziaren zaczyna cichnąć, biegnę zdjąć garnek z kuchenki i wrzucam do niego trochę masła, a potem wracam do pokoju, tuląc do siebie miskę popcornu. Serial zdążył się już skończyć, a jego miejsce zajęły wieczorne wiadomości. Na ekranie widzę zbliżenie czarno-białego szkicu męskiej twarzy, w większości zasłoniętej kominiarką.

– Według doniesień policji mężczyzna zaatakował parę w ich domu w Rancho Sol – mówi dziennikarz. Rancho Sol to osiedle niecałe dwadzieścia minut samochodem stąd.

Obraz oddala się. Teraz szkic wisi nad ramieniem dziennikarza, opatrzony napisem: „Nocny Drapieżnik”. Skupiam wzrok na rysunku. Ostatnio mamy wysyp włamań w całym hrabstwie Sacramento. To jeden z powodów, dla których Carter tak się upiera przy zostawianiu ze mną w domu, kiedy sama opiekuję się Johnnym. Niestety dzisiaj będzie mógł przyjść dopiero późnym wieczorem.

Spoglądam przez wielkie okno wychodzące na główną ulicę i zastanawiam się, co bym zrobiła, gdybym zobaczyła przez żaluzje tego zamaskowanego mężczyznę patrzącego na mnie. Przyjemne uczucie, jakie jeszcze przed chwilą towarzyszyło trzymaniu miski ciepłego popcornu w domowym zaciszu, ustępuje miejsca niepewności.

Rozlega się dzwonek. Miska wyslizguje mi się z rąk. Po chwili walki jakoś daję radę uratować ją przed upadkiem, ale i tak robię mały bałagan. Podchodzę na palcach do okna, zerkam przez żaluzje i ku swojemu zaskoczeniu widzę Cartera, który przyszedł wcześniej, niż się spodziewałam. Wydaję westchnienie ulgi, odstawiam miskę na stolik kawowy i z szerokim uśmiechem otwieram drzwi.

– Już jesteś?!

– Pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę. – Carter obdarza mnie delikatnym pocałunkiem, który zaraz przeradza się w coś więcej. Po chwili przerywa i spogląda nad moim ramieniem.

– Nie martw się, jest już w łóżku – szepczę.

– Więc to znaczy, że my też możemy iść do łóżka? – pyta, wchodząc do domu ze mną w ramionach.

– Na to wygląda.

Carter zamyka zamek w drzwiach i przyciska wargi do moich, po czym łapie mnie za tyłek i podnosi.

– Jak miło – mamrocze między pocałunkami, idąc do sypialni.

Kładę mu palec na ustach. Jeśli Johnny się obudzi, zagonienie go z powrotem do łóżka będzie udręką.

– Zupełnie jakbyśmy już mieli dzieci – szepcze Carter w dziewięćdziesięciu procentach

żartobliwie, a w dziesięciu z irytacją.

Odstawia mnie na podłogę i zdejmuje koszulkę. To świetna partia – dobry, lojalny, do tego student medycyny. Wysoki, jasnowłosy, o szczerych brązowych oczach oraz szczęce, której pozazdrościłby mu niejeden model. Jesteśmy razem od trzech lat. Był moim pierwszym poważnym chłopakiem i... pierwszym wszystkim, jeśli mam być szczerą.

Zrzucam z siebie sukienkę i zostaję w samych majtkach. Carter całuje mnie, siada na łóżku i przyciąga do siebie. W pokoju jest ciemno, lecz światło wpadające z salonu wystarcza, by wydobyć z mroku jego postać. Zmierzwiłone włosy i ciepłe oczy Cartera błyszczą. Jest wszystkim, czego powinnam chcieć. Wszystkim, czego chcę. Ale chociaż odpowiadam na jego dotyk i pocałunki, nic się we mnie nie budzi. Zawsze jest tak samo. Przez jakiś czas to mi wystarczało, jednak w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że zastanawiam się nad czymś więcej. Nad tym, jak by to było robić takie rzeczy z kimś innym. Z kimś, kto nie jest bezpieczny.

Carter to gorące kakao z piankami. Czasami chciałabym, żeby był szotem absyntu. Ale kocham go i jest wszystkim, czego mogłabym pragnąć. To po prostu okres zastoju, kontynuuję więc rutynę. Zsuwam majtki i siadam na nim okrakiem.

– Mmm... Vesper – jęczy, kiedy ocieram się o niego.

Nie jestem mokra i jeszcze nie mogę osunąć się na Cartera. Nie przestaję go całować, udając pasję w nadziei, że coś się zmieni, że jego pocałunki rozpalą mnie jak zapałka wrzucona do kanistra z benzyną, ale wciąż nie pojawia się nawet iskra. W jego ramionach czuję się bezpieczna, lecz nie umiem wywołać w sobie podniecenia.

Całuję go w szyję, zamykam oczy i fantazjuję o tych, które widziałam w bibliotece. Wyobrażam sobie, że ich właściciel przychodzi do restauracji, w której pracuję kilka wieczorów w tygodniu. Jest pusta i większość światła zdążyłam już zgasić. Ledwie go widzę, ale te oczy mówią mi wszystko, co muszę wiedzieć. Informuję go, że właśnie zamykamy. On odpowiada, że chce tylko kawałek ciasta. Ustępuję. Wchodzę za ladę i sięgam do witryny z deserami. Nagle czuję jego oddech na szyi. Zaskakuje mnie, ale nie krzyczę.

– Nie odwracaj się – nakazuje ochryple i przesuwa dłonią w dół mojego uda, a potem w górę, podnosząc spódniczkę. Odsuwa majtki na bok, drugą ręką łapie mnie za szyję.

– Ani słowa – szepcze, zaciskając palce na gardle.

Szarpieniem zsuwa mi majtki, tak że zatrzymują się w połowie ud, a potem we mnie wchodzi. Jestem mokra, cholernie mokra. I pozwalam, żeby wbijał się w moje ciało. To wszystko jest takie mroczne, brudne, zakazane. Nigdy nie zdradzę rodzinie tego sekretu. Wmawiam sobie, że to strach zmusza mnie do milczenia, ale to nieprawda. Nie walczę, oddaję mu się całkowicie. Wyczuł moją potrzebę – jak drapieżnik, który zwęszył ofiarę – i zaatakował. Nieznajomy dyszy mi do ucha, a ja zaciskam się na nim mocniej. Napięcie w podbrzuszu odbiera oddech.

Otwieram oczy.

– Carter! – krzyczę.

W ten sposób przekonuję samą siebie, że to w porządku, że to on jest we mnie. Moja skóra dotyka jego skóry, patrzę w jego brązowe oczy. Wołam jego imię, kiedy dochodzę. Nie musi wiedzieć, że właśnie dałam się przelecieć obcemu, wykorzystując go w roli pośrednika.

– Och, kochanie – jęczy, wbijając się mocniej.

Patrzę, jak rozkosz przetacza się przez jego twarz, podczas gdy mój orgazm słabnie. Gdybym nie otwierała oczu, gdybym do końca wyobrażała sobie nieznajomego, wizja mogłaby mnie porwać, odebrać mi oddech. Ale nie mogłabym zrobić tego Carterowi. Więc dołączam do niego, a napięcie, zamiast eksplodować niczym bomba, zaledwie syczy jak petarda.

Tak czy inaczej, dochodzimy razem. Opadam na niego, a po chwili zsuwam się na łóżko niezaspokojona. Między nogami czuję napięcie, które domaga się silnego rozładowania. Carter

kładzie się obok, podpira głowę ramieniem i przygląda mi się z uśmiechem.

Czuję się winna za każdym razem, kiedy to robię. Za każdym razem, gdy myślami przenoszę się gdzie indziej. Nie miałabym takich wyrzutów sumienia, gdyby to wynikało z zachłanności i było dodatkiem do mojego pożądanego Cartera. Ale teraz po prostu potrzebuję tego, żeby zrobić się mokra. Żeby dojść. Żeby w ogóle się zaangażować.

Po wycieczce do łazienki wracam do sypialni, z powrotem ubrana. Nie jest nam dany luksus chodzenia po domu nago. Opiekuję się Johnnym tak często, że faktycznie czuję się, jakbyśmy mieli dziecko. I kocham Cartera za to, że jest bardzo cierpliwy w tej kwestii. Taki przystojny, mądry, miły chłopak jak on powinien cieszyć się weekendami na mieście, filmami, imprezami, knajpami. Ale przez większość czasu jest skazany na siedzenie ze mną w domu, uwiązany obowiązkami, na które nigdy się nie pisał. Powtarzam mu, że nie musi zostawać, że może dołączyć do swoich kumpli. Jest w szkole medycznej i też potrzebuje rozrywki. Koniec końców jednak zawsze ląduje tutaj.

Carter pochyla się i zapala nocną lampkę. Pokój zalewa mętne światło.

– Więc wybyła na kolejne dwa tygodnie? – prychna.

Cechują go ogromne pokłady cierpliwości, ale nie jest świętym. Oboje mamy mnóstwo na głowie i na pewno czuje się rozczarowany, że tę odrobinę wspólnego czasu spędzamy na zajmowaniu się dzieckiem specjalnej troski.

– Mhm. Pete dostał tyle wolnego, że chyba nie mogą przestać wyjeżdżać na wakacje. Matka powiedziała, że zabiorą gdzieś Johnny'ego, może do Disneylandu, ale kiedy ostatni raz wzięli go gdziekolwiek?

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego na to pozwalasz. To nie twój obowiązek.

Siadam gwałtownie.

– Jest moim bratem.

– Wiesz, że nie to miałem na myśli – tłumaczy przepraszającym tonem. – Ja też go kocham. Ale twoja mama cię wykorzystuje. Wie, że masz we krwi opiekowanie się innymi, zwłaszcza nim, i po prostu zrzuca to na ciebie. Jesteś młoda, powinnaś móc się bawić.

– Mówiłam jej o tym milion razy. Tyle że ona wykorzystuje w takich momentach argument, że razem z ojczymem płacą za moją szkołę i mogę mieszkać tu za darmo. To tak, jakbym wszystko odpracowywała, robiąc za nianię Johnny'ego. Ale teraz nie zostawiłabym go pod opieką kogoś obcego. Nie na tak długo. – Przyciągam kolana do piersi i otaczam je ramionami. – Mama ma nade mną przewagę. Nienawidzę nawet o tym rozmawiać, bo wtedy czuję się, jakbym uważała Johnny'ego za ciężar. A przecież chętnie się nim zajmuję, to takie dobre dziecko. I narzekam na swoje życie, podczas gdy to on został nieuczciwie potraktowany przez los.

– Hej. – Carter kładzie mi dłoń na łydce w dodającym otuchy geście. – Frustracja to nic złego. Nie ma nic wspólnego z twoją miłością do brata, tylko z twoją matką, która dzięki niej może cię tak łatwo wykorzystywać. Opiekujesz się wszystkimi dookoła. Chciałbym po prostu mieć pewność, że ktoś zajmuje się tobą.

– Mam kogoś takiego – odpowiadam z łagodnym uśmiechem, kładąc dłoń na jego dłoni.

Mówię szczerze. Choć ostatnio widzujemy się zaledwie raz w tygodniu i nie mogę być dla niego na pierwszym miejscu, kiedy ciąży na nim presja związana ze szkołą, to wiem, że zawsze o mnie myśli.

– Staram się. Wiem, że to wygląda tak, jakbym ciągle był w pracy albo w szkole, ale zawsze będę przy tobie. Zadbam, żebyś się rozerwała i doświadczyła wszystkiego, co życie ma do zaoferowania.

Ton głosu Cartera jest wyjątkowo łagodny i jakby poważniejszy, niż wymaga tego

rozmowa. Jak gdyby składał mi przyrzeczenie.

Siada nagle i sięga do kieszeni.

– Chciałem odłożyć to do kolacji, którą planowaliśmy w ten weekend. Zamierzałem jeszcze poczekać, ale nie wytrzymam już ani sekundy dłużej. Szerzej otwieram oczy, a serce zaczyna mi szybciej bić. Mam przed sobą wszelkie oznaki tego, co się zaraz wydarzy, ale nie uwierzę, dopóki nie usłyszę tych słów. Carter wyjmuje z kieszeni pudełeczko i klęka na jedno kolano na łóżku obok mnie.

– Vesper Rivers – mówi drżącym głosem, który tak bardzo kontrastuje z jego swobodnym tonem sprzed chwili. – Jesteś najpiękniejszą, najbardziej hojną, bezinteresowną i życzliwą osobą, jaką znam. Chcę stać się mężczyzną, na jakiego zasługujesz. I będę zaszczycony, jeśli zostaniesz moją żoną.

– C-co? – dukam z trudem, niezdolna do przetworzenia sceny, rozgrywającej się na moich oczach.

Śmieje się nerwowo.

– Vesp, wyjdiesz za mnie?

– Czy wyjdę? Uhm... Ta-tak... – Ledwo potrafię wydusić z siebie słowa.

Łapie mnie za rękę i wsuwa na serdeczny palec pierścionek z kryształem, a potem bierze w ramiona. Poczucie winy oraz wszelkie wątpliwości, jakie dręczyły mnie wcześniej, znikają bez śladu. Czuję, że to jest dobre, właściwe. Nie mogłabym wybrać sobie lepszego partnera na całe życie. Odsuwam się i spoglądam na Cartera. Promienieje.

– Kocham cię, Vesp.

– Ja też cię kocham.

Patrzmy na siebie przez dłuższą chwilę, nie do końca wiedząc, jak poradzić sobie z niezwykłą doniosłością tego nowego zobowiązania. – Zaczekaj – odzywa się niespodziewanie i unosi ręce, jakby właśnie wpadł mu do głowy jakiś pomysł. – Przywożem szampana, zostawiłem w samochodzie. Nie chciałem wzbudzać podejrzeń. Pójdę po niego, a potem zadzwonię szybko do rodziców. Też chcesz zadzwonić do swoich?

– Mama jest... – Zataczam palcem kręgi, wskazując sufit.

– Och, no tak, w samolocie. – Carter chichocze zażenowany. – No dobra, zaraz będę z kieliszkami.

Kiwam głową i uśmiecham się niepewnie. Carter pędzi do drzwi, ale zatrzymuje się w pół kroku i biegnie z powrotem do łóżka, żeby mnie pocałować.

– Kocham cię. Dziękuję.

Śmieję się głośno. Potrafi być taki uroczy.

– Ja też cię kocham – odpowiadam, kręcąc głową z udawaną dezaprobatą. – A teraz leć po tego szampana, żebyśmy mogli świętować. – Macham ręką w kierunku drzwi.

Carter wybiega z sypialni, wyglądając przy tym jak rozradowany szczeniak, a ja podziwiam pierścionek. Jak zapewne większość dziewczyn od razu zaczynam zastanawiać się nad ślubem. Co założyć? Jaka biżuteria będzie pasowała do tego prostego, ale eleganckiego złotego pierścionka? Wisiorek od babci powinien idealnie się sprawdzić. Wcześniej nosiłam go bez przerwy, ale po wycieczce nad jezioro Tahoe, kiedy omal mi nie zginął, trzymam go w szkatułce i zakładam tylko na specjalne okazje. No cóż, zaręczyny są specjalną okazją, czyż nie?

Otwieram szkatułkę stojącą na wysokiej komodzie i rozcieram kilka par kolczyków oraz wisiorków, ale nie widzę zawieszki z sierpem księżycy.

– Hm? – mruczę do siebie i włączam lampę stojącą tuż obok, żeby lepiej widzieć. Nadal jednak nie mogę go znaleźć. Serce zaczyna mi szybciej bić. Ten wisiorek jest dla mnie bardzo cenny. Większą część swojego dzieciństwa spędziłam w komunie, bo matka bawiła się w bycie

hippiską. Często była zajęta własnymi potrzebami, czego nie pochwałała moja babcia – dziecko przedwojennego pokolenia. Kiedy tylko mogła, ruszała w długą drogę na północ i spędzała ze mną weekend. Rozpieszczała mnie i była taka, jaka powinna być matka. Straciłam ją, gdy miałam trzynaście lat, co kompletnie mnie zdruzgotało. Dała mi ten wisiorek właśnie na trzynaste urodziny, krótko przed śmiercią. Powiedziała, że moje imię oznacza „wieczorną modlitwę”, dlatego każdego wieczora patrzy na księżyc i modli się za mnie.

Carter wraca do pokoju w chwili, kiedy miejsce radości z oświadczeń zajmuje już poważna panika. Wysypałam zawartość wszystkich szufladek na łóżko, ale wciąż nie znalazłam wisiorka.

– Co się dzieje? – pyta, a jego uśmiech szybko przeradza się w niepokój.

– Nie mogę znaleźć wisiorka z księżycem. Tego, który dostałam od babci – wyjaśniam, powstrzymując łzy.

– Okej, spokojnie. Na pewno gdzieś tu jest. Kiedy ostatni raz go widziałaś?

– Ja... Nie pamiętam. Ale na pewno schowałam go tutaj – zarzekam się, pokazując mu szkatułkę. – Wiem o tym. Od czasu, kiedy spędziłam kilka godzin na przeczesywaniu brzegu jeziora, by go znaleźć, zakładałam go tylko na szczególne okazje.

– Może odłożyłaś wisiorek gdzie indziej?

– Nie, na pewno nie! – odpowiadam ostro.

Może zaczynam już wariować? Może ten facet w bibliotece mi się przywidział? Może moja pamięć szwankuje przez stresujące zajęcia, opiekę nad Johnnym i napiętą relację z matką?

Widzę, że Carter jest rozczarowany zmianą atmosfery, ale mówi się trudno, ogarnęła mnie obsesja.

– Przepraszam, Carter, ale nie dam rady się odprężyć, dopóki go nie znajdę. To wszystko, co mi po niej zostało.

– Rozumiem – odpowiada. Wydaje się pokonany. – Jak mogę pomóc?

– Pamiętasz, jak wyglądał? – pytam.

– Mniej więcej.

– Zaczekaj, mam tu zdjęcie, kiedy miałam go na sobie po raz ostatni.

Przekopuję tablicę, szukając fotografii zrobionej nad jeziorem tuż przed tym, jak zgubiłam wisiorek.

– Dobra, teraz czuję się tak, jakbym popadała w obłąd – mamroczę.

– O co chodzi?

– Nie mogę znaleźć tego cholernego zdjęcia – informuję, z trudem powstrzymując potrzebę podniesienia głosu. Obudzenie Johnny’ego tylko zwiększyłoby napięcie, a moja cierpliwość i tak jest już na wyczerpaniu.

– Dobra, nie martw się tym. To księżyc, wiem, jak wygląda księżyc – mówi Carter z pewną beztraską. – Dajmy sobie godzinę. Potem będziesz musiała pozwolić, żeby to on znalazł ciebie, zgoda?

– Okej, ale jeśli nie, ja... – Chowam twarz w dłoniach i czuję dotyk pierścionka na palcu. Cholera. Oświadczył mi się, a ja rujnuję całą radość tego wieczoru.

– Pójdziemy spać, a jutro, kiedy będziemy wypoczęci i najedzeni, zabierzemy się znowu za poszukiwania. Obiecuję.

Spoglądam przez palce.

– Dobra, niech będzie – mówię obrażonym tonem. – Przepraszam, wszystko popsulałam. Ten wieczór był taki idealny.

Carter czule głaszcze mnie po głowie.

– Hej, gdybym nie mógł cię znieść podczas poszukiwań wisiorka, to jak mogłabyś zostać

moją żoną?

Parskam śmiechem.

– Znajdziesz go – zapewniam. – Wiem, że znajdziesz.

Wyciąga do mnie rękę, a ja ją chwytam. Pierścionek połyskujący na palcu jest przyjemnym widokiem. Dokonałam właściwego wyboru.

SAM

Dziś w nocy miałem tylko przeprowadzić zwiad. Chciałem popatrzeć, dowiedzieć się więcej o jej zwyczajach. Sprawdzić, czy dzieciaka kiedyś nie będzie w domu. Ale, cholera, wydaje się, że wiecznie z nią jest. Można by pomyśleć, że to jego pieprzona matka. Została sama na chwilę, co było miłe. Przez okno w sypialni patrzyłem na jej smukłą sylwetkę, kiedy przebierała się w prostą sukienkę. Obserwowałem, z jaką czułością kładzie brata do łóżka. Potem przeniosła się do salonu, którego okno wychodzi na główną ulicę. Bezpieczniej jest w zaroślach po bokach i na tyłach domu.

Czekam więc przy sypialni. W końcu wróci, a wtedy będę obserwował jej wieczorny rytuał. Doświadczę cichego, prostego życia. Kiedy rodziców Vesper nie ma w domu, łatwo mi wyobrazić sobie, że jestem z nią, jem posiłek, który dla mnie przyrządziła, patrzę, jak się rozbiera, by dołączyć do mnie w łóżku.

Zawsze będą ci dokuczać. Nikt nie rozumie cię tak jak ja.

Natarczywe myśli przerywają fantazję. Vesper nigdy mnie nie zechce. Będę musiał sam ją sobie wziąć. Pokażę jej, że nie jest lepsza niż ja, że jest jak wszyscy inni. Jak ci, którzy czołgali się u moich stóp, którzy błagali. Byłem ich bogiem. Uważają się za mądrzejszych ode mnie, ale to nieprawda. Są tylko mrówkami w formikarium. Mogę je zmiażdżyć, kiedy najdzie mnie na to ochota.

Jakąś godzinę później Vesper wraca do sypialni. Ale ten anioł, którego zamierzałem podziwiać podczas przygotowań do snu, nie jest sam. Przychodzi z tym pierdolonym księciem. Z chłopakiem, który pewnie przez całe swoje życie nie doświadczył żadnej prawdziwej próby. Światła gasną, widzę tylko zarys ich sylwetek. Sapiąc niczym rozjuszony byk, patrzę, jak go dosiada. Ogarnia mnie mieszanina wściekłości i podniecenia. Powtarzam sobie, że niedługo będzie moja i dzięki temu jakoś mogę to znieść. Pulsujący fiut domaga się, żebym zrobił sobie dobrze w krzakach, ale opieram się pokusie. Chcę zachować to dla niej. Chcę pieprzyć ją tak mocno, żeby krzyczała, kiedy będę się w nią wbijał. Odmawiam ulżenia sobie, dopóki nie znajdę się w niej.

Kończą. Zajmują się swoimi sprawami. Nudnymi, monotonnymi czynnościami codziennego życia – ubieranie się, wyprawa do łazienki. Tego typu sceny mogę oglądać bezmyślnie godzinami, jeśli sobie na to pozwolę. Wprowadzają mnie w stan zbliżony do hipnozy. To jak oglądanie ruchomego obrazu Normana Rockwella, tyle że teraz wszyscy mają brody, długie włosy i noszą dzwony.

Chłopak zapala lampkę i wszystko widzę wyraźniej. Muszę być ostrożny, ale dopóki się nie wychylam i nie robię żadnych gwałtownych ruchów, nie mają szansy mnie zauważyć. Zdaje się, że rozmawiają o czymś poważnym, intymnym. Nigdy tak naprawdę nie doświadczyłem intymności. Patrzenie na nią wywołuje ból, lecz potem jego miejsce zajmuje gniew. Wolę już być wściekły niż czuć tęsknotę.

Nagle Pan Perfekcyjny wstaje, a po chwili klęka. Nie, kurwa, to się nie może dziać! To nie może być prawdziwe. Ból zaczyna palić. Czuję się tak, jakby ktoś raz za razem walił mnie pięścią w żołądek. Jakby miażdżył serce i wbijał w nie odłamki rozgranego szkła.

Zamieniam tęsknotę we wściekłość, tak jak ćwiczyłem, i tym razem jest jej tak wiele, że gotuję się od oślepiającej furii. Muszę pozbyć się rosnącego w ciele ognia. Instynkt każe mi coś połamać, rozbić, zniszczyć. Zaciskam pięści, patrząc, jak gołąbeczki padają sobie w ramiona, i próbuję powściągnąć gniew zalewający mnie niczym gwałtowna powódź.

Cierpliwości.

Pierdolić cierpliwość!

Szydzą ze mnie. Drwią. Ich piękne uśmiechy i nieskazitelne twarze pokazują mi życie, jakiego nigdy nie będę miał. Zupełnie jakby wiedzieli, że tu jestem, i kłuli mnie swoim szczęściem prosto w oczy.

Nie możesz im ufać. Wydaje ci się, że kiedykolwiek miałeś u niej szansę?

Pieprzyć plany. Zabiorę im tę radość, tak jak oni bez litości zabrali moją. On nie może jej mieć. Zostawię na niej swój ślad. Sprawię, że Vesper będzie moja. Zamierzam towarzyszyć im, kiedy będą szli do ołtarza. Zostanę wpleciony w każde ich wspomnienie, w każdy milimetr ich wspólnej drogi. Wchodzę dzisiejszej nocy.

2. Amerykański sitcom emitowany na kanale NBC w latach 1972–1977 (przyp. tłum.).

Rozdział 3

SAM

Czekam. I czekam.

I czekam.

Trochę trwa, zanim Vesper w końcu idzie spać. Wydaje się, że zauważyła brak wisiora. To rzadkość. Większość ludzi nie orientuje się, że coś im zabrałem, dopóki nie uderzam. Uświadamiam sobie, że to, co wziąłem, jest dla niej ważne. Miło wiedzieć, że prezent od niej zawiera tyle emocjonalnego kapitału. Że zawsze będę miał ważną część jej osoby, dzięki której na nowo przywołam to, co wydarzy się dziś w nocy.

Nie jestem przygotowany. A przynajmniej nie tak, jakbym przyszedł tu z zamiarem dostania się do środka. Ale poradzę sobie. Znam ten dom bardzo dobrze. Zostawiłem tu szpulę sznura. Jest jeszcze tamten upośledzony dzieciak... No cóż, ważne, że rodzice wyjechali. A jeśli chodzi o Pana Perfekcyjnego, to doskonale się składa. Nie będzie już taki perfekcyjny, kiedy z nim skończę.

Dostaję się do domu przez sypialnię rodziców Vesper. Kiedy ostatnim razem byli poza miastem, rozciąłem siatkę moskitiery i podważyłem okno, a potem zakleiliśmy rozcięcie. Nawet się nie zorientowali. Nadal jest otwarte, tak jak je zostawiłem.

Bezszelestnie wchodzę do środka. Serce wali mi jak młotem, ale nie ze zdenerwowania. To dlatego, że znalazłem się tak blisko kogoś, kogo pragnąłem bardziej niż cokolwiek innego do tej pory. Moja nienasycona potrzeba zostanie wreszcie zaspokojona. Gdzieś głęboko w sercu już jednak rozpaczam nad tą chwilą. Zawsze będzie następny dom, następny cel, ale ona jest tym ostatecznym. Klejnotem koronnym. Będę miał ją raz, a potem... Co dalej? Nie pozwalam, by ta myśl mnie zdekoncentrowała. Zawsze sobie radziłem, więc poradzę sobie również teraz.

Moje buty przy każdym kroku zapadają się w miękki chodnik na korytarzu. Mijam pokój chłopca. Dzieciak jest pogrążony we śnie. Rozważam związanie go, ale jeśli zacznie się szarpać, może obudzić Vesper i jej chłopaka, a to da im czas, żeby się na mnie rzucić. Zadbam o to, żeby byli cicho i go nie obudzili. Użyję ich troskliwości jako narzędzia, by przejąć nad nimi kontrolę. Niezależnie od tego, co można by o mnie myśleć, nie chcę wystraszyć dzieciaka, jeśli nie będę musiał. Ma już dostatecznie ciężko w życiu, więc wyciągam rękę i bezszelestnie zamykam jego sypialnię.

Zaglądam przez uchylone drzwi do kolejnego pokoju. Pan Przystojny jest tylko w spodenkach. Vesper ma na sobie białą, bawełnianą koszulę nocną, która wygląda jak dla lalki. W bladym blasku księżyca jest niemal przezroczysta. Mam ochotę rzucić się na nią tu i teraz, ale muszę trzymać się scenariusza. Dzięki niemu mogę robić to w dziesiątkach domów, a policja wciąż nie ma pojęcia, kim jestem.

Idę do salonu i chłonę scenerię ostatni raz przed szaleństwem. Wszystko jest takie ciche i nienaruszone na chwilę przed tym, jak życie obcych ludzi zostanie skalane odciskami moich palców. Jest tu wiele zdjęć matki Vesper, Joan, oraz ojczyma, doktora Petera Reynoldsa. Hiszpania. Francja.

Tajlandia. Meksyk. I tylko jedno przedstawiające Vesper i Johnny'ego. Chłopiec siedzi jej na kolanach, a ona go łaskocze. Jest roześmiany, ciało ma wykrzywione po części dlatego, że próbuje się wyrwać, a po części z powodu swojej niepełnosprawności. Vesper patrzy na niego z

uśmiechem. Pytanie: uśmiecha się do brata czy może się z niego śmieje?

Nie rozumiem. Nie rozumiem, jak taka śliczna, mądra dziewczyna może bezwarunkowo kochać tego dzieciaka. Przecież przypomina mu o tym, jaki jest inny. Sprawiać, że czasami czuje się opuszczony. Na pewno nie robi tego specjalnie, lecz nawet mimochodem może powiedzieć coś, co utwierdzi chłopaka w przekonaniu, że jest gorszy.

Kiedy tylko otworzysz usta, będą się z ciebie śmiać.

Idę dalej, drżąc z pragnienia, by w końcu dotknąć Vesper. Nie wziąłem ze sobą pistoletu. Nie sądziłem, że dzisiaj będę go potrzebował, muszę więc improwizować. Wchodzę do kuchni i wyciągam ze stojaka największy nóż, a potem powoli oglądam go z każdej strony, podziwiając, jak połyskuje w blasku księżyca. Trzymanie w ręku takiej władzy mnie ekscytuje.

Zbliżam się do okna. Cisza. Bezruch. Jestem królem nocy. Ludzie śpią smacznie z odsłoniętymi gardłami i każdy mógłby być mój. Ale nie dzisiaj. Dziś nadeszła pora, by Vesper dowiedziała się, jak to jest, kiedy słońce zachodzi i nie można już uratować świata przed ciemnością.

Zaciągam zasłony i ogarnia mnie wrażenie, jakby wszystko, co jest na zewnątrz, przestało istnieć. Jakby cały świat mieścił się w tych ścianach. Snuję się po domu, szukając przedmiotów, których mogę użyć. Z przedsionka, tuż obok kuchni, wchodzę do garażu. Doktor Peter utrzymuje tu porządek. Ma kilka idealnie pozwijanych lin wspinaczkowych zawieszonych na hakach. Zdejmuję je i przewieszam sobie przez ramię.

Już czas.

Wchodzę do sypialni. Drzwi szafy są otwarte. Dostrzegam mnóstwo sukienek, koszul i szali. Chwytam kilka tych ostatnich i rzucam na łóżko. Cienki materiał faluje w powietrzu i opada. Kładę linę obok, delikatnie, żeby nie obudzić Vesper i Pana Przyszłego Lekarza. Mocno zaciskam palce na rękoje- ści noża.

Klik.

Latarka świeci jej w twarz. Przyglądam się uważnie, kiedy otwiera oczy i zaraz je zamyka, oślepiąca światłem. Próbuje zrozumieć, co się dzieje. Otwiera je znowu i pociera powieki, lecz zrozumienie nie przychodzi.

VESPER

Wszystko dzieje się tak szybko. Śnię o zachodzie słońca nad jeziorem Tahoe i nagle słońce, które jeszcze przed chwilą całowało moją skórę, teraz wypala mi oczy. Nie, to nie słońce. Już nie śnię. To się dzieje naprawdę. Czy to Carter? Nie, to... Nie wiem. Otwieram usta, żeby zawołać jego imię. – Nie krzycz – szepcze ochrypły głos.

Nic nie widzę przez to jasne światło. Nie mam czasu, żeby myśleć i szukać racjonalnego wytłumaczenia. Po prostu siedzę oszołomiona na łóżku. Ale trwa to zaledwie kilka sekund, po których postanawiam się zbuntować.

– Carter!

Podsłakuje na dźwięk mojego alarmującego tonu. Intruz kieruje światło na Cartera i wtedy widzę go lepiej, ale niewiele mi to daje. Twarz ma zakrytą kominiarką z wycięciami na usta i oczy. Pole widzenia przesłaniają mi plamki światła, które utrudniają dostosowanie wzroku do ciemności.

– Coś ty za jeden? – pyta Carter.

Mężczyzna łapie mnie za rękę i zmusza, żebym się podniosła i kleknęła na materacu. Chcę krzyknąć, ale milknę w momencie, gdy zimne ostrze dotyka mojej szyi.

– O mój Boże – szlocham.

– Chcę jedynie waszych pieniędzy. Wolałbym nie budzić chłopca, a wy?

Carter unosi ręce na znak, że jest gotów współpracować.

– Bierz, co chcesz. Proszę, nie rób jej krzywdy.

– Och, nie zamierzam. Pod warunkiem, że będziecie robić, co mówię.

Nóż odsuwa się od mojej szyi, ale gdy tylko ogarnia mnie ulga, czuję czubek ostrza na plecach. Dokładnie w takim miejscu, że przebiłby mi serce, gdyby przeszedł przez żebra. Klęczę między nim a Carterem. Carter mierzy metr dziewięćdziesiąt trzy i ma na tyle długie ręce, że dosięgnąłby napastnika, ale nawet gdyby mu się udało, wciąż byłabym między nimi.

– Zwiąż go – rozkazuje groźny głos.

– Zrobimy, co chcesz. Nie musisz...

Nóż kłuje mnie w skórę.

– Dalej.

– O-okej.

Ostrożnie sięgam po linę. Wygląda jak ta, której ojczym używa do wspinaczki.

– Odwróć się – rozkazuje Carterowi zamaskowany mężczyzna. – Ręce za plecy.

Carter zaciska usta, rozważa dostępne opcje. W końcu odwraca się posłusznie. Szlocham, owijając liną jego nadgarstki.

– Przepraszam – szepczę.

– Nie gadaj. Zwiąż go mocno – warczy facet. Zdaję sobie sprawę, że próbuje modulować swój głos, żeby brzmiał inaczej.

– W porządku, Vesp. Nie przepraszaj. Bądź spokojna.

– Wystarczy.

Kiwam głową i staram się zawiązać linę tak lekko, jak tylko mogę, nie zdradzając się przy tym.

– Teraz nogi – burczy.

Biorę drugą linę i związuję kostki Cartera. Mężczyzna odpycha mnie na bok i niedbale rzuca latarkę na łóżko, tak że światło nie pada na nas. – Jeśli spróbujesz uciec, wezmę się za chłopca – ostrzega.

Myślę o Johnnym i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że zrobię cokolwiek, byleby utrzymać tego człowieka z dala od niego. Mężczyzna chce tylko pieniędzy, więc dam mu wszystko, co mamy.

Roztrzęsiona siadam na brzegu łóżka, tłumiąc szloch, kiedy intruz poprawia liny i unieruchamia Cartera serią skomplikowanych węzłów, łącząc jego stopy i ręce. Podnosi z łóżka szal, który sama farbowałam, i zawiązuje mu oczy. Po raz pierwszy widzę całą jego sylwetkę. Nie jest niski, ale też nie tak wysoki jak Carter, ma chyba trochę ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Przez ciemną koszulkę i wojskowe spodnie dostrzegam zarys mięśni – nie tak dużych jak u kulturysty, raczej jak u atlety lub gracza lacrosse'a. Carter może i jest wyższy, ale ten facet wygląda na silniejszego i nie jestem pewna, czy mój chłopak dałby mu radę. Wiem za to, że ja z pewnością nie mam z nim szans.

Kiedy Carter zostaje unieruchomiony, intruz przenosi uwagę na mnie. Podchodzi do krzesła stojącego przy szafie i unosi poduszkę. Pod nią jest sznurek. Skąd się tam wziął?! Zbliża się, stawiając kroki wyjątkowo lekko pomimo wysokich czarnych butów. Sięga po latarkę, wyłącza ją i chowa do kieszeni.

– Wszystko okej? – pyta Carter. Leży bokiem na łóżku, odwrócony twarzą w przeciwnym kierunku, ale przekrzywia nieco głowę, zerkając w moją stronę. – Mhm – mamrocze, bojąc się rozzłościć mężczyznę, który wiąże mi ręce za plecami.

Sięga po drugi szal i wciska go do kieszeni. Potem chwytając za boleśnie ciasne więzy na

nadgarstkach i gwałtownie podciąga mnie na nogi.

– Pokażesz mi, gdzie masz portfel – rozkazuje, wypychając mnie za drzwi. – A ty rusz się tylko, a zabiję was wszystkich. Poderżnę chłopcu gardło.

Zamyka za sobą drzwi i popycha mnie na przeciwległą ścianę. Wyjmuje sznur z kieszeni i obwiązuje nim klamkę, po czym rozciąga resztę przez korytarz i przywiązuje do klamki drzwi od łazienki. W ten sposób Carter nie będzie mógł wyjść z pokoju, a jeśli spróbuje, narobi hałasu.

Zawiązuje mi oczy.

– Jak mam ci pokazać cokolwiek, kiedy nic nie widzę? – pryham.

Nie odpowiada.

Żołądek skręca mi się od mdłości. Mężczyzna wkłada w to wszystko za dużo pracy jak na kogoś, kto chce jedynie portfel. Ale ja jestem związana, Carter uwięziony, a Johnny nadal w łóżku. Nie mam innego wyjścia, jak podporządkować się w milczeniu.

Ciągnie mnie za ramię przez korytarz, a potem łapie w pasie i rzuca na coś miękkiego. Domyślam się, że jesteśmy w pokoju rodziców.

– Nie... – szlocham.

Chcę krzyczeć, bić, walczyć, lecz ręce mam zdrętwiałe od więzów, a on jest silny. Jeśli spróbuję ucieczki, może skrzywdzić Johnny'ego.

Wchodzi na mnie i rozsuwa mi nogi kolanem. Zaczynam się szamotać, ale nic to nie daje. Przez cienki materiał nocnej koszuli przesuwają dłońmi po moich udach. Pociera palcami jeden z sutków. Szarpie się pod nim, jednak odnoszę wrażenie, że to jedynie bardziej go zachęca, bo czuję twardość wbijającą mi się w miednicę.

Zasłonięte oczy i buzująca w żyłach adrenalina wyostrzają mój zmysł powonienia. Pachnie trawą i krzewami hortensji rosnącymi przy domu. Musiał się przez nie przedzierać. Czuję też nieznacznym aromat mydła, jakby wziął prysznic przed przyjściem tutaj. Jego ubrania pachną jak świeżo uprane. To ktoś metodyczny, nie obłąkany i brudny. Ten fakt sprawia, że po plecach przechodzi mi dreszcz.

Jego ciepły oddech znaczy ścieżkę wzdłuż mojej szyi.

– Czekałem na ciebie – szepcze. – Jesteś taka piękna.

Nie odpowiadam.

– Cholera – syczy. – Nie ruszaj się.

Ciężar jego ciepłego ciała znika, zostaję sama w zimnie. Wydaje mi się, że wyszedł z pokoju, ale nie jestem pewna. Ma niepokojącą zdolność bezszelestnego poruszania się. Zastanawiam się, czy powinnam zaryzykować. Mogłabym uciec do sąsiadów, a oni zadzwoniliby na policję.

Jestem sparaliżowana niezdecydowaniem. Niepewna, co pozwoli mi przetrwać, a co doprowadzi do większych kłopotów. W końcu postanawiam spróbować. Nawet z zasłoniętymi oczami dam radę wydostać się z domu, jeśli napastnik będzie zajęty czymś innym. Muszę zaryzykować.

Przetaczam się na bok i wstaję. Ruszam wzdłuż łóżka, żeby zorientować się, z której strony są drzwi. Potem zaczynam biec. Udaje mi się zrobić zaledwie parę kroków, zanim uderzam w twarde ciało. Czuję jego zapach. Drżę ze strachu. Czy robi mi krzywdę? Robi krzywdę Johnny'emu za moje nieposłuszeństwo? Ogarnia mnie tak wielkie przerażenie, że o mało nie padam na podłogę.

Nic nie mówi. Zamiast tego znów obchodzi się ze mną jak z lalką i wchodzi na łóżko.

– Dałem Carterowi wybór. Powiedziałem, że albo dostanie dziesięć razy w twarz, albo cię zerżnę. Jak myślisz, co wybrał?

– Nie zrobiłby tego – odpowiadam pewna, że Carter nigdy nie pozwoliłby, żeby inny

mężczyzna mnie miał.

– Zrobił – szepcze mi do ucha. – Ale ty też masz wybór. Możesz się sprzeciwić. Pójdę do tamtego pokoju i z całej siły przyjebię mu dziesięć razy w ryj albo cię zerznę. Jego twarz zostanie zmasakrowana, Vesper. Masz trochę wiedzy medycznej, chcesz być pielęgniarką, więc na pewno zdajesz sobie sprawę, że już nigdy nie będzie taki sam. O ile przeżyje, rzecz jasna.

„Skąd tyle o mnie wie?!”

– Podejmij decyzję – warczy, nie dając mi za wiele czasu na przeanalizowanie tej myśli.

Wyobrażam sobie Cartera, klęczącego, bezbronnego, z zawiązanymi oczami. Niezdolnego do zobaczenia nadciągających ciosów i przygotowania się na nie. Widzę ślinę i krew rozbryzgane na łóżku i ścianach. Jego złamany nos, zmiażdżone oczodoły. Mogę to zrobić. Mogę przyjąć ból za nas dwoje.

Nie chcę wierzyć, że Carter pozwolił temu człowiekowi na to, żeby mnie zgwałcił. I w głębi ducha nie wierzę. Ale jeśli tak zrobił, nie obwiniam go. Moje bliźni przynajmniej pozostaną w środku.

– Nie rób mu krzywdy – błagam. – Możesz...

– Mogę co?

– Zrobić to.

– Powiedz to. Powiedz dokładnie tak, jak ja powiedziałem.

– Ze... zerznąć mnie.

Czuję na piersi gorąco jego ciężkiego oddechu.

– Postępujesz słusznie, Vesper.

On mnie zna. Czy to ktoś, komu ufam? Ktoś z restauracji albo szkoły?

Przesuwa po moich ustach obleczonymi w skórzaną rękawiczkę palcami.

– Dojdę w tobie. Jestem przez ciebie taki twardy, Vesper.

Pożądanie utrudnia mu ukrywanie prawdziwego głosu, który jest jeszcze bardziej ochrypły niż ten fałszywy.

Sunie ustami po mojej szyi. To łaskocze i jest przyjemne. Mój umysł miota się w dezorientacji. Nie chcę tego, ale zakończenia nerwowe nie wiedzą, jak tłumaczyć jego dotyk. Słyszę, jak coś szeleści, i gdy po chwili jego ręce znów są na mnie, zimnej skóry już nie ma i czuję ciepłe opuszki. – Masz takie piękne ciało. – Podciąga koszulę nocną. Jestem obnażona, bezsilna i całkowicie podporządkowana. – Chciałem posmakować twojej pizdy od dnia, w którym zobaczyłem cię po raz pierwszy.

To słowo szokuje mnie tak, jakbym została rażona prądem. Słyszałam je może raz w życiu. Miękką wilgoć zamyka się na moim sutku. Czuję jego usta. Szlocham, zaciskając oczy i wargi, próbując powstrzymać krzyk. Jakimś cudem Johnny przespał wszystko, co wydarzyło się do tej pory, i nie mogę tego zmarnować.

– Jesteś taka kurewsko miękka – chrypi, obnażając drugą pierś, a następnie ją całując.

Wprawia moje ciało w konsternację. Czuję, jak krew pulsuje mi między nogami. Chcę powiedzieć jej, żeby przestała, ale nie mogę. Jestem w równym stopniu więźniem własnego ciała co tego człowieka.

Wsuwa mi palce między uda, a potem między wargi sromowe. Pieści mnie, jakby moje ciało było zabawką, która ma dać mu przyjemność.

– I kurewsko mokra – dodaje.

Kręcę głową, łzy płyną mi po policzkach.

– Kiedy z tobą skończę, Vesp, będę patrzył, jak moja sperma wypływa spomiędzy tych warg. – Niemal szyderczo wymawia moje imię, jak gdyby wiedział, że tylko najbliżsi tak mnie nazywają. Jak gdyby była między nami jakaś zażyłość. – Chciałem, żebyś najpierw mi

obciągnęła, ale twoja cipka jest taka gotowa. Czujesz, jaki jestem twardy?

Nie odpowiadam.

– Zadałem pytanie!

Ku mojemu zaskoczeniu nóż ponownie pojawia się przy szyi. Strach przeszywa mnie jak błyskawica.

– Ta-tak.

– Dokonałaś wyboru, Vesper. Nie musiałaś tego robić, ale chciałaś. Chodzisz w tych swoich króciutkich szortach, paradujesz przed domem w bikini, kusisz twardymi sutkami. Chciałaś, żebym tu przyszedł.

Na moment odzyskuję jasność umysłu. Ten człowiek, ten, który przejeżdżał samochodem... Z tego, co pamiętam, tylko wtedy miałam na sobie górę od bikini.

– Byłeś tu – szepczę.

– Wiele razy – odpowiada drwiąco.

Zanim mogę powiedzieć coś jeszcze, odbiera mi oddech, wsuwając we mnie palce. Czuję się jak ogłuszona. Zdażył już mnie naruszyć, a teraz jest w środku, nawet jeśli to tylko jego palce. Penetruje mnie.

– Proszę – łkam.

– Powiedz, że to uwielbiasz.

Kręcę głową. Nie przestaje poruszać palcami, naciska na łechtaczkę. Znów czuję rosnące napięcie. Staram się skupić myśli na czymś innym, przerwać to. Dokładnie odwrotnie niż podczas seksu z Carterem.

– Nie denerwuj mnie – warczy. Nóż nacina mi skórę. – Mów.

– Uwielbiam to – odpowiadam przez łzy.

Nie wiem, czy to on porusza powoli moimi biodrami, czy ciało mnie zdradziło i poddaje się wbrew mojej woli. Ale zanim zdążę poczuć się wystarczająco upokorzona, przerywa, dając mi czas na złapanie oddechu. Jego palce znów dotykają moich ust. Czuję swój zapach.

– Obliz je.

Potulnie wystawiam język, by poczuć na nim słony posmak.

– Chcę, żebyś to widziała – mówi, gwałtownie zrywając mi szalik z twarzy.

Nasze spojrzenia się spotykają. Moje oczy już przystosowały się do ciemności i zachłystuję się powietrzem, kiedy widzę jego. Turkus tak czysty, że chłonie każdą odrobinę światła w pokoju. Przez ostatnie tygodnie wcale nie wyobrażałam sobie nieistniejącego człowieka. On jest prawdziwy. Przerażająco prawdziwy. Wciąż ma kominiarkę na głowie. Patrzę, jak zlizuje sobie z palców moje soki.

– Smakujesz nawet lepiej, niż sobie wyobrażałem. Mamy dużo do zrobienia tej nocy, wyliżę tę cipkę jeszcze wiele razy. Ale najpierw wsadzę w ciebie kutasa.

– Proszę, dam ci wszystko, co mam – targuję się, próbując odwlec to, co na co się zgodziłam.

– I właśnie to biorę – zauważa złowieszczym tonem, sięgając w dół, by zdjąć spodnie.

Wbrew sobie podążam wzrokiem za jego ręką, by zobaczyć napęczniały członek. Jest bliski eksplozji, niesamowicie sztywny. I gruby. Grubszy niż Cartera, któremu niczego w tym miejscu nie brakuje.

– Jesteś moja, Vesper. Zamierzam oznaczyć cię jak pieprzone zwierzę.

To nieuniknione. Podjęłam decyzję. Poświęcę się dla Cartera i Johnny'ego. Opiekuję się innymi, to właśnie robię. Z tym mogę żyć, ale nie zniosłabym, gdyby ich skrzywdził.

Przyciska główkę penisa do śliskich warg. Głośno wciągam powietrze, kiedy przesuwam ją w górę i w dół, smarując się moją wilgocią. Ale zaraz przestaje być delikatny i wpycha się

głęboko przez ciasne, napięte wejście. Łapię haust powietrza, a w głowie mam gonitwę myśli. Kilka godzin temu zgodziłam się spędzić resztę życia z najsłodszy mężczyzną, jakiego znam. Teraz jestem uwięziona w pokoju z kimś, kto mnie obserwował. Z człowiekiem, o którym fantazjowałam w swojej naiwności. Znalazł się tutaj, jakbym podświadomie go zwabiła. Jest we mnie. Nic już nie będzie takie samo.

Wsuwa się i wysuwa, wsuwa i wysuwa. Pieprzy mnie gwałtownie. Rozciąga. Jęczę przez łyzy, kiedy wolną ręką wodzi po moim ciele, ściska, pociera. Chwyta zębami za sutek. W drugiej ręce nadal trzyma nóż. Zaciska na nim palce tak mocno, jakby z całych sił powstrzymywał się przed jego użyciem. Przyciska usta do moich. Wełna drapie mnie w policzek. Rozchylam wargi, pozwalając mu zająć kolejny otwór. Jestem tak przez niego zdominowana, że zgadzam się na to bez walki. Zresztą co zmienia pocałunek, kiedy mam w sobie jego pulsujące kutasa?

Otacza mnie ramieniem i podciąga w górę, tak że siadam na nim okrakiem, kiedy on klęczy na łóżku. Kołysze mną w górę i w dół. Jestem jego zabawką, bezsilną kukiełką z rękami wciąż związanymi za plecami.

Zdezorientowane ciało toczy walkę z umysłem, podczas gdy fiut w moim wnętrzu upiera się zabrać mnie tam, dokąd nie chcę. Zaciskam się na nim. Jęczę coraz głośniej w mieszance przyjemności, strachu i porażki.

– Wypełnię cię, Vesp.

– Nie – szlocham.

– Tak – dyszy mi do ucha. – Czuję, jak zaciskasz się na moim fiucie. – Wpija mi palce w pośladki. – Myślę, że jesteś już blisko – stwierdza drwiąco.

– Pierdol się – syczę.

– Wolę pierdolić ciebie.

Przyciska mnie do siebie mocno. Jestem tak wypełniona, tak przytłoczona jego osobą, że nie mogę już dłużej walczyć.

– Nie... Nie... – Niemal płaczę, czując zbliżający się orgazm.

I wtedy widzę to kątem oka – cień. Moje oczy robią się wielkie jak spodki, co zwraca uwagę napastnika.

W progu stoi Johnny.

Rozdział 4

VESPER

Intruz sztywnieje, pozostając we mnie.

Na kilka sekund zapada napięta cisza. Nie wiem, co zrobić ani powiedzieć. Widzę, że mężczyzna zastanawia się, co dalej. Ogarnia mnie przerażenie na myśl, że dotrzyma słowa i poderżnie Johnny'emu gardło.

Usiłuję powstrzymać łzy. Może uda mi się przekonać go, że wszystko jest w porządku, i odesłać z powrotem do łóżka.

– Proszę, pozwól mi zabrać go do pokoju – szepczę, przysuwając się do mężczyzny. – Nie będzie przeszkadzał.

Sprawia wrażenie, jakby rozważał moją propozycję. A przynajmniej tak mi się wydaje. Ale trwa to tylko krótką chwilę, po której z ust Johnny'ego wydobywa się głos.

– MMMMM... MMMM... MMMMM...

Za każdym razem ten nonsensowny dźwięk staje się głośniejszy. Jeszcze nigdy nie słyszałam, by Johnny wydawał go z takim natężeniem. To jego odpowiednik krzyku. Czasami robi tak, kiedy jest zły, ale nigdy tak głośno i długo. Ludzie patrzą wtedy na niego i myślą, że jest głupi. Myślą, że nie czuje tak jak my. Uważają go za bezwartościowego, za opóźnionego. Ale Johnny ma pragnienia, tak jak każdy z nas. Nie może werbalizować swoich uczuć, lecz je rozumie. Wie, co jest właściwe, a co nie. I wie, że to, co się teraz dzieje, nie jest.

– Johnny... Ciiii! – Desperacko próbuję go uciszyć, lecz on robi się jeszcze głośniejszy.

Napastnik odrywa się ode mnie i rusza w jego kierunku z nożem w dłoni.

– Nie, proszę! – krzyczę. Jeśli moje milczenie nie może uratować Johnny'ego, to wszystko mi jedno. Będę krzyczeć. Będę walczyć.

Mężczyzna łapie Johnny'ego za koszulkę.

– Proszę, mogę go uspokoić! – krzyczę.

Łup!

Łomot dochodzi z mojego pokoju. Carter musiał jakoś dostać się do drzwi. To brzmi tak, jakby w nie uderzył, próbując się wydostać. Hałas zaczyna rytmicznie się powtarzać i potęguje chaos.

To dziwne. Choć byłam tak przerażona, tak zdominowana, czułam, że dam sobie radę. Wiedziałam, że mogę pokonać intruza seksem, ale w ciągu kilku sekund cały mój plan legł w gruzach.

– Zabiję go – grozi zamaskowany mężczyzna, chrypiąc gardłowo. Trzyma Johnny'ego, ale patrzy na korytarz i uświadamiam sobie, że ma na myśli Cartera.

Ciągnie ze sobą Johnny'ego, który wciąż pojękuje.

– Nie! – krzyczę i rzucam się za nim, z rękami związanymi za plecami i mokrą od soków wewnętrzną stroną ud.

Zatrzymuję się, kiedy widzę go przed drzwiami mojego pokoju. Jedną ręką mocno przyciska do siebie Johnny'ego, a drugą z nożem trzyma przy boku. Carter musi nadal być związany, inaczej próbowałby wydostać się przez okno. Długo jeszcze potrwa, zanim drzwi ustąpią, a kiedy to się stanie, Cartera spotka śmierć. Nie będzie miał żadnych szans z mężczyzną uzbrojonym w dwudziestopięciocentymetrowy nóż.

– Wytnę twojemu chłopakowi pierdolone serce – warczy mężczyzna.

Johnny zaczyna wyć. Za dużo paniki, za dużo hałasu. Gdzie są wszyscy? Jak to możliwe, że nikt nie słyszy koszmaru, jaki rozgrywa się w tych ścianach?

Napastnik przystawia nóż do gardła mojego brata.

– Zamknij się – syczy, ale Johnny ma napad hysterii, najgorszy, jaki kiedykolwiek u niego widziałam.

Jego wykrzywione usta wyginają się jeszcze bardziej, gdy desperacko próbuje odezwać się jak my, ale ciągle wydobywa się z nich tylko ten sam bezsensowny dźwięk. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Ten człowiek wszystko zaplanował, unieruchomił nas w ciągu kilku minut, ale teraz stracił kontrolę i nie zawaha się przed niczym, byleby ją odzyskać. Więc zrobię to, co muszę zrobić. Albo wszyscy zginieją, albo oni przeżyją, a ja dam temu człowiekowi to, czego pragnie. Nie chcę żyć, jeśli miałabym patrzeć, jak mój brat i narzeczony giną.

– Zabierz mnie – proszę. – Zabierz mnie stąd, gdziekolwiek. Gdzieś, gdzie jest cicho. Nie będę się opierać, ale proszę, nie rób im krzywdy – szlocham. – Zabierz mnie ze sobą. Przecież po to tu przyszedłeś. Błagam.

Opadam na kolana, kompletnie złamana, mając nadzieję, że dotrę do jakiejś resztki ludzkich odruchów w tym człowieku. Modłę się, by zrozumiał, że wolę zostać zgwałcona i zamordowana niż patrzeć, jak odbiera życie ośmioletniemu chłopcu.

– Kocham cię, Johnny – mówię drżącym głosem, próbując powstrzymać krzyk przerażenia, który chce wyrwać się na wolność.

Harmider odpływa gdzieś na drugi plan jak echo. Zagrałam ostatnią kartę, która mi została. I tak zapewne zginę. Zamykam oczy, pochylając głowę.

– Proszę – powtarzam tak cicho, że nie ma mowy, by ktokolwiek mógł mnie usłyszeć. Nie chcę podnieść wzroku. Nie chcę patrzeć, jak zabija moją rodzinę.

Chwyta mnie za ramię tak mocno, że wracam do rzeczywistości, a potem słyszę gniewne warknięcie:

– Wstawaj!

SAM

O seksie dowiedziałem się, obserwując zwierzęta. Po wypadku zdarzały się takie okresy, kiedy matka na całe dni zamykała się w swoim pokoju, a moimi jedynymi towarzyszami były one. Karmiłem je. Patrzyłem, jak ogier wchodzi na klacz i wchodzi w nią swoim wielkim kutasem. Rżała i walczyła, ale on ją zdobywał.

Właśnie tak to z reguły działa w naturze. Samiec dominuje samicę.

Wydaje mi się, że od zawsze miałem skłonność do obserwowania. Nie mogłem za wiele powiedzieć, nie mogłem współuczestniczyć, nie byłem mile widziany, więc w ten sposób poznawałem świat. Najwyraźniej tej nocy Johnny dowie się, co to seks. Kurwa. Właśnie dlatego planowanie jest takie ważne. Całą tą zaręczynową farsą Vesper sprawiła, że zadziałałem impulsywnie. W pokoju Johnny'ego nie ma zamka, a mnie skończyła się lina. To Carter stanowił zagrożenie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Tymczasem okazuje się, że jestem bliżej porażki niż kiedykolwiek do tej pory z powodu małego niepełnosprawnego chłopca.

Nie czerpię przyjemności ze straszenia dzieci. Poza tym ze swoimi schorzeniami nie dotarłby daleko, nawet gdyby udało mu się wymknąć. Jego małe, bezużyteczne palce nie poradziłyby sobie z zamkami. Ale popełniłem ogromny błąd. Nigdy nie słyszałem, by wydał jakikolwiek dźwięk. Sądziłem, że jest całkowicie niemy.

Rozważałem pozwolenie Vesper, żeby zabrała Johnny'ego z powrotem do jego pokoju,

dopóki nie zaczął wydawać z siebie tego okropnego skowytu. Brzmiał jak podekscytowany osioł. Ten mały skurwiol robił się tak głośny, że miałem do wyboru albo wiać, albo go uciszyć. Cały ten rozgardiasz osiągnął nowy poziom chaosu, kiedy pierdolony Książę Sacramento postanowił, że spróbuje uratować Vesper. Tak czy inaczej, było za późno, żeby został bohaterem dnia. Zdażyłem już w nią wejść, ale nie doszedłem. Kurwa. Ja pierdolę.

Za każdym razem, kiedy włamuję się do domu, dążę do perfekcji. Zawsze uczę się na swoich błędach, dostosowuję się do kolejnej akcji. Gdy coś sieprzę, czuję się zobowiązany, by natychmiast iść na kolejne łowy i odpracować porażkę. Jestem wtedy tak sfrustrowany, że staję się jeszcze bardziej brutalny, próbując zapewnić sobie posłuszeństwo. Nie lubię, kiedy coś nie idzie po mojej myśli. Jak na ironię dzisiaj osiągnąłem niemal absolutną perfekcję, choć nie planowałem wejść do jej domu tej nocy. Cała fantazja, w której zupełnie wnikam w życia innych, zaczynała stawać się rzeczywistością w każdym najdrobniejszym szczególe. Nie tylko dostaję się do domu, jem jedzenie tych ludzi, zabieram ich rzeczy, ich władzę. Staję się także absolutnym panem tego miejsca. Biorę kobietę i sprawiam, że dochodzi na moim fiucie, jakby jej facet w ogóle nie istniał.

Vesper wysmarowała moje palce i kutasa. Nie potrzebowałem nawet lubrykantu. Pomimo protestów czułem, jak gorąca cipka zaciska się wokół mnie, a ciało napręża. Wyraźnie słyszałem, że jęki są autentyczne, choć Vesper usiłowała je stłumić. Byliśmy blisko, tak kurewsko blisko, ale musiał przyjąć ten dzieciak i wszystko się zjechało.

Nie skrzywdziłbym bachora. I tak nie mógłby mnie zidentyfikować albo unieszkodliwić. Ale gdyby jej narzeczony się wydostał, zabiłbym skurwiela. Nie mogę ryzykować złapania. Jego życie nie jest warte mojej wolności.

Jest za to warte jej wolności, na szczęście dla mnie.

Ta myśl nigdy nawet nie zaświtała mi w głowie, dopóki nie poprosiła, nie zaczęła błagać. Normalnie tego nie robię. Destrukcja pozostaje tam, gdzie ją sprowadzę. Nie wraca ze mną nic, co nie musi wrócić. Dzięki temu mogłem robić to tak długo i zawsze przechytrzać gliny. Cholera, w tej części Kalifornii jest tylu włamywaczy, że dopiero zaczynają się domyślać, za którymi akcjami stoję ja. Teraz mam nawet medialny pseudonim.

Ale ta dziewczyna...

Chcę więcej. Nie mogę odejść, nie skończywszy tego, co zaczęliśmy. A potem może, tylko może, nie będę musiał martwić się o to, co dalej. Tego jednak nie było w żadnym planie. Nie przygotowywałem się na coś takiego. Nigdy nie podejmuję ryzyka. Wręcz przeciwnie, uciekam przed nim. Przerywam, kiedy sytuacja obraca się na moją niekorzyść. Zawsze jest kolejny dom, kolejna rodzina, kolejny dzień. Lecz nie będzie następnej Vesper. Znow działam instynktownie.

– Wstawaj! – rozkazuję, podciągając ją na nogi.

Chwieje się, jest w kompletnej rozsypce. Chłopak sprawił, że zupełnie się rozkleiła. Może naprawdę kocha małego gnojka miłością tego rodzaju, jaki uznawałem za nieistniejący? A może po prostu myśli, że umrze.

Ciągnę ich oboje do głównej sypialni i zamykam drzwi.

– On zostaje tutaj – mówię.

Trzymając Vesper jedną ręką, otwieram okno, a potem siadam na parapecie i przerzucam nogi na drugą stronę. Następnie jednym mocnym szarpnięciem ciągnę dziewczynę, przyciskam do siebie i oboje łądujemy w krzakach hortensji. Zamykam okno, żeby dzieciak nie spróbował wyjść, po czym kucam i zmuszam Vesper, żeby zrobiła to samo.

– Jeśli zaczniesz krzyczeć, dźgnę cię prosto w serce i zostawię, żebyś się wykrwawiła. Nie znajdą mnie, ale ja znajdę twoją rodzinę i zabiję wszystkich. Jasne?

Kiwa głową. Wstaję i rozglądam się uważnie. Walenie Cartera w drzwi sypialni ledwie dociera na podwórze. Nikt niczego nie słyszał. Podnoszę Vesper i zakrywam jej usta, jednocześnie przystawiając nóż do boku. Musi rozumieć, że mówiłem poważnie.

Normalnie mógłbym z łatwością przeskakiwać płoty albo ukraść rower, żeby dostać się do kanału, który znajduje się zaledwie trzy ulice stąd, ale dziewczyna to cholerne obciążenie. Właśnie dlatego lepiej iść tam, gdzie znajduje się cel, zamiast próbować przetransportować go z jednego miejsca w drugie.

Powoli i ostrożnie prowadzę ją do wysokiego, drewnianego płotu, który oddziela jej podwórko od posesji sąsiadów. Po cichu unoszę skrzypiącą zasuwę furtki i przechodzimy na drugą stronę, gdzie chowamy się za krzakami. To wtedy Vesper decyduje się cofnąć dane słowo. Dobrze zna swoich sąsiadów i ufa, że ruszą jej na ratunek. Pewnie myślała, że może odciągnąć mnie od reszty, a potem wezwać pomoc, gdy znajdzie się bliżej innego domu. Wszyscy kłamią. Chcą cię skrzywdzić.

Gdyby to był ktoś inny, po prostu puściłbym go, a sam rzucił się do ucieczki. Pojechałbym do domu, podczas gdy policja próbowałaby ustalić, co się właściwie stało. Nikt nie jest wart ryzyka złapania. Nie widziała mojej twarzy i nie zobaczy mnie nigdy więcej. Problem w tym, że chcę ją zatrzymać. Sprawiała, że zacząłem myśleć o tym, jak dobrze byłoby ją posiadać, by wreszcie mieć coś dłużej niż tylko przez noc.

Przewracam Vesper na ziemię i zasłaniam jej usta, żeby stłumić krzyki. Mógłbym pozbawić ją przytomności, lecz nie chcę uszkodzić tej ślicznej buźki, więc do akcji wkracza nóż. Wierci się, kiedy celuję w nią ostrzem, ale zaraz nieruchomieje, bo dociera do niej, że rozcinam jej koszulę nocną. Trudno robić to jedną ręką, podczas gdy drugą tłumi się czyjeś wrzaski. Zaczynam się pocić, czuję się niekomfortowo, co sprawia, że wyczerpuje mi się cierpliwość. Kilka razy kaleczę gładką skórę, w końcu jednak mam dość materiału, by wepchnąć go Vesper w usta i obwiązać wokół głowy. Teraz jest całkiem naga, ale to nie ma znaczenia, bo zadbam o to, by nikt nas nie zobaczył. Resztą materiału zasłaniam jej oczy i przierzucam ją sobie przez ramię. W ten sposób łatwiej będzie się poruszać. Biegnę od jednej posesji do drugiej, chowając się za krzakami. Nie ma jeszcze czwartej i ludzie są pogrążeni w głębokim śnie. Vesper próbuje krzyczeć, lecz knebel tłumi większość dźwięków. Poza tym poruszam się tak szybko, że jej brzuch uderza o moje ramię, pozbawiając ją tchu. Nawet jeśli ktoś wstanie, żeby odnaleźć źródło hałasu, my będziemy już na kolejnym podwórzu.

Kiedy docieramy do kanału, wydaję westchnienie ulgi i stawiam ją na nogi. Kręci głową na wszystkie strony, jakby próbowała dojrzeć przez materiał opaski, gdzie jesteśmy. Już wygląda jak zwierzę. Gdy patrzę na jej obnażone ciało i chłonę tę bezbronność, mam ochotę popchnąć ją w krzaki i pieprzyć z całej siły, ale nie mogę ryzykować, że ktoś mnie przyłapie. Nie po tym całym wysiłku.

Dyszę, zdejmując bluzę i ocierając pot. Bieganie z dziewczyną przerzuconą przez ramię to niezłe wyzwanie.

– Chodź – mówię, łapiąc ją za łokieć.

Jęczy, kiedy gałązka pęka z trzaskiem pod jej stopą. Wiem, że to boli, ale w tej chwili niewiele mogę dla niej zrobić. Potyka się kilka razy o przeszkody, których nie jest w stanie zobaczyć. Maszerujemy przez jakieś dziesięć minut, aż w końcu docieramy na miejsce. Widzę w oddali swój samochód. Jeszcze tylko kilka sekund i będziemy stąd odjeżdżać.

Vesper stanowi najbardziej ryzykowną część całej akcji. Muszę iść z naga, związaną dziewczyną przez zamieszkałą okolicę. Wychodzę, rozglądając się na prawo i lewo, starając się sięgnąć wzrokiem jak najdalej, by mieć pewność, że nikt nas nie zaskoczy. Nie mam czasu na opór, więc podnoszę ją i biegnę. Otwieram bagażnik i wrzucam ją do środka.

Z głośnym westchnieniem osuwam się na siedzenie kierowcy i śmieję się cicho, ocierając pot z czoła. Nie wiem, w co się właśnie wpakowałem, ale dreszczyk emocji, o jaki przyprawia mnie myśl, że przechytryłem tych wszystkich ludzi i gliniarzy, daje mi przytłaczającą satysfakcję. Świadomość przeniesienia nagiej dziewczyny przez dwie nieskazitelne dzielnice Sacramento, tuż pod nosem całej masy pogrążonych we śnie mieszkańców, sprawia, że czuję się jak pierdolony bóg.

Mam ją. Tę idealną dziewczynę, która jest trochę jak wszyscy inni, ale jednocześnie może być też trochę odmienna.

Autostrada jest przecnicę stąd, a kiedy już na nią wjadę, nikt nie usłyszy walenia w bagażnik.

Rozdział 5

VESPER

Tam, gdzie nie ma światła, nie ma i czasu. A przynajmniej nie takiego, jaki znałam do tej pory. Możliwe, że minęło kilka dni albo tydzień, odkąd zostawił mnie w tym miejscu, gdziekolwiek to jest. Nie mam pojęcia, gdzie się znajduję, bo mam zasłonięte oczy od chwili, kiedy ten skurwysyn powalił mnie na ziemię na podwórzu Johnsonów. Myślałam, że ktoś coś usłyszy, że pośpieszy mi na ratunek. Czułam się bezpieczna w swoim domu, za solidnymi ścianami i zamkniętymi oknami, śpiąc obok mężczyzny, który dopiero co przyrzekł opiekować się mną do końca życia.

Dom jest uludą świętego miejsca oddzielającego cię od bestii, które czają się na zewnątrz. Iluzją ochrony. Wydaje się bezpieczny jedynie dlatego, że jeszcze nikt nie próbował się do niego dostać, ale jeśli będziesz mieć pecha, nic nie powstrzyma potwora przed sforsowaniem jego drzwi. Z początku czas mijał mi na martwieniu się o Cartera i Johnny'ego. Jak długo trwało, zanim udało im się wydostać? Czy w ogóle się wydostali? Podejrzywałam, że wykładowcy Cartera zaczną się zastanawiać, dlaczego nie pojawia się na zajęciach. Czy rodzice wracają już z Egiptu? Czy dziennikarze mówią o mnie w wiadomościach?

Nie wiem. Jestem w czarnej dziurze. Z upływem czasu pragnienie i głód zdominowały całkowicie moje myśli. Usta mam tak suche, że czuję, jakbym przesuwiała językiem po papierze ściernym. Żołądek skręca mi się z głodu. Leżę na boku, zbyt słaba, żeby się podnieść. Fantazjuję o coli i hamburgerze w The Firehouse, mojej tradycji w piątkowy wieczór.

Zostawił mnie tu i nie wrócił. A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Jestem w stałym dyskomforcie, naga w zbyt chłodnym miejscu. Za jedyne źródło ciepła służą mi własne dłonie pocierające ciało pokryte gęsią skórą.

W miarę, jak słabnę, robi mi się coraz zimniej. A mimo to nadal żyję, co daje mi nadzieję. Gdyby chciał się mnie pozbyć, mógłby posłużyć się nożem, który zabrał z domu. Czego w takim razie chce? Więcej mnie nie tknął. Nie wykorzystał w żadnym ewidentnym celu. Może po prostu zostawił tutaj, żeby umarła powolną, samotną śmiercią w męczarniach?

Nagle słyszę kroki. Rozlegają się nad moją głową, podążają tam i z powrotem, jakby ktoś zamierzał coś zrobić i się wahał lub czegoś szukał. Nie wiem, czy powinnam wzywać pomocy. Co, jeśli zostałam porzucona na odludziu i to jedyna szansa, żeby ktoś mnie znalazł? Co, jeśli zacznę krzyczeć i ściągnę na siebie jego gniew? Nie mam innego wyboru, jak spróbować.

– Po... po... mocy.

Nie używałam głosu od dłuższego czasu, a w ustach mam tak sucho, że niemal dławię się tymi dźwiękami.

– Pomocy – udaje mi się wykrztusić.

Dudnienie nie ustaje, podczas gdy ja zużywam resztki energii na wydobywanie z siebie głosu. Nie sądzę, by ten ktoś mnie usłyszał. Niespodziewanie dźwięki kierują się w inny rejon i słyszę szcęk klucza przekręcanego w zamku. Serce zaczyna łomotać mi w piersi. Daje zastrzyk takiej energii, jakiej nie czułam od chwili porwania.

Kilka metrów ode mnie coś uderza w posadzkę. Szamoczę się dziko, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Groza przeszywa mnie do szpiku kości, ale woła przeżycia jest tak silna, że

wygrywa z paraliżującym przerażeniem. To nie odwaga. O odwadze można mówić wtedy, kiedy istnieje wybór.

– Wo... dy – chrypię.

Zapada cisza, która przyprawia o gęsią skórkę. A potem nagle opaska znika. Nie widziałam od tak dawna, że moje oczy zapomniały już, jak łapie się ostrość. Mrugam kilka razy, szukając czegoś, na czym mogłabym się skupić i skalibrować wzrok. Instynktownie koncentruję się na butelce wody jakieś pięć metrów ode mnie. Górujący nade mną dobrze zbudowany mężczyzna w kominiarce szybko jednak przyciąga moją uwagę. Kręcę głową i kurczę się ze strachu. Nie czuję się jak człowiek, bardziej jak zaszczute zwierzę. Zupełnie jakby przyszedł poderżnąć mi gardło.

Podciąga mnie na kolana. Rozglądam się i zdaję sobie sprawę, że jestem w piwnicy. Przez kilka małych, brudnych okienek tuż pod sufitem wpada do środka odrobina naturalnego światła. Promienie są jasne i nieco żółtawe. Na zewnątrz musi być piękny dzień.

Czekam, aż coś powie, ale się nie odzywa. Łapie mnie za brodę i unosi ją, zmuszając, bym spojrzała mu w oczy. Ich blask przypomina mi kawałki szkła, które zbierałam na plaży jako dziecko. Wciąż milczy.

Wskazuje na wodę. Nie rozumiem tej gry, ale jestem taka spragniona. Desperacko kiwam głową, a on odwraca się i kieruje z powrotem na górę, zabierając butelkę ze sobą.

– Nie... nie – błagam ochryple.

Zostawia drzwi otwarte, a ja jestem tak wewnętrznie rozbita, że poszłabym za nim, nie dbając o własne bezpieczeństwo, gdybym nie była przykuta do ściany za kostkę. Zanim uda mi się zrozumieć jego intencje, mężczyzna wraca z wiadrem w jednej ręce i białą, papierową torbą w drugiej.

Zapach jedzenia uderza we mnie niespodziewanie. Pomimo odwodnienia zaczynam się ślinić. Zrobiłabym wszystko za pieprzony posiłek i wodę. Jestem opętana myślą o zaspokojeniu tych potrzeb.

Odstawia wiadro i podsuwa mi torbę pod nos, chcąc, żebym do niej zajrzała. Robię to. Burgery i frytki, zupełnie jakby wiedział o moich fantazjach. O Boże. Kurwa. Zaczynam płakać. Nie wierzę, że płaczę z powodu hamburgera.

Odsuwa torbę i zostawia ją obok butelki. Wraca z wiadrem. W środku jest spieniona woda i gąbka.

Wskazuje najpierw na nią, a potem na jedzenie.

Spuszczam wzrok na swoje ciało pokryte zadrapaniami i błotem. Załatwiałam się w innej części pomieszczenia i uodporniałam już na smród nieczystości. – Jeśli się umyję, nakarmisz mnie? – pytam z nadzieją, która w tej sytuacji wydaje się wręcz nie na miejscu.

Potakuje.

– Okej. Rozwiąż mi ręce. Zrobię to, obiecuję.

Kręci głową, stawia wiadro na podłodze i zanurza w nim rękę aż do łokcia. Nie jest tak zakryty jak ostatnim razem, ma na sobie koszulkę odsłaniającą ramiona oraz porwane, pokryte plamami z trawy i farby dżinsy, jakby pracował na jakiejś budowie. Mój wzrok podąża w górę jego ręki i wtedy zauważam serię paskudnych blizn na zewnętrznej stronie bicepsa, jakby ktoś zerwał mu skórę.

Wyciąga dużą gąbkę. Woda z pianą spływa po jego muskularnym przedramieniu z powrotem do wiadra. Nie chodzi mu o to, żebym umyła się sama. Może ci się wydawać, że wiesz, co to głód, ale tak naprawdę nie masz o nim pojęcia. Nie znasz takiego głodu, który sprawia, że wszystko boli. Że czujesz się, jakby siły życiowe wyciekały z twojego ciała z każdą godziną. Jakby racjonalna część ciebie, która czyni cię człowiekiem i odróżnia od zwierzęcia,

została zagłuszona instynktem przetrwania. Taki głód zmienia cię w pierwotne stworzenie, dla którego nie liczy się nic poza zdobyciem pożywienia, by móc dalej oddychać.

– Okej. Nie będę się opierać. Możesz mnie umyć. Ale proszę, mogę wziąć chociaż łyk, żeby zwilżyć usta?

Wargi skleją mi się z każdym słowem, wydając paskudny, mlaszczący odgłos.

Wyciska gąbkę nad moją głową, zalewa mnie wodą. Jest ciepła. Tak dawno nie czułam ciepła. Rozchyłam usta, usiłując skraść każdą odrobinę wilgoci. Nie przejmuję się gorzkim smakiem mydła, chcę tylko pić.

Koncentruję się na obiecującym aromacie jedzenia, mieszającym się z zapachem mydlin. Nieznajomy stawia mnie na nogi. Nie siłą. W zasadzie robi to delikatnie i w sposób, który w każdych innych okolicznościach uznałabym za uroczy. Rozwiązuje sznur krępujący moje nadgarstki. Ulitował się chociaż na tyle, by poluzować go trochę, kiedy mnie tu umieścił. Tamtej nocy był tak ciasno owinięty, że dłonie mi zdrętwiały i zrobiły się fioletowe.

Pewnie bym je straciła, gdyby nie okazał odrobiny łaski. Co nie zmienia faktu, że skórę mam otartą do krwi. Nie dotyka ran, ale kapie na nie wodą z gąbki.

Rozprowadza dłońmi pianę po moim ciele. Szorstkość jego skóry kontrastuje ze śliskim mydłem. Zaczynam drżeć. Bóg jeden wie, jak długo nie widziałam drugiego człowieka. Samotność potrafi zżerać od środka, czyni cię nadwrażliwym na obecność innej osoby. Jego dotyk, choć narusza moją prywatność, jest ludzki. I podobnie jak tej nocy, kiedy mnie wziął, mój umysł i ciało nie potrafią pogodzić obu stron równania.

Poświęca wyjątkowo dużo czasu moim piersiom, masując je i pocierając sztywne sutki. Odwracam głowę, kiedy to robi. Nie żeby kominiarka pozwalała mi zobaczyć jego twarz. Widzę tylko oczy oraz pełne wargi, które były miękkie i jednocześnie pełne zdecydowania, gdy mnie całował. Przesuwa dłonią po moim brzuchu i pociera na dole. Myje i jednocześnie bawi się mną. Pokazuje, że ma pełną kontrolę. Że może dotykać mnie, jak tylko zechce.

Skupiam się na bogatym aromacie ciepłego jedzenia zamiast na cielesnych doznaniach, które budzą jego dłonie. Staje za mną. Próbuję spojrzeć przez ramię, ale odwraca moją twarz z powrotem, a potem zgina w górę i rozsuwa moje pośladki. Pociera je energicznie gąbką, usuwając brud, którego sama nie mogłam się pozbyć.

Znowu przechodzi do przodu i wyjmuję brzytwę z wiadra. Na ten widok dygoczę ze zgrozy. Przykłada palec do ust i wskazuje na jedzenie, przypominając, co przyniesie moja uległość. Kilka łez spływa po policzkach, gdy próbuję się uspokoić, ale wciąż trzęsę się niekontrolowanie, przerażona, że potnie mi skórę, tak jak zrobił to nożem. Lecz nic takiego się nie dzieje. Nieznajomy goli powoli i dokładnie moje nogi, pachy, miejsca intymne. Wyciera mnie, przeczesuje palcami mokre włosy i odciska z nich nadmiar wody.

Teraz jestem czystym zwierzęciem zamkniętym w klatce.

Nie mam czasu zastanawiać się nad swoją godnością, potrafię myśleć wyłącznie o jedzeniu. Podchodzi do torby i rzuca mi ją. Chwytam butelkę wody i przysysam się do niej łapczywie, a potem łapię garść frytek, które wpycham sobie do ust.

Mocno zaciska dłoń na moim ramieniu, drugą unosi. „Zwolnij”, mówi bez słów. Jestem odrobinę zawstydzona. Najwidoczniej rzuciłam się na jedzenie tak zachłannie, że nawet porywacz się zaniepokoił. Posyłam mu buntownicze spojrzenie i ponownie wpycham sobie frytki w usta, nie przerywając kontaktu wzrokowego. Korzystam jednak z rady i przy kolejnej porcji jem trochę wolniej. Skupiona na przeżuwananiu, nie zaprzęgam sobie głowy tym, co robi. Dopiero gdy włącza telewizor umieszczony na stoliku pod ścianą, zwraca moją uwagę. Przełącza na ABC i ustawia antenę. Obraz jest ziarnisty, od dołu do góry bez przerwy przesuwają się pasek zakłóceń.

Zastanawiam się, czy to jakaś forma rozrywki, której próbuje mi dostarczyć, kiedy tak

siedzę – przykucnięta, wilgotna i naga – gryząc swojego burgera. Trochę to do niego nie pasuje, biorąc pod uwagę, jaki był brutalny podczas naszego ostatniego spotkania, ale gdy prezenter kończy mówić o pogodzie, staje się jasne, co chce pokazać.

– A teraz najnowsze doniesienia o zaginionej studentce pielęgniarstwa z Sacramento.

Żołądek skręca mi się od mdłości i o mało nie tracę cennego posiłku.

– Kim jesteś? – pytam zduszonym głosem.

Cisza.

– Co chcesz mi zrobić?

Nadal cisza.

– Dlaczego się nie odzywasz?! Przecież już słyszałam twój głos, do cholery!

Odwraca się i wychodzi. Nie zdjął łańcucha z mojej stopy, więc nie mam szans na ucieczkę. Choć wielokrotnie fantazjowałam o wielkiej uczcie, już czuję się tak, jakby mój skurczony żołądek miał eksplodować, więc odkładam niedojedzonego burgera do opakowania. Nie wiem, kiedy dostanę następny posiłek, więc marnowanie jedzenia byłoby głupotą.

– Witamy w wiadomościach o szóstej. Rozmawialiśmy dzisiaj z rodziną studentki pielęgniarstwa, porwanej w piątek z domu w Sacramento, podczas gdy jej narzeczony i młodszy brat byli związani i zamknięci w osobnych pomieszczeniach.

Przechodzą do nagrania z moją matką szlochającą przed rzędem mikrofonów. Peter i Carter stoją obok w milczeniu.

– To takie dobre dziecko. Miała... Ma zostać pielęgniarką. Chce czynić dobro, pomagać ludziom... Proszę... Błagam, po prostu ją wypuść. Możesz zostawić Vesper tutaj i zniknąć. Nic więcej nas nie obchodzi, chcemy tylko ją odzyskać.

Potem głos zabiera mężczyzna ubrany w beżowy uniform. Przedstawia się jako szeryf Andrew Hunter-Ridgefield. Oświadcza krótko, że on i jego ludzie robią wszystko, co w ich mocy, by mnie odnaleźć. Wygląda młodo jak na swoje stanowisko i zastanawiam się, czy faktycznie ma na tyle doświadczenia, że będzie w stanie mnie odszukać.

Rozglądam się w poszukiwaniu Johnny'ego, ale nigdzie go nie widzę. Pewnie uznali, że to byłoby dla niego za wiele.

Podchodzę na czworakach do telewizora, żeby spojrzeć z bliska na Cartera. Radość, którą zawsze widziałam w jego twarzy, nieważne, jak bardzo był zmęczony, zniknęła bez śladu. Łańcuch ciągnie za nogę, utrzymując mnie jakieś pół metra od ekranu, więc choć wyciągam rękę, nie mogę dotknąć pikseli układających się w moją rodzinę. Zaledwie kilka dni temu narzekałam na matkę, że zrobiła ze mnie niańkę dla brata. Narzekałam na chłopaka, że – chociaż niemal idealny – jest niewystarczający, żebym czuła się spełniona. Bardziej niż on pociągały mnie fantazje o potworze, które teraz stały się rzeczywistością. Może na to zasłużyłam?

Obraz konferencji prasowej z moją rodziną znika, zastąpiony relacją ze studia.

– Policja poszukuje tego mężczyzny.

Na ekranie pojawia się wręcz komiczny szkic człowieka w czarnej kominiarce, spod której widać jedynie usta i oczy. Jest czarno-biały, nic nie zdradza ich koloru. To mógłby być dosłownie każdy.

– Policja sądzi, że za porwaniem stoi Nocny Drapieжник, który nęka środkową Kalifornię od pięciu lat, pładując domy. Zdaniem służb za pasmo włamań i gwałtów odpowiedzialny jest ten sam napastnik. Prawdopodobnie ma około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i jest atletycznej budowy. Może jeździć czarnym sedanem. Szacuje się, że ma dwadzieścia kilka lat. Jeżeli ktoś posiada jakiegokolwiek informacje dotyczące sprawcy, prosimy o skontaktowanie się z Biurem Szeryfa Sacramento pod numerem...

Gdy pada ostatnie zdanie, mój oprawca schodzi na dół i wyciąga antenę z nadajnika.

Wszystko rozplywa się w szary śnieg.

– Nie, nie! – błagam rozpaczliwie.

Chcę oglądać inne kanały z wiadomościami, patrzeć na moją rodzinę, być nieustannie zapewniana, że o mnie nie zapomniano, ale jego to nie obchodzi.

– Dlaczego to zrobiłeś?! – krzyczę. – Jaki to ma sens, co? Czy w ogóle ich jeszcze zobaczę?

Nie odpowiada, ale wyciąga z kieszeni kolejną butelkę wody i stawia ją przede mną. Nie zaszczycając mnie już więcej uwagą, kończy sprzątanie brudów i zostawia wiadro oraz papier toaletowy. Potem idzie na górę, zamyka za sobą drzwi i pogrąża mnie w świecie samotności.

SAM

Po śmierci matki zostałem na farmie sam. Sprzedałem większość zwierząt, bo nie chciałem zajmować się tym wszystkim w pojedynkę. Zwłaszcza teraz, kiedy postanowiłem skupić się na swoim hobby, byłoby mi to nie na rękę. Dopóki moja najzagorzalsza obrończyni żyła, czułem się zobligowany, żeby nie posuwać się za daleko. Zawsze istniała możliwość, że się dowie. Doda dwa do dwóch i zorientuje się, że nie zawsze robiłem to, co mówiłem, że robię. Ale w końcu odeszła z tego świata, a ja odniosłem wrażenie, że coś we mnie pękło.

Impulsy, które tłumilem, wypłynęły na powierzchnię. Gotowała się we mnie złość za to, że zostałem sam. Zapragnąłem dostępu do świata, przed którym uciekaliśmy razem, przed którym mnie chroniła i z którego mnie odarła, lecz nie potrafiłem dopasować się do niego tak jak inni. Pragnąłem smakować, wahać i czuć rzeczy, które do tej pory tylko oglądałem. Zacząłem robić to, przed czym powstrzymywała mnie jej obecność. Z perspektywy czasu, największą ironią wydaje mi się to, że choć pozbyłem się prawie wszystkich zwierząt, ostatecznie sprowadziłem najbardziej wymagające z nich. Ludzką kobietę.

Skrupulatnie wszystko planuję, unikam ryzyka – taki już jestem. A mimo to nagle trzymam u siebie tę dziewczynę i nie mam pojęcia, co z nią dalej zrobić. Oczywiście wiem, czego chcę. Mam swoje pieprzone potrzeby, ale chcę zaspokajać je na własny sposób.

Kiedy błagała, żebym ją zabrał, pomyślałem sobie: „O kurwa, ona też czuje, że to coś innego”. Przez moment sądziłem, że może nie jest taka jak reszta świata, która mnie odrzuciła, i być może nasza więź to coś prawdziwego. Ale potem zaczęła krzyczeć i już wiedziałem, że jest jedną z tych pierdolonych kłamczuch, przed którymi ostrzegała matka. Mówiła, że kobiety będą chciały tylko mnie wykorzystać. Dla pieniędzy. Dla nazwiska. Więc teraz mam plan. Zajęło mi to kilka dni, ale zdałem sobie sprawę, że cały proces będzie bardzo podobny do ujeżdżania konia. Po pierwsze muszę zmienić ją w zwierzę. Zabrać wszystko, co daje jej władzę i siłę. Zredukować potrzeby do tych najbardziej podstawowych: jedzenie i woda, sen, seks. Po drugie muszę ją głaskać, sprawić, by zrozumiała, że posłuszeństwo oznacza dla niej dobre rzeczy. W ten sposób szkoli się zwierzę. Jako nagrody użyję jedzenia oraz innych pozytywnych wzmocnień. A te negatywne zawsze będę miał w zanadrzu.

Na razie siedzi w piwnicy na farmie, ale postanowiłem wybudować dla niej szopę w należącym do mnie lesie, gdzie nikt się nie zapuszcza. Nie mogę bez końca trzymać jej w domu, to zbyt ryzykowne. Ciężko nad tym pracuję po powrocie z roboty na budowie.

Boże, tak bardzo chciałbym ją zerznąć. Jej namydlona cipka sprawiła, że znowu niemal zniweczyłem własne plany, ale muszę tresować swoje zwierzę krok po kroku.

Na kuchennym stole mojego bungalowu na przedmieściach Sacramento stygnie owsianka, a tymczasem ja słucham policyjnego skanera ustawionego na biurku. Używałem go często do monitorowania patroli, żeby wiedzieć, kiedy najlepiej uderzać. Teraz chcę dowiedzieć

się czegoś o sprawie Vesper. Pojawia się coraz więcej raportów o podejrzanych osobach w całym hrabstwie Sacramento. Ludzie znajdują się na granicy wytrzymałości. Gliniarze patrolują okolicę domu dziewczyny i inne rejony, w których dokonałem włamań, mając nadzieję, że uderzę znowu. Prawdopodobnie myślą, że jest już martwa i że będę musiał się wychylić. To ma sens. Z reguły gdy kobieta znika w taki sposób, nie oznacza to dla niej niczego dobrego.

Kiedy odsuwam się od skanera, owsianka jest już zimna i grudkowata. Byłem tak zajęty, że nie jadłem porządnie przez ostatni tydzień. Mieszam łyżką w szarej masie. Owsianka zawsze będzie przypominała mi dzieciństwo.

– Dlaczego nie jesz? – pyta ojciec, a mnie coś ściska w gardle. – Po prostu powiedz. Nie będę cię zmuszał do jedzenia, jeśli to powiesz. Powiedz tylko: „Nie chcę”. No dalej, gadaj! – warczy, tracąc cierpliwość.

– Przestań – karci go mama i staje obok mnie.

– Jak ciągle będziesz go niańczyć, dzieciak nigdy się, kurwa, nie nauczy. Rozpuściłaś go jak dziadowski bicz, to dlatego nic nie mówi!

– Jest wrażliwym chłopcem. Zacznie mówić, gdy będzie na to gotowy.

– Gloria, on ma prawie pięć lat!

– Lekarz powiedział, że wszystko z nim w porządku. Stwierdził nawet, że posiada ponadprzeciętną inteligencję. A ty go tylko dręczysz i wszystko pogarszasz. Przez ciebie ma kompleksy! Niektóre dzieci potrzebują więcej czasu, żeby zacząć mówić. On jest wyjątkowy!

– Wyjątkowy? Więc tak to się teraz nazywa?!

Obserwuję, jak się kłóca. Mama wie, że rozumiem, lecz ojciec czasami chyba myśli, że jego słowa do mnie nie docierają. Patrzy z góry nienawistnym wzrokiem, a potem wyrывa mi łyżkę z ręki.

– Jedz to! Już!

Próbuje wepchnąć mi owsiankę do ust, ale zaciskam je mocno. Czuję ból, kiedy łyżka uderza w wargi i zęby. Dźwięk rodzi się w mojej piersi, nie mogę jednak zmusić gardła i ust, żeby go wydały. Chcę wrzasnąć: „PRZESTAŃ!”. Słowo jest gdzieś we mnie, tylko nie umiem wydobyć go na zewnątrz. – Widzisz? On potrafi mówić, musisz po prostu przestać go rozpuszczać.

– Zostaw go! – krzyczy matka, odciągając jego rękę.

Wszyscy spoglądają na drzwi. W progu stoi Scooter, mój starszy brat. Tata lubi go dużo bardziej niż mnie, bo Scooter mówi perfekcyjnie. Czasami wybierają się we dwóch na ryby.

Tata wzdycha.

– Chodź, Scoot, zjedz śniadanie. Wszystko jest w porządku.

Odwraca się do kuchennej szafki i bierze z niej odznakę oraz pistolet.

– Okej – odpowiada Scooter sceptycznie.

Matka pochyla się i fartuchem wyciera owsiankę z mojej twarzy.

– Naprawdę powinieneś zjeść chociaż trochę. Później będziesz głodny – szepcze, odgarniając mi zmierzwione włosy z oczu.

Bum! Bum! Bum!

Walnie we frontowe drzwi wyrывa mnie z zamyślenia. Wstaję, by wyłączyć skaner, i wrzucam go do szafki nad biurkiem. Wlokę się do drzwi, zerkam przez zasłony. O wilku mowa – na zewnątrz stoi Scooter. Nie spodziewałem się go i nie jestem szczególnie szczęśliwy z powodu

tej wizyty. Otwieram mu bez słowa, po czym wracam do kuchni.

– Ciebie też miło widzieć, Sam – odzywa się Scoot.

Wzruszam ramionami.

– Ile czasu już się nie odzywałeś? Trzy tygodnie? Wydzwaniał do ciebie, ale nie odbierasz. W ostatni weekend chciałem nawet podjechać na farmę, żeby zobaczyć, czy w ogóle żyjesz.

Farma jest moja, ale Scooter myśli, że może ot tak sobie tam przyjeżdżać. Nienawidzę tego. Zwłaszcza teraz.

– Wszystko o-o-okej.

„Kurwa. Ja pierdolę”.

– By-y-yłem za-a-ajęty.

Aż się cofa zszokowany.

– Cholera, stary. Strasznie ci się pogorszyło, odkąd cię ostatnio widziałem.

Jest zupełnie jak pieprzony ojciec. Zero jebanego wyczucia i wrażliwość rozjuszonego byka. Ostatnią rzeczą, jaką powinno się mówić osobie z wadą wymowy, jest to, że źle brzmi. Mógłby po tych wszystkich latach w końcu do tego dojść.

– Dzięki, du-dupku.

Gwałtownym ruchem odsuwam krzesło w niewerbalnym proteście i siadam na nim z głośnym łupnięciem. Wbijam wzrok w owsiankę. Lepka paciaja przypomina mi, jak różne były nasze życia, mimo że mieliśmy tych samych rodziców.

Scooter zajmuje miejsce na przeciwko.

– Okej, czyli spędzasz cały czas tutaj, sam. Co ma sens, skoro to właśnie tu masz większość swojej pracy, ale ostatnimi czasy jesteś jak duch. A to jękanie robi się coraz gorsze. – Zmienia ton, jakby zdradzał mi tajemnicę. – Chodzi o mamę? Dla mnie jej odejście też było bolesne.

– Wró-ó-óciłem dopiero go-godzinę te-temu.

Chcę mówić dalej, ale znajome uczucie towarzyszące zaciskającemu się gardłu i grzęznącym gdzieś po drodze słowom nie chce minąć. Jestem zbyt zestresowany niezapowiedzianą wizytą. Z westchnieniem wstaję, żeby sięgnąć do biurka po notes i długopis. Zaczynam pisać:

„Nie chcę o tym mówić. Jak praca?”

Opadam na krzesło i popycham notes w stronę Scootera. Brat wskazuje na niego, szczerząc zęby, po czym odpycha go z powrotem, co sprawia, że zaczynam się śmiać. Zmieniam stronę i piszę odpowiedź na niezadane pytanie:

„W porządku. Buduje się teraz dużo osiedli, remontuje szkoły. Aż muszę odrzucać niektóre zlecenia”.

– To dobra wiadomość – mówi. – Dawno nie byłem na farmie. Masz czas, żeby tam pracować?

Scooter jest taki kurewsko zachłanny. Drażni go, że mama zostawiła farmę mnie, dobrze o tym wiem. W spadku obaj dużo dostaliśmy, ale on po prostu nie mógł znieść tej zniewagi. Nie potrafił pogodzić się z myślą, że być może ten jeden jedyny raz to ja mam więcej od niego. Scoot traktował farmę jako miejsce ucieczki, gdzie mógł wpaść na weekend, żeby łowić ryby i jeździć konno z ojcem. Dla mnie była więzieniem, a mimo to nie potrafię się zmusić, żeby ją opuścić.

– W każdym razie Katie pyta, czy wpadniesz na kolację. Dzieciaki chcą zobaczyć wujka.

Naprawdę chciałbym, żeby nauczył się wyłapywać sugestie. Piszę w notesie:

„Jestem bardzo zajęty. Spójrz na mnie. Codziennie przychodzę tu cały w farbie i tynku i od razu idę spać. Daj mi parę tygodni na skończenie projektów”.

– Jeśli dalej będziesz nas unikał, to my przyjdziemy na kolację do ciebie – mówi.

Jaki zadowolony z siebie. Jakby miał do tego jakiegokolwiek prawo. Tak jak wszyscy inni uważa się za mądrzejszego ode mnie tylko dlatego, że brzmię głupio. Świadomość, że nie ma pojęcia, kim tak naprawdę jestem, daje mi mnóstwo satysfakcji. To jego w szczególności uwielbiam zwodzić, pewnie nawet bardziej niż całą resztę społeczeństwa.

Istnieją bracia gorsi niż Scooter, ale on do najlepszych też nie należy. Po śmierci mamy – tata nie żyje już od lat – mianował się patriarchą rodziny, spoiwem, które trzyma nas razem. Chciałbym, żeby po prostu pozwolił się temu wszystkiemu rozpaść. Jesteśmy braćmi, ale znajdowaliśmy się na dwóch różnych krańcach wiecznie toczącej się bitwy. I choć broń została złożona, rany nie zniknęły. Boże, przecież on wygląda zupełnie jak ojciec. Nawet mówi i gestykuluje w ten sam sposób.

Teraz, kiedy zostaliśmy tylko my dwaj, ciągle zawraca mi dupę. Nagle stał się nad wyraz opiekuńczy. Łaskawie podjął się niewdzięcznego zadania i sprawdza, jak się ma jego brat.

Wskazuję na siebie i opieram głowę na złączonych dłoniach, udając, że idę spać. „Jestem zmęczony, wypierdalaj”, myślę, ale nie piszę tego w notesie. – Dobra, dobra. Za tydzień sprawdzę, co u ciebie, więc oszczędź mi trudu i po prostu odbierz telefon.

Kiwam głową i przewracam oczami, dając Scootowi do zrozumienia, że jestem już znużony jego obecnością. Myślałem, że śmierć mamy da mi wolność, ale on jest jeszcze gorszy. Ona przynajmniej co jakiś czas zamykała się w swoim pokoju na kilka tygodni.

Wskazuję na siebie, układam dłoń jak słuchawkę, a potem pokazuję na niego. „Ja zadzwonię”. Wstaję, sugerując tym, że wizyta dobiegła końca, a on robi to samo.

Idziemy do tylnych drzwi.

– Poproszę Katie, żeby przygotowała dla ciebie jakieś normalne jedzenie. Nie mogę uwierzyć, że wsuwasz owsiankę. To jedyna rzecz z czasów dzieciństwa, za którą nie tęsknię. Od śmierci mamy minęło już trochę czasu, powinieneś wyjść do ludzi, przystojny z ciebie chłopak.

Łapie mnie za biceps – ten, który nie wygląda tak, jakby ktoś przejechał po nim tarką do sera – i ściska lekko.

– Masz kasę i dobrą robotę. Kobiety na to lecą. Katie mogłaby przedstawić ci jakieś koleżanki.

Jego nieszczerze, przesłodzone teksty motywacyjne są niemile widziane. Wie, co się dzieje, kiedy w pobliżu mnie pojawiają się kobiety. One chcą tylko gadać, do cholery. Wolę płacić za ruchanie i milczenie.

Scooter pierdoli od rzeczy. Nie ma pojęcia, jak często ostatnimi czasy wychodzę. Poza tym mam już kobietę. Tę, którą zerwałem jak samotny kwiat z usychającego krzewu.

Kiwam palcem i biorę głęboki oddech.

– Nie – udaje mi się wykrztusić. Ależ ze mnie duży, dzielny chłopiec.

Puszcza mój biceps i klepie mnie w ramię. Trochę za mocno.

– No to do zobaczenia.

Potakuję, popychając go w kierunku drzwi, a potem obserwuję, jak wsiada do auta i odjeżdża. Wzdycham z ulgą. Gdybym nie wrócił do domu, pojechałby na tę pierdoloną farmę. To zbyt niebezpieczne. Dlatego właśnie nie bawię się w porwania. To znaczy... nie bawiłem się.

Pięć minut po jego odjeździe zbieram swoje rzeczy i wracam na farmę, żeby skończyć nowy dom dla Vesper.

Rozdział 6

SAM

Pracując dziś rano nad werandą klientki, ledwie mogę utrzymać oczy otwarte. – Ojej, Sam, wyglądasz na wyczerpanego – mówi z troską Emilia Dawkins. – Może napijesz się czegoś?

Kręcę głową, lecz zaraz podnoszę palec i potakuję.

„Nie, dziękuję. Chociaż w sumie zmieniłem zdanie. Wie pani co? Chętnie”.

Zazwyczaj zmuszam się do mówienia, ale pracuję dla starszej pani od lat i doskonale się rozumiemy. Poza tym naprawdę nie mam sił na rozmowę. Kiedy jestem przemęczony, jąkam się jeszcze gorzej, niż gdybym się zdenerwował.

Normalnie w taki pogodny dzień jak ten rozglądałbym się za kobietami, które siedzą w domach, podczas gdy ich mężowie czy partnerzy pracują, i próbował zawęzić grono do tych, na które chciałbym zapolować. Odkąd jednak wzięłem Vesper, to na mnie urządzono polowanie. Tak się składa, że dom pani Dawkins znajduje się tylko kilka minut samochodem od domu Vesper. To idealna wymówka, by przejechać tamtędy w drodze powrotnej i sprawdzić, co robi policja – czy skończyli przeczesywać dom w poszukiwaniu dowodów, czy w pobliżu wciąż stoją radiowozy. Wiem, jak to wszystko działa. Muszę po prostu poczekać i pozwolić, żeby sprawa przyszła.

Pieprzyć to. Prawda jest taka, że wszystkim, o czym potrafię myśleć, jest powrót do Vesper. Reszta, włącznie z obserwowaniem policji, ma tylko odwracać moją uwagę. Spędziłem całą noc, kończąc jej nowe lokum. Spałem może z godzinę. Muszę jeszcze wprowadzić kilka poprawek. Nie mogę się doczekać, żeby znowu ją zobaczyć. Mam dla niej prezenty.

Po drugiej stronie ulicy stoi szkoła, właśnie zaczęła się przerwa. Na boisko wylało się morze piszczących dzieci. Ten dźwięk sprawia, że czuję się niekomfortowo. Podejrzewam, że nie było tego po mnie widać, ale odczuwałem – i nadal odczuwam – jakiś rodzaj słabości do Johnny’ego. Dzieje się tak dlatego, że chłopak nie może mówić. Wiem, jak to jest. Gdybym w jego wieku miał kogoś takiego jak Vesper, też nie chciałbym jej stracić. Dlatego nie winię go za tamten napad szału.

Zerkam na bawiące się dzieci. Kilkoro z nich zebrało się w grupkę i biega w koło.

Stoję na boisku w samym środku kółka utworzonego przez rówieśników. Boli mnie brzuch. Nienawidzę przerw.

– Sam jąka-ka-ka-ka! – śpiewają.

Wiercę się nerwowo i rozglądam na wszystkie strony, szukając wzrokiem Scootera. Bawi się ze swoimi przyjaciółmi. W szkole przez większość czasu nie odzywa się do mnie, ma mnóstwo znajomych, starsze towarzystwo. Myślę, że się mnie wstydzi, dlatego nawet podczas lunchu siedzę sam. – Sam głu-u-u-u-upek! – śpiewają inni.

Tuż przed przerwą pani Juniper kazała mi czytać na głos. Powiedziała, że nie będzie traktować mnie inaczej i że mój tata nalegał. Klasa czeka, aż wydobędę z siebie kilka zdań. Zaczyna boleć mnie brzuch. Boję się, że się posikam, bo kiedy się denerwuję, chce mi się siku. Moczę łóżko prawie każdej nocy, a wtedy tata się złości. Dzieci śmieją się, kiedy czytam. Pani Juniper mówi im, że to nieładnie, a wtedy wstydzę się jeszcze bardziej. Czekają i czekają, aż

przebrną przez akapit. Tym razem skończyłem dopiero pięć minut po zakończeniu lekcji, dlatego inne dzieci bardzo się pogniewały. Na przerwie obiadowej lubią mnie wyzywać, bo wiedzą, że nie mogę szybko odpowiedzieć, i chętnie słuchają, jak się męczę. Łatwiej jest udawać, że ich nie słyszę. Dlatego na przerwach stoję w miejscu bez słowa. Ból brzucha się nasila, gdy ze śmiechem mnie popychają.

Kiedy pojawia się luka w utworzonym przez dzieci kole, uciekam. Gonią mnie po boisku, ale jestem szybki. Szybszy od wszystkich, nawet od tych starszych dzieciaków. Mijam nauczycieli i wybiegam poza boisko. Biegnę i biegnę, aż wreszcie nie słyszę odgłosów szkoły.

Zatrzymuję się na czymś podwórzu, żeby złapać oddech. Podnoszę głowę i spoglądam w okno. Widzę kobietę trzymającą w ramionach dziecko. Patrzy na nie czule i coś mówi. Kryję się w krzakach. Nie chcę, żeby mnie zobaczyła i przepędziła.

Ma na sobie luźną białą sukienkę do kolan. Po chwili zsuwa jej górę. Ma duże cycki i czuję w brzuchu coś, co nie jest bólem. Przyciąga dziecko do siebie i przygląda mu się, jak ssie pierś. Chciałbym być w jej ramionach, ale patrzeć jest prawie tak samo przyjemne. Panuje błoga cisza. Nikt nie zmusza mnie do mówienia. Jestem sam, a jednak nie sam.

– Proszę, mrożona herbata. – Pani Dawkins podaje mi szklankę. – A teraz idę załatwić kilka spraw.

Pokazuję jej uniesiony kciuk. Lubię swoją pracę. Jestem zręczny, a takie zajęcie pozwala mi zajmować się moim hobby, bo mogę sam ustalać grafik. Nie potrzebuję pieniędzy, po prostu lubię coś robić. Buduje się tyle nieruchomości, że oprócz prywatnych zleceń dostaję też kontrakty od większych firm. Ludzie ufają mojej pracy, wyprzedza mnie świetna reputacja.

Widzę, że zatrudniając mnie, klienci czują się spełnieni. Jakby traktowali to jak akcję dobroczynną. W końcu przecież oferują pomoc jaskale.

Zakładają, że jestem opóźniony, nie zważając na to, że potrafię wybudować dom gołymi rękami. Wszystko tylko dlatego, że się od nich różnię. Czasami kojarzą moje nazwisko i zadają pytania, ale nie lubię mówić o swojej rodzinie. Pewnie niektórzy sądzą, że w testamencie nic mi nie zapisano i pracuję, żeby na siebie zarobić. Nie ich pieprzony interes. Traktują mnie jak odmieńca, jak tego dzieciaka ze środka koła, z tą różnicą, że dorośli muszą zachowywać się w bardziej cywilizowany sposób, a ja jestem już dużym chłopcem.

Rozlega się gwizdek, dzieci ustawiają się w szeregu i wracają do szkoły. Zapada cisza, a ja powracam do mojego samotnego świata. Chociaż nie... Teraz, kiedy czeka na mnie Vesper, już nie czuję się samotny.

VESPER

Dwa razy słońce zaszło i w piwnicy zapanowały egipskie ciemności. Dwie noce minęły, odkąd ten mężczyzna tu przyszedł, umył mnie, nakarmił i pokazał mi świat na ekranie telewizora. A potem zniknął bez słowa. Nie wiem, kiedy wróci, i to mnie przeraża. Jedzenie i woda dawno się skończyły. Dały mi tylko tyle energii, bym mogła dalej wegetować. Znowu mam pusty żołądek i jestem cholernie spragniona, a tylko poprzez tego człowieka mogę mieć dostęp do kolejnego posiłku.

Głód i nuda to połączenie przyprawiające o szaleństwo. Sprawiają, że zaczynasz modlić się o czyjąkolwiek obecność, by znowu poczuć się człowiekiem. Przynajmniej kiedy jest tutaj, adrenalina wypełnia moje ciało. Czuję się wtedy żywa, choć nie mam energii z pożywienia. Prawdziwą torturą stało się czekanie – niezajomość własnego losu i postępująca słabość.

Czasami słyszę kroki i serce zaczyna bić mi żywiej z ekscytacji i strachu. Ale potem na powrót zapada cisza. Ten człowiek wywołuje we mnie kompletną dezorientację. Sprawia, że chciałabym się przed nim schować w najciemniejszym kącie, ale jednocześnie jest kimś, na kim muszę polegać, by przetrwać. Kroki zbliżają się do drzwi, które tym razem wreszcie się otwierają. Moje usta automatycznie produkują ślinę, jakbym była psem Pawłowa i reagowała na obecność „karmiciela”.

Schodzi po stopniach, niosąc skrzynkę na mleko wypchaną różnymi przedmiotami. Zapach jedzenia od razu uderza mnie w nos. Siedzę na podłodze z bijącym sercem i staram się nie uśmiechać, by nie wyglądać na zbyt rozentuzjasmowaną. Czuję się przez to żałosna. Po chwili jednak nad doznaniem węchowymi górę biorą wzrokowe. Wodzę spojrzeniem po odsłoniętych rękach mężczyzny, przez nagi tors, aż po umięśnioną szyję i zasłoniętą twarz. Znowu ma na sobie podarte dżinsy. Jego pobrudzona farbą skóra nosi ślady długotrwałego przebywania na słońcu, jakby dopiero co skończył pracować w nasłonecznionym miejscu. Ile bym dała, żeby znowu poczuć ciepły dotyk promieni.

Nienawidzę faktu, że pomimo wszystkich okropnych rzeczy, które zrobił mi ten mężczyzna, wbrew woli zwracam uwagę na jego umięśnione ciało. Zostawia skrzynkę, wychodzi, a po chwili wraca z wiadrem wody z pianą. Patrzę w napięciu, jak krząta się po piwnicy, nie zwracając na mnie uwagi. Wreszcie kończy przygotowania i unosi przede mną galonowy baniak z wodą. Niemal tańczy. Gorączkowo kiwam głową, a gardło ściska mi się boleśnie na myśl o wilgoci.

Wskazuje na wiadro z wodą.

– Tak, tak. – Podporządkowuję się bez wahania.

Podchodzi do mnie. Jego lodowate, turkusowe oczy ze złotą plamką nie odrywają się od moich, kiedy rozprowadza mi pianę po ciele. Drzę ze strachu. O swój los, o to, przez co przechodzi teraz Johnny i reszta rodziny, ale nie boję się tego, co ten mężczyzna robi teraz. Myśl mi już wcześniej i nie była to najgorsza rzecz, jakiej od niego doświadczyłam. Na dobrą sprawę miło jest się umyć, zwłaszcza jeśli trzeba siedzieć w obskurnej piwnicy. Chyba przez to, że czuję się bardziej odprężona niż poprzednim razem, ciało mnie zdradza, kiedy nieznajomy wsuwa mi rękę między nogi. Poprzednio odwróciłam głowę w proteście. Ogarnięta strachem i wściekłością potrafiłam zignorować fizyczne doznania. Ale tak długo siedziałam tu sama, nie doświadczając niczego poza zimnym betonem, że teraz jego dłonie rozgrzewają każdy fragment skóry, który dotknie. Pachnie solą i trawą, co przypomina mi o długich dniach w Tahoe. Udaję niewzruszoną i próbuję się uspokoić, lecz oddech rwie mi się nerwowo.

Masuje mnie wszędzie. Moje ciało jest podbitym terytorium, nie ma przed nim żadnych tajemnic. Patrzę na rękę poznaczoną bliznami, które ciągną się dalej aż do torsu. Szerokie znamiona niczym sznury pełzną po jego szyi. Druga strona ciała jest nietknięta.

Oblewa mnie kubkiem ciepłej wody, żeby zmyć mydło, przy czym pomaga sobie dłonią. Potem znów sięga między moje nogi, zagarniając tam czystą wodę, by dokładnie wypłukać cały brud. Wcześniej jego dotyk był delikatny, ale mechaniczny. Tym razem znów pieści wargi palcami, lecz nie wsuwa ich do środka. Testuje. Drażni się ze mną. W żołądku ściska mnie od pogardy i podniecenia.

– Przestań, proszę – odzywam się, kiedy kolana odmawiają mi posłuszeństwa.

Kontynuuje jeszcze przez kilka sekund, ale wciąż nie ma to nic wspólnego z tym, co mi zrobił w moim własnym domu. Wspomnienia odczuć z tamtej nocy napełniają mnie wstydem. Przypominam sobie, jak pozwoliłam temu mężczyźnie niemal doprowadzić się do orgazmu i jak teraz mógłby zrobić to znowu, gdyby tylko zechciał.

Przestaje jednak z własnej woli, opłukuje mnie i wyciera. Podaje mi wodę. Piję, ile tylko

mogę, ale nie za dużo, żeby nie zrobiło mi się niedobrze. Natychmiast czuję wracające siły.

– Mogę znowu pooglądać telewizję? – pytam.

Nie odpowiada.

– Chcę tylko sprawdzić, czy z moim bratem wszystko dobrze. Nie było go na konferencji prasowej.

Kręci głową. Podczas dzisiejszych atrakcji nie przewidziano telewizji.

Tłumię gwałtowny szloch. Nie chcę już więcej przed nim płakać. Podchodzi do skrzynki i wyjmuję z niej gruby koc. Miękki. Puszysty. Ciepły. Czego bym nie zrobiła, żeby dzisiaj móc na nim spać! Podłoga jest taka zimna i twarda.

– Co muszę zrobić? Po prostu powiedz. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz powiedzieć.

Podchodzi bliżej i kładzie koc na podłodze. Potem znowu staje twarzą do mnie, blisko, i wtedy zauważam wybrzuszenie w jego spodniach. Wygląda złowieszczo, jestem wystraszona, a mimo to miejsce, którego dotykał przed chwilą, zaczyna pulsować gorącem. Przysuwa się na tyle blisko, że ociera się o mnie swoją męskością.

– Posmakuję twojej cipki – szepcze mi wprost do ucha. Jego głos jest niski i chropawy. Tak brzmiałby żwir, gdyby był dźwiękiem.

Kręć głową. Nie zrobię tego. Nie jestem taką osobą. Może mnie trzymać bez ubrania, głodzić, izolować, ale nadal będę Vesper Rivers.

Wzrusza ramionami, podnosi koc, rzuca go z powrotem do skrzynki i zbiera się do wyjścia. To takie niesprawiedliwe! Dla niego to nic nie znaczy, ale dla mnie piwnica jest teraz całym światem. Ten koc mógłby posłużyć mi za posłanie. Mógłby chronić moje nagie ciało i pozwolić zachować jakieś resztki godności. Mógłby mnie otulać. Znalezienie się w czyichś objęciach, nawet koca, byłoby jak koło ratunkowe.

Czuję rosnącą panikę, kiedy porywacz zmierza w kierunku schodów. Jest jedyną osobą, do której mogę się odezwać i której mogę dotknąć. Nie chcę, żeby wyszedł. Nie chcę zostać sama z tą niekończącą się nudą, patrząc przez maleńkie okna pod sufitem. Skończyły mi się nawet tematy do rozmyślań. Przespałam więcej godzin, niż potrafię zliczyć. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam bez jedzenia. Mam wrażenie, że moja równowaga psychiczna wisi na włosku. Nie mogę pozwolić, żeby tak mnie tu zostawił.

– Zaczekaj! Możemy dobić targu? Mogę dostać coś jeszcze?

Zatrzymuje się, ale nie odwraca. Słucha.

– Jedzenie. Jestem taka głodna, długo już nie pociągnę. Koc i jedzenie. Wiem, że je masz. Czuję to.

Milczy przez kilka chwil. Pewnie nie tyle zastanawia się nad propozycją, co po prostu chce mnie wkurwić jeszcze bardziej. Potem kręci głową. – No weź! – krzyczę, a gorące łzy płyną mi po policzkach.

Jestem taka zła, że pozwalam sobie płakać przez przyziemne rzeczy. Zostałam sprowadzona do pozycji noworodka, który w kwestii zaspokajania najbardziej podstawowych potrzeb musi polegać na kimś innym i nie umie komunikować się inaczej niż łzami.

Podchodzi bliżej i zatrzymuje na odległość wyciągniętej ręki. Bez słowa omiata mnie wzrokiem od stóp do głów, lustrując nagie ciało, jakby było posiłkiem. Zdążyłam jakoś się przyzwyczaić do nagości, ale sposób, w jaki jego oczy mnie badają, wydaje się bardziej krępujący niż kąpiel.

– Za koc będziesz musiała pozwolić mi wylizać swoją pizdę. Ale jeśli chcesz dostać jedzenie, najpierw weźmiesz do ust mojego kutasa. Opuszcza rękę, rozpina spodnie i wyciąga grubego, nabiegłego krwią penisa. Z jakiegoś powodu do ust napływa mi ślina i muszę ją przełknąć. Wyżywienie, towarzystwo, seks, wszystko to miesza się razem.

Zgaduję, że jestem tu od wielu dni, może nawet tygodni. Zjadłam jeden wysokokaloryczny posiłek, ale moje kości biodrowe wyraźnie sterczą. Jestem słaba i zmęczona. Wypiłam tylko tyle wody, żeby utrzymać się przy życiu, i zastanawiam się, kiedy wysiądą mi nerki. Koc byłby fajny. To luksus. Ale jedzenie oznacza życie. I zamierzam zrobić, co tylko mogę, żeby przetrwać.

Nie mam więcej energii, żeby się targować, więc po prostu potakuję na zgodę.

– Mogę dostać chociaż kawałek? Cokolwiek na początek? Boli mnie głowa. Lepiej mi pójdzie, jeśli będę miała siłę. – Apeluję do jego cielesnej strony, na wypadek gdyby tej ludzkiej już nie posiadał.

Podchodzi do skrzynki, wciąż ze sterczącym z rozporzka penisem, który podskakuje przy każdym kroku, i coś wyciąga. Staję na palcach podekscytowana. To paczka chipsów ziemniaczanych. Otwiera ją i wyjmuje garść, po czym zagina brzeg, odkłada do skrzynki i wraca.

Wskazuje na mnie brodą, więc rozchyłam wargi. Podaje mi jednego chipsa, a w moich ustach natychmiast eksploduje cudowny słony smak.

– Mmm – mruczę bezwstydnie.

Wydaje mi się, że kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu, który jednak szybko znika. Dostaję w sumie dziesięć chipsów. Dziesięć cudownych, słonych, chrupiących chipsów. Dostatecznie dużo, by przekonać umysł, że otrzyma więcej jedzenia, i dać mi zastrzyk energii. Ta niewielka porcja zmienia mój nastrój, wprawiając mnie w dziwne upojenie. Ale karmienie trwa tylko minutę, a teraz muszę odpracować nagrodę, którą odebrałam z góry. Wskazuje na koc.

Kładę się, a on staje nade mną, przez co czuję się mała. Kończy rozpinąć spodnie i pozwala im zsunąć się na podłogę. Nie ma żadnej bielizny, teraz jest kompletnie nagi. Nogi ma mocno zbudowane, ale nie tak opalone jak tors.

„Jesteś nadal Vesper”, przypominam sobie. Ale czy naprawdę nią jestem? Przehandlowałam usługi seksualne za posiłek i koc. Tak nie zachowuje się Vesper. Spinam się, myśląc o mojej rodzinie i Carterze. O Carterze, którego zdradzam, zgadzając się na coś takiego. Powinnam bardziej się bronić. Teraz, kiedy wróciło mi trochę sił, powinnam walczyć.

Tymczasem mężczyzna przykrywa mnie swoim ciałem i przyciska twardego kutasa do mojego krocza. Zastanawiam się, czy zamierza we mnie wejść zamiast postąpić zgodnie z umową.

– Zmieniłam zdanie – odzywam się. – Nie potrzebuję tego.

Ignoruje moje słowa.

– Dałem ci wybór, a ty podjęłaś decyzję. Dokładnie tak jak twój chłopak, który zamiast poświęcić się dla ciebie wolał, żebym cię zerznął.

Wspomnienie wraca tak gwałtownie, jakby ktoś wylał na mnie kubel zimnej wody. Nie wierzyłam, że to prawda, że Carter podjął taką decyzję. Ale teraz nic już nie wiem. Jestem słaba, słabsza, niż sądziłam. Chipsy zdążyły rozpuścić się w żołądku i dręczący głód wraca. Ogarnia mnie rozgoryczenie i nieufność, jakich nigdy wobec nikogo nie czułam. Może zostałam zdradzona przez Cartera tamtej nocy? Może oddałam swoje ciało i życie za niego, a on nie zrobił tego samego dla mnie. Jeśli tak było, to dlaczego mam czuć się winna z powodu tego, co teraz robię?

Przygryzam wargę, łzy płyną mi z oczu. „Kurwa, Vesper, weź się w garść”, przywołuję się w myślach do porządku, lecz branie się w garść wymaga energii, którą muszę oszczędzać. Porywacz patrzy, jak płaczę. Zlizuje łzę, jakby karmił się moim smutkiem.

– Będę cię pieprzył ustami. Sprawię, że zapłaczesz, ale nie tak jak teraz. Będziesz płakać dla mnie.

Zsuwa się w dół mojego drżącego ciała, zahaczając zębami o skórę nadwrażliwą przez

jego dotyk. Dłonie i wargi ma ciepłe i łagodne w porównaniu z twardym betonem. Ssie moje piersi, a biodra same zaczynają mi się kołysać. Wmawiam sobie, że to opór, ale jednocześnie czuję się tak, jakby wciskał jakiś przycisk, którego nie umiem kontrolować.

Otwieram usta, by zaprotestować, lecz zamiast tego wydobywają się z nich tylko krótkie, nerwowe oddechy. Kręcę głową, jednak on tego nie widzi. Jest całkowicie skupiony na reszcie – moim cieple, skórze, smaku. Drży z pożądania. Zdaję sobie sprawę, że jego również dręczy intensywny głód, który odbiera mu panowanie. Głód, który gotów jest zaspokoić za wszelką cenę. Obserwował mnie, pragnął. Aż w końcu głód stał się tak silny, że nie potrafił myśleć o niczym innym. Dopóki nie przeżyjesz takiej tortury, nie jesteś w stanie nawet sobie wyobrazić, co zrobiłbyś, byleby tylko czegoś posmakować.

Gryzie mnie w brzuch na tyle mocno, bym się wzdrygnęła. Powstrzymuję jęk. Nie chcę dać mu żadnej reakcji.

– Wiem o tobie tak wiele, Vesp – dyszy w moją skórę, zsuwając się w dół. – Tak wiele. Ale obserwowanie cię nigdy mi nie wystarczało. Teraz wreszcie będę mógł posmakować twojej cipki, kiedy dojdiesz na moich ustach.

Perwersyjne słowa przeszywają mnie jak pocisk. Sięgam w dół, by go odepchnąć. Jego gorące wargi lądują na mojej cipce, a ja zaciskam palce na czubku kominiarki.

– Nawet, kurwa, nie próbuj – ostrzega, przyciskając moją dłoń do podłogi.

Poddaję się. Delikatnie przesuwam językiem po moim cieple. Głowa mu się kołysze, gdy przystępuje do spełnienia obietnicy. Wiję się, walcząc z rosnącym podnieceniem, jakie budzą jego usta. Mój mózg opiera się temu, czego pragnie ciało. A ono chce przyjemności, ulgi, pocieszenia. „Wciąż jestem Vesper”, przypominam sobie.

Wiję się coraz mocniej, ale to jedynie sprawia, że przykłada się jeszcze bardziej, znajduje językiem łechtaczkę, masuje ją, ssie, lekko przygryza. Wystarczy kilka sekund, a już z trudem łapię powietrze. Moje ciało napręża się rytmicznie w oczekiwaniu na nadchodzący orgazm. Lecz on przerywa w ostatniej chwili, zostawiając mnie wściekłą i bez tchu. Podjęłam decyzję, przygotowałam się na to, co nastąpi, a on teraz się odsuwa, zostawiając mnie spragnioną. Nie powinnam tego chcieć. Nie z nim.

– Powiedz, że chcesz, żebym dał ci orgazm.

– Nie – protestuję przez zaciśnięte zęby.

– Twoja cipka jest różowa i mokra. Wiem, że tego pragniesz, poznaję to po zapachu. I smaku.

– Pierdol się – odpowiadam.

– Chcesz być upartą małą suką? Twoja sprawa – mówi, odsuwając się i klękając przede mną. – Obciągnij mi fiuta.

Prycham w sposób, który bardzo pasuje do zwierzęcia, jakim się stałam.

– Zdaje się, że jednak nie chcesz jeść – dodaje cynicznie.

Zaszłam za daleko w tej całej pokręconej umowie, żeby teraz zostać bez niczego. Wiem, co zaraz nastąpi, ale i tak protestuję. Łapie mnie za włosy tuż przy skórze i szarpnięciem zmusza, żebym podniosła się na czworaki.

– Zpracuj na swój pierdolony posiłek, Vesp.

Mówi to tak, jakby mnie znał. Myśli, że cokolwiek o mnie wie, ale nie jest niczym więcej jak popieprzonym podglądaczem. Widzi to, co chce widzieć, nie to, co jest prawdziwe. Jego kutas stoi na baczność centymetry od mojej twarzy. Mogłabym go ugryźć, ale to tylko przelotna myśl. Chcę przetrwać, a nie sprawić, żeby ten psychopata rozwalil mi głowę.

– Weź go w usta.

Cipka pulsuje, błagając o obiecane spełnienie. Z drzeniem zaciskam wargi na jego

grubym penisie.

– Weź go całego, Vesp – chrypi, wypychając biodra tak mocno, że uderza w tył mojego gardła.

Krztuszę się, co wywołuje jego pogardliwy chichot. Wsuwa kutasa, a potem wsuwa z powrotem. Wsuwa i wsuwa. Wsuwa i wsuwa. Pieprzy moje usta.

– Założę się, że Carter nigdy nie ruchał cię w ten sposób – drwi. – Ten mały kutasiarz.

Łzy płyną mi z oczu, ale w tym momencie nie wiem już, czy to od dławienia się czy z rozpaczy.

– Twój tyłek z tej perspektywy wygląda... Kurwa, Vesp. – Jego głęboki, gardłowy głos pobrzmiwa odprężeniem i przyjemnością.

Zerkam w górę, ciągle na czworakach jak posłuszne zwierzątko, podczas gdy on używa moich ust, żeby zrobić sobie dobrze.

– Pewnego dnia zerznę ten tyłek i będę patrzył, jak wypływa z niego moja sperma. A ty będziesz o to błagać.

Tak bardzo chcę już skończyć, zwłaszcza że zaczyna boleć mnie szczęka, ale potrzebuję nagrody za swoje wysiłki.

Ten człowiek składa się z twardych mięśni, potu i brudu. Przerażająco puste oczy lśnią jak u demona. Tyle razy wyobrażałam sobie scenę podobną do tej, podczas gdy Carter był we mnie, ale nigdy nie pomyślałam, że coś takiego może stać się rzeczywistością. Sądziłam, że pokręcone fantazje nie stanowią dla mnie zagrożenia.

Jęczy, odrzucając głowę do tyłu i wypychając biodra coraz szybciej.

– Te twoje pierdolone usta – sapie, wysuwając kutasa, i łapie go pokrytą odciskami dłonią.

Ciągnie mnie za włosy, by unieść mi głowę. Porusza ręką w błyskawicznym tempie i wydaje gardłowy jęk, a zaraz potem tryska na moją twarz, szyję i piersi.

Nie opieram się, bo już dawno na to za późno. Najpierw mnie umył, a teraz brudzi swoim nasieniem.

– Wyglądasz kurewsko pięknie – wzdycha. Komentarz nie jest sarkastyczny ani szyderczy. Mówi to tak, jak powiedziałby do dziewczyny, która się wystroiła. – Obliz usta, Vesp – rozkazuje, wciąż trzymając mnie za włosy. – Obliz – powtarza.

Wysuwam język i posłusznie przejeżdżam nim po wargach, czując delikatny słony posmak.

– Więcej.

Posłusznie wykonuję jego polecenie. Patrzy na mnie z góry z czystym pożądaniem. Na kobietę, którą wybrał spośród tysięcy innych i pomalował spermą. Na swoje dzieło sztuki.

Czuję pulsowanie między nogami. Ciepka wciąż czeka na swoją kolej, a ja nie mogę sobie wybaczyć, że w takiej chwili jestem w stanie poczuć cokolwiek poza kompletną, dziką wściekłością. Chciałabym, żeby dał mi ulgę. Nie lubię go – wręcz nienawidzę tego człowieka. Ale podobnie jak jedzenie przyjąłabym też jego usta tylko po to, żeby pulsowanie ustało. Tylko po to, żeby poczuć czyjś dotyk jeszcze przez kilka chwil, zanim znowu zostanę sama na kolejne godziny lub dni. Oczywiście nie mogę powiedzieć tego na głos. Nigdy.

Wstaje. Jego krok, zazwyczaj pewny, teraz jest lekko chwiejny, kiedy podchodzi do wiadra. Pośladki ma mięsiste i jędrne – jak u kogoś, kto nie stroni od noszenia ciężkich rzeczy. Chwyta ręcznik i częściowo zanurza go w wodzie z mydłem, a potem wraca, by wytrzeć nim moją twarz, piersi i szyję z nasienia.

Zakłada spodnie, po czym bierze do ręki brązową papierową torbę oraz butelkę z wodą i stawia to wszystko przede mną. Pomimo okropnego głodu nerwy mam zbyt napięte, żeby jeść.

Potrafię myśleć wyłącznie o tym uczuciu między nogami, które nie chce zniknąć.

Zabiera wszystkie pozostałe rzeczy, żeby nie musieć chodzić dwa razy, i zostawia mnie samą, bym mogła nacieszyć się swoimi zdobyczami. Ale nie potrafię. Nie dopóki nie zaspokoję innej potrzeby.

SAM

Jest uparta. Czasami kiedy klacz za bardzo wierzga, trzeba się wycofać. Zbyt duży nacisk tylko nasila opór. Zostawiłem ją samą. Niech zda sobie sprawę, jak bardzo chciała, żebym zrobił jej dobrze. Następnym razem będzie mądrzejsza.

Chciałem poczekać trochę dłużej, zanim dojdę. Mój język w jej cipce mógłby dać mi dość materiału na cały dzień orgazmów. Sęk w tym, że ta kobieta jest jak antidotum na moje plany. Chciała dobić targu, uczy się szybciej, niż przewidywałem. Nie mogłem się powstrzymać przed podniesieniem stawki. Kurwa, warto było, żeby zobaczyć jej gładką, nieskazitelną skórę pokrytą moją spermą. Zostawić swój zapach na tym ciele. Celowo nie wziąłem prysznic. Chcę wrócić tam później i poczuć siebie na niej. Poczuc przypomnienie, że jest moja i że ją oznaczyłem.

Myślałem, że rzuci się na torbę z jedzeniem, ale nie zrobiła tego. Chyba wiem czemu. Dlatego po opuszczeniu piwnicy postanawiam podejrzeć, co się będzie dalej działo. Podkradam się więc jak drapieżnik do jednego z piwnicznych okienek i ostrożnie zaglądam do środka.

Ku mojemu zaskoczeniu robi sobie palcówkę. Leży na plecach na kocu – nogi ma rozłożone, oczy zamknięte – i poddaje się swoim żądzom. Jest zawzięta, więc nie chce dać mi satysfakcji. Ale wezmę ją sobie sam. Właśnie dlatego lubię obserwować ludzi przez okna. Kiedy nie wiedzą, że się na nich patrzy, można zobaczyć, kim są w rzeczywistości.

Na widok tego, jak robi sobie dobrze, myśląc o mnie, znowu staję się twardy. Mam ogromny seksualny apetyt, który z reguły wymaga trzech orgazmów dziennie, żebym poczuł się zaspokojony. Kutas jest twardy jak skała, tak samo jak zaledwie kilka minut temu, kiedyssała go tymi swoimi idealnymi ustami. Sięgam w dół i zwałam sobie razem z nią.

Dostosowuję tempo tak, by dojsć w tym samym momencie, w którym ona wije się w spazmach pod dotykiem własnych palców. Myśli, że może mieć przede mną tajemnice. Że jej gra mnie przekonuje. Ale ja widzę, kim tak naprawdę jest.

Rozdział 7

SAM

Postanowiłem, że od teraz będę przyjmował mniej zleceń. Oczywiście nie zniknę z powierzchni ziemi, bo to by wyglądało zbyt podejrzanie. Mam pieniądze po rodzicach. Nigdy tak naprawdę nie musiałem pracować, lecz ojciec nauczył mnie i Scootera, że człowiek powinien czymś się w życiu zajmować. Nie mogę po prostu siedzieć i nic nie robić.

Teraz jednak mam pod nadzorem kogoś, kto pochłania moje myśli przez cały dzień, przez co nie potrafię się skoncentrować na wykonywaniu zleceń. Dzisiaj, kiedy o mało nie wbiłem sobie gwoźdźnia w palec, wspominając widok Vesper robiącej sobie dobrze oraz smak jej ociekającej sokami pizdy, zdałem sobie sprawę, że nie mogę w nieskończoność łąpać dwóch srok za ogon. Moja wolność jest najważniejsza, a zachowanie jej wymaga wyczucia. Kończę wreszcie werandę pani Dawkins i wracam na farmę. Po drodze przejeżdżam w okolicy domu Vesper. Nie widzę żadnych śladów tego, co stało się tygodnie temu. Policyjna taśma zniknęła, podobnie jak zaparkowane w pobliżu radiowozy. Uważam, by nie jechać obok jej domu, na wypadek gdyby detektywi obserwowali miejsce z nieoznakowanych pojazdów. Informacje o Vesp nadal pojawiają się w wiadomościach, zaczynam jednak dostrzegać oznaki zniechęcenia. Ludzie coraz bardziej są przekonani, że dziewczyna nie żyje. Nie mają najmniejszego pojęcia, kto ją zabrał ani gdzie jej szukać. Dałem Vesper dość jedzenia na cały dzień. Zaczynam ją dokarmiać. Zrobiła się za chuda, a z jej twarzy zniknął ten brzoskwiniowy odcień. Była posłuszna. Dostanie tyle, żeby wciąż czuła lekki głód. Dzięki temu pozostanie uległa.

Poza tym wymyśliłem, że mogę dać jej coś nowego. Gdy tylko wchodzę do domu, wyjmuję z lodówki zimne piwo, siadam w fotelu i kładę nogi na stoliku kawowym. Daję sobie kilka minut odpoczynku, zanim zajmę się kolejnymi obowiązkami. Zawsze o niej myślę. Zawsze. Nigdy nie daje mi spokoju. Nawet teraz chcę do niej iść. Odkąd ją tu przywiozłem, nieustannie walczę z chęcią natychmiastowego zaspokojenia swoich pragnień. I czuję, że przegrywam. Patrząc, jak moje stopy podrygują na stoliku, nie mogę się doczekać, aż wręcę jej następny prezent. Jakaż to będzie osłoda dla mojej goryczy. Ale jednocześnie boję się, co będę musiał zrobić, żeby do tego doprowadzić. To jak odrywanie taśmy z czyichś ust. Można powoli wrywać każdy włoszek z jego twarzy, ciągnąc za skórę, przedłużając cierpienie. Albo można zrobić to jednym silnym pociągnięciem, powodując krótki wybuch bólu.

Wybieram jedno pociągnięcie, z trzaskiem odstawiam butelkę na stolik oznaczony kręgami płam po butelkach z całych dziesięcioleci i idę na górę do pokoju, którego nie odwiedzałem od śmierci matki. Biorę głęboki oddech i przekręcam starą mosiężną gałkę. Zawiasy skrzypią, gdy popycham drzwi. W środku panuje zaduch. Wiem, że ona nie żyje, ale wciąż spodziewam się ją zobaczyć – siedzącą w kącie, tak jak to miała w zwyczaju. Teraz jednak to wyłącznie miejsce pamięci. Ściany wciąż są przesiąknięte tym wszystkim, co było w niej najlepsze i najgorsze. Ona i ja zostaliśmy odrzuceni przez rodzinę. Wstydlivy sekret. Jeśli nosisz nasze nazwisko, wymagają od ciebie perfekcji.

Nie patrzę na nic poza rzeczami, po które przyszedłem. Wchodzę do połączonej z sypialnią niewielkiej pracowni i wyciągam maszynę do szycia. Tyle razy widziałem, jak z jej pomocą robi coś z niczego. Nie mówiłem wiele, lecz nauczyłem się patrzeć. Studiować ludzi, zwyczaje, zadania. Tygodniami obserwując szyjącą matkę, dowiedziałem się o tym zajęciu

naprawdę wiele. Przesuwam palcami po zwojach materiału, próbując znaleźć coś, co pasowałoby Vesper. Żałuję, że podarłem koszulę nocną, którą miała na sobie tamtej nocy. Była idealna – jednocześnie seksowna i skromna. Nie udaje mi się znaleźć dokładnie takiego samego białego materiału, ale wpada mi w ręce coś podobnego, śnieżnobiała bawełna z wąskim paskiem koronki w kolorze bladego różu. Przypomina kolor jej cipki, zanim przeze mnie zrobiła się rumiana z pragnienia.

Przeoglądam gazety z wykrojami w nadziei, że znajdę coś, co by się nadawało. Natrafiam na dłuższą sukienkę, którą mogę skrócić do długości tamtej porwanej. Po przygotowaniu szablonów i wycięciu materiału siadam przy maszynie, by nawlec igłę. Potem zaś podkładam złożoną tkaninę pod stopkę i naciskam pedał. Uszy wypełnia mi rytmiczny stukot. Nie słyszałem go ponad rok i moje wspomnienia dryfują ku przeszłości, o której próbuję zapamiętać.

Radiowóz policji stanowej wjeżdża do parku, w którym od piętnastu minut przyglądałem się mężczyźnie koszącemu trawę. Dźwięk jest głośny i monotony. Lubię go, uspokaja mnie. Sprawia, że łatwiej zapomnieć o całej złości i smutku. Ale kiedy zauważam samochód, wiem, że przyjdzie mi zapłacić za tę małą przerwę. Podchodzi do mnie ojciec. Z początku biegał, ale teraz jest już tym znudzony.

– Chodź – mówi surowo, kiwając na mnie palcem.

Nie opieram się. Wsiadam na tylne siedzenie radiowozu, teraz oddziela nas metalowa siatka.

– Sam, jeśli nie przestaniesz tak robić, wywalą cię ze szkoły. Lanie nie pomaga. Tłumaczenie nie pomaga. Nie możesz wciąż uciekać z lekcji!

Siedzę cicho. Większość rodziców cieszyłaby się, gdyby dziecko się nie odgryzało, ale mojego ojca nic nie denerwuje bardziej niż moje milczenie.

– Dlaczego? Powiedz mi dlaczego?! Jeśli nie powiesz, to przysięgam na Boga, dostaniesz dzisiaj po dupie. Tym razem miarka się przebrała. Nie chcę lania.

– O-o-oni... – Urywam. Nie lubię mówić przy ojcu. Sprawia, że czuję się naprawdę źle.

Zaskoczony tata zerka przez ramię, po czym parkuje.

– Nie rusz, dopóki nie dokończysz. Dlaczego mówisz do mamy, ale nie do mnie?

Dłatego, że ona nie patrzy tak, jakbym był rozczarowaniem. Nie traci cierpliwości. Nie bije mnie. Nawet nie zauważa jąkania, więc kiedy jesteśmy tylko we dwoje, mój problem pojawia się bardzo rzadko.

Bawię się palcami i spuszczam wzrok. Nie chcę mu powiedzieć. Pomyśli, że jestem cieniem. Mój tata to twarde.

– Doprowadzasz mamę do szaleństwa, bo jesteś niedobrym chłopcem. Źle się zachowujesz, a ona jest przez to chora. Chcesz, żeby była przez ciebie chora?

Kręcę głowę.

– Więc powiedz mi.

– O-o-oni m-m-m-mnie prze-e-zywają.

Wzdycha. Po raz pierwszy brzmi, jakby mi współczuł. Poprawia się w fotelu, żeby lepiej mnie widzieć w lusterku.

– Sam, w tym świecie ludzie zawsze będą uważali cię za innego. Możesz uciekać albo możesz znaleźć sposób, żeby zostać. Ale nie będę się nad tobą litował. Nie będę cię rozpieszczał jak mama. Moje zadanie polega na tym, żeby cię uodpornić, żeby kiedyś zrobić z ciebie mężczyznę. Pewnie będziesz mnie za to nienawidził, ale potrzebujesz tego.

Odwraca się i rusza.

– Lekcje już prawie się skończyły, zabieram cię do domu. Mama źle się czuje, dlatego idź prosto do swojego pokoju albo pobaw się na podwórku, jasne? Kiwam głową.

Zostawia mnie przed domem i na pożegnanie rzuca groźbę:

– I lepiej, żebym więcej się nie dowiedział, że znowu uciekłeś ze szkoły.

Biegnę do domu. Pomijając świergot ptaków na dworze, panuje tu śmiertelna cisza. Nie czekają na mnie żadne przekąski. Mama nie siedzi tam, gdzie zawsze, z tym wyrazem troski, jaki pojawia się na jej twarzy, kiedy uciekam. Czasami choruje. Idzie do swojego pokoju i nie wychodzi przez długi czas. Tata musi robić nam obiad, a czasami Waverly'owie z sąsiedztwa mu pomagają. Bywają chwile, gdy mama dostaje coś, co nazywamy nerwicą. Oczy jej się rozszerzają, jedzie na farmę i szyje, i szyje, i szyje całymi dniami, nawet się nie kąpiąc.

Otwieram lodówkę, żeby coś zjeść, kiedy słyszę wycie. Ale nie wilka czy psa. Jest niższe i cichnie na moment, by zaraz znowu przybrać na sile. Odstawiam szklankę z mlekiem na szafkę i podążam za dźwiękiem do pokoju mamy. Wycie robi się głośniejsze, ale teraz brzmi bardziej jak odgłos wydawany przez ducha. Włoski na karku stają mi dęba, lecz i tak otwieram drzwi.

Leży na łóżku zwinięta w kłębek. Płacze. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś tak płakał. Wydaje takie odgłosy, jakby coś ją bolało, ale myślę, że ten ból znajduje się w środku. Tak jak mój.

Kiedy krzyki się nasilają, zaczynam się bać. Nie powinienem zaglądać, nie powinienem jej przeszkadzać, kiedy jest chora. Tata będzie się gniewał, a i tak jest już na mnie zły. Schodzę więc na dół, robię sobie kanapkę z masłem orzechowym oraz dżemem i zabieram ją na górę razem ze szklanką mleka. Siadam na podłodze pod jej drzwiami i jedząc, słucham, jak płacze. Nie wiem, dlaczego to robię, ale mam złe przeczucie i chcę się upewnić, że wciąż wydaje dźwięki. Jeśli przestanie, to będzie znaczyło, że stało się coś złego.

Na dole rozlega się trzaśnięcie drzwi.

– Sam?! – woła ojciec.

Miało go nie być w domu przez jakiś czas. Jestem tak zdenerwowany, że przewracam szklankę z mlekiem. Panikuję zawstydzony, że może mnie zobaczyć, i przerażony nadciągającymi kłopotami.

Wstaję, próbując pozbierać, co przyniosłem, gdy drzwi za mną nagle się otwierają.

– Sam? – pyta mama zduszonym głosem. Twarz ma różową i opuchniętą. – Jak długo tu jesteś?

Nic nie mówię, tylko patrzę na nią z troską.

– Chodź tutaj – mówi, ignorując bałagan, jaki zrobiłem, i łapiąc moją małą rękę. Zamyka za mną drzwi i pochyla się. – Wcześniej wróciłeś do domu. Znowu uciekłeś?

– Tak – przyznaję.

– Dzieci się z ciebie śmiały?

– Ta-tak.

Kręci głową ze smutkiem.

– Nie jesteś taki jak one, Sam. Zawsze będziesz inny. Jak ja. Świat jest zepsuty. Wiesz, chętnie bym z niego odeszła, gdyby nie ty. Poszłabym spać i więcej już się nie obudziła. Ale ty jesteś mądrzejszy od nich. Jesteś szybszy. Twoja rodzina jest ważna, a oni się tego boją, więc szukają twoich słabości. Ale ja cię ochronię, zobaczysz. Nawet twój tata jest taki jak oni, i twój brat też. Obronię cię przed potworami.

Drzwi otwierają się gwałtownie.

– Cholera, Sam. Co to za bałagan? Przecież ci mówiłem, żebyś zostawił matkę w spokoju, ona potrzebuje odpocząć.

– Sam może tu ze mną zostać.
– I patrzeć, jak płaczesz cały dzień? Nie, Gloria, odpoczywaj, a kiedy uda ci się wytrzymać poza łóżkiem więcej niż pięć minut, będziesz mogła wrócić do świata.
– Jesteś taki okrutny – szłocha matka.
– I znowu zaczynasz. Świat jest okrutny, wszyscy cię nienawidzą. Zamieniasz Sama w siebie, a ja na to nie pozwolę.
– Nienawidzisz mnie! – krzyczy.
– Przestań – odpowiada tata. – Przecież tu jestem.
– Obchodzą cię tylko pieniądze! Nic więcej się dla ciebie nie liczy!
– Jezu Chryste, jesteś w rozsypce.
Tata szarpie mnie za ramię i wyciąga z pokoju, a kiedy mama zaczyna głośniej płakać, zamyka drzwi.
Kuca obok mnie.
– Chcesz tak skończyć? – pyta, wskazując na drzwi sypialni.
Nie wiem, co mam powiedzieć. Mama to jedyna osoba, która jest dla mnie miła, ale nikt nie chciałby siedzieć sam w pokoju przez cały dzień. Odpowiadając „nie”, czułbym się tak, jakbym zwracał się przeciw niej.
– Zaufaj mi, nie chcesz. Więc idź się umyć i odrobić lekcje.
Popycha mnie i daje mi klapsa w pośladki, żebym zszedł na dół.
– Jezu, co za burdel – mamrocze do siebie, zabierając niedojedzoną kanapkę i patrząc na rozlane przeze mnie mleko.

VESPER

Od jego ostatniej wizyty minęła tylko jedna noc. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałam tak dobrze. Z pełnym brzuchem, otulona miękkim kocem patrzyłam, jak zmierzch zamienia się w noc. Przed oczami stawały mi wizje tego, co robił ze mną porywacz, ale wywołane nimi emocje wprawiały mnie w dezorientację. Nie chciałam zabawiać się sama ze sobą po tym, jak wyszedł, ale moje ciało domagało się zaspokojenia.

Kiedy kazałam mu przestać, mówiłam szczerze, lecz nie sądziłam, że naprawdę to zrobi. W końcu to oprawca, porywacz. Moje słowa nie powinny się dla niego liczyć, a mimo to czasami zdaje się o mnie dbać. Gdy przerwał, uświadomiłam sobie, że nie jestem pewna, czy naprawdę tego chcę. Dał początek fizycznej kaskadzie, która musiała zostać doprowadzona do końca. Teraz żołądek zawiązuje mi się w ciasny supeł na myśl o tym, jak rozsuwał mi nogi, pieścił piersi, pocierał całe ciało mokrymi, namydlonymi dłońmi. Lecz owo przyprawiające o mdłości uczucie sięga gdzieś głębiej – uczucie, że moje wstrząsane dreszczami ciało zdradza mnie samą i to, co uważałam za słuszne.

Świadomość, że robię coś zakazanego – tego właśnie szukałam, zamykając oczy, kiedy Carter był we mnie. Wyobrażałam sobie, że pozwalam, by mężczyzna, którego zobaczyłam po raz pierwszy, wziął mnie bez pytania. To właśnie takie myśli dawały mi przyjemność z seksu z moim słodkim Carterem. A teraz stały się rzeczywistością.

Gardzę sobą za myślenie o szerokiej piersi mojego porywacza, umięśnionej, błyszczącej od potu. O tym, jak jego charakterystyczny zapach budził we mnie coś zwierzęcego. Wciąż go czułam, gdy owinięta kocem osuwałam się w sen.

Nawiedzał nawet moje sny, tworząc z nich mieszaninę koszmaru i fantazji, w której pieprzył mnie, trzymając mi nóż na gardle. Obudziłam się z dłonią między nogami, robiąc sobie

dobrze. Doszłam znowu, a potem przespałam spokojnie resztę nocy.

Brzydę się swoją słabą wolą. Tym, jak przehandlowałam akt seksualny za jedzenie i koc. Wcześniej marzyłam o ujzeniu swojej rodziny, ale teraz obawiam się dnia ponownego spotkania. Nie dostaną z powrotem Vesp, tylko kurwę, która zabawiała się sama ze sobą po tym, jak zamaskowany nieznajomy spuścił jej się na twarz.

Minęło zaledwie kilka tygodni, a do mnie dotarło, że myślę o tym mężczyźnie częściej niż o Carterze. Mój chłopak stał się teraz odległym marzeniem. Ideą osoby, której nie zobaczę już nigdy więcej. Jest domem. Do myślenia o Johnnym nie mogę nawet się zmusić, to za bardzo boli. Mój nowy świat kręci się wokół człowieka, którego nie znam. Każda z moich podstawowych potrzeb zależy od jego kaprysu. Łatwiej jest myśleć o nim niż o świecie, który opuściłam.

Słucham jego kroków na górze. Gdyby tak każdy miał przywilej słyszeć swojego boga nad sobą... Od tygodni nie przeprowadziłam żadnej prawdziwej rozmowy, a on odzywa się tylko po to, żeby drwić ze mnie podczas seksu. A mimo to wciąż wyczekuję jego towarzystwa, cokolwiek się wydarzy. Nie robi mi krzywdy, nie bije, nie torturuje. Za to targuje się, zawiera umowy. Czasami mam wrażenie, że to gra. Zniosę wszystko, co pomoże mi przetrwać dni w tym mrocznym, wilgotnym więzieniu. Samotność to jedynie kolejna z wielu udręk.

Kiedy otwierają się piwniczne drzwi, wszystkie te spokojne myśli o nim ulatują. Wciąż mu nie ufam, pragnienie walki albo ucieczki zawsze odzywa się w pierwszej kolejności. Dopiero gdy poznam przyczynę jego wizyty, będę mogła jakoś okiełznać panikę.

Wstaję ze szczękiem łańcucha krępującego mi kostkę. To miejsce zawsze jest wrażliwe. Zastanawiam się, czy zdjęcie kajdan podlega negocjacjom. Drewno schodów skrzypi z każdym jego krokiem. Stawia je powoli, pewnie. Wcześniej zszedł tutaj po cichu, a więc tym razem głośność kroków jest celowa. Zupełnie jakby nawet tym chciał namieszać mi w głowie. Dzisiaj nie jest półnagi. Ma na sobie znoszoną koszulkę i dżinsy. Musi pracować na jakiejś budowie albo w podobnym miejscu, gdzie używa się podręcznych narzędzi. Na razie to jedyna rzecz, jaką udało mi się ustalić.

Otulam się kocem. Wcześniej byłam ciągle przed nim odsłonięta. Nic się nie zmieniło, ale koc daje mi iluzję autonomii.

Mija mnie, wynosi wiadro z nieczystościami i wraca, a potem zrywa ze mnie koc. Walczę, ciągnąc za jego drugi koniec.

– Powiedziałeś, że jest mój! – krzyczę.

Szarpięciem wyrywa mi go z rąk i rzuca na podłogę, sygnalizując, że koc ma jedno przeznaczenie i nie jest nim zakrywanie się przed jego wzrokiem. Jasne oczy odwzajemniają moje spojrzenie. Staram się je zbadać, dociec, co się za nimi kryje, ale nie potrafię. Kominiarka naciągnięta na twarz dodatkowo utrudnia mi zadanie. Ten człowiek zabrał mi wszystko, a ja nie wiem nawet, jak wygląda. Zastanawiam się, czy jest szansa, że pozwoli mi odejść, jeśli nie będę mogła go zidentyfikować.

Podchodzi bliżej, otacza mnie ramionami i przyciąga do siebie. Niczego mi jeszcze nie pokazał. Może tym razem jest tutaj tylko po to, by brać? Przesuwa dłoń w górę moich pleców i ciągnie mnie za włosy, by odsłonić szyję, wciska nos w obojczyk i się zaciąga. Jest już podniecony, przysuwa biodra do moich, żebym mogła poczuć, co zaraz nastąpi.

– Patrzyłem wczoraj, jak bawisz się swoją pizdą, Vesp – mówi groźnym tonem. Przełyka ślinę i bierze głęboki oddech, po czym muska ustami moje ucho.

– Teraz znam twój sekret. Na zewnątrz jesteś ślicznym aniołkiem, ale w środku... – Wstrząsa nim dreszcz. – W środku jesteś kurwą, którą lubi, kiedy tryskam spermą na jej cyci.

Te słowa bolą bardziej niż to, co robił ze mną fizycznie. W tamtej chwili, kiedy

pozwoiliam sobie na ów wstydlivy akt, myslalam, ze jestem sama. A on odarl mnie ze wszystkiego. Nie tylko z zycia, ktore wiodlam, ale i z podstawowego prawa do prywatnosci. Mowi takie rzeczy, ze czasami zastanawiam sie, czy potrafi czytac mi w myslach. Moze nie zostalo mi juz nic mojego.

Gniew zaczyna we mnie wrzec niczym lawa. Odkad sie tu znalazlam, jeszcze nigdy nie bylam tak wsciekla. Glodem i izolacja wymusza moje posluszenstwo. Zmienia mnie w zwierze. Lecz bardzo ludzkie poczucie wstydu wystarcza, by wywolac ogien i obudzic Vesper Rivers.

Chociaz trzesu sie w srodku, przywoleju na twarz odwazna minie w nadziei odzyskania przynajmniej odrobiny tej godnosci, ktora mi odebral.

– Co przyniosles mi dzisiaj? – pytam pewnym siebie tonem.

Pociaga mnie mocniej za wlosy, zeby lepiej widziec twarz. Dostrzegam w jego oczach dezorientacje zwiazana z zadany mu pytaniem.

– Postawie sprawe jasno: wszystko, co wydaje sie ci sie, ze widzisz, to jedynie moje proby zdobycia czegoś od ciebie. Nie masz nawet jaj, zeby pokazac mi swoja twarz. Jesteś zwyklym boogeymanem, nawet nie czlowiekiem. Nic z tego nie jest prawdziwe – pryham. – Tylko porwaniem i przekupstwem mozesz sprawic, zeby dziewczyna zrobila ci loda. Jesteś zalosnym podgladaczem, nikim wiecej.

Krzyczę ze zgrozy, widzac, jak czarne zenice pochlaniaja jasne teczowki, bo dociera do mnie, ze rozdraznilam bestie. Silne uderzenie o sciane pozbawia mnie oddechu. Usiluje wyrwac sie z kleszczowego uscisku jego ramion i ze wszystkich sil zaczerpnac powietrza. Szarpie sie, probuje uciec, ale on tylko mocniej dociska mnie do zimnego muru. Na czyi czuje lodowaty dotyk ostrza. Boli. Po raz pierwszy od dluzszego czasu jestem kompletnie przerazona, a serce wali mi tak mocno, jakby chcialo za wszelka cene wydrzec sie na zewnatrz.

– Chcesz grac w te pierdolona gre, Vesp? Chcesz mi klamac prosto w oczy? Dalem ci wybor. Obchodzilem sie z toba lagodnie. Pozwol, ze teraz ja postawie sprawe jasno: zamierzam uzyc twojego ciala na kazdy pieprzony sposob, jaki moge sobie wyobrazic. Bdziesz dla mnie krzyczec. Bdziesz blagac, zebym rznal cie w kazda dziure. Bo wlasnie tym jesteś, Vesp. Prezenty maja tylko ulatwic ci pogodzenie sie z tym, co nieuniknione. Nie masz nad tym kontroli, tak jak nie masz kontroli nad faktem, ze potrzebujesz powietrza czy wody. Wlamalem sie do twojego domu i wyruchalem cie, kiedy twój chlopak byl zwiazany jak wieprzek, a ty od tego czasu znajdujesz sie w swoim wlasnym popierdolonym kawalku nieba. Coś ci powiem, Vesp. Kiedy jesteś spierdolona jak ja, niebo i pieklo niewiele sie od siebie rozni.

Jeszcze nigdy nie powiedzial do mnie az tyle za jednym razem. Glos ma ostry jak odlamki szkla. Czuję, jak jego pierś drzy, przycisniete do mojej. Pomimo niezgody oddychamy w tym samym rytmie. Twardy kutas – wręcz rozochocony jego gniewem – wbija mi sie w brzuch.

Spojrzenie porywacza nagle traci moc, jakby sam byl zszokowany swoja tyrada. Do tej pory dbal, by nie mowic do mnie za wiele, jakby to byla jakaś zasada, ktora sam ustanowil, ale chyba ja zlamal. Odskakuje ode mnie jak oparzony.

Sięgam w dol, do kostki, syczac z bolu. Delikatna skora pekla, kiedy mnie pchnal, i piecze jak cholera. Na widok noza w jego rece probuje odsunac sie jak najdalej w obawie, ze to moze byc mój koniec. Tymczasem on kleka przede mna, czym wywoluje moje zdumienie. Z kieszeni wyjmuje klucz i uwalnia z kajdan moja stope. Odkad mnie tu zamknal, jeszcze nigdy nie zaznalam tyle wolnosci.

Kostka piecze nieznośnie, lecz jednoczesnie czuje sie lzejsza bez cięzkiego lancucha. Rozwazam probe uciezki, ale ten facet jest zatrwazajaco silny i szybki. Nosil mnie i rzucal jak szmaciana lalkę. Lepiej zdobyc jego zaufanie i znalezc lepsza sposobnosc. O ile oczywiscie przezyje kilka nastepnych chwil.

Nie mówi ani słowa, tylko zdejmuje koszulkę. Pierś unosi mu się i opada w nierównych oddechach, których dźwięk wypełnia ciszę piwnicy. Dziś nie będzie żadnych negocjacji. Nie mam już szans na opór. Mawia się, że można walczyć albo uciec, lecz istnieje jeszcze jedna opcja: gdy strach okazuje się tak paralizujący, że trzeba się podporządkować. W zasadzie jestem mu nawet wdzięczna, że po tej brutalnej demonstracji siły pozwolił mi złagodzić ból w kostce.

Rozpina spodnie i zsuwa je na podłogę. Umięśnione uda ma owłosione, a jego kutas pręży się, niezrażony moim zachowaniem. Podchodzi bliżej, ściskając rękojeść noża tak mocno, że bieleją mu knykcie. Sztywnieję w oczekiwaniu, a on jednym gwałtownym szarpnięciem zarzuca mnie sobie na ramię, jakbym była jego własnością. W jego uścisku nic nie ważę, jestem nieznacząca. Niesie mnie tam, gdzie nigdy nie sięgnęłabym z łańcuchem, do innej części piwnicy, w której widzę stół i pełno narzędzi. Przez głowę przebiega mi myśl o torturach i zacznę się szamotać.

– Błagam! Nie rób mi krzywdy! Zrobię, co tylko zechcesz! Tylko mnie nie krzywdź!

Stawia mnie na nogi, a ja błyskawicznie rzucam się do ucieczki. Zanim jednak udaje mi się zrobić dwa kroki, łapie mnie w pasie i z hukiem popycha na stalowy stół, a potem przyciska twarzą do lodowatej powierzchni. Wiercę się pod nim, ale jest ciężki jak gład. Przydusza mój policzek do stołu i kolanem rozsuwa mi nogi, po czym wykręca ręce za plecy i obwiązuje nadgarstki drapiącym sznurem.

– Pamiętasz to? – pyta ochryple, pracując nad więzami.

Łzy kapią na metalowy blat. Połyskujący nóż spoczywa jakieś pół metra od mojej twarzy. Czy to ostatnia rzecz, jaką zobaczę?

Mężczyzna owija koniec sznura wokół mojej szyi w taki sposób, że jeśli pociągnę rękami, zacieśnię pętlę na gardle.

– Przepraszam – szlocham. – Mówię prawdę! Wstydziałam się! Co miałam powiedzieć? Że mi się podobało? Wyszłabym na totalnie popierdoloną.

Nie reaguje, jak gdyby pogrążył się w transie, i dopracowuje wymyślne sploty.

– Możesz robić ze mną, co chcesz, tylko proszę, nie zabijaj mnie. Proszę...

Pociąga za sznur łączący moje ręce i szyję, tak że prostuję się dostatecznie, by mógł przysunąć usta do mojego ucha.

– Zamknij się, do chuja – szepcze.

– O Boże... – łkam.

Przesuwa rękę na mój tyłek i ściska z furją. Krzyczę zaskoczona. Potem w to samo miejsce uderza z taką siłą, że w piwnicy rozbrzmiewa głośny trzask. Skóra pulsuje palącym bólem. Gwałtownie wypycha biodra, przesuwając sztywnym kutasem po moich pośladkach i trzymając sznur jak końskie wodze.

– Mogę dostać to, czego chcę, na różne sposoby. Pozwól, że ci o tym przypomnę.

Wsuwa we mnie kilka palców, wodzi nimi po szparce. Idzie mu za łatwo. Nienawidzę tego, że jestem taka mokra. To potwór, ale jego gorące ciało przyciśnięte do moich pleców kontrastuje z zimnem panującym w piwnicy. Serce bije mu tak głośno jak mnie. Jest czymś – kimś – innym niż pusta, bezwzględna, betonowa skorupa, na którą zostałam skazana.

Chwyta za nóż, a ja skomlę, gdy przesuwa czubkiem wzdłuż mojego obojczyka, a potem w dół, do piersi. Staram się skurczyć, odsunąć od ostrza, lecz to daremny wysiłek. Przyciska czubek do mojego sutka, posyłając fale gorąca i strachu przez brzuch aż do łechtaczki. Schodzi dalej, sunie po wewnętrznej stronie uda, po czym przejeżdża po tętnicy udowej. Wie, że jestem pielęgniarką, że zrozumieję tę wiadomość.

Zaciskam usta, gdy spływają po nich słone łzy. Chcę błagać o litość, ale wiem, że to niczego nie zmieni. Nie odzywam się więc, a on odrzuca nóż na stół z takim łoskotem, że aż się

wzdrygam.

– A teraz powiedz mi coś, Vesp. Powiedz mi, jak się czuje twoja cipka – rozkazuje.

Dyszę tak ciężko, że trudno mi cokolwiek wykrztusić. Pociąga mocno za sznur, który wpija mi się w skórę na szyi.

Otwieram usta, ale uparte słowa nie chcą wydostać się na zewnątrz. Ściskają mnie za gardło, mój umysł krępuje ciało, walcząc z nielojalnością, jaką okazuje za każdym razem, kiedy ten człowiek mnie dotyka.

Znów dociska mój brzuch do stołu, zimna powierzchnia jest szokiem dla skóry. Ciepły język męczyzny i miękkie usta są równie przerażającą bronią co nóż, ponieważ bez żadnej groźby czynią ze mnie niewolnicę. Jęczę i wypycham biodra w odpowiedzi na ruchy jego języka. Ciało zaczyna tłumić protesty umysłu. Powoli stapiają się w jedno. Tu, w zimnej piwnicy, tak mało jest dobrego, tak niewiele momentów szczęścia czy przyjemności. Brakuje kontaktu, ciepła, ekscytacji. To niewłaściwe i doskonale o tym wiem. Mam po prostu słabą wolę, lecz mój umysł i ciało są takie znużone. Chcą jedynie przypomnieć sobie, jak to jest czuć spokój i nie toczyć ciągłej walki.

Pozwalam więc sobie osunąć się w stan obezwładniającego podniecenia. Nie tylko akceptować jego usta, lecz czynnie czerpać przyjemność z ich wędrówki. I gdy tylko to robię, potwierdza się moje podejrzenie, że ten człowiek potrafi czytać w myślach, bo przerywa i unosi mnie nieco ku górze.

– Powiedz, jakie to uczucie.

Budzi się moja дума, by stoczyć kolejną walkę. Akceptowanie doznań w milczeniu to jedno, podobnie jak zabawianie się ze sobą we śnie czy czerpanie przyjemności z dotyku jego języka. Ale mówienie o tym głośno to zupełnie coś innego. Zmuszanie mnie, bym odsłoniła uczucia i sekretne myśli, to całkowite odarcie z intymności i pozbawienie człowieczeństwa.

Moja cipka pulsuje, znów bliska orgazmu, podczas gdy ja powoli się staczam. Nie mogę tego zrobić.

Puszcza sznur, a ja lecę twarzą na stół. Słyszę dźwięk jego oddalających się kroków. Chce zostawić mnie tutaj – związaną nie wiadomo na jak długo, żebym nawet nie mogła sobie ulżyć i pozbyć się żaru, który wezbrał między nogami.

Odwracam do niego twarz. Odchodzi. Jego nagie, umięśnione plecy i pośladki są ocienione półmrokiem piwnicy. W dłoni trzyma błyszczące ostrze i przez chwilę wygląda jak starożytny wojownik.

– Zaczekaj! Nie idź, proszę!

Nie zatrzymuje się. Jest już blisko schodów.

– Było... Było mi dobrze. Tak dobrze – wykrztuszam przez ściśnięte gardło. Żołądek skręca mi się od mieszanki podniecenia i upokorzenia.

Zatrzymuje się, ale nie odwraca.

– Moja cipka pulsuje. Jestem cała rozgrzana i czuję się tak, jakby... jakby w moim kierunku nadciągała zimna fala, która lada moment... ma mnie zalać. Potrzebuję, żebyś to zrobił. Twoje usta... Tamtej nocy w moim domu prawie doszłam. Przerażało mnie to. Myślałam o tobie wcześniej, nie wiedząc, że to ty. Widziałeś mnie w bibliotece, prawda? Pomyślałam wtedy, że masz najbardziej niesamowite oczy na świecie. I fantazjowałam o patrzeniu w nie, kiedy pieprzyłam się z Carterem. Myślę, że jesteś totalnym pojebem. Ale może to nie ma znaczenia, bo jestem tutaj i... – Niemal krztuszę się swoim zduszonym głosem.

Podchodzi do mnie szybkim krokiem, podciąga za sznur na nogi i odwraca, a potem popycha na stół. Siedzę teraz na lodowatym stole z szeroko rozsuniętymi udami, tonąc w bezlitosnym spojrzeniu zimnych oczu.

– Chcę cię zobaczyć – mamroczę.

Kręci głową. Bez słowa chwyta za kutasa, po czym jednym szybkim pchnięciem zagłębia się gwałtownie w moją cipkę. Krzyczę głośno, gdy wypełnia mnie do końca. Cieszę się, że mam związane ręce, bo inaczej owinęłabym je wokół człowieka, który odebrał mi człowieczeństwo – a to byłaby ostateczna zdrada tego wszystkiego, co kiedykolwiek myślałam o sobie samej. Ale nogi mam wolne. Bez mojej zgody jedna z nich otacza jego ciepłe, nagie udo. Śliski tors mężczyzny ociera się o moje piersi, kiedy ostro mnie pieprzy. Jęczę, poddając się jego woli. Odebrał mi tak wiele rzeczy, że w tym momencie nie jestem już w stanie czuć przy nim wstydu. To on jest moim wstydem. Nawet to należy do niego.

Chcę zawołać jego imię, ale go nie znam.

– Kim jesteś? – jęczę.

– Nocą – odpowiada ochryple.

Pozwalam ciału skupić się na odczuwaniu jego ruchów w moim wnętrzu i opieram mu twarz na ramieniu. Upaja mnie ten uderzający do głowy zapach męskości. Pozwala mi zatracić się w Nocy bez pamięci. Silne męskie ręce powstrzymują mnie przed rozpadnięciem się na kawałki, kiedy z każdym kolejnym pchnięciem robię się coraz słabsza i bardziej bezwolna.

– Zaraz dojdę – dyszę.

Fala rozkoszy zbliża się nieubłaganie. Mężczyzna chwyta za sznur na moim karku i ciągnie w tył, tak że nasze spojrzenia się spotykają. Wyznałam mu, że wyobrażałam sobie, jak mnie pieprzy. Teraz mój oprawca daje mi do zrozumienia, że to nie jest fantazja, lecz rzeczywistość, sen, koszmar. Tak jak powiedział, może czasami to wszystko jest jednym i tym samym.

Orgazm zalewa gwałtownie moje zmysły, wypełniając przyjemnością każdy centymetr ciała. Kolejne pchnięcia przynoszą nowe impulsy rozkoszy, które niczym fale rozbijają się o mnie jak o przybrzeżny głaz. Jestem jak człowiek, który po przebyciu pustyni dotarł nad brzeg oceanu i rzuca się zachłannie, by pić słoną wodę, choć wie, że to może doprowadzić do jego śmierci. Ale nie dbam o nic, dopóki daje mi to natychmiastową ulgę.

Mężczyzna oddycha ciężko i wbija się we mnie głęboko, zmierzając do orgazmu, którego nie mógł osiągnąć tygodnie temu. Myślę, że to koniec. Że zaraz osunę się na podłogę ogarnięta winą, jaką czułam kiedyś po zabawianiu się z samą sobą przy nieprzyzwoitych magazynach mojego ojczyma. Ale on wychodzi ze mnie i szeroko rozsuwa mi nogi. Ciepła sperma powoli wypływa z mojego wnętrza niczym ostateczny znak, że zostałam przez niego oznaczona. Że zostawił swój ślad na zwierzęciu, które zdobył. Nabiera trochę na palec i wciera w moje sutki, pokrywa je dowodami brudnego seksu. Potem ssie mi piersi, usuwając wszelkie zanieczyszczenia.

To takie kurewsko nieprzyzwoite, takie obrzydliwe, a mimo to nie mogę powstrzymać się od pożerania go wzrokiem. Patrzę, jak odprawia rytuał przy ołtarzu całej tej popierdolonej sytuacji. Opuszcza głowę między moje uda i pieprzy ustami wciąż pulsującą cipkę. Wystarczy kilka sekund, bym znowu doszła. Zaciskam uda na Nocy, który mnie pożera.

– O Boże! – krzyczę, wiedząc dobrze, że tutaj nie ma żadnego Boga. A przynajmniej nie tego, do którego wieczorami zanosimy modlitwy. Jest tylko Noc.

Rozdział 8

VESPER

Nie jestem pewna, co mnie czeka. Patrząc, jak Noc – najwidoczniej tak będę musiała go teraz nazywać – się ubiera. Nie zdjął mi więzów i obawiam się, że to, co zrobiliśmy przed chwilą, wcale nie uciszyło jego gniewu. Że być może dwa potężne orgazmy były karą za moje pełne jadu słowa i jednocześnie nagrodą za posłuszeństwo. Może zostawi mnie w tym stanie na całe dnie, zmusi, bym od nowa pracowała na tę równowagę, którą dopiero co zaczęliśmy odnajdywać.

Nastał wieczór i wszystkim, co teraz widzę, jest sylwetka ubierającego się napastnika. Wzbiera we mnie wstręt i pociąg jednocześnie, choć wstręt nie jest skierowany wyłącznie wobec niego. Jeszcze nigdy nie zatraciłam się tak bardzo w drugim człowieku. Zachowujemy się jak dwa dzikie stworzenia polegające na instynkcie, pozbawione moralności. Odebrał mi wszelkie poczucie przyzwoitości i dosłownie nie mam już nic do ukrycia. Carter mnie kocha. Jest miły, słodki. Akceptuje mnie taką, jaką jestem. Ale czy na pewno?

Vesper musi być dobra. Musi być miła. Musi troszczyć się o wszystkich, bo inaczej kto by ją kochał? Matka miała dla niej niewiele ciepłych uczuć, a ojciec nigdy nawet nie zobaczył jej na oczy. Kto pokochałby dziewczynę, która jest brudna i nieprzyzwoita? Diablicę o wyuzdanych pragnieniach? Nie Carter. On kocha perfekcyjną Vesper Rivers. Normalną Vesper Rivers. Dopisało mi szczęście, że mogłam mieć takiego przystojnego, odnoszącego sukcesy narzeczonego. Proszenie o cokolwiek więcej byłoby zachłannością. Zawsze to rozumiałam.

Może Noc ma rację. Może zawsze się ukrywałam, starałam się być łatwa do pokochania poprzez dawanie innym tego, czego chcieli, nigdy nie prosząc o nic w zamian. Jak inaczej wyjaśnić to, że moje własne ciało mnie zdradza?

Kiedy jest już ubrany, zarzuca mi koc na głowę.

– Co... co ty robisz? – pytam przestraszona.

Obejmuje mnie i zmusza, bym poszła za nim. Po kilku krokach uznaje jednak, że łatwiej mu będzie przerzucić mnie sobie przez ramię. Owinięta kocem i wciąż związana nie mam pojęcia, co zamierza. Czy doszliśmy już do końca gry? Straciłam atrakcyjność po ostrym seksie? Zabije mnie i znajdzie sobie nową zabawkę?

Czuję kołysanie, gdy niesie mnie po schodach na górę. Drzwi otwierają się ze skrzypieniem, a ciepło wyższego poziomu sprawia, że pod kocem momentalnie robi się duszno. Wsłuchuję się w odgłos kroków, którego zwykłam słuchać spod podłogowych desek, w dźwięk otwieranych drzwi. I następnych. Chłodne powietrze. Granie świerszczy. Kompletna ciemność. Jesteśmy na zewnątrz.

– Dokąd idziemy? Powiedz... Błagam, nie rób mi krzywdy.

Nie walczę. W tej pozycji ledwo mogę oddychać. Jeśli zacznę wierzgać, zacieśni się pętla połączona z moimi rękami. Nasłuchuję, szukając wskazówek. Dźwięk trawy szeleszczącej pod butami. Świeży zapach natury, który czasami utrzymuje się na ubraniach Nocy. Nikła woń zwierzęcego odoru. Farma? To dlatego jego dżinsy bywają porwane i brudne?

Dopiero po chwili dociera do mnie, że znajduję się na zewnątrz po raz pierwszy, odkąd zostałam porwana. Miałam nadzieję, że mimo wszystko dam radę znaleźć jakieś wyjście, ale ostatecznie się nie udało. Nadal jestem jego więźniem. Zapachy i dźwięki tylko mnie drażnią, tak jak słońce przedzierające się przez maleńkie okna piwnicy. Kiedyś pierdolony koc był

najlepszym, co mi się przydarzyło, otulał mnie ciepłymi objęciami, usypiał i zabierał w świat erotycznych snów. Teraz to tylko kolejne więzienie, rozgrzane i przyprawiające o klaustrofobię.

Kiedy zaczynam panikować, że być może naprawdę idę na rzeź, rozlega się dźwięk otwierania kolejnych drzwi, a potem Noc stawia mnie na nogi. Odrzuca część koca tak, że odsłania jedynie moje więzy. Głowę mam nadal zakrytą i pokornie czekam, aż uwolni mi nadgarstki i szyję ze sznura. Jęczę z ulgi, czując chłodny powiew na podrażnionej skórze, po czym potrząsam rękami. Zabiera koc, ale jest tak ciemno, że równie dobrze mogłabym mieć zamknięte oczy.

Dostaję siarczystego klapsa, co zmusza mnie do zrobienia kroku w przód, tymczasem on otwiera kolejne drzwi. Staram się cokolwiek zobaczyć, lecz widzę wyłącznie atramentową czerni. Zapomina się, że tego rodzaju ciemność istnieje, kiedy spędza się noce wśród blasku ulicznych latarni i telewizorów rozświetlających okna w domach sąsiadów. Dobiegający zza drzwi chór świerszczy uświadamia mi, że musimy znajdować się pośrodku niczego.

– Dokąd idziesz? Czekaj!

Nie mogę uwierzyć, że proszę go, żeby nie odchodził, ale piwnica była moim kokonem, a teraz nagle wepchnął mnie między obce ściany i idzie sobie bez słowa. Niepewność wywołuje lęk nie do opanowania.

Naciska włącznik przy drzwiach i zamyka je z trzaskiem. Potem słyszę kilkakrotne szcęknięcie zamków. Jestem zbyt zdezorientowana nagłą jasnością, by dopytywać, dokąd się wybiera. Poza tym ogarnia mnie szok, gdy zdaję sobie sprawę, co widzę. Jestem w pozbawionej okien kabinie. W sumie wygląda bardziej jak szopa, ale została świeżo pomalowana na białe, włącznie z drewnianymi deskami na podłodze. Na wprost mnie stoi podwójne łóżko ustawione wezglowiem do ścianki działowej, porządnie zaścielone białym prześcieradłem i przykryte jasną kołdrą. Na niej leży bladoróżowa koszula nocna bardzo przypominająca tę, którą miałam na sobie, kiedy zostałam porwana. Obok spoczywają dwie gazety i liścik. Podbiegam do nich niemal tak szybko jak do pierwszego posiłku, desperacko pragnąc zrozumieć swoje nowe otoczenie.

„Oto Twój nowy dom. Oczekuję, że będziesz używać łazienki, by zawsze być dla mnie gotowa. Widziałem Twój pokój w domu. Nie masz tu zbyt wiele, więc liczę, że poradzisz sobie z utrzymaniem czystości. Może gdybyś nie zgromadziła tylu szpargałów, zauważyłabyś, co przestawiłem i zabrałem z Twojego pokoju tygodnie przed ostatnią wizytą”.

Wydaję zduszony okrzyk, przypominając sobie wisiołek w kształcie księżycy i zdjęcie. W najgorszych, najsmutniejszych chwilach, kiedy umierałam z głodu, myślałam o słowach babci. Mówiła, że patrzy na księżyc i myśli o mnie. Płakałam, marząc o tym, by móc ścisnąć w dłoni ten wisiołek, poczuć, że jedyna osoba, która kiedykolwiek mnie rozumiała, jakimś sposobem wciąż jest ze mną. Ten skurwiel musiał go zabrać.

„Jak zwykle Twoje posłuszeństwo będzie oznaczało przyjemne doświadczenia dla Ciebie. Możesz o nich zapomnieć, jeśli będziesz zachowywać się jak suka. Choć w sumie lubisz ostro, więc wszystko mi jedno. Tak czy siak, dostanę, czego chcę. Lubię, kiedy nie walczysz. Lubię też, kiedy to robisz. To dla Ciebie, nie dla mnie, chociaż przyznam, że masz pewne cechy, którymi mnie zainteresowałaś – ten rumieniec na Twoich policzkach, puszyste włosy, zdrowe ciało. Wolę, żebyś nie była zagłodzona i posępna. Ale to mnie nie powstrzyma, o czym zdążyłaś się już przekonać. Więc umówmy się, że w Twoim interesie będzie wykorzystać jak najlepiej czas spędzony tutaj. W moim interesie jest sprawić, żebyś nadal wyglądała jak dziewczyna, którą zabrałem. Jedz. Odpoczywaj. Jakość Twojego życia jest całkowicie zależna od Twoich decyzji”.

Początkowo ogarnia mnie gniew, a potem chichoczę, rozbawiona sardonycznym tonem listu, po czym rzucam go na łóżko. Jest dziwnie... ludzki. Przez cały ten czas Noc zachowywał się jak stereotypowy porywacz, do tego stopnia, że wydawał się wręcz jego karykaturą. Ale tutaj

widzę kawałek prawdziwego dupka. Zadowolony z siebie sukinsyn. Pośpiesznie łapię dwie gazety, o których nie wspomina w liście. Aż do chwili, kiedy pokazał mi w telewizji program o porwaniu, nie miałam pojęcia, jak reaguje moja rodzina czy świat zewnętrzny. Od tamtego dnia zaczęłam się zastanawiać nad jego intencjami. Mój werdykt brzmi następująco: ponieważ nie chce ze mną rozmawiać, a przynajmniej nie tak, jak normalny człowiek rozmawiałby z drugim człowiekiem, próbował w ten sposób uświadomić mi powagę sytuacji, w jakiej się znalazłam. Że jestem jego więźniem, że zna moją rodzinę i że policja zdaje się nie posiadać żadnych wskazówek odnośnie miejsca mojego pobytu.

Gazeta z lewej jest opatrzona datą dnia po porwaniu i przedstawia moje aktualne zdjęcie. Kilka miesięcy temu Carter zabrał mnie nad wybrzeże, gdzie zostaliśmy na noc. Fotografia w gazecie jest jedną z tych, które zrobiliśmy na urwisku. Wiatr smaga moje włosy, uśmiecham się.

„Studentka pielęgniarstwa porwana podczas przerażającego włamania”, głosi nagłówek. Przechodzę do artykułu i czytam o tym, jak Carter dał sobie spokój z próbą otwarcia drzwi sypialni, gdy zrozumiał, że związany nie zdoła się wydostać. Krzyczał i krzyczał, aż wreszcie sąsiedzi – ci sami, których próbowałam obudzić wrzaskiem, gdy mnie porywano – usłyszeli go rano, kiedy jeden z nich wyszedł przed dom po gazetę.

Służby mundurowe prowadziły desperackie poszukiwania. Podejrzewano, że padłam ofiarą Nocnego Drapieżnika. Pamiętam, że tamtego wieczora mówili o nim w wiadomościach, ale pomijając ten ulotny dreszcz, który czuje każdy, kto słyszy o grasującym w okolicy kryminaliście, nie myślałam o nim zbyt wiele. Na dobrą sprawę nie o nim jednym wspomniano w telewizji. Pomimo słonecznej pogody, pięknych domów i dobrze wychowanych sąsiadów Sacramento od jakiegoś czasu cierpiało z powodu plagi włamywaczy.

Nie wiedziałam wiele o jego zbrodniach, ale artykuł opisywał szczegóły. Przedstawiał schemat, który według ustaleń policji realizował mój oprawca. Okazało się, że działał od lat i w tym czasie mógł włamać się do dziesiątek, jeśli nie setek domów, przetrząsać je, zabierać drobiazgi i podglądać mieszkańców przez okna, aż w końcu jakiś roku temu zaczął atakować ludzi.

Coś takiego wymaga tupetu, jakiego brakuje wielu kryminalistom. Większości chodzi jedynie o przywłaszczenie czyjegoś dobytku, dlatego ograniczają możliwość konfrontacji do minimum. Włamanie do domu, w którym przebywają ludzie, to prowokowanie komplikacji.

Wzdrygam się mimowolnie, czytając o wyjątkowej brutalności jego zbrodni. Na myśl o tym, że w jakikolwiek sposób pozwalam sobie cieszyć się obecnością tego monstrum, ogarnia mnie niesmak.

To przez takich jak on boimy się nocy. Jest prawdziwym potworem, którego dzieci wyobrażają sobie w szafie albo pod łóżkiem. Dreszcz biegnie mi w dół kręgosłupa, kiedy myślę o tym, że znalazłam sposób, by w jakiś sposób czuć się komfortowo z tym człowiekiem.

Na wypadek, gdybym jeszcze nie czuła się dostatecznie źle, artykuł stwierdza, że to pierwszy znany przypadek porwania, ponieważ do tej pory włamywacz wolał nie zostawiać po sobie śladów. Może gdybym nic nie powiedziała, po prostu by uciekł? Może sama to na siebie ściągnęłam? Ale nie miałam wyboru, przecież groził Johnny'emu.

Rzucam gazetę sfrustrowana, zła na siebie i dręczona mdłościami. Gdybym bardziej uważała, może bym się zorientowała, że ktoś włamał się do domu. Gdybym zaczęła krzyczeć, kiedy zaświecił mi latarką w oczy, może wystraszyłby się i uciekł. Pozwoliłam mu zmusić się do związania Cartera. Tyle rzeczy mogłam zrobić wtedy inaczej.

Chwytam drugą gazetę i zerkam na datę. Jeśli jest dzisiaj, to oznacza, że minęły ponad cztery tygodnie. Nie mogę uwierzyć, że to już miesiąc. Ale jednocześnie daje mi to odrobinę nadziei – minęło tak wiele czasu, a ja wciąż żyję. Mogę to przetrwać. Tym razem

nagłówek na pierwszej stronie mówi o jakimś politycznym wydarzeniu. Przerzucam kilka stron w poszukiwaniu artykułów na temat tego, jak policja dokłada wszelkich starań, by mnie odszukać, zaś cały świat zatrzymał się w oczekiwaniu na wyniki. W końcu moją uwagę przykuwa krótka notatka: „Żadnych nowych śladów w sprawie zaginionej studentki pielęgniarstwa z Sacramento”. Szeryf hrabstwa Sacramento Hunter-Ridgefield twierdzi w nim, że służby wciąż pracują nad sprawą, ale zrezygnowano z poszukiwań na wielką skalę i wrócono do prowadzenia śledztwa w tradycyjnym stylu, opartego na dowodach z miejsca zbrodni i zeznaniach świadków. Podobno zrobiono tak, by uzyskać bardziej precyzyjne wyniki. Jak dla mnie to brzmi jak eufemizm na: „Nie mamy pojęcia, co robić”.

Poza tym w notce nie ma nowych informacji. Tekst traktuje raczej o tym, jak to Nocny Drapieżnik znów przechytrzył policję i że według wszelkich danych odkąd mnie porwał, nie popełnił żadnej nowej zbrodni. Wiadomo jednak, że i wcześniej zdarzały mu się okresy przestoju, więc wiele rzeczy w tej sprawie pozostaje niepewnych. Mimo to znajduję jedną wzmiankę, która sprawia, że serce na moment staje mi w piersi: „Matka Vesper Rivers zapytana, czy sądzi, że jej córka nadal żyje, wyznała, że straciła już nadzieję”.

Cztery tygodnie. Cztery pierdolone tygodnie, a ona już uznała mnie za martwą. Wreszcie jest wolna od córki, której nie planowała, pieprząc się z każdym facetem w komunie. Musiała zgadywać, kto jest moim ojcem, a on nawet nie brał pod uwagę zaakceptowania mnie, wiedząc, jak duże jest prawdopodobieństwo, że jestem córką kogoś innego. Była hippiską, ale nigdy nie chodziło jej o miłość i pokój, tylko o wolność od odpowiedzialności i od oczekiwań świata. Teraz wreszcie ma, czego chciała. Wyszła za lekarza, pozbyła się córki.

Dociera do mnie, że stałam się nieznaczącą wzmianką w gazetach. Wszyscy myślą, że gniję gdzieś na pustkowiu. Nikt już nie szuka żywej kobiety. Jediną osobą, która wie o moim istnieniu, dla której się liczę, choć w pokręcony sposób, jest mój porywacz.

Krzyczę sfrustrowana, w szale zgniatając gazetę w małą kulkę. Zaraz jednak rozwijam papier i drę go na kawałki, łamiąc tym zasadę, zgodnie z którą miałam utrzymywać swoje nowe lokum w czystości. Łzy płyną mi po policzkach, kiedy zdaję sobie sprawę, że muszę zaakceptować nową rzeczywistość. Może któregoś dnia mnie znajdą. Albo ucieknę. Ten dzień może nastąpić nawet jutro. Lecz jeśli w międzyczasie nie zaakceptuję teraźniejszości, zwariuję. Będę tak rozdarta i zdewastowana jak papier, który zaśmieca teraz jasną, pełną sęków podłogę z sosnowych desek.

Ocieram więc łzy, pochylam się i zbieram strzępy gazety. Już raz się dzisiaj zbuntowałam i myślę, że dosyć rebelii jak na jeden dzień. Czuję ból w mięśniach po tym, jak Noc był we mnie. Drzę na wspomnienie tego, co przeżyłam, by zaraz się skrzywić, zdjeta odrazą wobec własnej deprawacji i pożądania, jakie wzbudza ten mężczyzna. Chowam kawałki gazety pod łóżkiem. Jeśli ktoś kiedyś znajdzie to miejsce, a ja będę już martwa, może przynajmniej domyśli się, że tu mnie trzymano.

Popycham drzwi, za którymi znajduje się maleńka łazienka. Nie ma w niej kanalizacji, tylko prowizoryczne drewniane siedzisko, które, jak podejrzewam, prowadzi do wiadra pod spodem. Otwór jest za wąski, by precyzyjnie przejść przez niego choćby nogę, dlatego nawet nie rozważam ucieczki. Obok stoją dwie miski – jedna z wodą, a druga pusta. Ponad nimi, na niewielkiej drewnianej półce leżą złożone ręczniki. Na ścianie wisi małe wyblakłe lustro o fantazyjnym kształcie.

Widok własnej twarzy mnie szokuje. Jest wychudła, okolona zmierzwionymi włosami. Przez jasną szyję biegnie wyraźne czerwone rozcięcie – pamiątka po ostrym nożu. Przesuwam po nim palcem, po czym rozmazuję krew na policzkach i wargach jak makijaż. To tylko płytka ranka, nie zostanie po niej blizna. Wiem o tym, bo miałam takich wiele. Zostały wymazane z

pamięci, tak jak i ja z pewnością zostaną wymazana za kilka miesięcy.

Z góry zwiesza się sznurek i oczywiście pociągam za niego bezmyślnie, a wtedy z góry tryska na mnie woda. To coś w rodzaju prowizorycznego prysznicza. Woda nie jest gorąca, lecz dostatecznie ciepła, by nie wywoływać dreszczy, a ponieważ potrzebuję zmyć z siebie wcześniejsze czynności, znów pociągam za sznurek, by polał się na mnie strumień.

Prysznic, nawet tak prymitywny jak ten, to absolutny luksus. Zmywam krew i ślady brutalnego seksu, woda sprawia, że szczypią mnie otarcia na nadgarstkach i kostce. Za ręcznikami znajduję małe buteleczki, których wcześniej nie zauważyłam. Szampon i mydło w płynie. Pozwalam wodzie płynąć po skórze i myślę o tym uroczym małym mieszkanku, w którym się znalazłam. Zaczynam odczuwać coś na kształt wdzięczności, ale zaraz przywołuję się do porządku: „Przestań, Vesper. To miejsce niczym się nie różni od piwnicy czy klatki”. A jednak jest inne. Mógł trzymać mnie, gdzie tylko zechciał, ale postanowił wybudować to miejsce. Umożliwił mi umycie się. Dał miejsce bez okien, co oznacza, że jestem chroniona przed jego wścibskim wzrokiem. Odarł mnie z godności, lecz teraz oddaje mi ją w małych kawałkach. Jeśli będę odpowiednio się zachowywać, poradzę sobie.

Po myciu owijam się ręcznikiem i sięgam po niewielką starą szczotkę, by uczesać włosy. Po raz pierwszy od tygodni czuję się komfortowo. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale na razie tak wygląda sytuacja. Stara Vesper Rivers musi zostać ukryta, chroniona przez nową, by była w stanie wrócić, kiedy odzyska wolność. To walka o przetrwanie.

SAM

Wygląda jak te puzderka na biżuterię: piękna dziewczyna w otoczeniu pastelowych kolorów, uwięziona w małym, perfekcyjnym świecie. Nie wie, że wciąż ją widzę. Oczywiście zadbałem o to, żeby umieścić otwory do podglądania w całej kabinie. Przecież jestem sobą, do cholery.

Przeczytała artykuły i zaczęła płakać. Teraz rozumie, że to tylko kwestia czasu, aż większość środków zaangażowanych w jej poszukiwanie zostanie wycofana. Z każdym nowym incydentem będzie spychana na coraz dalszy plan. Widziałem, jak niemożliwe do rozwiązania sprawy nie dawały spokoju mojemu ojcu, ale nie można wiecznie koncentrować się na jednej osobie. W końcu policja dotrze do takiego punktu, że będzie potrzebowała błędu z mojej strony, by odnaleźć Vesper. A ja nie popełniam błędów.

Vesper rozumie, że jestem jedyną osobą, która może o nią zadbać.

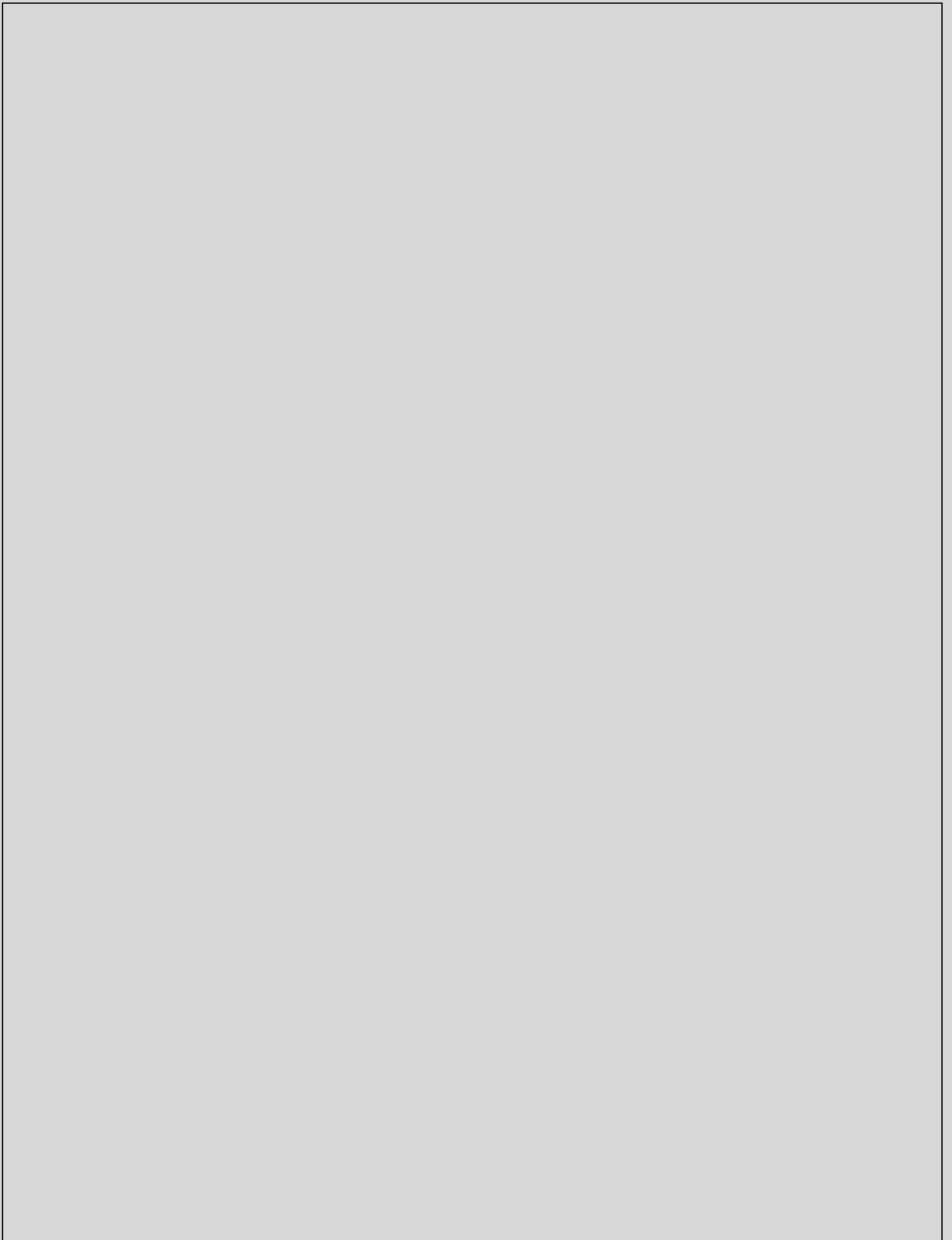
Tym razem nie zdradzę, że mogę ją widzieć. Nie powinienem był uświadamiać jej tego wcześniej, ale kiedy zszedłem do piwnicy, kiedy poczułem na sobie jej zapach i oczami wyobraźni znów zobaczyłem, jak wije się wśród jęków na podłodze, moje plany poszły się pieprzyć. Już zaczynałem płonąć w środku od żaru wniecanego przez te myśli, a potem ona musiała otworzyć tę swoją niewyparzoną buźkę i dolać oliwy do ognia. Miała czelność skłamać, więc musiałem ją upokorzyć.

Jestem wiecznie na krawędzi, usiłując utrzymać równowagę pomiędzy chęcią skrzywdzenia jej a pragnieniem, żeby ją zerznąć. To dlatego musiałem tak przyciskać nóż do jej szyi, dlatego pozwoliłem sobie na upuszczenie odrobiny krwi. Takie działania dostatecznie zaspokajają gniew, ale mogłbym dać się ponieść, a wtedy wszystko by się skończyło.

A tego nie chcę.

Kurwa.

Na tym właśnie polega problem z utrzymywaniem kogoś przy życiu. W takim samym stopniu stajesz się zakładnikiem tej drugiej osoby, w jakim ona jest twoim.



Rozdział 9

VESPER

Puk. Puk. Puk. Puk, puk, puk.

Budzi mnie ptak na świetliku w suficie. Nie zauważyłam tego wczoraj. Wciąż będę mogła zobaczyć słońce. Jak miło ze strony mojego oprawcy. Patrzę na ptaka, który dziobie szkło bez wyraźnego powodu.

– Próbuje dalej, ptaszku. Przekonasz się, że to nie ma żadnego sensu – burczę na głos.

Kiedy nie ruszam się z łóżka, promienie i białe ściany sprawiają, że czuję się prawie jak na wakacjach w lesie. Ale zmęczone mięśnie między nogami, na szyi i nadgarstkach oraz ból pleców po tym, jak popchnął mnie na ścianę, przypominają, że chwile takie jak ta to tylko iluzja.

Przywykłam do dni wypełnionych po brzegi niezliczonymi obowiązkami, nieustannie czułam się przytłoczona. Teraz po prostu leżę i czekam na Noc. Nie ma tu żadnych monottonnych zadań, żadnych przyziemnych zajęć. Moje przetrwanie zależy od najbardziej podstawowych rzeczy. Jedzenie, spanie, kąpiel – wszystko to zapewnia delikatną równowagę w tej pojebanej walce o władzę.

Z początku zmuszałam się, by nie myśleć o Johnnym. Zastanawianie się nad tym, jak sobie daje radę i co przegapiam, sprawia mi zbyt wiele bólu. Ale ostatnimi czasy mijają nieraz całe dnie, zanim myśl o nim przyjdzie mi do głowy. Walka o przetrwanie nie pozwala na takie luksusy. Całą energię muszę skupić na terażniejszości. Lecz kiedy Johnny zakrada się do mojego umysłu, to wciąż boli – nie dlatego, że za nim tęsknię, tylko z powodu poczucia winy, jakim napełnia mnie przyzwyczajanie się do świata bez niego. Może powoli zamieniam się we własną matkę? Ta myśl mnie przeraża, dlatego nawet w tych coraz rzadszych momentach, kiedy wspominam Johnny'ego, muszę odpędzać ją od siebie.

Tego ranka też tak jest. Siadam na łóżku, usiłując tym ruchem odgonić wspomnienia, i krzyczę z zaskoczenia na widok zakrytej kominiarką twarzy. Noc jak gdyby nigdy nic siedzi w kącie pomieszczenia, w absolutnie pustej ciszy, którą opanował do perfekcji. Nie mam pojęcia, jak długo na mnie patrzy. – Kurwa mać! – krzyczę, z trudem łapiąc oddech. Można by pomyśleć, że po tym wszystkim już nic nie powinno mnie zaskoczyć, ale ten numer nigdy się nie starzeje. – O mało się nie posrałam ze strachu!

To zabrzmiało, jakby był starym znajomym, jakby go to obchodziło, jakby wcale nie próbował straszyć mnie wszystkim, co robi. Mam bowiem nadzieję, że jeśli zacznę zachowywać się wobec niego poufale, dostrzeże we mnie osobę, a nie tylko zabawkę służącą zaspokajaniu chorych potrzeb.

Odgarniam z twarzy zbłąkany kosmyk, a moje serce zwalnia nieco. Wiem, po co przyszedł. Myślę, że zabawa w kotka i myszkę wczoraj dobiegła końca. Instynktownie krzyżuję nogi pod kocem, tym samym, na który kilka dni temu zapracowałam seksem oralnym.

– Jak długo tu jesteś? – pytam. Wiem, że to nie ma sensu, ale kiedy nie ma się z kim rozmawiać, człowiek próbuje nawiązać kontakt z kimkolwiek. Wskazuje na tacę, którą musiał tu przynieść. Zauważam jabłko, butelkę wody i kilka jajek. Jestem głodna, ale ostatnio karmi mnie dostatecznie często, żebym na widok jedzenia nie musiała zachowywać się jak dzikus.

– Dzięki – mówię niechętnie.

Wstaje, a ja wstrzymuję oddech. Może i nie używamy pieniędzy, ale tutaj nie ma nic za

darmo. Zauważam, że dzisiaj jest nieźle ubrany, przynajmniej w porównaniu z typową dla siebie spraną koszulką i porwanymi džinsami. Dziś ma na sobie koszulę, czyste džinsy i buty.

– Dobrze wyglądasz – dodaję, próbując podlizać mu się słowami, które wywołują w moim wnętrzu gwałtowny sprzeciw.

Nie odpowiada. Zamiast tego rozpina guziki. Paraliżuje mnie spojrzeniem i zmusza do posłuszeństwa. Powoli odkłada koszulę na zniszczone drewniane krzesło za sobą. Wodzę wzrokiem po białym podkoszulku podkreślającym mięśnie.

Ciężki but stuka głośno o drewnianą podłogę, kiedy robi krok w moim kierunku. Wiem, że działa z rozmysłem. Używa każdego narzędzia, z dźwiękiem włącznie, by stworzyć nastrój, jakiego potrzebuje. Potrafi nawet stać się duchem, jeśli ma na to ochotę.

Ale dzisiaj chce, żebym zarejestrowała napięcie towarzyszące każdemu krokowi. W tym małym pomieszczeniu potrzebuje zaledwie trzech, by stanąć przy mnie. Odrzuca koc, a ja wydaję zduszony okrzyk. Tak przywykłam do nagości, że zapomniałam, że wciąż mam na sobie koszulę nocną, którą mi dał. Sięga w dół, powoli wodzi dłonią po mojej brodzie, a potem łapie mnie za nią mocno, zmuszając, bym spojrzała w górę. Resztą palców przesuwając po świeżych zadrapaniach na szyi, potem zsuwa dłoń na dekolt.

Kiedy to robi, jest już twardy. Prowokujące wybrzuszenie na jego spodniach znajduje się zaledwie centymetry od mojej twarzy. Podciąga do góry brzeg dekoltu, by coś mi pokazać. Krew. Jedno z rozcięć musiało krwawić, kiedy spałam. Nie znam wszystkich zasad, nie wiem, czy to rozzłości go na tyle, żeby chciał wymierzyć mi jakąś karę. Wydaje się jednak, że nie zwraca na to większej uwagi, ponieważ pozwala, by koszula opadła z powrotem na moją skórę.

Zupełnie niespodziewanie łapie mnie za łydki i jednym pociągnięciem zsuwa na brzeg łóżka. Dyszę z przerażenia, a on klęka między moimi udami. – Przepraszam. Nie wiedziałam, że krwawię.

Nie zważając na to, co powiedziałam, pociąga brzeg koszuli i przesuwając palcami po moich wargach sromowych, sprawiając, że wije się w mieszance podniecenia i zakłopotania. Powtarzałam samej sobie, że muszę ukryć starą mnie, żeby jakoś przez to przejść, ale ona przedziera się na powierzchnię. Jeszcze nie pozwala mi kompletnie zatracić się w tym szaleństwie.

Noc cofa ręce i zaciska szorstkie dłonie na moich udach, a jego twarde spojrzenie mówi wszystko.

Kiwam głową.

– Co czujesz w cipce? – pyta.

– Uhm... Chcesz szczerej odpowiedzi?

Burczy twierdząco.

– Trochę mnie boli. Jesteś grubszy niż Carter. – Mówię prawdę, ale dodaję te słowa po to, by polechtać jego ego.

– Nigdy więcej nie wymawiaj tego pierdolonego imienia – syczy. – On nie istnieje.

Gorliwie kiwam głową.

Zwolna rozpina różowe guziki mojej koszuli nocnej, a materiał opada, odsłaniając piersi.

– Baw się cyckami – rozkazuje.

– O... okej.

Zamykam oczy, biorę głęboki, drżący oddech i zaczynam pieścić piersi. Z początku jestem zbyt zdenerwowana, żeby w ogóle cokolwiek poczuć, ale kiedy mój oddech się uspokaja, mogę skupić się na dotyku.

– Patrz na mnie – mówi.

Zwlekam chwilę, po czym wykonuję polecenie. Jest tutaj, wciąż przede mną, zmuszając,

bym spoglądała w jego oczy. W oczy, które zabrały mi wszystko. Które przywiodły mnie do głodu i brudu, a potem z powrotem do życia. Które mnie przerażyły. Które patrzyły, jak dochodzę tak mocno, że całym moim ciałem wstrząsały konwulsje.

Nienawidzę tego, że są takie piękne. Nienawidzę, że to oczy z rodzaju tych, w które możesz patrzeć godzinami, studiując niuanse ich koloru oraz to, jak odcienie zieleni, błękitu i złota zmieniają się wraz ze światłem. Jak ktoś tak przerażający mógł zostać obdarzony tak zniewalającymi oczami? Zatracam się w nich na moment, zwalniając ruchy dłoni.

– Nie przestawaj, Vesper. Zrobisz to tylko wtedy, kiedy ci powiem.

Kontynuuję więc, nie odrywając spojrzenia od jasnych tęczówek i dając przyjemność własnemu ciału. Tymczasem on sięga do kieszeni i wyjmuję małą szklaną figurkę. Rozsuwa moje nogi szerzej, tak że jestem przed nim odsłonięta, i wodzi spiczastym końcem po mokrych wargach.

– Chcesz, żebym cię zerznął – stwierdza z przekonaniem. – Twoja cipka otwiera się przede mną. Znowu chce połknąć moją spermę.

W pomieszczeniu panuje cisza, która sprawia, że wyraźnie słyszę własny oddech, nierówny i ciężki. Mężczyzna wodzi palcem wokół wejścia, a ja czuję się pusta. Rośnie we mnie pragnienie, by włożył palce do środka i zapełnił tę pustkę.

– Jeśli myślisz, że dzisiaj cię boli, to zaczekaj do jutra – szydzi. – Chcę twoich łez.

Usta mi drżą, kiedy desperacko staram się powstrzymać płacz, ale kiedy przewraca mnie na brzuch, szybko wycieram oczy w prześcieradło. Rozsuwa mi pośladki. Słyszę, jak spluwa kilka razy, a potem przesuwając mokrymi dłońmi po drugiej dziurce. Carter nigdy o to nie prosił. Nigdy nie badałam tego obszaru. Walczę o tlen, kiedy całym ciężarem wciska mnie w materac. Macham rękami, desperacko sięgając za siebie i chwytając tylko powietrze.

– Im mocniej będziesz się opierać, tym bardziej będzie bolało. Weź kilka oddechów. – Oстрым szarpnięciem za włosy unosi moją twarz znad materaca. Nieruchomieję, zdając sobie sprawę, że to próżny trud. Muszę się podporządkować. Nie poddaję się apelom starej Vesper o kontynuowanie walki i zaciskam palce na prześcieradle.

Dotyka szklaną figurką odbytu, początkowo nie naruszając wejścia. Potem powoli wsuwa ją do środka, a nacisk sprawia, że krzyczę w materac. Nie boli tak bardzo, jak przypuszczałam, ale to doznanie łamie moją duszę. Kilkakrotnie wsuwa i wysuwa przedmiot. Robi to zaskakująco delikatnie, aż nacisk ustępuje i doznanie staje się czymś, czego nie umiem do końca określić. Jest zupełnie nowe, mój mózg i ciało nie mogą się zdecydować co do werdyktu.

– Grzeczna, sprośna dziewczynka – mruczy.

To pierwszy raz, kiedy mnie pochwalił, co ku mojemu zaskoczeniu działa uspokajająco. Teraz wiem, że zrobiłam coś, dzięki czemu jest ze mnie zadowolony. Noc przewraca mnie z powrotem na plecy i wstaje. Widzę, jak jego kutas wciąż sterczy mu w spodniach.

– Nie wyjmiesz sobie tego z tyłka. Nie wolno ci dojść pod moją nieobecność. Tylko ja mogę pieprzyć tę cipkę, usta i dupę. Możesz bawić się cyckami, możesz robić cokolwiek, ale nie dochodzić. Będę wiedział, jeśli to zrobisz. I sprawię, że będziesz krwawić. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Siedzę na łóżku osłupiała, nie mając pojęcia, jak niby mam spędzić cały dzień z tym czymś we mnie.

– Odpowiedz mi, Vesper.

– Tak jest – mamroczę.

Spogląda na moją twarz i podchodzi bliżej.

– Polubisz to – mówi tak, jakby chciał mnie pocieszyć.

Nie sądzę, żeby miał na myśli dzisiejszą noc albo po prostu seks z nim. Chodzi mu o to,

co się wokół mnie dzieje. O to, że w końcu polubię życie w klatce. Co za szalaniec zabiera człowieka z jego domu i wierzy, że ten ktoś w końcu zaakceptuje nową rzeczywistość?

W tym momencie zdaję sobie sprawę z jego słabości. On święcie wierzy, że pewnego dnia będę chciała tu być! Jeśli zdołam go o tym przekonać, być może dostanę szansę na odzyskanie wolności.

SAM

– Proszę, Sam.

Katie z ciepłym uśmiechem podaje mi piwo. Scoot wygrał. Nie chcę, żeby zaczął węszyć, więc muszę go odwiedzać i przekonywać, że jestem doskonale funkcjonującym członkiem społeczeństwa.

– Dzięki – odpowiadam, odwzajemniając uśmiech.

Opieram się wygodniej na huśtawce i obserwuję, jak Scoot bierze piwo od żony. Katie jest według mnie w porządku. Naprawdę stara się, żebym ją polubił, ale nie rozumie, że ja generalnie nie zwykłem lubić ludzi. Nie gardzę nią, a to oznacza, że osiągnęła maksimum mojej sympatii.

– Kolacja była py-pyszna.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Zaraz wracam.

Zostawia nas z piwem na werandzie.

– Widzisz? Nie jest tak źle, co? – pyta.

– Ni-nigdy nie mó-ó-ówiłem, że jest.

– Brzmisz znacznie lepiej, niż kiedy widziałem cię ostatnio.

„To dlatego, że teraz nie napadłeś mnie krótko po nieplanowanym porwaniu”, myślę i wzruszam ramionami. Za każdym razem, gdy ktoś zwraca uwagę na mój problem z wymową, nawet komplementując jego zanik, sprawa się pogarsza. Scoot i ojciec zdawali się nigdy nie zrozumieć tej prostej zależności. Po drugiej stronie ulicy na trawnik wychodzi kobieta w mikroskopijnych szortach i obcisłym topie. Nie ma na sobie stanika, jej sutki odznaczają się przez materiał.

– Taaa – wzdycha Scooter. Wprowadziła się tu kilka tygodni temu. – Boże, błogosław Amerykę

. – M-m-ma męża? – pytam.

Przyzwyczajenie sprawia, że chcę znać każdy najdrobniejszy fakt o innych ludziach. Zapisać go w pamięci, by móc wrócić do niego później, na wypadek gdybym miał ochotę złożyć komuś późną wizytę.

– A co, jesteś zainteresowany? – pyta brat z pewną dozą zaskoczenia.

– Nie. Ty-tylko nie chcę, żeby je-e-ej mąż skopał nam dupy.

Scoot śmieje się serdecznie.

– Musisz użyć specjalnej techniki. No wiesz, udawaj, że patrzysz na krzaki przy jej trawniku albo na dzieciaki na ulicy. I obczaj ją kątem oka. Szturcza mnie ręką, w której trzyma piwo. Wydaje mu się, że może dawać mi rady odnośnie podglądania ludzi.

Tak, gorąca z niej sztuka jak na laskę po czterdziestce. Wie o tym. Pewnie zawsze była seksowna i karmiła się uwagą otoczenia. Czuje, że na nią patrzymy. To typ kobiety, która to lubi. Pochyla się, nieco bardziej wypinając tyłek i piersi. Wolę patrzeć na te, które naprawdę tego nie zauważają. Które uśmiechają się, gdy przyjemna myśl przyjdzie im do głowy. Które nie widzą, że ramięczko topu zsunęło się z ramienia. Które rozbierają się przed lustrem i oglądają swoje nieskazitelne ciało, szukając wad widocznych tylko dla nich. W miejscach publicznych jednak

nawet te najskromniejsze wiedzą, że w jakimś stopniu są obserwowane. Dlatego właśnie robię to, co robię – by pozbyć się tej zbędnej warstwy samoświadomości między nami. Najbardziej intymna relacja pomiędzy dwiema osobami zachodzi wtedy, gdy jedna nie wie, że druga ją obserwuje.

Nagle sąsiadka podnosi wzrok. Scoot i ja z wprawą udajemy, że wcale o niej nie rozmawialiśmy.

– Hej! – woła, machając ręką.

Przenosi spojrzenie na mnie, odstawia konewkę i przechodzi przez ulicę. „Kurwa. No ja pierdołę”, napinam się dramatycznie, co nie uchodzi uwadze Scoota.

– Wszystko okej, stary. Wyluzuj, ona jest miła.

„Nie każ mi się wyluzować. Nie umiem się, kurwa, wyluzować!”, myślę. To nigdy nie zadziałało, a mimo to on zawsze stawia mnie w takim chujowym położeniu.

– Heeej! Jak się masz? – odzywa się kobieta do Scoota.

– Dobrze, Milly. Ogarniasz ogród?

– Tak, stwierdziłam, że zrobię to przed dzisiejszą imprezą.

„Imprezą?”

Scoot spogląda na mnie zmieszany.

– Znaczy wiesz... To nie żadna impreza, tylko takie tam małe posiedzenie przed domem... – tłumaczy.

– A to kto? – Milly porusza palcem w górę i w dół, a przesadny seksapil aż się z niej wylewa.

– Och, to mój brat Sam.

– Miło cię poznać, Sam – mówi, wyciągając do mnie skierowaną ku dołowi dłoń, jakby była jakąś damą.

Kiwam głową i ściskam lekko jej palce.

– Mieszkasz niedaleko? – pyta.

Gardło zaciska mi się, po skroni spływa kropla potu. Nie mam jak wydostać się z tej sytuacji.

– T-t-t-t-ta-tak.

Milly przekrzywia głowę, a jej uśmiech błędnie nieznacznie.

– Oooch, to fajnie.

Widzę to w jej oczach: próbuje ustalić, co, do chuja, jest ze mną nie w porządku. Myśli, że mam coś nie tak z głową. Tak samo jak dzieciaki w szkole.

– Przeprowadziłam się tutaj dopiero kilka tygodni temu z Savannah w Georgii. To była poważna decyzja – gładko zmienia temat.

– Milly zaczyna tu od nowa – dodaje Scoot.

– Rozwód – potwierdza kobieta, wystawiając język i udając, że ciągnie za niewidzialną pętlę na szyi. – Mówią, że Kalifornia to miejsce, gdzie chce się zacząć nowe życie.

– Wszyscy tu uciekają – potwierdza Scoot, kierując rozmowę tak, żeby nie dotyczyła mnie. – Ale nasza rodzina pochodzi właśnie stąd, mieszkamy tu od pokoleń. Niemal tak długo, jak istnieje sam stan.

Kiwam głową, by zachować chociaż szczątkowy udział w konwersacji.

– Scoot! – woła Katie z domu. – Możesz przyjść na chwilę?

– Zaraz wrócę – odpowiada brat w napięciu, dobrze wiedząc, że prędzej dałbym się podpalić, niż kontynuował tę rozmowę w pojedynkę.

Milly opiera się o drewnianą kolumnę, czekając, aż coś powiem. Ale nie mogę, bo wtedy będzie jeszcze gorzej.

– Scooter zaprosił mnie na imprezę, ale nie wspominał, że ma brata – mówi z rozbawieniem, trącając moje kolano.

Śmieję się nieśmiało. Przy Vesper mówię wyraźnie, tak często jak nigdy do tej pory. Nie muszę już czekać na nowy dom, żeby poczuć wyrzut adrenaliny, który nastraja mnie jak idealnie dopasowana częstotliwość w radiu. Moja intonacja zawsze brzmi dziwnie, słowa się rwą, ale kiedy jestem skupiony na przetrwaniu, seksie czy gniewie, działa to tak, jakby ktoś ustawił tuner w odpowiednim miejscu, a słowa wydostają się z moich ust niczym idealna melodia.

– No nic, lepiej dokończę pracę w ogrodzie – ustępuje w końcu Milly.

Uśmiecham się i kiwam głową.

– Widzimy się później?

Znów kiwam głową i macham do niej przyjaźnie. Odwzajemnia gest, po czym obraca się na pięcie i wsuwa ręce w kieszenie. Kołysze biodrami, przechodząc przez ulicę. Świeża rozwódka na łowach. Wyczuwam desperację.

W każdym innym momencie mojego życia już opracowywałbym plan włamania się do tego domu i sprawienia, by pożałowała całej tej uwagi, o którą tak walczy. Ale wszystkim, o czym potrafię teraz myśleć, jest śliczna dziewczyna z rozepchniętym tyłkiem, czekająca, aż ją zerżnę.

Scot zapomniał nadmienić, że rodzinna kolacja, na którą mnie zaprosił, miała rozwinąć się w imprezę dla całego sąsiedztwa. To takie dla niego typowe: zawsze udaje, że się przejmuje, podczas gdy wcale tak nie jest. Prawdę mówiąc, w ogóle mnie nie zna ani nie rozumie. Myśli, że jeśli będzie mnie szturchać i naciskać, w końcu stanę się taki jak on. Wie, że to mój koszmar: spotkanie towarzyskie, na którym muszę mówić do grupy ludzi, z czego większości nigdy wcześniej nie widziałem. Jeśli wyjdę zbyt wcześnie, Scot przyjedzie mnie przeproszać, a to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję.

Na domiar złego kilku policjantów z okolicy, z którymi przyjaźni się Scooter, też wpadło na dzisiejszą kolację. Nie obawiam się, że odgadną, kim jestem. W sumie kiedy mam z nimi do czynienia, ogarnia mnie rozbawienie i ekscytacja na myśl, że nie mają bladego pojęcia o tym, co robię. Kto mógłby wpaść na to, że młodszy brat Scoota jest Nocnym Drapieżnikiem? Policjanci przypominają mi jednak o ojcu, dlatego wolałbym ograniczać kontakt z nimi do minimum. W ich towarzystwie ciągle nadstawiam uszu, przysłuchując się pogawędkom, ale ten jeden raz, kiedy pojawił się temat pracy, Katie wtrąciła się i zakazała rozmów na tematy zawodowe.

Wiem, że pewnie powinienem wykorzystać tę okazję, żeby się z nimi zaprzyjaźnić, lecz do tej pory zawsze traktowałem ich z rezerwą, więc taka nagła zmiana mogłaby wydać się podejrzana. Lepiej się nie wychylać. Jakaś pozornie niewinna informacja mogłaby mi się wymknąć i pograć mnie całkowicie. Mógłbym przyznać, że znajdowałem się nieopodal miejsca zbrodni konkretnego dnia albo powiedzieć o Nocnym Drapieżniku coś, co może wiedzieć tylko on sam. Niektórzy z tych kolesi są jak jastrzębie – zawsze gotowi do polowania. Więc podczas gdy wszyscy piją i zacieśniają towarzyskie relacje, ja chowam się na górze, gdzie bawią się dzieci. Jak jakiś pierdolony dziwak. Teraz jestem jąkającym się zjebem, który na imprezach siedzi z dziećmi. Kurwa, przejebane.

Gdy na niebie zaczynają pojawiać się odcienie czerwieni, dochodzę do wniosku, że grałem w tę grę dostatecznie długo, i mam nadzieję na szybką ewakuację. Schodzę na dół, by wyrzucić na podwórze. Widać jak na dłoni, że wszyscy są porobieni. Płoną ogrodowe pochodnie, w powietrzu unosi się dym papierosów i marychy. Zawsze mam wrażenie, że po służbie gliniarze tracą węch na tych bibach. A mieszkańcy przedmieścia z pewnością lubią w weekendy trochę sobie pofolgować. Zastanawiam się, czy powinienem zaryzykować opuszczenie imprezy bez

pożegnania.

– Saaaam! – słyszę za sobą bełkotliwy głos Milly.

Wzdycham ciężko, po czym odwracam się do niej ze sztucznym uśmiechem i ku swojemu zaskoczeniu widzę, że otacza ramieniem Scootera, chwytając się na wysokich obcasach. Zastanawiam się, czy brat już ją przerznął.

– Hej, gdzie ty byłeś, do diabła? – pyta Scoot z rozbawieniem. – Właśnie miałem zabrać ją do domu, trochę za bardzo się ubzdryngoliła. Może odprowadziłbyś ją zamiast mnie?

Mruga tak, żeby Milly tego nie zobaczyła.

– Ja-ja-ja właśnie wy-y-y-chodziłem.

– Och, daj spokój! Odprowadź mnie! – mówi kobieta, rzucając mi się w ramiona. – Twój starszy brat tyle mi o tobie opowiadał. Mam wrażenie, że już cię znam.

– Dzięki, Sam – odzywa się Scooter, celując we mnie palcem jak z pistoletu, i wycofuje się, zanim zdążę zaprotestować.

Milly jest pijana, spod topu wyziera jej jeden sutek. Napawa mnie to odrazą. Scoot myśli, że dzięki niemu będę mógł łatwo zaliczyć, ale nie chcę takich odpadów. Ta kobieta tylko opóźnia dobranie się do delikatesu, który czeka na mnie na farmie. A teraz utknąłem z nią tutaj i muszę udawać dżentelmena.

Ostrożnie przeprowadzam ją przez ulicę.

– Wiesz co? Chcę ci coś pokazać – mówi, z rozbawieniem ciągnąc mnie pod boczną ścianę, w głęboki cień.

Zatrzymuje się, ale ja nie widzę niczego szczególnego, co mogłoby mnie zainteresować. Jesteśmy zupełnie sami, podczas gdy większa część sąsiedztwa bawi się u mojego brata. Milly popycha mnie na ścianę i napiera całym ciałem. Sięga do kieszeni, wyjmując jointa i zapala go.

– Masz bucha – szepcze psotnie.

Biorę skręta do ust, ale się nie zaciągam. Nie chcę mieć teraz zamglonego umysłu.

– Chuchnij mi dymem. – Przyciska ciało do mojego.

Wzruszam ramionami, biorę kolejnego bucha i dmucham jej dymem w twarz. Układa usta w dzióbek i wciąga go, przysuwając się bliżej, coraz bliżej, aż jej wargi dotykają moich. Odsuwa się, po czym posyła mi uśmiech.

– Jesteś naprawdę słodki. Te twoje oczy... Zauważyłam je aż z drugiej strony ulicy. – Chichocze.

Przesuwa dłonią w górę mojej ręki, a potem po twarzy. Dotyka mnie tak, jakby miała do tego prawo. Zaciskam pięść, powstrzymując się od chwycenia jej za gardło.

– Lubię twoje blizny. Sprawiają, że wyglądasz na twardziela. Co ci się stało? Twój brat mówił, że to był wypadek, ale nie wdawał się w szczegóły – mówi, rozpinając mi pasek.

To nie jest jej pierdolony interes, a moje blizny nie są żadną ciekawostką.

Mój fiut jest twardy, lecz to dlatego, że wciąż czeka na ciąg dalszy zabawy, którą zacząłem z Vesp dziś rano i nawet najlżejszy kontakt stawia go na baczność.

Milly całuje mnie w szyję.

– Wiesz co, Scoot mówił mi o twoim jąkaniu. O tym, jak robisz się nerwowy przy kobietach i że przez to stałeś się niemal niemową. Nie rozumiem tego, przecież jesteś taki cudowny. Kto by się przejmował, co masz do powiedzenia? Ale tak czy siak, uważam za słodkie, że jesteś taki nieśmiały.

Myśli, że to wszystko jakiś pieprzony żart. Moje zaburzenia mowy. Moje blizny. Zupełnie jakby to wzięło się znikąd. Jakby bliznom nie towarzyszyło wspomnienie agonii. Jakby nie miało znaczenia, że przez całe życie nikt nie bierze mnie na poważnie, bo złożone myśli w mojej głowie stają się porwanymi strzępami, kiedy docierają do ust. Teraz obie dłonie mam

zaciśnięte w drżące pięści, żar na końcu jointa parzy mnie w rękę, po czym gaśnie. Oddycham coraz głębiej, podczas gdy ona ociera się o mnie leniwie. Pachnie słodkimi perfumami, piwem i papierosami.

– Wiesz co? Mam to w dupie – mówi uwodzicielskim tonem, przesuając palcem po szorstkiej skórze na moim ramieniu. – Nadal jesteś seksowny – dodaje, ściągając mi spodnie. – Ho, ho, ho!

Wybucha śmiechem na widok mojego fiuta. Łapię ją za włosy tuż przy skórze.

– Co cię, kurwa, tak śmieszy? – pytam.

Bestia wydostała się na zewnątrz. Nie powinna. Nie tutaj. Nie tak blisko domu Scoota. Milly sztywnieje w reakcji na mój chwyt. Jej leniwy oddech nagle się urywa.

– Nic – odpowiada trzeźwo. – Znaczy... jest fajny. Zaskoczyło mnie, że jest taki, no wiesz... gruby – mówi jak dziecko, które próbuje usprawiedliwić swoje głupie zachowanie.

– Myślisz, że to wszystko jest zabawne, co? Chcesz opowiedzieć swoim znajomym z Południa, jak to zrobiłaś loda dwudziestoparoletniemu jąkale, który wygląda, jakby go ktoś włókł za ciężarówką?

– Ja, uhm... Ja nie...

– Więc zrób to – mówię, popychając ją na kolana i wsadzając jej kutasa w usta. Zobaczymy, czy teraz będzie się śmiała.

Z początku się opiera, ale tylko przez chwilę. Miałem do czynienia z wojowniczkami, lecz ona do nich nie należy. Odpręża się w końcu i zaczyna przesuwać ustami po moim fiucie. Usta to usta, doznanie jest przyjemne, ale nie chcę tego. Zaplanowałem już idealną scenę. Czekają na mnie lepsze usta i cipka, perfekcyjne. Dziewczyna o czystych oczach, a nie zapijaczonych i mętnych. Skromna, nie jak ta wywłoka, która oczekuje, że każdy facet będzie prawil jej komplementy, ogłupiony seksapilem. Ktoś, kto jest subtelny i czuły, a nie tępy jak stołowa noga.

– Opierdol się ode mnie – syczę, odpychając ją.

– Co? – pyta, ocierając ślinę z brody.

Nieco zaskakuje mnie, że jest zdolna do oporu.

– Idź obciągnąć Scootowi, ja nie mam ochoty. Jesteś męcząca i żałosna.

Rzucam jej jointa w twarz.

Odpełza i z trudem podnosi się z kolan, a potem chwiejnym krokiem cofa się w światło latarń, tak że widzę tusz do rzęs płynący jej po policzkach. – Co jest z tobą nie tak, do chuja? – syczy. – W jednej chwili jesteś miły i nieśmiały, w drugiej zmieniasz się w pieprzonego zbrojeńca. – Kołysze się nieco, ale w końcu odzyskuje równowagę. – Wiesz co? Powinieneś mnie błagać! – wrzeszczy.

– Zamknij tę jebaną mordę – pryham, znacząco celując w nią palcem.

– Pierdol się. Jesteś żalosny. Boisz się nawet rozmawiać z dziewczynami – drwi ze mnie dziecinnym głosem. – Byłam dla ciebie miła, wiesz? Widziałam, że twój brat próbował nas spiknąć. Pierdol się, zboku!

Powiniennem odejść. Na imprezie po drugiej stronie ulicy siedzą gliniarze po służbie, ale ta kobieta zachowuje się zupełnie tak, jakby miała podręcznik pod tytułem Jak wkurwić Sama i krok po kroku wprowadzała w życie każdą pierdoloną zasadę. Łapię ją za przedramię i wciągam z powrotem w ciemność, a potem rzucam na ścianę. Chwytam za szyję i ściskam, ściskam, ściskam, robię to, co zawsze chciałem zrobić każdemu, kto kiedykolwiek odezwał się do mnie w ten albo podobny sposób. Chcę, żeby się zamknęła. Kazałem jej milczeć, a ona nie posłuchała. Nie prosiłem się, żeby ssła mi fiuta. Nie potrzebuję jej litości. Nie potrzebuję niczyjej litości. To ja powinienem litować się nad nimi, rządzić nimi. Grasuję po ich pierdolonych ulicach, a oni

nawet o tym nie wiedzą.

Z początku walczy, drapie, charczy, w końcu jednak zaczyna słabnąć w moim uścisku. Wiotczeje i osuwa się niżej, tam gdzie jej miejsce. Myślała, że robi mi pierdoloną przysługę, jakbym był obiektem jakiejś cholernej akcji dobroczynnej. Ale teraz jestem dla niej bogiem, mam w rękach każdy jej oddech. Patrzę w oczy, szeroko rozwarte i pełne błagania. Nie mam najmniejszej ochoty puszcząć.

Dzieciaki brata z wesołym wrzaskiem wybiegają z domu, co wrywa mnie z transu. Rozluźniam uścisk na szyi Milly, a ona gwałtownie wciąga powietrze. – Ciiii! – Pochylam się nad nią z palcem na ustach. – Słuchaj uważnie. Wiem, gdzie mieszkasz. Nie jesteś stąd, a ta okolica to mój dom. Moje pierdolone miasto. Wiesz, kim jesteśmy. Nikt ci nie uwierzy, bo wychodząc z imprezy, wyglądałaś jak najebana idiotka. Ja jestem synem tego miasta. Jeśli komukolwiek opowiesz tę historię, nie pożyjesz dostatecznie długo, żeby móc ją powtórzyć. Jasne?

Gorączkowo kiwa głową, ale wciąż trzymam dłonie na jej szyi, wciąż mam ją pod kontrolą.

– Nadal brzmię tak, jakbym bał się kobiet, dziwko?

Kręci głową, jak gdyby starała się błyskawicznie reagować na moje słowa.

– Teraz zapnij mi rozpiorek i pasek.

Robi, co każe, podczas gdy ja wciąż zaciskam palce na jej szyi. Odprowadzam ją do tylnych drzwi. Ledwie jest w stanie utrzymać się na nogach, roztrzęsiona jak wibrująca struna. Otwiera drzwi drżącą ręką.

– Naprawdę powinnaś zamykać je na klucz, kiedy wychodzisz – sugeruję cierpko.

Potyka się w progu i próbuje szybko zatrzaskać za sobą drzwi, ale zatrzymuję je dłonią. Wzdryga się, patrząc mi w oczy. Kładę palec na ustach w ostatnim przypomnieniu, a potem przejeżdżam kciukiem po gardle i uśmiecham się chytrze, pozwalając, by drzwi w końcu się zamknęły.

Opuszczam podwórze, napięty i wściekły. Tak cholernie wściekły, że mogę eksplodować w każdej chwili. Ta pierdolona impreza, sposób myślenia tej kurwy, że jest lepsza ode mnie... Mój kutas pulsuje, a ja czuję zawroty głowy. Przez cały ten czas, kiedy byłem tutaj, chciałem być tam, wewnątrz Vesp. Buzuję od adrenaliny i niespełnienia. Potrzebuję dać upust tej burzy, zanim rozszałeje się w sposób, którego bym nie chciał.

Pieprzyć tych wszystkich ludzi. Pieprzyć ich domy i podwórza. Pieprzyć Scoota za to, że zrobił ze mnie jakiegoś żalostnego idiotę przed tą babą. Pieprzyć go za zwabienie mnie na tę pierdoloną imprezę.

Ruszam do samochodu, czując się tak, jakbym płonął. Gdyby ktoś mnie teraz dotknął, poparzyłby sobie palce. Vesper oberwie za to. To jej wina. Przyjechałem tutaj dlatego, że muszę ją ukrywać. Komplikuje mi życie. Wcześniej miałem system. Normalnie po prostu wziąłbym tę kurwę i pozwolił, żeby zrobiła mi loda. Nie byłoby idealnie, ale załatwiłoby sprawę. Ale teraz nic nie jest dostatecznie dobre. To musi być ona. Uświadamiam sobie, że kiedy patrzyłem na rozlazłą Milly, tak naprawdę zdenerwował mnie fakt, że sam zaczynam się taki czuć. Vesper sprawia, że wydaję się sobie obrzydliwy.

Po drodze widzę dzieci bawiące się przy ulicy. Wszyscy dorośli są na imprezie, więc dzieciakom pozwolono szlajać się po sąsiedztwie, żeby mamusia i tatuś mogli się zabawić. Zauważam bratanka na rowerze.

Jako dzieciak też uwielbiałem jeździć. Zawsze miałem świetną kondycję. Wysilek fizyczny nie wymagał mówienia. Mój mózg ma problem ze zmuszeniem ust do komunikacji, ale jest szybki jak bicz, kiedy wydaje polecenia mięśniom. Gdy byłem mały, dzieciaki mogły

wyśmiewać wszystko inne, co robiłem, ale zawsze byłem szybszy i silniejszy od nich. Nawet ojciec był z tego dumny. Nazywał mnie Błyskawicą, kiedy miał dobry humor.

Obserwując bratanka, uspokajam się nieco i opieram o auto. Wszyscy mówią, że mały James wygląda jak ja w jego wieku, z tymi swoimi jasnymi oczami i blond włosami. Muszę przyznać, że coś w tym jest. Tyle że nie ma moich zaburzeń. Szczęśliwy dzieciak. Patrząc na niego, czuję się tak, jakbym oglądał przerobioną wersję własnego dzieciństwa. Czasem wywołuje to ból, kiedy indziej melancholię. Dzisiaj to drugie.

Uśmiecham się, obserwując, jak staje na tylnym kole, tak jak ja dawno temu. Moja gotująca się jeszcze chwilę temu krew zaczyna stygnąć i wreszcie biorę głęboki oddech. Dokładnie w tej samej sekundzie jakiś dzieciak podbiega do Jamesa i popycha go tak mocno, że bratanek z hukiem upada na chodnik.

Rozdział 10

SAM

Rozlega się dzwonek. Scooter biegnie do drzwi, żeby otworzyć. To nie do mnie, nikt nigdy mnie nie odwiedza, więc nie zawracam sobie głowy.

– Zaczekajcie, zaraz będę – mówi do dzieciaków za progiem, po czym woła: – Mamo!

– Wiesz, że nie lubię krzyków. Chodź tutaj i porozmawiaj ze mną jak džentelmen – karci go mama z kuchni.

Telewizor ryczy, oglądam akurat Kapitana Kangura, ale i tak słyszę, jak Scooter jęczy w kuchni:

– Ale mamooo, nie chcę go zabierać. On mnie denerwuje.

– To twój brat. Nigdy, przenigdy nie powinieneś stawiać innych dzieci ponad nim. Kiedyś będziesz dla niego wszystkim, co ma. Powinieneś go bronić, kiedy ktoś mu dokucza. Jeśli cię denerwuje, nie odsyłaj go, tylko zrób coś z tym.

– Ale mnie to męczy. Ja jestem normalny, mamu. Dlaczego ciągle muszę go niańczyć? Chcę tylko pobawić się z kolegami i nie musieć się o niego martwić. – Scooter, koniec rozmowy. Albo idziesz z Samem, albo wcale. Temat zamknięty.

Na chwilę zapada cisza, po której Scooter idzie do drzwi.

– Już idę – mówi do kolegów na dworze – tylko wezmę rower z garażu. Sam też idzie – dodaje obrażonym tonem.

W milczeniu czekam, aż wróci do salonu. Zagląda z przedpokoju i burczy do mnie:

– Chodź, Sam. Bierz swój rower, jedziemy nad rzekę.

Zrywam się na nogi, udając, że nie słyszę rozczarowania w jego głosie. Chciałbym, żeby Scoot lubił mnie bardziej, ale i tak cieszę się na myśl o zabawie ze starszymi chłopakami, nawet jeśli czasem mi dogryzają. Nie są tacy źli jak dzieci w moim wieku, bo nie chcą zdenerwować Scootera. Uważam, żeby nie mówić przy nich za dużo. Chcę po prostu z nimi być.

Idę za Scootem, który pędzi do garażu, łapie swój rower, wskakuje na niego i odjeżdża. Macha do chłopaków na ulicy.

– Jazda! – krzyczy.

Wszyscy się śmieją i pedałują najszybciej, jak potrafią.

– Czekać! – wołam, próbując zdjąć jakieś graty ze swojego roweru.

Jestem zdezorientowany, ale uznaję to za wyzwanie, więc jadę co sił w nogach. Chłopaki są już daleko ode mnie. Skręcają ostro w prawo i znikają mi z oczu. Mój uśmiech zmienia się w grymas, kiedy zdaję sobie sprawę, że to nie zabawa. Próbuja mnie zgubić. Nie chcą, żebym się z nimi bawił. Nawet Scoot.

Zaczynam płakać. Wiatr zgania z mojej twarzy łzy, które nie przestają płynąć, ale pedałuję dalej. Jestem szybki, szybszy niż oni wszyscy. Dogonię ich! Pokażę Scootowi, że nie może mnie zgubić, bo jestem w tym lepszy od niego!

Skręcam i dostrzegam całą grupę. Staję na pedałach, żeby mieć większy nacisk. Uda mnie niemiłosiernie pałą, ale łzy obsychają. Pedałuję jeszcze mocniej. Płuca mi płoną. Jestem coraz bliżej i bliżej. Smutek zamienia się w poczucie triumfu, bo wiem, że ci dużo więksi chłopcy nie mogą mnie pokonać, nawet kiedy mają najlepszy dzień.

Wygram!

Słyszę krzyk. Nie, zaraz... To nie krzyk, lecz pisk! Zanim zdążę się obejrzeć, potężne uderzenie wstrząsa moim ciałem. Świat na moment traci ostrość i nie wiem już, gdzie jest góra, a gdzie dół. W pierwszej chwili nie czuję bólu, tylko przetaczające się przeze mnie trzęsienie ziemi, aż wibrują mi wnętrzności. Patrzę w bok i widzę przez szybę oczy mężczyzny – zdeorientowane, wystraszone.

– O cholera! – słyszę głos jednego z chłopaków.

Wtedy odzywa się ból. Facet spogląda na kolegów Scoota, potem na mnie. Myślę, że wysiądzie z auta i mi pomoże. Pewnie jest w szoku. Ja też jestem. Jęczę, podnosząc wzrok na chłopaków gnających w moim kierunku. Może jednak mnie nie nienawidzą.

Wtedy samochód gwałtownie się cofa, a ja staczam się z maski na ziemię jak worek ziemniaków. Rusza do przodu i przejeżdża obok. Przednie opony ledwie mijają moją głowę. Chce mnie tu zostawić... Jednak w następnym momencie czuję, że coś szarpie za moją nogę. Rozlega się pisk opon. Spoglądam w dół. Nogawka spodni zaczepiła się o jakąś część roweru, która utkwiała pod samochodem. Sypią się z niej iskry, kiedy auto zaczyna ciągnąć mnie po asfalcie. Tym razem ból wybucha momentalnie, gdy ubrania szorują po chropowatym podłożu i rozrywają się na strzępy.

Nie pamiętam, jak się uwolniłem. Myślę, że straciłem przytomność na długo przed tym, jak to nastąpiło.

Nie mam ochoty tam iść. Słyszę płacz Jamesa niczym refren odbijający się echem w mojej głowie. Brzmi zupełnie jak mój własny płacz, kiedy w szpitalu zmieniali bandaż na mojej zdartej skórze. James krwawi, ale to nie do niego podchodzę, tylko to dzieciaka, który go popchnął. Do tego małego gnojka, który stwierdził, że zabawnie będzie potrącić małego chłopca na rowerze. Już zwiewa najkrótszą drogą przez podwórze, bo jest zbyt wielkim mięczakiem, żeby zmierzyć się z bałaganem, jakiego narobił.

W dłoni mam kominiarkę. Nie przypominam sobie, żebym zabierał ją z samochodu, ale najwyraźniej to zrobiłem. Gniew rośnie gwałtownie. Ten mały gówniarz wybrał sobie niewłaściwy moment i zadarł z niewłaściwym dzieciakiem.

Znam tę okolicę jak własną kieszeń – każde podwórze, każdy płot. To jeden z moich terenów łowieckich. Przecinam mu drogę, twarz mam zakrytą kominiarką, której wspomnienie będzie nawiedzać go przez resztę jego żalosego życia. Czekam w krzakach, aż słyszę, że grubas w za małej koszulce idzie przez podwórze. Kiedy wchodzi w mój zasięg, łapię go, przewracam na ziemię i zasłaniam mu usta.

– Słuchaj no, mały śmieciu. – Zaciskam palce na jego T-shircie, po czym podnoszę gówniarza gwałtownie i ciskam z powrotem na ziemię. – Jeśli jeszcze raz popchniesz jakiegoś dzieciaka, odetnę ci twojego małego fiutka i zmuszę, żebyś go zeżarł. Zrozumiano?

Mój wzrok przystosowuje się do ciemności i widzę połyskujące białka wytrzeszczonych oczu. Chłopak usiłuje wykrztusić odpowiedź albo wołać o pomoc, ale z jego ust nie wydostaje się żaden dźwięk. Już nie jest takim twardzielem.

– A jeśli powiesz komuś o tym, co się tu stało... rodzicom, komukolwiek... Przyjdę w nocy do twojego domu i zerżnę twoją matkę. Sprawię, że będzie krzyczała o pomoc, a twój ojciec będzie patrzył. Ty też. Jasne?

Teraz płacze jak nędzny gnojek, którym jest.

– Któregoś dnia, kiedy będziesz starszy, zrozumiesz, kim jestem i ogarniesz, że te słowa nie są czczymi pogroźkami. A teraz spierdalaj do domu, ty mały fiucie – syczę, podciągając gnojka na nogi. Popycham go i kopię w dupę, a on upada na ziemię. – Jakie to uczucie, gdy znęca się nad tobą ktoś większy?

Ucieka, a ja jestem teraz rozgrzany bardziej niż pierdolona plazma. Pokłady gniewu i seksualnej frustracji tworzą niebezpieczną wzburzoną mieszankę. Biorę głęboki oddech i rzucam kominiarkę w krzaki. Gdy docieram do chodnika głównej ulicy, znowu jestem jednym z nich. Uznaję, że najlepszą przykrywką będzie powrót do domu Scootera, by pokazać mu chłodnego i opanowanego Sama. Jest w kuchni, przykładając Jamesowi lód do głowy.

– Co się stało? – pytam.

– Jakiś dzieciak zepchnął go z roweru. Mały uderzył się w głowę. Nie chce mi powiedzieć, kto to był.

– Coś mi mówi, że to się więcej nie powtórzy – mruczę.

– Co jest? – pyta Scooter wyraźnie zainteresowany jasnością mojego głosu i płynną wymową, która przychodzi tylko w rzadkich chwilach, kiedy jestem pełen pogardy, wyjątkowo skupiony albo zaraz mam kogoś zerznąć. Kiedy otacza mnie ciemność, słowa płyną bez zakłóceń.

– Gdzie byłeś? – pyta z rozbawieniem.

Kiwam głową w kierunku Jamesa, dając do zrozumienia, że moja opowieść nie nadaje się dla dzieci. Co, technicznie rzecz biorąc, nie jest kłamstwem.

– Oooh... – Szcherzy zęby. – Ech, nie ma to jak być kawalerem – stwierdza z ubolewaniem.

– Ech – powtarzam sucho.

– Nic mu nie będzie, kiedyś stanie się taki silny jak wujek Sam. Wujek Sam buduje domy, podnosi kłody i inne takie. A ty wyglądasz jak jego lustrzane odbicie, więc masz przed sobą super przyszłość, młody – zapewnia Scoot syna, po czym mierzwi mu włosy i odsyła do pokoju.

– Wracam do siebie. Podziękuj Katie.

– Cholera, co ta Milly ci zrobiła? – pyta, mając na myśli moją płynną wymowę. Pochyla się bliżej. – Kurwa, uleczyła cię czy co?

Chichoczę, ale nie dlatego, że jego żart jest szczególnie zabawny, lecz przez to, że cały ten wieczór był absurdalny. A to dopiero początek.

– Nawet nie masz pojęcia – odpowiadam z rozbawieniem.

Rozdział 11

SAM

Wydawałoby się, że przejażdżka powinna mnie uspokoić, wyciszyć, ale nie, jestem jeszcze bardziej rozpalony i wściekły niż wtedy, gdy przyciskałem tego małego gówniarza do ziemi i kiedy tamta kobieta potraktowała mnie jak jakieś pierdolone kuriozum.

Wbiegam do domu, zdejmuję koszulkę, przetrząsam szuflady w poszukiwaniu kolejnej kominiarki i w ręce wpada mi biała. Jest gorąco i fakt, że muszę założyć tę jebaną szmatę wkurwia mnie jeszcze bardziej. Wyobrażam sobie, jak Vesper wzdrygnęłaby się na widok mojej twarzy i blizn będących fizyczną oznaką osoby, która nigdy nie pasowała do reszty społeczeństwa. Przed wypadkiem mogłem przynajmniej być cichy i wtapiać się w tło, ale potem zostałem naznaczony, co zaczęło przyciągać szyderstwa i ciekawskie spojrzenia.

Będą się śmiali z twojej twarzy. To oni ci to zrobili.

Wyciągam z szuflady nóż. Nie wiem, jakie mam plany wobec niego, ale chcę się uzbroić. Potrzebuję czegoś fizycznego i ostrego do trzymania, coś, co zakotwiczy mnie w rzeczywistości, bo czuję, jak kręci mi się w głowie.

Nie lubię tego uczucia. Vesper miała być perfekcyjnym celem, ale od chwili, w której wyszedłem poza scenariusz i zabrałem ją tutaj, ciągle walczę. Myślę o niej. Chcę zdjąć maskę i opowiedzieć jej swoją historię, żeby zrozumiała, dlaczego się tu znalazła i czemu ja tu jestem.

Ale to manipularka. Tak jak mawiała matka i jak przypomniła mi dzisiaj Milly, różnię się od normalnych ludzi. Nigdy nie stanę się jednym z nich. Co najwyżej będą się nade mną litować.

Nigdy nie powtarzałem ataków na te same osoby. To zapewniało mi bezpieczeństwo. Wiedziałem, że jeśli będę musiał, zawsze mogę się ich pozbyć – poderżnąć im gardło albo pociągnąć za spust. Ta świadomość czyniła mnie bogiem, a moc, jaką emanowałem w tych momentach, sprawiała, że każdy z moich celów robił to, co powiedziałem. Ale z Vesper nie umiem się na to zdobyć. Nie potrafię nawet dopuścić do siebie myśli, że znowu miałbym zostać tu sam. Że nie mógłbym smakować życia i musiałbym wrócić do podglądania innych przez okna. A to oznacza, że ze wszystkich ludzi, których zdominowałem i zbrukałem, to skromna studentka pielęgniarstwa jest jedyną osobą, która może mnie zniszczyć.

Muszę odzyskać władzę. Jestem arbitrem życia i śmierci. Przypomnę jej, kto tutaj ma kontrolę. Przypomnę o tym także sobie. Nie będzie ze mną pogrywała ani mną manipulowała, jak kobiety mają często w zwyczaju.

Maszeruję przez las. Gałęzie chłoszczą mój podkoszulek, szarpią i rozrywają materiał, więc kiedy docieram do drzwi, jest cały porozdzierany. Odsuwam drewnianą zasuwę i pchnięciem otwieram drzwi, które uderzają w ścianę tak mocno, że aż cała szopa się trzęsie. Vesper wciska się w kąt i z przerażeniem patrzy na mnie wielkimi oczami. Spuszczam wzrok na swój zszargany podkoszulek pokryty brudem i plamkami krwi z zadrapań, których dorobiłem się po drodze.

Nie ufaj im, Sam. Skrzywdzą cię. Wykorzystają.

Jestem potworem. Potwory nie mieszkają pod pierdolonym łóżkiem czy w szafie. Nie pojawiają się w kłębach dymu. Nie, potwory są takie jak ja: mają postać cichego chłopaka, który odprowadza pijaną kobietę do domu, opiekuńczego wujka albo tego małomównego kolesia o

sympatycznym uśmiechu, który naprawia twoją werandę. Działamy w nocy, czaimy się w cieniu, ale za dnia poszukujemy kolejnej ofiary.

Dziewczyny takie jak ona nie pragną bestii, lecz tylko jej idei. Chcą być bezpieczne, a jednocześnie odczuwać dreszczyk emocji. Ale przebywanie z potworem nie zapewnia bezpieczeństwa, bo potwór może cię pożera. Bierze twoje ciało, duszę i niewinność.

Grałem ostrożnie, próbując to rozpracować. Z rozmysłem odzierałem ją ze wszystkiego, redukowałem jej pragnienia do podstawowych potrzeb, żeby móc stworzyć Vesper na nowo. Ale tak naprawdę sytuacja niczym nie różni się od wszystkich innych włamań. Najpierw zdobywam zaufanie ofiar. Potem mówię, że przyszedłem tylko po pieniądze. Daję im sznur, żeby związały swojego partnera. A później, kiedy wszystko jest pod kontrolą, już nie potrzebuję ich zaufania. Biorę. Rządzę. Zdobywam.

Dzisiaj Vesper przejdzie na wyższy poziom. Dostała kabinę, jedzenie i swoją małą różową sukienkę. Oddałem jej godność. To będzie ostatnia lekcja. Nie potrzebuję być bardziej nabuzowany, żeby mówić do niej tak jak zazwyczaj. Och, jestem już na pierdolonym szczycie wściekłości.

– Wynoś się – rozkazuję.

Patrzy na mnie w kompletnym osłupieniu. Niemal widzę, jak trybiki obracają się w jej głowie. Podoba mi się, że nie ucieka od razu, że już mam nad nią dostatecznie dużą kontrolę.

– Powiedziałem, że masz się wynosić!

Podsłakuje, a potem wstaje na chwiejnych nogach, mija mnie i prześlizguje się przez wąską szparę, jaką zostawiłem dla niej w wejściu.

– Chcesz mnie zostawić, Vesp? Chcesz odzyskać to swoje idealne małe życie? Więc idź. Jeśli uda ci się dotrzeć do ulicy, zanim cię złapię, pozwolę ci odejść. Będiesz mogła udawać, że dalej pasujesz do tamtego świata.

– A... a co, jeśli mnie złapiesz? – pyta, trzęsąc się ze strachu.

Na ten widok czuję ukłucie w żołądku.

– Dobrze wiesz.

Nie rusza się. Wciąż czeka na moje polecenia. Może nie doceniałem postępów, jakie zrobiliśmy. Może ona naprawdę mnie chce?

„Zostań, Vesp. Pokaż mi, że nie muszę tego robić”.

– Dam ci fory. Zacznę cię gonić dopiero po trzydziestu sekundach. To twoja szansa na powrót do domu.

„Biegnij, Vesp. Biegnij, żebyś mógł cię złamać”.

– Ja... ja się boję – przyznaje drżącym głosem.

– Wszyscy się boimy – odpowiadam. – To będzie twoja jedyna szansa. Skorzystaj z niej albo nie. Masz wybór.

Nie dotrze daleko. Jest ciemno, będzie biegała w kółko. Rozciągają się tutaj całe hektary dziewiczego lasu. Ale to nieistotne.

– Masz dziesięć sekund, zanim wycofam ofertę.

Chcę, żeby opadła na kolana, dzięki czemu w końcu będę mógł odetchnąć. Chcę, żeby uciekła, dzięki czemu będę mógł zerznąć ją w dupę. Chcę ją sterroryzować, ale pragnę też, by chciała mnie.

Odliczam: Dziesięć... dziewięć... osiem...

Rozgląda się na wszystkie strony, rozważa wszelkie scenariusze. I już samo to pokazuje mi, że czeka nas jeszcze dużo pracy. Powinna błagać mnie, żebym pozwolił jej zostać.

Trzy...

Rzuca się do ucieczki tak nagle, że niemal zapiera mi dech. Jestem rozczarowany, że

postanowiła odejść, ale jednocześnie kurewsko podekscytowany, że mogę na nią zapolować. Wreszcie zadośćuczynię samemu sobie za noc, kiedy włamałem się do jej domu, a potem wszystko się popierdoliło.

Liczę tak głośno, jak tylko mogę. Mam nadzieję, że czuje każdą upływającą sekundę, zastanawiając się, czy jest coraz bliżej powrotu do świata, za którego część wciąż się uważa, czy bliżej swojego nowego losu.

Dwadzieścia pięć... dwadzieścia sześć...

Wciąż słyszę, jak przedziera się przez gałęzie i potyka pośród ciemnej jak smoła nocy.

Trzydzieści.

Wbijam nóż w ścianę kabiny. Ostrze wciąż drży, kiedy ruszam w pogoń za dźwiękami. Tutejsze lasy są przedłużeniem mojej osoby. Szwendałem się tu jako dziecko w weekendy i długie letnie dni, a kiedy podrosłem, gęstwina stała się dla mnie miejscem ucieczki z farmy.

Idę pewnym siebie krokiem. Nie biegnę, bo łatwo się tutaj potknąć, a poza tym muszę ją słyszeć. Rozlega się plusk i już wiem, gdzie dokładnie jest. Zaczynam biec. Dźwięk chłuszczących ciało gałązek i moje własne dyszenie wypełniają mi uszy, przez co przestaję ją słyszeć. Gdy zbliżam się do strumienia, w blasku księżyca zauważam drobną sylwetkę. Zrywa się na nogi, lecz udaje jej się zrobić zaledwie trzy kroki, zanim powalam ją na ziemię.

Walczy ze mną, zapomniałem już, ile ma siły. Popełnia katastrofalny błąd, kopiąc mnie w brzuch i na moment pozbawiając oddechu. Udaje jej się odczołgać przez błoto, lecz ta krótka chwila wolności tylko potęguje moją furię. Łapię Vesper za kostkę i przyciągam z powrotem. Desperacko drapie błoto, próbując znaleźć punkt zaczepienia, ale nic jej nie pomoże. To, co się tu dzieje, to natura. Taki jest porządek rzeczy.

Ciągnę za koszulę nocną, by przysunąć Vesper do siebie, po czym włożę jej na plecy, ale chcę, żeby na mnie spojrzała. Musi popatrzeć w oczy, o których, jak twierdzi, fantazjowała. Przewracam ją bez wysiłku. Wyrzywa się, więc łapię jej nadgarstki i wciskam w błoto.

– Vesp, właśnie to się, kurwa, dzieje, kiedy próbujesz mnie zostawić.

Sięgam w dół i wyczuwam wtyczkę, którą wsadziłem jej w tyłek. Ciągłe siedzi w ciasnym odbycie. Moim zdaniem w dupę rżnie się tylko na jeden sposób: ostro. Wyciągam ją, a Vesp wydaje jęk i napina mięśnie. Przez cały dzień myślałem tylko o rozdzwiczeniu tego tyłka. Teraz jestem niebezpiecznie nabuzowany.

– Proszę... Nie chciałam uciekać. To ty... ty mi kazałeś – jęczy wśród drżących oddechów.

– Nie, Vesp, sama tego chciałaś. Chciałaś mnie zostawić po tym, jaki byłem dla ciebie dobry. Po tym, jak powiedziałaś, że mnie chcesz. Jesteś kłamczuchą. Manipulatorką.

– Nie, nie, nie, to nieprawda! – szlocha.

– Vesp. Zamknij się i przyjmij karę. – Pluję na dłonie i pokrywam śliną kutasa, strasznie twardego i wrażliwego na dotyk. – To nie potrwa długo, ale będzie kurewsko boleć.

Wolną ręką unoszę jej miednicę i przysuwam do swoich bioder, żeby znalazła się pod lepszym kątem, a potem powoli wciskam się w odbyt. Jęczy rozdzierająco, gdy wpycham się do środka. Jest tak kurewsko ciasna...

Wreszcie wchodzę do połowy, a ona zaczyna krzyczeć i próbuje mi się wyrwać.

– Przestań! – sapię, ściskając jej biodra.

– O Boże! – zawodzi, kiedy wchodzę do końca.

Nieruchomieję, rozkoszując się tą chwilą, a jej dziewiczy tyłek zaciska się na moim kutasie.

– To boli – szlocha. Jej krzyki przechodzą w ciche łkanie.

– Nikt wcześniej nie zerznął cię w dupę, co?

Nie odpowiada.

– Zadałem pytanie, do kurwy nędzy.

Wypycham biodra dla podkreślenia swoich słów. Kręci głową, a błyszczące ślady łez na jej twarzy migoczą w blasku księżyca.

– Oddychaj – warczę przez zaciśnięte zęby. – Miałem twoje usta i twoją cipę, a teraz biorę twoją dupę. Będziesz cała moja, Vesp. Wypełnię spermą każdą twoją dziurę.

Przesuwam dłońmi po jej piersiach i ramionach, po czym delikatnie odgarniam jej włosy z twarzy.

– Któregoś dnia będziesz błagała, żebym zerznął cię w dupę. Ale najpierw muszę cię złamać. Od teraz liczę się tylko ja i głównie mnie obchodzi, co ty czujesz.

Delikatnie zsuwam dłoń z czoła Vesper, zakrywam usta i przyciskam mocno. Oczy rozszerzają jej się w panice, podczas gdy ja wysuwam się z niej i pcham znowu. Pieprzeniem zmuszę ją do uległości. Jej głębokie, wibrujące krzyki usiłują przedostać się przez moją dłoń. Odbyt Vesp ściska mojego fiuta tak mocno, tak nieustępliwie, że po paru sekundach spuszcza się obfitym strumieniem, oznaczając tę część ciała, której nie miał nikt przede mną.

Wyciągam kutasa i przetaczam się na błoto obok niej. Nie próbuje wstać, tylko chlipie i drży. Teraz mój umysł jest jaśniejszy i jakaś część mnie zaczyna zastanawiać się, czy to było uczciwe. Nie powinno mnie to obchodzić, ale Vesper sprawia, że zaczynam myśleć inaczej. W przeciwieństwie do innych ofiar za nią ponoszę odpowiedzialność. Jest moją podopieczną.

Przekręcam się, a ona unosi ręce w obronnym geście, jakbym miał zrobić jej krzywdę.

– Nie... Nie... – mamrocze.

– Ciiii – szepczę, biorąc ją w ramiona.

Otacza moją szyję rękami i płacze mi w pierś, wstrząsana spazmami. Skrzywdziłem ją. Prawdopodobnie z powodu rzeczy, które wydarzyły się dzisiaj i które nie miały z nią nic wspólnego. Trzymała wtyczkę w tyłku. Zrobiła to, o co wcześniej prosiłem, więc powinienem dać jej coś, by pokazać, że doceniam posłuszeństwo.

Niosę ją z powrotem do szopy i sadzam na krześle. Jestem zszokowany tym, co widzę. To nie tylko błoto i podarta koszula nocna. Vesper jest cała zakrwawiona, jakbym pociął ją nożem. Spuszczam wzrok i zauważam, że też mam na sobie jej krew.

Wskazuję na nią bez słowa, bo boję się, że zacznę się jąkać, kiedy gniew czy seks nie odwracają mojej uwagi. Jej oczy są puste, jakby ocknęła się z letargu i zastanawiała się, jak tu trafiła. Spuszcza wzrok. Dotyka koszuli, przesuwając dłoń do jej rąbka, wodzi palcami po udach.

– Prze... przepraszam – mówi, ledwie poruszając ustami.

Obserwuję, jak zbiera w sobie całą siłę, żeby wyjaśnić sytuację. Jakby bała się, że będę nią rozczarowany.

– Dostałam okres.

Chryste... Jak mogłem o tym nie pomyśleć? Może to dlatego, że nie miałem siostry ani nigdy nie żyłem w intymnym związku z kobietą, a miesiączka to po prostu nieodłączna część ich życia.

Nie winię jej za to. Wykorzystam tę sytuację, by pokazać, że jeśli Vesper zostanie, jeśli okaże szczerość i nie będzie próbowała mną manipulować, wówczas stanę się delikatniejszy. Mogę dawać jej to, czego potrzebuje, jeśli ona da mi to, czego potrzebuję ja.

Pomagam jej wstać. Wyłączam światło, żeby nie było nic widać, żebyśmy mogli tylko czuć. W końcu mogę zdjąć przy niej kominiarkę i normalnie oddychać.

Ściągam jej koszulę nocną, a potem swoje ubrania i prowadzę ją za rękę do łazienki. Pociągam za sznurek prysznic, a wtedy leje się na nas woda, którą napełniłem dzisiaj zbiornik. Nadal jest ciepła i taka przyjemna w porównaniu z szokiem, jaki wywoływał kontakt z lodowatą

wodą w strumieniu. Gładzę ciało Vesper, zmywając krew i brud, przesuwam dłońmi po pozlepianych błotem włosach. Namydlam ręce i myję jej cipkę. Syczy, kiedy to samo robię z tyłkiem, a mój kutas podryguje na świeże wspomnienie ściskającej go ciasnej dziurki. Znowu robi się twardy, tak cholernie twardy. Przyciskam się do niej, by pokazać, jak mocno na mnie działa. Jak bardzo jej pragnę. Jak sprawia, że robię rzeczy, które nie są w moim stylu. Tak jak teraz – próbuję ją naprawić po tym, jak ją zepsułem. Dzięki temu mogę zatrzymać najlepsze cechy jej osobowości, a zabić te, które powstrzymują nas przed osiągnięciem pełni szczęścia.

Moje ciało przyjemnie się odpręża. Nie jestem już dziwakiem, który jąka się na każdej sylabie. Mimo to postanawiam nie wypowiadać ani słowa, bo nie wiem, co mogę powiedzieć. Zamiast tego zsuwam dłoń z powrotem na jej cipkę.

VESPER

Jestem zagubiona. Nie potrafię zrozumieć gry, w którą gram. Spędziłam czas w tym miejscu, usiłując zdobyć jego zaufanie, a potem połknęłam haczyk i wybiegłam. Oczywiście, że to był test. Jaki miałam wybór? Musiałam spróbować.

Wiedziałam, że coś jest nie w porządku, kiedy wpadł do pomieszczenia, ściskając w ręku nóż i wyglądając tak, jakby dopiero co wrócił z jakiejś wojny. Rozszerzone źrenice niemal w całości zasłoniły jasne tęczówki. To było dla mnie zbyt wiele. Nie potrafiłam ze spokojem tego znieść. Myślałam, że może postanowił mnie zabić, a to ostatnia szansa na ocalenie życia. Chociaż w sumie sama nie wiem, co myślałam. Decyzja przyszła szybko jak tornado.

Staralam się, naprawdę. Ale było ciemno, stopy okropnie mnie bolały i ciągle na coś wpadałam. Dlatego zamiast na wolności skończyłam na ziemi z zasłoniętymi ustami, a on zgwałcił mnie analnie. Ból był przerażający. Mój oprawca powiedział, że któregoś dnia nauczę się to lubić, lecz nie wierzę, by tak potworne doświadczenie kiedykolwiek zmieniło się w przyjemność.

A teraz jest tutaj i myje mnie tak delikatnie, jakby zajmował się zranionym ptakiem. Można mnie potępić za to, że go nie odepchnęłam, ale nie żyję w świecie tylu opcji co zwykli ludzie. Muszę wywoływać w nim potrzebę delikatności. Łaknę pocieszenia. To popieprzone, wiem, ale jedyną osobą, która może mi je dać, jest ta sama, która mnie krzywdzi. Z początku trudno mi nie cofać się przed jego dotykiem, a pulsujący, palący ból w odbycie przypomina o niedawnym przerażającym doświadczeniu. Lecz jego dłonie zmywają to wszystko, niosą ukojenie. Spokojne oddechy i kompletna cisza tak bardzo kontrastują z wcześniejszym ochrypłym głosem, którym wydawał polecenia. Czuję się, jakbym była z kimś innym. Czy to możliwe, by jakaś jego część miała wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił?

W kabinie jest tak ciemno, że ledwie dostrzegam jego niewyraźną sylwetkę, ale zauważam też coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej: zarys włosów. Zwichrzonych, dzikich, zupełnie takich jak on sam. Zdjął kominiarkę. Choć nie mogę dostrzec jego twarzy, wciąż mam wrażenie, że odsłania przede mną siebie.

Pieści mnie między nogami. Czuję, że robi się twardy. Nie powinnam tego chcieć, powinnam być obrzydzona. I jestem. Ale jednocześnie desperacko pragnę jego łask, a okazja, by zachęcić go do delikatności, przynosi nieśmiałą nadzieję pośród dojmującego poczucia porażki.

Chcę, żeby zastąpił swoją brutalność równoważną dawką łagodności. Chcę upewnić się, że teraz, kiedy już przyjął swoją karę, wszystko znowu jest w porządku. Pragnę uczynić moją egzystencję znośną. Chcę połączenia. Chcę przemówić do duszy, która musi żyć gdzieś głęboko w nim. Wymazać wspomnienia agonii, jakiej doznałam, gdy wwiercał się w tę część mnie, której nikt inny nigdy nie dotykał. Czuć się przy nim bezpiecznie nawet przez krótką chwilę.

Przy każdym innym mężczyźnie zastanawiałabym się, czy nie obrzydzi go makabryczny widok krwi miesięczkowej, ale nie przy nim. Ten człowiek jest dziki. Ciało i krew, ścięgni i kości. Prawdziwy drapieżnik, zupełnie jakby został oderwany od społeczeństwa i jego norm. Jakby ewoluował tylko na tyle, by wyglądać jak my, ale w środku nie rozumiał, co to znaczy być człowiekiem.

Podnoszę rękę i ostrożnie dotykam jego twarzy, ale łapie mnie za nadgarstek i zmusza, bym ją opuściła, zanim zdążę cokolwiek poczuć. Nie mówię tego na głos. Bolałoby zbyt mocno, gdybym dopuściła do siebie myśl, że mu uległam. Cisza przekonuje mnie, że stara Vesper wciąż żyje, ukryta głęboko w moim wnętrzu.

Mimo to potrzebuję czegoś, żeby poczuć się lepiej. Chwytam go za penisa. Bez ponagleń ani żądań przesuwam palcami po całej długości, a potem sunę dłońmi po twardych mięśniach brzucha, piersi i po ramionach. Jedno jest gładkie, a drugie pokryte nierówną, zniekształconą skórą.

Znów łapie mnie za nadgarstki i odpycha moje ręce. Stoimy pod strumieniem wody – tak blisko, a jednak odsunięci od siebie. Robi krok, a jego męskość napiera na mój brzuch. Zalewa mnie fala emocji i zaczynam płakać. Z zaskoczeniem zdaję sobie sprawę, że ją tracę. Stara Vesper znika. Brakuje mi jej woli, żeby nadal walczyć ze sprzecznymi uczuciami, które przez cały dzień odbijają się echem w moim sercu.

Bez słowa przyciąga mnie do siebie, a potem opiera o ścianę. Zapachy mydła i mokrego cedru wypełniają mój nos. Kontrast między cywilizacją a dzikością – teraz każdego dnia dryfuję między tymi dwoma światami.

Całujemy się, przechylając głowy to na jedną, to na drugą stronę, a ja mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi. Nie wiem, co się dzieje. Nie rozumiem tego, lecz każda część mnie chce czuć się pożądana. Chce wiedzieć, że ktoś się o mnie troszczy, że zawsze jako jedyna będę w centrum jego uwagi.

Jest brutalny, ale jego obsesja koncentruje się na mnie. Nawet z Carterem tak się nie czułam. Nic nie było ważniejsze niż program jego szkoły medycznej. Tutaj Noc może być moim bogiem, ale ja jego aniołem.

Cały się napina, jakby się przed czymś powstrzymywał, jakby coś w nim usiłowało wyrwać się na zewnątrz. Unosi moją nogę. Nie jest już taki jak na zewnątrz, nieprzyzwoity i okrutny. To coś innego.

Wsufa we mnie palce. Jęczę pod wpływem przyjemności pełzającej w górę brzucha. Opada na kolana, opiera sobie moją nogę na ramieniu i robi mi dobrze ustami. Ostro wciągam powietrze, połykając przy okazji trochę wody. Małe strumyczki płyną mi twarzy.

Wstaje, zanim zdążę dojść. Dotyka nosem mojego, a nasze oddechy zgrywają się w jeden, rytmiczny jak bicie serca. Nie padają żadne słowa. Słyszę tylko muzykę naszych westchnień i dźwięk wody uderzającej w drewno pod stopami.

Osuwamy się na podłogę. Załamujemy się pod ciężarem tego skomplikowanego, intensywnego czegoś. Leżę na mokrej powierzchni, a on osłania mnie przed stróżkami wody. Chciałabym zobaczyć tego pozbawionego twarzy mężczyznę, który nawiedza mnie we snach i na jawie. Gdybym mogła to zrobić, może potrafiłabym lepiej go zrozumieć. Może umiałabym zrozumieć samą siebie.

Ale on jest tylko cieniem. Równie realnym co fantazje, które snułam, by ubarwić monotonię swojego związku. Albo by poudawać przez chwilę, że wiem, jakie to uczucie być czymś więcej niż tylko opoką dla wszystkich dookoła.

Woda zaczyna kapać wolniej, tak jak krople opadają z drzew po ulewnym deszczu. Wchodzi we mnie. Nie odczuwam tego jako przymusu albo wypełnienia zobowiązań. Trudno mi

uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który niecałą godzinę temu potraktował mnie tak brutalnie. W moim życiu nie ma już jednak miejsca na logikę. Przerrywamy ciszę jękami i westchnieniami. Porusza się we mnie, a ja wbijam palce w jego twarde od naprężonych mięśni plecy. Wystarczy kilka sekund, bym zaczęła pod nim drżeć. Łzy mieszają się z wodą i sama już nie wiem, czy nadal płaczę.

Jęczy przeciągle, dochodząc w moim wnętrzu. Za każdym razem, gdy to robi, czuję się tak, jakby wstrzykiwał we mnie trochę swojego szaleństwa, sprawiając, że staję się coraz bardziej do niego podobna.

Nie rusza się przez moment, zawisa nade mną. Wyciągam rękę, by dotknąć kosmyka jego włosów, udowodnić, że to naprawdę się zdarzyło, że kryjący się pod maską mężczyzna rzeczywiście istnieje. Pozwala mi na to przez moment, ale potem podnosi się i staje nade mną w milczeniu. Słyszeć tylko wodę kapiącą z prysznica.

Wychodzi, a ja zbliżam się do drzwi na czworakach, mając nadzieję, że włączy światło i pozwoli mi zobaczyć swoją twarz. On jednak otwiera drzwi po ciemku. Granie świerszczy zalewa kabinę. Odrobina księżycowego blasku zakrada się przez szparę, dzięki czemu dostrzegam, jak się porusza. Podnosi z podłogi ubrania, bierze je pod pachę i wychodzi w dzicz, mokry i nagi.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 12

SAM

Jest południe, ale w domu panuje ciemność. Wszystkie rolety są zaciągnięte, bo mama nie chce żadnych gości. Mnie ciągle boli. Nałożyli mi nową skórę na to miejsce na boku, gdzie miałem zdarte do żywego mięsa, i jeszcze nie wydobrzałem. Czuję ból przy każdym ruchu. Mama, tata i pan doktor wytłumaczyli mi, że trzeba było wprowadzić mnie w śpiączkę. Zawsze myślałem, że śpiączka to coś złego. Nie rozumiałem, dlaczego musieli specjalnie ją u mnie wywołać. Ale wyjaśnili, że to pomogło mojemu mózgowi odpocząć i wyzdrowieć, bo był spuchnięty. Chyba powinienem się cieszyć, że przespałem tyle bólu. Miałem cały poharatany policzek, a skóra zwisała mi z twarzy. Scoot powiedział, że paru jego kolegów się porzygało, kiedy mnie zobaczyli.

Facet przejechał syna policjanta. Ma teraz przechłapane.

Nie pokazali mi mojej twarzy w szpitalu. W drodze do domu próbowałem dojrzeć swoje odbicie w szybie samochodu, ale przez ostre światło niewiele widziałem. Po powrocie błagałem Scoota, żeby przyniósł mi lustro. Mama zakryła wszystkie ręcznikami. Zakradł się w nocy i przyniósł mi małe lustro. Takie ładne, z rzeźbioną winoroślą na rączce i wokół ramy. Zobaczyłem swoje odbicie. Paskudna, czerwona blizna biegła od ucha do kącika ust. Wciąż miałem założone szwy, które sprawiały, że wyglądałem jak potwór Frankensteina.

Mówili mi, że to się ładnie zagoi i kiedy dorosnę, zostanie mi tylko bładny ślad, nie taka szrama – czerwona i spuchnięta jak teraz. Lecz ja potrafię myśleć tylko o tym, co powiedzą inne dzieci, kiedy mnie zobaczą. Wcześniej byłem przynajmniej normalny na zewnątrz.

Rozlega się pukanie, a zaraz potem mama wparowuje do pokoju i kładzie palec na ustach. Zamyka drzwi ostrożnie, żeby nie wydały żadnego dźwięku. Pochyla się, przechodząc przy oknach, i dociera do krzesła przy moim łóżku. Jest biała i spocona. Bezustannie rozgląda się na wszystkie strony, jakby czegoś szukała.

Kiedy w zeszłym tygodniu wróciłem do domu, mnóstwo ludzi przyszło z różnymi ciastami i słodyczami. Byłem podekscytowany na myśl o zjedzeniu tych wszystkich słodkości, ale mama musiała dokładnie je zbadać. Mówiła, że znajdowała w nich robaki i truciznę, i że nie pozwoli, żeby znow

u ktoś mnie skrzywdził. Że nie możemy więcej ufać naszym sąsiadom. Raz już próbowali mnie zabić, a ona nie dopuści, żeby to się powtórzyło. Rozlega się dzwonek do drzwi i mama podskakuje na krześle, jakby tuż przy niej ktoś odpalił petardę.

– Mamo, dla-a-czego my-myślisz, że chcą mi zrobić krzy-y-ywdę?

– Bo kiedy dorosniesz, będziesz kimś wyjątkowym, a oni próbują cię zabić, zanim do tego dojdzie – szepcze, odgarniając mi włosy z czoła. – W końcu to zrozumiałam. Kie... kiedy zobaczyłam cię w szpitalu... – Głos zaczyna jej drżeć. Czasami gdy ludzie płaczą, brzmią tak jak ja. – Te... te wszystkie rurki, a ty w ogóle się nie ruszałeś... – Jej łzy kapią na kołdrę. – Wtedy zrozumiałam. Te docinki. To, jak cię wywabili na zewnątrz. Wszystko było ukartowane.

Łatwo jest uwierzyć w słowa, które wypowiada z takim przekonaniem. Że mnie nie chcą, bo jestem lepszy od nich. Że któregoś dnia będę sławny. Że w ten sposób próbują mnie

pokonać, tak jak Joker zawsze próbuje pokonać Batmana.

– Będę cię chronić. Już nigdy więcej cię nie zostawię, nie dam się znów zamknąć w szpitalu. Oni wiedzą, że ja wiem, i chcą sprawić, bym zapomniała... Bym nie mogła cię chronić.

Dzwonek do drzwi rozlega się ponownie, ale szybko cichnie. Mama ostrożnie wygląda zza rolety.

– Widzisz? Ktoś zostawił coś pod drzwiami. Pójdę to zabrać i zbadać. Nadal próbują przemycić truciznę.

– A-ale mamó, ta-ta-ta-tata jest po-policjantem. A-aresztował tego, kto mnie prze-e-jechał.

– Och, mój mały Samuelu. To po prostu jego praca. Tata też jest jednym z nich.

VESPER

Nie jestem zaskoczona, gdy po przebudzeniu dostrzegam go siedzącego w kącie pomieszczenia i obserwującego mnie w ciszy. Tym razem trwa jeszcze noc. Zazwyczaj przesypiam moment, kiedy przychodzi. Potrafi poruszać się bezszelestnie jak cień, ale dzisiaj jestem niespokojna. Gdy tylko zauważam jego sylwetkę, sen ulatuje bezpowrotnie.

Minęły tygodnie, odkąd gonił mnie przez ciemny las, powalił na ziemię i zaatakował. Tygodnie, odkąd zaniósł mnie z powrotem do szopy, wykąpał i na mokrej podłodze łazienki sprawił, że zadany przez niego ból zniknął. Od tamtej pory więcej się to nie powtórzyło. Zniknęła wszelka delikatność, a seks stał się ostry, jakby mężczyzna próbował wymazać ową noc z mojej pamięci. Jak zwykle moje posłuszeństwo jest nagradzane – orgazmami, jedzeniem, czystymi ubraniami, świeżą wodą. Nigdy do końca nie wiem, czego się spodziewać. Noża na gardle? Wiązania i zasłaniania oczu? Knebla? A może... żadnej z tych rzeczy? Zdarza się, że po prostu przychodzi, bierze, daje i wychodzi.

Gdyby miesiąc temu ktoś mnie zapytał, czy mogłabym przyzwycząić się do czegoś takiego, roześmiałabym mu się w twarz. Albo nawet wzdrygnęła ze zgrozy. Ale teraz to moje życie. Pogodziłam się z nim.

„Polubisz to”, powiedział kiedyś. „Lubienie” nie jest właściwym słowem. To nie tost z masłem ani kubek herbaty. Tego się nie lubi, tym się odдыcha. To żyje i rośnie w tobie. Nienawidzisz swojej sytuacji albo tęsknisz za nią tak mocno, że bez niej masz ochotę wyrwać sobie wszystkie włosy z głowy, jeden po drugim.

Kiedy nie przychodzi dzień lub dwa, ogarnia mnie niepokój tak potężny, że trudno mi odдыchać i obawiam się, że już nie wróci albo że zrobiłam coś, co go rozgniewało i obudziło tę samą wściekłość, jaką okazał mi tamtej nocy. Teraz jest dla mnie jedynym człowiekiem, więc trzymam się desperacko jego obecności, choć wiem, że gdy tylko nadarzy się okazja, uwolnię dawną Vesper z lochu i ucieknę. Wciąż nie pokazał mi swojej twarzy. Czuję się urażona, że po wszystkim, co mu dałam, nadal nie może okazać mi tej odrobiny szacunku

Wie, że się obudziłam, ale nie robi absolutnie nic. Nie porusza się, nie wydaje najmniejszego dźwięku. Zastanawiam się, czy zakłóciłam mu rutynę. Gdyby chciał mnie przytomną, na pewno zostałabym obudzona. Podejmuję ryzyko i postanawiam, że jeśli on przeszkadza mi w spaniu, to ja poprzekadzam mu w podglądaniu.

– Czego chcesz? Popatrzeć sobie? – pytam, nadal leżąc na plecach i patrząc na świetlik.
– Och, no tak, nie odдыwasz się do mnie. Znaczący odдыwasz, ale tylko wtedy, kiedy chcesz się ze mną pieprzyć albo rozstawiać po kątach – dogryzam mu. – No cóż, ja lubię mówić. Tęsknię za rozmowami, wiesz? Może któregoś dnia będziemy mogli jakąś przeprowadzić?

Dzięki tamtej nocy pod prysznicem wiem, że jest w nim odrobina ludzkich uczuć, do których powinnam się dostać. Rzadko widzę go takiego jak w tej chwili, spokojnego i milczącego. Muszę więc podjąć ryzyko.

– Okej, uznam to za „nie dzisiaj, Vesp” – imituję jego szorstki głos. Chichoczę do samej siebie i wiem, że Noc głęboko w duchu też ma ochotę to zrobić. – Czasami przez świetlik widzę księżyc. Dzięki, tak przy okazji... za świetlik. Tęsknię za dotykiem słońca na skórze, a świetlik daje mi odrobinę jego promieni.

Urywam, bo coś niespodziewanie ściska mnie za gardło. Drewniane krzesło skrzypi, kiedy Noc się na nim poprawia.

– Tak w ogóle to wiesz, co znaczy moje imię?

Czekam na odpowiedź, jakbym mogła podstępem wciągnąć go w rozmowę.

– No to ci powiem. Nocną modlitwę. – Robię uprzejmą pauzę, dając mu szansę na odpowiedź, jakbyśmy prowadzili konwersację. – Mama i ja nie jesteśmy ze sobą blisko. Przez pierwsze trzynaście lat życia wychowywałam się w hippisowskiej komunie. Ona zawsze bardziej przejmowała się sobą, a ja byłam tylko produktem jej poszukiwań. – Przy ostatnim słowie robię gest cudzysłowu. – Miała tylu partnerów, że nie była nawet pewna, kto jest moim ojcem. Nic dziwnego, że nikt nie poczuwał się do odpowiedzialności. Kilka lat po moim urodzeniu znowu zaszła w ciążę. Przy porodzie mojego brata asystowała jedna z tych kobiet, które w komunie nazywały się boginiami. Pojawiły się komplikacje. Wtedy matka zrozumiała, że musi odejść. Johnny był w stanie, który wymagał interwencji nowoczesnej medycyny.

Nie jestem przyzwyczajona do monologów. Czuję się, jakbym paplała bez sensu, a jednocześnie lubię myśleć, że słucha, że może nawet jest zaintrygowany.

– Przeprowadziliśmy się do Sacramento i w ciągu roku matka wyszła za mojego ojczyma. Wiesz, ma to coś. Jest kurewsko samolubna, a mimo to dostaje wszystko, co chce. Może dzieje się tak dlatego, że za nic nie przeprasza i nie ma wstydu. W przeciwieństwie do mnie.

Wzdycham, zastanawiając się, czy to nie za wiele. Może są jakieś części mnie, które powinnam osłaniać przed Nocą. Nie wiem już, czy to nowa ja, ta, która pogodziła się ze swoją obecną sytuacją, czy dawna ja, zraniona dziewczyna pragnąca miłości i akceptacji otoczenia.

– Mój brat Johnny... Czasami nienawidzę jej za to, jaki on jest. Nie mogę powstrzymać się od myśli, że gdyby wcześniej pojechała do szpitala, jego życie mogłoby wyglądać zupełnie inaczej.

Łzy płyną mi po policzkach. Tak naprawdę po upływie pierwszych tygodni starałam się o nim w ogóle nie myśleć, bo to sprawiało mi zbyt wiele bólu. Ale postanowiłam, że tej nocy w końcu wolno mi trochę się nad sobą poużalać.

– Dla niego wcale nie jest lepsza niż dla mnie. Tak bardzo się dla niego starałam, chciałam, żeby zobaczył, że jest kochany, że nie stanowi ciężaru dla rodziny, a teraz mnie przy nim nie ma, Krzesło znowu skrzypi. Możliwe, że przekraczam jakąś granicę, więc milknę na moment. Ocieram z oczu łzy i uśmiecham się blado.

– No tak, miałam mówić o księżycu. Ło! ale zboczyłam z tematu. Więc... moja babcia bardzo różniła się od matki. Mieszkała w Sacramento, nie widywałyśmy się zbyt często. Ale kiedy tylko mogła, zabierała mnie na weekend. Była taka ciepła i miła. Bardzo się staram być taka jak ona, zwłaszcza przy Johnnym. Umarła niedługo po tym, jak wyprowadziliśmy się z komuny. Nigdy nie czułam takiego bólu, takiej pustki. Powiedziała mi kiedyś, że przez moje imię na widok księżycy zawsze o mnie myśli i że odmawia za mnie krótką modlitwę.

Wzdycham, siadając na łóżku.

– Potem dała mi ten wisiołek ze śliczną, złotą zawieszka w kształcie księżycy. Dzięki

niemu w jakiś sposób zawsze była ze mną. Kiedy ogarniał mnie smutek, brałam go do ręki i zamykałam oczy, a wtedy czułam się tak, jakby nadal przy mnie trwała. Ale już go nie mam. Zniknął. Zostałam całkiem sama.

Słowa płynęły z moich ust zupełnie szczerze. Zupełnie się zapomniałam. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, jak bardzo ryzykuję, dzieląc się z nim tą historią. Że oskarżam go nie tylko o kradzież wisiora, ale też o to, że próbuje swoją obecnością zastąpić coś, czego zastąpić się nie da. Drewniane krzesło ze zgrzytem przesuwają się po podłodze, a potem Noc wstaje. Wstrzymuję oddech, zastanawiając się, czy go zdenerwowałam. Czy przypadkiem nie uznał tego za próbę manipulacji.

Tym razem nie stara się być cicho. Jego buty uderzają głośno w skrzypiącą podłogę. Zatrząskuje drzwi i zamyka zasuwę po drugiej stronie.

Rozdział 13

SAM

Chciałem coś powiedzieć... Tak bardzo, że wargi mi drżały i ledwie mogłem usiedzieć w miejscu. Nie jestem pewien, w jaki sposób miałbym się odezwać, ale kiedy opowiadała o swoim życiu, o rzeczach, których nie zdradziłyby mi nawet całe lata podglądania przez okno, poczułem przemożną potrzebę otwarcia ust.

Wracam do domu, wchodzę do sypialni na górze i wyjmuję deskę z podłogi pod łóżkiem. Pod nią znajduje się skrytka ze szkatułką pełną pamiątek, jakie zabrałem ze wszystkich domów, do których kiedykolwiek się wdarłem. Każda z nich budzi wspomnienie konkretnego domu, rodziny i historii, jaką dla niej wymyśliłem, bazując na wskazówkach w okolicy i tym, co zobaczyłem przez okna.

Kiedy jest się tak produktywnym jak ja, nadmiar wrażeń z czasem zaczyna się zacierać, lecz te przedmioty odświeżają mi pamięć. Lecz teraz, wzięwszy do ręki małą, jadeitową figurkę słonia, zdaję sobie sprawę, że są rzeczy, których nigdy się nie dowiem – nieważne, jak długo będę patrzył, jak agresywnie wedrę się do życia tych ludzi ani ile razy przeczese ich mieszkania. Dociera do mnie, że to wszystko było jedną wielką ściemą nawet wtedy, gdy przebywając w obcym domu, wcielałem się w rolę jego mieszkańca. To dlatego nie mogę przestać: bo nigdy, kurwa, nie dostanę tego, czego chcę. Wciąż dążę do perfekcji, do przeprowadzenia idealnej akcji, podczas której wszystko przebiegnie dokładnie według planu. Ale nigdy nie jest zadowolająco. Gdyby było, nie czaiłbym się pod kolejnymi oknami.

Kiedy to sobie uświadamiam, czuję złość. Na przekór temu, co podpowiada intuicja, mam ochotę znowu wyjść i wyładować gniew na tych ludziach. Lecz prawdziwe pragnienie, by to zrobić – by podglądać przez okna i planować włamania – zwyczajnie zniknęło wraz z pojawieniem się Vesper. Cała ta sytuacja, ta nieplanowana akcja i wielka porażka, mogą okazać się tym, czego tak naprawdę szukałem, niszcząc domy i rodziny.

Nie zadawałem pytań.

Nie zmuszałem jej.

A mimo to odsłoniła się przede mną.

Unoszę wisiołek, o którym mówiła. Zrozumienie związanej z nim historii powoduje wyrzut adrenaliny, bo zdaję sobie sprawę, że trzymam coś więcej niż złoto, coś bezcennego w jej oczach. Ze wszystkich rzeczy, które mogłem zabrać, sięgnąłem po tę idealną.

Nie podobało mi się, jakie emocje wywołała we mnie jej historia. Były mi obce i poczułem się niekomfortowo. To dlatego chciałem coś powiedzieć. Ale tym razem nie pod wpływem gniewu, dzięki któremu moje usta wyrzucały werbalne strzały – precyzyjne, odpowiednio nakierowane, przesywające. Moje wargi drżały, język zrobił się ciężki i wiedziałem, że jeśli się odezwę, Vesper usłyszy moją słabość.

Jest kłamczuchą, tak jak wszyscy.

Kilka tygodni temu prawie pozwoliłem, żeby namieszała mi w głowie, gdy braliśmy razem prysznic. Z początku sądziłem, że to kolejny sposób, żeby się z nią zabawić, ale kiedy osunęliśmy się na podłogę, nie byłem już pewien, co jest prawdziwe, a co nie. Nie miałem nawet pewności, kto gra jaką rolę. Wrzucam wisiołek z powrotem do drewnianej szkatułki i spuszczam wzrok na odsuniętą deskę. Zawsze sądziłem, że to dobre miejsce na chowanie swoich skarbów,

teraz jednak skrytka wydaje się zbyt łatwa do odnalezienia. Zresztą i tak nie powinno jej tu być. W tym domu znajduje się tylko jeden pokój, w którym jest miejsce na coś takiego, a ja przez ostatni rok byłem zbyt roztrzęsiony, żeby tam wejść.

Biorę szkatułkę pod pachę, biegnę na dół po schodach i wypadam na zewnątrz, kierując się do swojego pick-upa. Przeszukuję narzędzia i znajduję młotek do gwoździ.

Zanoszę go do pokoju matki, odsuwam jedną z jej jasnych makat o skomplikowanych wzorach i wyjmuję deskę ze ściany. Tutaj będzie nowy dom dla mojego pudełka skradzionych wspomnień.

Vesp nie dostanie swojego wisiora z powrotem. Nie mogę dopuścić, żeby dowiedziała się, jakie znaczenie mają dla mnie jej słowa. Z tego, co mi wiadomo, ten wisior to talizman, a ja jestem jedyną osobą, która może dysponować jego mocą.

Tego ranka za oknem słyszę hałas. Spoglądam na zegar. Jest wcześnie, dopiero co minęła siódma. Wstaję z łóżka i przez przeźroczystą zasłonę dostrzegam przejeżdżającą ciężarówkę. Kilku mężczyzn nosi jakieś pudła, a starsza pani wydaje im polecenia. Odsuwam zasłonę, żeby popatrzeć na nowych sąsiadów. Przyglądam im się podejrzliwie, zupełnie jak mama. Czy ci ludzie zostali przysłani, żeby mnie zabić? Z początku jej nie wierzyłem, ale potem pokazała mi żyłkę, którą znalazła w cieście, dlatego teraz trochę się boję, że człowiek, który mnie przejechał, ucieknie z więzienia i przyjdzie, żeby zrobić mi krzywdę. Tata powiedział, że bardzo długo nie wyjdzie na wolność. Staram się nie dopytywać o niego, bo mama zabroniła mi powtarzać tacie to, co mówiła. Są takie dni, kiedy mu ufa, a kiedy indziej uważa, że tata ukrywa przed nią coś ważnego. Powtarza mi, że powinienem zawsze go kochać i szanować, ale mógł też zostać zahipnotyzowany albo coś. Dlatego na razie to nasz sekret. Ciekawość bierze górę i na palcach schodzę na dół. Scoot i tata pojechali o świcie na ryby, więc jesteśmy tu tylko ja i mama. W domu panuje cisza, mama pewnie nadal śpi. Nie wydaję najmniejszego dźwięku po drodze do frontowego okna, skąd patrzę na kręcących się po chodniku ludzi.

Na podjeździe, który sąsiaduje z naszym trawnikiem, zauważam dziewczynkę. Skacze na skakance, śpiewając piosenkę. Nie rozumiem słów, ale słyszę jej wesoły głos. Ma na sobie jasnyniebieską sukienkę z białą koronką i białe skarpetki, też z koronką. Chcę się z nią zaprzyjaźnić. Dawno nie byłem na dworze, mimo że zdjęli mi już szwy i mogę normalnie chodzić.

Normalnie nie miałbym tyle śmiałości, ale w zachowaniu tej dziewczynki jest coś takiego, co sugeruje, że może stanie się jedyną osobą, która potraktuje mnie inaczej. Otwieram frontowe drzwi i wychodzę przed dom, wciąż w piżamie. Ruszam przed siebie z opuszczoną głową, lekko powłócząc jedną nogą. Zatrzymuję się blisko dziewczynki, ale się nie odzywam. Boję się, że moje słowa zabrzmiały dziwnie, bo mocno się denerwuję i serce bije mi bardzo szybko.

– Cześć – mówi.

Nie odpowiadam.

– Mieszkasz w tym domu? – pyta.

Kiwam głową.

Rozmawiając ze mną, nie przestaje skakać, chociaż trochę się chwieje.

– Moja babcia się tu wprowadza, ale ja z nią nie mieszkam. Jak masz na imię?

Poruszam ustami, z których wydostaje się ledwie szept:

– Sa-sam.

– Dlaczego jesteś na dworze bez butów i koszulki? – pyta.

Wzrusza ramionami.

– Babcia mówi, że mogę pojeździć rowerem, o ile nie będę sama. Masz rower?

Serce staje mi na moment, kiedy pada to zaproszenie. Wiem jednak, że mama okropnie się pogniewa, jeśli znowu będę jeździć rowerem po ulicy. Zwłaszcza po tym, co się stało. Tak czy siak, kiwam głową, dając jej znać, że mam rower, choć naprawdę należy do Scoota.

Dziewczynka przestaje skakać, a ja podnoszę wzrok, żeby zobaczyć, co się zmieniło. Rzuca skakankę na ziemię. – Co ci się stało w buzię? – pyta.

Serce znowu mi zamiera. Czy zaczniesz się śmiać, kiedy spróbuję odpowiedzieć? Należy do tych ludzi, którzy chcą mnie skrzywdzić? Czy to pułapka?

– Miałem wy-wy-wypadek.

– Jaki?

– Po-potrącił mnie sa-samochód.

– Ojej – mówi.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i wyciąga rękę, żeby dotknąć mojej twarzy. Odskakuję do tyłu. Nigdy żadna dziewczyna mnie nie dotknęła i teraz żałuję, że jej nie pozwoliłem. Chcę powiedzieć, że może to zrobić, ale czuję się zbyt zawstydzony.

– A dlaczego tak mówisz? – interesuje się.

Pytanie jest bardzo bezpośrednie, ale wcale nie czuję się źle, kiedy je zadaje. Mam wrażenie, że chce mnie poznać, a nie mieć powód do drwin.

– To za-za-za... – W tej chwili słowo „zaburzenie” jest dla mnie równie niemożliwe do wypowiedzenia jak

„superkalifradalistodekspialitycznie”, więc zamiast tego mówię: – Ją-jąkam się. A-ale chodzę na spe-ecjalne le-lekcje.

– Aha. – Wzrusza ramionami. Czekam, aż będzie się śmiać albo powie mi, żebym z tym walczył. – To co, chcesz się przejechać? – pyta.

Przyjaciółka. Czy mogłaby się nią stać? Zawsze marzyłem, by na świecie istniał ktoś, kto nie będzie się ze mnie naśmiewał. A do tego jest taka ładna.

– Sam! – Dobiega mnie pełen paniki okrzyk od strony domu. – Sam! – powtarza mama twardszym głosem, maszerując w moim kierunku. – Nie powinieneś wychodzić.

Ma na sobie podomkę i wygląda na zasnęłą.

– Powinieneś siedzieć w domu i odpoczywać. – Kładzie mi dłonie na ramionach.

– Ni-ni-nic mi nie jest.

– Sam, co ja ci powiedziałam? – szepcze. Ma na myśli nasz mały sekret.

Dziewczynka przysłuchuje się naszej wymianie zdań.

– Dzień dobry – mówi do niej mama z nerwową słodyczą w głosie. – Sam jest bardzo chory i nie może się dzisiaj bawić.

– Och – odpowiada dziewczynka, której imienia nie zdążyłem poznać.

Mama ciągnie mnie z powrotem do domu, a mi robi się strasznie smutno, kiedy patrzę, jak śliczna dziewczynka w skarpetach z koronką odchodzi.

– Mamo, ja chcę się pobawić.

– Co ci mówiłam? – odzywa się ostrym tonem, grożąc mi palcem tuż przed twarzą. – Na zewnątrz nie jest bezpiecznie. Myślisz, że to przypadek, że taka śliczna dziewczynka wprowadziła się do domu obok? To idealna przynęta na chłopca takiego jak ty.

– Ona była mi-mi-miła! – protestuję.

– Sam, kochanie, dziewczyny będą dla ciebie miłe, żeby dostawać różne rzeczy. Będą cię wykorzystywać, żeby zdobyć pieniądze albo koneksje. Jesteś wyjątkowy, ale one tego nie rozumieją. Małe dziewczynki są puste i wołałyby raczej być z takim chłopcem jak Scoot. On jest prosty, ale taki sam jak wszyscy inni. Ty jesteś złożony.

– To nie-e-sprawiedliwe! – krzyczę, czując, jak po policzku płynie mi łza. – My-yślałem, że ona mnie po-po-polubiła. – Szloch sprawia, że cały się trzęsę.

– Sam, nie możesz kłócić się ze mną w tej sprawie. Ci ludzie są obcy. Mogli zostać tu wysłani przez CIA. Przez kogokolwiek! Próbuję cię chronić.

– Chcę iść na dwór! Ona była miła! Miała zostać moją jedyną przyjaciółką! – Wybucham płaczem.

Frustracja przełamuje napięcie w ustach i gardle, które do tej pory powstrzymywało słowa. Mama przez chwilę wygląda na zaskoczoną i smutną.

– Dostyc tego! – Unosi ręce w nerwowym geście. – Jestem twoją matką i zrobię wszystko, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo! Nie obchodzi mnie, co mówi twój ojciec. Nie obchodzi mnie, co mówią wszyscy dookoła. Nie możemy dłużej tu zostać. W ten sposób zbyt łatwo cię znaleźć. Zbyt łatwo cię zmanipulować i wywabić na zewnątrz.

Łapie mnie za rękę i ciągnie po schodach na górę, do sypialni swojej i ojca, po czym wyciąga walizki z szafy.

– Do-dokąd jedziemy? – pytam.

Rzuca wielką walizkę na łóżko i otwiera ją.

– Na farmę. Tam będziesz bezpieczny. Mogę uczyć cię w domu. Zostaniemy tam tak długo, aż staniesz się dostatecznie dorosły, żeby samemu o sobie zadbać – oznajmia z twarzą pokrytą potem i oczami wytrzeszczonymi tak bardzo, że wyglądają jak dwie piłeczki do ping-ponga.

Rozdział 14

VESPER

Wiem, że ten poranek będzie inny, gdy po przebudzeniu dostrzegam gazetę na krześle, na którym siedzi Noc. Takie odstępstwa od rutyny są mile widzianymi niespodziankami. Od czasu, kiedy opowiedziałam mu o babci, rzadziej przychodzi, by mnie obserwować. Teraz pojawia się po to, aby wziąć ode mnie, czego potrzebuje albo żeby dać mi niezbędne rzeczy.

Ostatnio wykorzystuję tych kilkanaście sekund, jakie zajmuje mu ubranie się, na błaganie o coś, co, jak sędzę, pomoże mi tu dłużej przetrwać: o książki, gazety, muzykę, origami, o cokolwiek. Zaczynam czuć się dziwnie, jakbym powoli traciła rozum. Nie mam żadnych innych bodźców poza pieprzeniem się z tym mężczyzną i obawiam się, że któregoś dnia coś we mnie pęknie.

Myślę o nim cały czas. O tym, co robi na zewnątrz, czy nadal włamuje się do domów, czy przebywa z innymi ludźmi. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby miał wypadek i zginął. Powoli umarłabym tu z głodu i nikt nigdy nie dowiedziałby się, co się ze mną stało. Mój mózg musi oddychać, musi oglądać choć odrobinę świata, która dotyczy czegokolwiek poza nim.

Noc nigdy nie reagował na te apele, a gazeta może być kolejną zawołaną wiadomością, ale wciąż jest pełna rzeczy, które mogę przeczytać. Dlatego na jej widok zrywam się z łóżka tak szybko, że niemal potykam się po drodze. Zupełnie ignoruję małe śniadanie czekające na mnie na nocnej szafce. Naturalnie w pierwszej kolejności szukam jakichś artykułów o sobie. Wertuję strony tam i z powrotem. Wiele razy. Nic. Ani jednej pieprzonej wzmianki. Wnioskując po dacie gazety – o ile jest dzisiejsza – jestem tu już jakieś cztery miesiące.

Samotna łza spływa mi po policzku, ale ocieram ją, zanim wywoła powódź. Jestem znieczulona na swoje poprzednie życie. W tym momencie to tylko wspomnienie. Czytam całą gazetę od deski do deski, nie opuszczając ani jednego artykułu, nawet najnudniejszego gówna o finansach. Zabawne, jak kiedyś narzekałam na wszystkie te podręczniki, które musiałam czytać w szkole. Ile dałabym teraz za podręcznik do anatomii, żeby jakoś zabić czas.

Odkładam gazetę i czuję się tak usatysfakcjonowana, jakbym skonsumowała właśnie wystawny posiłek. Lecz kiedy tak siedzę i jem śniadanie, patrząc na promienie słońca zalewające moje łóżko, ogarnia mnie panika. Czy Noc przyjdzie dzisiaj? Czy będę musiała spędzić kolejny dzień zamknięta w czterech ścianach, za jedyną towarzyszkę mając ciszę?

Zaczynam nucić piosenkę, którą śpiewałam sobie jako mała dziewczynka:

„Jimmy dorwał się do kukurydzy,

ale kto by się przejmował,

Ole Massa odszedł”.

Kołyszę głową na boki, potem stukam stopami w podłogę, ale nudzę się tym po chwili.

– I co będziesz dzisiaj robić, Vesp? – pytam. – Gapić się na tę ścianę? Czy na tamtą? – Wskazuję na identyczne sąsiednie ściany. – Nie, będziesz tylko czekać tutaj na psychopatę o irytująco perfekcyjnym ciele i przerażającym temperamencie.

Pozwalam słowom odpłynąć. Mówienie jest nudne, kiedy nikt nie słucha. Próba ulżenia sobie żartami nie działa, jak powinna, a jedynie przypomina mi, w jak tragicznym położeniu się znajduję. Rozglądam się po małej, ale dobrze wyposażonej przestrzeni, jakbym oczekiwała, że może zmaterializować się w niej coś nowego. Oczywiście nic takiego się nie dzieje. Tu nigdy nic

się nie zdarza, dopóki nie przyjdzie on.

Zostaje mi tylko jedna rzecz, którą mogę teraz ze sobą zrobić. Jedyne sposoby, by zająć czymś znudzone ręce i umysł.

SAM

Patrzę na Vesper, nie mogąc doczekać się, jak zareaguje, kiedy zda sobie sprawę, że jest praktycznie zapomniana. Jej przypadek ostygł już do temperatury wody w strumieniu. Ulotki przyłączone do każdego drzewa i słupa telefonicznego zbladły i wystrzępiły się. Tylko od czasu do czasu redaktorzy poświęcają jej kilka słów w wiadomościach, a w prasie okazjonalnie pojawia się krótka wzmianka. Lecz choć sprawa Vesper przez kilka miesięcy królowała na pierwszych stronach gazet, media tak naprawdę nie miały o czym donosić. Nie było ciała, nie było żadnych tropów, a Nocny Drapieżnik zdawał się zapaść w sen. Jeśli zaś nie ma nowych informacji, to i nie ma artykułu.

Kiedy ostatnim razem dałem jej gazetę, przeżyła małe załamanie. Mając na uwadze jej relację z matką, domyślałem się, która część tekstu tak ją wzburzyła. Obserwowałem ten moment, zafascynowany różnymi fazami emocji, gdy zdała sobie sprawę, że matka tak szybko postawiła na niej krzyżyk.

Szczerze mówiąc, wydawało mi się to dziwne. Większość ludzi próbuje raczej uśmierzyć swój ból nadzieją i wypieraniem faktów. A nawet gdy w końcu uwierzą, że ich dziecko nie żyje, z reguły czekają jeszcze jakiś czas, zanim ogłoszą to publicznie. Ale wygląda na to, że ta kobieta poddała się zaraz po tym, jak Vesp została porwana.

Tym razem ociera twarz tylko raz. Tylko jedna łza. Smakowałem te słone kropelki, pożerałem jej rozpacz. Teraz pojawiają się znacznie rzadziej. Zazwyczaj Vesper ma twarz jak wyciosaną z kamienia, chyba że ją pieprzę. Wtedy krzywi się i ożywa z przyjemności, bólu i strachu. Tej nocy, gdy opowiedziała mi historię swojego naszyjnika, jej mina wyrażała coś pośrodku. Podobało mi się to. I jednocześnie cholernie nie podobało. Zbyt ryzykownie byłoby pozwolić, żeby kiedykolwiek znowu tak mocno podziała na moje emocje.

Zaczyna coś nucić, dźwięk przedostaje się przez ściany szopy, niewyraźny i zniekształcony. Wciąż jednak budzi we mnie jakieś wspomnienie. Sięgam w głąb umysłu, by przywołać szczegóły, ale nie mogę sobie przypomnieć.

Po piosence zaczyna mówić do siebie. Robi to coraz częściej. Chodzi tam i z powrotem, mamrocząc jakieś nonsensy. Nie słyszę jej, o ile nie staje się naprawdę głośna, a tym razem nie jest. Ale robi to z takim ożywieniem, że i tak się śmieję. Zastanawiałem się nad przyniesieniem jakichś rzeczy, żeby nie zwariowała, lecz nadal nie jestem pewien, czy już na tym etapie chcę dać Vesper moc w postaci rozrywki. Lubię być jedynym jej źródłem. Rozważę to, kiedy będę miał pewność, że w pełni należy do mnie.

Wpadam w trans – w spokojny, niemal hipnotyczny stan, gdy bledną natarczywe myśli, a ja zatracam się w obserwowaniu przyziemnych czynności, które wydają mi się wręcz magiczne. Ale to, co Vesper robi po chwili, gwałtownie przywraca mnie do rzeczywistości. Siada na moim krześle – nazywam je tak, bo choć nigdy jej nie zabroniłem, w ogóle z niego nie korzysta – podciąga stopy i rozsuwa kolana.

Obnaża jedną z jędrnych piersi, których wciąż nie mam dosyć, i zaczyna ją masować. Odrzuca głowę do tyłu, przesuwał koniuszkiem języka po wargach, zapraszająco i zuchwale jednocześnie. Podciąga koszulkę nocną – kolejną, którą uszyłem dla niej po tym, jak poprzednia zniszczyła się podczas pościgu po lesie. Odślania ogoloną cipkę i mogę zobaczyć wilgotne, różowe wargi, a potem zaczyna się pieprzyć własnymi palcami.

Oglądałem wiele osób podczas masturbacji. Zazwyczaj robią to po cichu, pozwalając sobie na kilka cichych jęków podczas orgazmu, bo nie ma przed kim robić przedstawienia. Do tego momentu byłem pewien, że nie wie o moim podglądaniu. Ale teraz jest głośna i wulgarnie pieprzy się dłonią, jakby chciała, żeby mężczyźni patrzyli na nią i walili sobie konia. Kontrast między tą uroczą, niewinną kobietą a tą, która w tym momencie zabawia się ze sobą tak bezwstydnie, jednocześnie mnie wkurwia i przyprawia o bolesną erekcję. Nie powinna tego robić! Ta cipka należy do mnie! Wchodzenie w nią to moje zadanie, koniec, kropka.

– Ty mała, podstępna dziwko. – Śmieję się pod nosem.

W następnej chwili jęczy moje imię. Oczywiście nie jest to „Sam”, tylko pseudonim, ten, który narodził się, gdy po raz pierwszy zerznąłem ją do końca. Nie ma mnie tam, a jednak ona nadal mnie pieprzy. Wściekłość zmienia się w nagłą potrzebę, by dojść razem z nią, dlatego wyciągam kutasa i chwytam go mocno, tłumiąc własne jęki. A potem zaczynam przesuwając po nim ręką, patrząc na swoje dzieło: na kobietę zredukowaną do kilku potrzeb, przy czym jedną z nich jestem ja.

– Pieprz mnie, pieprz mnie! – krzyczy, unosząc biodra na krześle.

Palcami drugiej dłoni bawi się ciemnym sutkiem.

– O kurwa – stękam, zbliżając się do szczytu.

Jej jęki przedostają się przez ściany kabiny, a ja poruszam ręką coraz szybciej, żeby ją dogonić, i bryzgam spermą na ścianę. Wprawdzie wolałbym, żeby to była jej cipka albo usta, ale i tak świadomość, że dałem Vesper orgazm, nawet przy niej nie będąc, jest niesamowicie satysfakcjonująca.

A mimo to nie wystarcza. Nigdy nie wystarcza. Nigdy nie mam dość seksu. Zdarzały się dni, kiedy pieprzyłem ją cztery razy, a potem musiałem przerzucić się na tyłek albo usta, bo jej cipka była cała puchnięta od rżnięcia. A jednak zawsze jest dla mnie gotowa. Zawsze dochodzi.

Poprawiam spodnie, zdeterminowany, by iść tam i dać jej porcję rzeczywistości, o której fantazjowała. Lecz najpierw chcę ją poobserwować. Nieskładnie poprawia górę koszulki, chowając nagą pierś. Oczy ma zamglone, jakby sama nie wiedziała, co w nią wstąpiło.

Podnosi się z krzesła, po czym drżącymi dłońmi obciąża materiał i przeczesuje włosy. Rozgląda się podejrzliwie, jakby to, co właśnie zrobiła, było tak niemoralne, że sam Bóg we własnej osobie lada moment zstąpi na ziemię, żeby ją osądzić. Przesuwa palcami po twarzy i z głębokim westchnieniem zakłada ręce za głowę.

– Ho, ho – mamrocze. – Ale jestem pojebana.

Śmieję się. Czasami potrafi być zabawna.

Ale zaraz, pozornie bez powodu, wyraz jej twarzy się zmienia. Szok ustępuje miejsca dezorientacji i odrazie. Bierze głęboki oddech, jakby próbowała podjąć jakąś decyzję, a potem biegnie do łazienki – niewidocznej przez otwór, którego właśnie używam.

Rozdział 15

VESPER

Pokręcona mieszanka ulgi i wstydu, którą czuję po tym, jak zrobiłam sobie dobrze, myśląc o moim porywaczu, zostaje przyćmiona nagłymi zawrotami głowy. Ściany wirują wokoło, podłoga rusza się pod stopami.

Próbuje mnie zabić! Zatrul moje śniadanie!

Żołądek skręca się ze strachu. Rzucam się do łazienki i wpycham palec do gardła, zmuszając się do wymiotowania posiłku. Ulga przychodzi od razu, lecz zalewa mnie zimny pot ma myśl o tym, co będzie dalej. Zatrząskuję drzwi i siadam, opierając się o nie plecami, zdeterminowana za żadne skarby nie wpuszczać Nocy do środka. Dławię się, nie mogąc złapać powietrza, zdjęta grozą zupełnie nowego rodzaju.

Umrę. Wiem o tym. Wiem i już. Pozwoliłam sobie zaufać temu mężczyźnie. Uwierzyłam, że jeśli dam mu to, czego chce, uda mi się przeżyć. Ale on wykorzystuje klucz do mojego przetrwania, by mnie zabić.

Pole widzenia zawęża się, trucizna musi już działać. Mam tylko nadzieję, że zwróciłam jej dostatecznie dużo, żeby zatrzymać postęp toksyn. Usiłuję uspokoić oddech, ale za każdym razem, kiedy wciągam powietrze, ściska mnie w piersi coraz mocniej. Chwilę później niemal zupełnie przestaję oddychać. Wtedy słyszę jego kroki w pomieszczeniu z łóżkiem. Bez namysłu przesuвам się na czworaka i sięgam po brzytwę. Kiepska broń, ale innej nie mam. Rzucam się na drzwi łazienki, gdy mężczyzna próbuje je otworzyć.

– Wynoś się! – krzyczę.

Zapieram się nogami ze wszystkich sił, żeby przytrzymać drzwi. Zaczyna w nie walić, a każde łupnięcie wywołuje głucho dudnienie w mojej klatce piersiowej.

– Pierdol się! – wrzeszczę na całe gardło mimo problemów z oddychaniem.

Próbuje zwalczyć mój opór, nieprzerwanie pchając drzwi. Pieką mnie stopy, kiedy desperacko zapieram się o podłogę, lecz jest za silny. Udaje mu się otworzyć drzwi na tyle, by przepchnąć się do połowy.

– Nie! – krzyczę i obracam się, by oprzeć się o nie plecami.

Stęka i uderza w nie gwałtownie, a ja bezładnie lecę do przodu i ląduję na podłodze. Drzwi z łomotem odbijają się od ściany i zatrząskują przed twarzą porywacza. Lecz on wali w nie z taką siłą, że pękają na pół i smętnie zwisają z zawiasów.

Nie odrywając od niego przerażonego spojrzenia, odpełzam pod przeciwległą ścianę. Ten widok nigdy nie staje się mniej przerażający: silny, zamaskowany mężczyzna górujący nade mną. Tak anonimowy i pozbawiony duszy jak każdy potwór w historii opowiedzanej przy ognisku na biwaku. Wszystkim, co mogę teraz zrobić, jest przygotowanie się na atak.

Noc łapie mnie za ramiona i podciąga na nogi.

– Ty skurwysynu! – krzyczę, unosząc brzytwę.

Udaje mi się zrobić jeden zamach i pół następnego, zanim chwyci mnie za nadgarstki i wyrwie broń. Ciska brzytwą o ścianę. Ostrze z brzękiem odbija się od niej i nieruchomieje u jego stóp.

– Próbujesz mnie zabić! – wrzeszczę, a rzeczywistość wymyka mi się z rąk. Czuję, że słabnę. – Nienawidzę cię!

Wykorzystując resztkę energii, jaką mogę jeszcze z siebie wykrzesać, kopię i wyrrywam się z jego uścisku. Jestem odkarmiona i o wiele silniejsza niż wtedy, gdy trzymał mnie w piwnicy i zmuszał do życia wśród własnych odchodów. Nawet z trucizną w organizmie.

– Obiecałeś, że się mną zaopiekujesz, jeśli będę posłuszna! – krzyczę. – I byłam!

Do tej pory ledwie na niego patrzyłam, przytłoczona paniką i przekonaniem, że umieram, ale teraz zauważam jego frustrację. Zaciska usta, jakby walczył z chęcią powiedzenia czegoś. Oczy ma rozszerzone i szkliste. Nigdy takich u niego nie widziałam. Bez broni i niemal kompletnie obezwładniona w jego uścisku walę go czołem prosto w nos.

– Kurwa mać! – krzyczy, puszczając mnie, po czym łapie się za twarz.

Udaje mi się wybiec z łazienki i dopaść do drzwi wyjściowych, ale on ciągnie mnie do tyłu za tę śliczną koszulkę nocną, którą mi dał. Otacza ramionami, podnosi z podłogi i rzuca na łóżko. Rama trzeszczy i skrzypi od uderzenia, a mnie zapiera dech w piersi, mimo że miękki materac przyjmuje większość impetu.

Zaczynam krzyczeć najgłośniej, jak potrafię, krztusząc się od intensywności własnego wrzasku. Noc siada na mnie okrakiem, bierze zamach i uderza w twarz tak mocno, że wszystko cichnie, ze mną włącznie. Potrząsa mną jak szmacianą lalką. Jakby próbował wyrwać mój umysł z obłądzenia i zwrócić na siebie uwagę. Oczy mu płoną, ale są pełne błagania. Nauczyłam się go czytać. Jego oczy i gesty tworzą konkretny przekaz. Chce mnie uspokoić i zmusić, żebym na niego spojrzała.

Przykładam dłoń do policzka pulsującego od uderzenia i zaczynam szlochać. Nigdy wcześniej mnie nie uderzył. Wydaje mi się, że to jeden z powodów, dla których zaufałam mu i uwierzyłam. Wiem, że to idiotyczne, biorąc pod uwagę wszystko, co zrobił, ale rozcięcia czy siniaki od więzów były tylko niezamierzonymi konsekwencjami innych działań, a przynajmniej tak to sobie tłumaczyłam. Nigdy w życiu nie zostałam uderzona tak jak przed chwilą. W pewnym stopniu to działa. Zaczynam wydobywać się ze spirali, która zaczęła mnie wciągać.

Potrząsa mną znów, tym razem delikatniej. Otwieram oczy, wciąż trzymając się za policzek. Kręci głową nieustannie: „Nie”. „Co «nie»? Nie próbujesz mnie zabić? Nie zamierzałeś właśnie mnie otruć? Czy może chcesz powiedzieć: «Nie krzycz więcej albo zrobię ci krzywdę?»”

Ale nie pytam na głos. Nie chcę odpowiedzi. Nie chcę rozmawiać, tylko po prostu wierzyć, że mnie truje.

Dalej siedzi na mnie. Oboje dyszymy ciężko. Pozostaje w tej pozycji tak długo, aż moje pole widzenia znów staje się wyraźne, a oddech zwalnia. Kiedy już ma pewność, że nie będę więcej uciekać ani wariować, odsuwa się, nie spuszczać ze mnie wzroku, a potem wraca na swoje krzesło. Siada na nim tyłem do mnie – twarzą do kąta niczym ukarane dziecko – pochyla głowę i ściąga kominiarkę. Z głębokim westchnieniem przeczesuje palcami falujące, jasnobrązowe włosy i chowa twarz w dłoniach.

Stało się. W końcu zobaczę oblicze człowieka pieprzącego mnie od miesiący. Sadysty, który włamał się do mojego domu, ukradł najcenniejszą pamiątkę po babci, a potem porwał i zrobił ze mną, co chciał. Człowieka, na którego czekam każdego dnia i za którym tęsknię, kiedy mnie nie odwiedza. Człowieka, o którym fantazjowałam, nie rozumiejąc pełnych konsekwencji pragnienia kogoś takiego jak on.

Siadam i czekam, opierając się pokusie, by coś podejrzeć, co pewnie sprowokowałoby go do buntu i założenia kominiarki. Ale kiedy jestem już prawie pewna, że pokaże mi, że jesteśmy czymś więcej niż tylko więźniarką i psychopatą, on pochyla głowę i zakłada kominiarkę.

Prycham pozbawiona złudzeń.

Gdyby dał mi chociaż tyle, zbliżył się do mnie odrobinę, mogłabym uwierzyć, że ten

poranek był pomyłką. Atakiem paniki, zatruciem pokarmowym. Ale on tym małym gestem pokazał mi wyraźnie, że traktuje mnie jak zwykłą dziurę do ruchania.

Podnosi się i idzie do łazienki, żeby zbadać uszkodzenia w drzwiach. Chwilę później zabiera brudne talerze i sztućce. Kopniakiem otwiera sobie drzwi i przed odejściem odwraca głowę, by posłać mi ostatnie spojrzenie. Nie mogę go rozszyfrować. Może byłoby mi łatwiej, gdyby odsłonił coś więcej niż tylko usta i oczy. Umiem jednak wyczuć, że to zupełnie nowe spojrzenie, podszyte rozczarowaniem, może żalem. Ale w jego języku nie ma takich słów, więc pewnie to jedynie projekcja moich własnych emocji.

Kiedy wychodzi, rzucam się na łóżko. Tak samo jak on przesuwam dłońmi po twarzy i przeczesuję włosy palcami, usiłując zrozumieć, jakim cudem poranek, który zaczął się tak spokojnie, przerodził się w huragan chaosu. Boję się, że tracę rozum, a on nie pomaga mi go zachować. Ta pierdolona gazeta zaprojektowana tak, by ze mnie zadrwić i przypomnieć, że nikt o mnie nie dba, dodatkowo pogarsza mój nastrój.

Mogę kręcić głową w nieskończoność, ale to nie zmieni faktów. Wiem, co się wydarzyło. Te mdłości, które poczułam po zjedzeniu śniadania, były prawdziwe. W ramach protestu robię więc coś, co zrobiłaby każda inna osoba na moim miejscu, każdy słaby człowiek, któremu nie zostało nic poza pustym pokojem, ubraniem na grzbiecie i własnym ciałem. Może powinnam być mu wdzięczna za to, że wytrenował mnie tak, bym potrafiła znosić fizyczną agonię, której wcześniej nawet sobie nie wyobrażałam. Jeśli chce, żebym umarła, to proszę bardzo, ale szybko do tego nie dojdzie. A jeśli nie chce, no cóż, wtedy będzie musiał wysłuchać moich cholernych żądań. Jeżeli ktokolwiek ma mnie zabić, będę to ja sama.

Dzisiaj przypada pierwszy dzień mojego strajku głodowego.

Rozdział 16

VESPER

Myślę, że Noc z początku był na mnie zły. Nie przychodził przez dwa dni, pewnie w ramach kary. Żadnego jedzenia ani świeżej wody. Zirykowało mnie to, bo strajk głodowy działa tylko wtedy, kiedy ktoś próbuje cię karmić. Głód był ostry, ale w ogóle nie przypominał tego, czego doświadczyłam na dole, w piwnicy. Trzeciego dnia dostałam śniadanie. Kiedy wrócił wieczorem i zobaczył je nietknięte, z rozdrażnieniem złapał tacę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Wciąż dręczą mnie mdłości. To coś, czego dodał mi do jedzenia, nie przestało jeszcze działać. Zazwyczaj kiedy przynosi posiłek, jestem pogrążona w głębokim śnie, ale tego ranka obudziłam się z okropnym samopoczuciem i właśnie krztuszę się nad prowizoryczną toaletą, kiedy słyszę jego kroki.

Zamykam drzwi dla odrobiny prywatności, ale po odłożeniu tacy on zaraz je otwiera. Zawsze musi zniweczyć każdy mój akt niezależności. Nie patrzę na niego, nic nie mówię. Wychodzę z łazienki i siadam na łóżku.

Noc zwraca moją uwagę, kiedy wyjmuje notes i długopis. Serce aż podskakuje mi z radości. Powinnam być na niego zła, a przynajmniej obojętna. Udaję więc, że pierwsze oznaki potencjalnej niesadystycznej interakcji wcale nie robią na mnie wrażenia.

„Nie otrułem Cię”.

Musiał to zrobić. Prycham.

– A ja ci nie wierzę.

Fuka ze złością i znowu coś bazgrze.

„Nie mam z Ciebie żadnego pożytku, kiedy jesteś chora”.

Ależ romantycznie.

– Taa. Może chciałeś mnie zabić, ale zorientowałam się i wyrzygałam to gówno, które mi dałeś. Więcej nie tknę jedzenia od ciebie. Wolę już zagłodzić się na śmierć.

„Tracisz kontakt z rzeczywistością”.

Widząc tę „zatroskaną” uwagę, zaczynam się śmiać. Z początku to ironiczny chichot, ale im dłużej myślę o hipokryzji tego stwierdzenia, tym bardziej histerycznie się śmieję. Nie próbuję go wnerwić czy nawet z niego zakpić, ale czy on naprawdę twierdzi, że z nas dwojga to ja nie trzymam się rzeczywistości?

Wstaje i odsuwa się ode mnie z widoczną frustracją. Próbuję przestać się śmiać. Jestem szczerze przerażona, ale moje ciało i umysł nie chcą mnie słuchać, śmiech nie cichnie.

– Ty... – Śmieję się znowu. – Wsadziłeś mnie tutaj... Od miesiący z nikim nie rozmawiałam. Nie przeczytałam żadnej książki, nie oglądałam telewizji. W jednej chwili nic nie mówisz, a w następnej pytasz, co czuję w cipce. Jeśli tracę rozum, to wyłącznie przez ciebie!

W mgnieniu oka niekontrolowany śmiech ustępuje miejsca dzikiej furii.

Noc odwraca się gwałtownie, szybkim ruchem porywa tost z tacy, chwytając mnie za szyję i wpycha mi jedzenie do ust.

– Jedz! – rozkazuje przez zaciśnięte zęby.

Rozdrapuję mu ramię. Usta bołą mnie od uderzenia, a smakujące masłem okruszki, które docierają do mojego języka, są bardzo kuszące, lecz z uporem zaciskam wargi.

Odsuwa rękę, a ja wypluwam kawałki chleba.

– Widzisz?! – krzyczę. – Jak mam ci zaufać?! Mam uwierzyć, że nie chcesz mnie zabić, podczas gdy robisz to po trochu każdego dnia?! Możesz mnie bić, pozbawiać wszystkiego, więzić w lesie, ale, kurwa, nie będę jadła! – wrzeszczę co tchu w płucach.

W moim proteście nie ma żadnej logiki. Bunt zaczął się po to, żebym utrzymała się przy życiu, ale teraz może mnie zabić. Nie, tutaj chodzi o coś innego, choć nadal nie do końca wiem, o co. Nie o przetrwanie, to na pewno.

Podnosi tacę i ciska nią przez pokój. Sok, tosty i jajka na twardo rozbryzgują się na ścianie.

– Chcesz grać w tę pierdoloną grę? – Wskazuje na mnie palcem. – Nie masz pojęcia, jak źle może być. Dam ci jeden dzień, żebyś zmieniła zdanie. A jeśli tego nie zrobisz, dowiesz się, jak to jest, kiedy naprawdę będę chciał cię zabić.

Wymaszerowuje z kabiny i zatrzaskuje drzwi tak mocno, że, przysięgam, wykrzywia framugę. Wydaję z siebie okrzyk desperacji. Nie wiem, co robię i dlaczego. Nie wiem, czy ten człowiek w ogóle dba o to, czy jestem żywa czy martwa. I boli mnie myśl, że być może zależy mu na mnie bardziej niż mojej własnej matce.

Kpi ze mnie artykułami przypominającymi mi o tym, że jestem jedną z zapomnianych. Trzyma mnie w zamknięciu. Mam wierzyć, że nie odważyłby się podać mi trucizny?

Bałagan, jaki zostawił, sprawia mi udękę. Nie, nie mam ochoty grzebać w resztkach, szukając czegoś do jedzenia. Wręcz przeciwnie, na ich widok skręca mnie w żołądku. Biegnę do łazienki i wymiotuję żółcią.

– Nie, nie, nie, nie... – szepczę do siebie, gdy nagle zdaję sobie z czegoś sprawę. Nowa myśl jest tak przerażająca, że być może próbowałam desperacko ją od siebie odsunąć, wierząc w jakąś wielką intrygę z trucizną.

W szkole pielęgniarstwa musiałam chodzić na zajęcia z psychologii. Pamiętam, jak uczyłam się o tym, że ludzie czasami odcinają się od świata, by chronić przed nim swoją psychikę. Kiedy wpełzam do łóżka, ta myśl sprzed chwili pozostaje na powierzchni. Nie chcę badać jej dokładnie i dowiedzieć się, dlaczego wmawiałam sobie, że zostałam otruta, i jaki konkretnie aspekt swojej rzeczywistości usiłuję zamaskować.

SAM

Nie chcę jej bić. Od jakiegoś czasu dobrze nam się układa. Dajemy sobie nawzajem to, czego potrzebujemy. Dotąd była posłuszna i zdawało się, że akceptowała swoje położenie. Aż tu nagle masturbuje się ostro, myśląc o mnie, a w następnej chwili wpada w szał i twierdzi, że ją otrujęm.

Od tygodni prosi mnie o coś, co dostarczyłoby stymulacji jej umysłowi. Może spieszyłam i byłem dla niej zbyt surowy, ale jeśli teraz coś jej dam, zacznę myśleć, że takie wybryki przynoszą korzyści. Nie. Minęły cztery miesiące i musimy wrócić do punktu wyjścia. Żadnego kontaktu, jedzenia, wody, dopóki się znowu nie złamie. Mam nadzieję, że tym razem nawet mocniej. Musi zrozumieć, że mnie potrzebuje. Że będzie szczęśliwsza, jeśli po prostu zaakceptuje swoje położenie.

Wciąż jednak nie mogę tego pojąć. Fakt, wcześniej zachowywała się trochę dziwnie, ale nie dziwniej niż zwykli ludzie w samotności. Ci, których podglądałem, mówili do siebie, płakali, robili całe mnóstwo głupich rzeczy. Tymczasem jej upadek przyszedł zupełnie niespodziewanie.

Nieustannie rozważam swoją strategię. Co, jeśli głód i izolacja kompletnie ją zniszczą, a ja zostanę tylko z pustą skorupą? Nie chcę samej powłoki. Pragnę tych fragmentów jej osoby, które do mnie pasują. Może po tym, jak próbowałam zabić niepasujące części, umiera cała

Vesper?

Minęły dwa dni, odkąd próbowałem nakarmić ją na siłę i w desperackim pragnieniu komunikacji nawet wziąłem ze sobą notes. Czułem się jak żałosny idiota, pisząc do niej to gówno. Jakbym musiał się tłumaczyć. Ale ona utknęła w świecie swoich wymysłów.

Nie wróciłem. Nie obserwowałem jej, nie karmiłem. Potrzebowałem czasu, żeby poważnie się zastanowić, jak powinienem przekierować ją na właściwą drogę. Ale były to dwa dni agonii, kiedy nie mogłem jej dotknąć, poczuć zapachu, smaku gładkiej skóry. Nie mogłem nawet na nią zerknąć. Wydaje jej się, że tylko ona potrzebuje towarzystwa. Że dyscyplinując ją, jednocześnie nie dyscyplinuję siebie.

Wszystkim, czego kiedykolwiek chciałem, było stać się częścią czyjegoś cholernego życia. Dlaczego ona nagle zaczyna walczyć z czymś, co wydawało się nieuniknione?

Wlokę się do szopy, a kiedy jestem już blisko, przystaję i przyglądam się jej uważnie. Tuż przy jednej ze ścian dostrzegam sznur mrówek. Wpełzają do środka przez listwy i wypływają na zewnątrz, wynosząc małe okruszki. Zdejmuję but i przeciągam nim po nich. Lubię niszczyć ich małą społeczność. Prędzej czy później i tak będę musiał wyczyścićabinę, bo zacznie śmierdzieć, a zajmowanie się własnoręcznie zbudowanymi obiektami sprawia mi przyjemność.

Podchodzę do jednego z otworów, przez który widać pokój. Nie ma jej tam, więc idę do drugiego, wychodzącego na łazienkę. Vesper kłęczy pochylona nad toaletą, blada i zmęczona. Wygląda, jakby miała zaraz zwymiotować. Krztusi się, ale nie ma już czym rzygać. Teraz sam już nie wiem, co się dzieje. Może naprawdę jest chora, a to daje jej solidny powód, by podejrzewać mnie o dosypanie czegoś do jedzenia.

Wstaje na chwiejnych nogach, oczy ma czerwone. Od wysiłku podczas wymiotowania? Od płaczu? Nie wiem. Odgarnia włosy z twarzy i wraca do pokoju. Podążam za nią do innego otworu.

Jest w kompletnej rozsypce, a mimo to wciąż rozkoszuję się faktem, że przebywam tak blisko niej. Siada na brzegu łóżka, chowając twarz w dłoniach. Owiewa mnie lekki wiatr, przynosząc woń zgnilizny. Jajka. Spała w tym smrodzie. Nie chcę jej do tego zmuszać, ale nie daje mi zbyt wielkiego wyboru.

Bierze głęboki oddech i siada prosto, uderzając dłońmi o kolana. W jej oczach dostrzegam determinację. Wstaje i podchodzi do kąta, w którym stoi moje krzesło. Nie widzę go z tego miejsca, ale Vesper pojawia się w moim polu widzenia, przysuwając je bliżej.

– Co, do chuja? – mruczę pod nosem, kiedy staje za nim i mamrocze coś, patrząc w sufit.

Nie mam jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo nagle z całej siły nadziewa się brzuchem na róg oparcia.

– Co jest? – pytam zdezorientowany.

Czuję, jak moje stopy aż się rwą, by zanieść mnie do środka. Jak całe ciało pragnie powstrzymać ją od nieudolnej próby samobójczej.

Robi to znowu. Widzę, że nie ma dość siły, by spowodować cokolwiek poza siniakami. Nie wie, jak wiele potrzeba, żeby zrobić sobie krzywdę. Jak na pielęgniarkę prezentuje niesamowity brak zrozumienia dla działania ludzkiego ciała. Żeby się zabić, musiałaby wywołać taki uraz, że...

Cofam się spod otworu, kiedy wszystkie elementy układanki wskazują na swoje miejsce. Vesper nie próbuje zabić siebie.

Rozdział 17

VESPER

Siedzę w szopie, głodna, z oczami pełnymi łez, i patrzę, jak mrówki pracowicie wynoszą gnijące jedzenie. Dokonują inwazji na mój dom, ale to tylko iluzja domu. Dom to miejsce, do którego się wraca i z którego się wychodzi, kiedy się chce. Miejsce, gdzie można przyrządzić posiłek, w spokoju poczytać książkę czy zaprosić gości. A więzienie, w którym siedzę od wielu miesięcy, jedynie wygląda jak dom. Nie ma z nim nic wspólnego.

Mrówki w równym rzędku podążające na zewnątrz sprawiają, że opuszczenie tej celi wydaje się dziecinnie proste. Od kilku dni nie jadłam, nie kąpałam się i nie widziałam Nocy. Pozostawałam w swoistym zawieszeniu, co spowodowało, że teraz wszystko dookoła wydaje się wyraźniejsze, jakby to była jakaś forma medytacji. Piłam tylko wodę z łazienki, a mimo to mdłości i zawroty głowy wracają każdego ranka.

Ten człowiek bez litości gonił mnie przez las, a potem rznął ostro, trzymając nóż na moim gardle, więc gdyby chciał mnie zabić, z pewnością znalazłby coś zdecydowanie bardziej satysfakcjonującego niż trucizna. Och, zresztą i tak już mnie otruł. Tyle że nie żadnym chemicznym środkiem, lecz czymś znacznie bardziej zdradliwym.

Całe dni zajęło mi przeżucie nowej rzeczywistości, posmakowanie na języku jej goryczy. W obliczu tego, co się stało, zabicie mnie byłoby rozsądną konkluzją. Bycie ojcem mojego dziecka to coś znacznie bardziej niepojętego. Ale tak wygląda świat, w którym przyszło mi żyć: moja matka i tak zwani rozsądni obywatele już ze mnie zrezygnowali, a człowiek, który mnie porwał, wydawał się prawdziwie wstrząśnięty moim załamaniem – ja zaś tęsknię za nim po dwóch dniach samotności. Nic nie wygląda tak, jak powinno. Nadal jednak jestem Vesper Rivers. Gdzieś pod tęsknotą za dotykiem nieznanego i jego milczącą obecnością wciąż rozumiem, że nie powinnam sprowadzać dziecka na ten świat. On może mnie mieć, mogę być jego niewolnicą, jego kochanką ale dziecko nie może mieć ojca, który bez słowa chowa się pod kominiarką. Który czerpie przyjemność z cierpienia i przemocy. A ja nie mogę pogodzić się z myślą, że walka jest skończona. Bo jeżeli stworzymy razem istotę ludzką, będziemy związani na zawsze.

Więc kiedy obserwuję mrówki, z których każda niesie okruch wielokrotnie przewyższający jej własną wagę, dochodzę do wniosku, że ja również powinnam ponieść swój ciężar. Zdecydowanie większy, niż kiedykolwiek sądziłam, że zdołam udźwignąć. Nie chcę, żeby to była powolna agonía. Wszystko musi zakończyć się teraz. A wówczas będziemy mogli wrócić do rzeczywistości sprzed tamtego poranka, kiedy po raz pierwszy poczułam się źle. Gdy jeszcze była to pojedyncza kłęska, a nie potężna katastrofa, jaką sprowadziłoby dziecko.

Powoli wstaję, ociążała od niedożywienia i ciężaru zbliżającej się nieuchronnie misji, rozmyślając, w jaki sposób to zrobić. Wybór pada na krzesło. Ktoś mi kiedyś opowiadał, że jego ojciec czymś się zakrztusił i rzucił się na rant oparcia z dostateczną siłą, by kawałek jedzenia wyleciał mu z tchawicy. Jeżeli on mógł to zrobić, może ja też będę potrafiła uderzyć na tyle mocno, żeby wywołać dostatecznie poważne obrażenia i zapobiec nieszczęściu? A jeśli to nie pomoże, wymyślę coś innego. Znajdę sposób. Wyciągam z kąta krzesło. Ostatnim razem dotykałam go, kiedy robiłam sobie dobrze, myśląc o Nocy. To było takie satysfakcjonujące – bezwstydnie osiągnąć orgazm, wykrzykując jego imię. Ale kiedy szczyt minął, załała mnie fala wstydu. Niedługo potem źle się poczułam. A gdy pojawił się mój porywacz, stara Vesper

wyrwała się z na wolność, domagając się buntu. Nie chciała pozwolić, by ten potwór przyszedł mi z pomocą i okazał się moim wybawcą.

Może łatwiej byłoby po prostu pozwolić jej umrzeć? Nie mam siły toczyć dwóch wojen jednocześnie: jednej z samą sobą, a drugiej z nim. Jego zaś nie mogę się pozbyć.

Rzucam się na krzesło. Boli, ale nie bardziej niż wpadnięcie na mebel. Nie potrafię zmusić się do przekroczenia tej granicy, która wywołałaby fizyczny uraz. To pewnie znak, że wciąż jestem przy zdrowych zmysłach. Lecz muszę to zrobić. Nie chcę, żeby coś we mnie rośło. Nie chcę, żeby stało się posiadającą duszę osobą, która nigdy nie dowie się, jak to jest czuć pocałunki słońca na twarzy.

Po raz kolejny rzucam się na oparcie, tym razem mocniej, ale to nic więcej jak przeciętny cios w brzuch. Głęboko wciągam powietrze i biorę się w garść.

„Musisz to zabić. Musisz”.

Zbieram w sobie całą siłę, by ponowić próbę, lecz wtedy słyszę kroki, szybkie, dudniące. Zupełnie jak tamtej nocy, kiedy przyszedł spocony, brudny i zły, a potem zerznął mnie w tyłek. Żołądek ściska mi się ze strachu. Ustawiam krzesło przed sobą w roli bariery, a on podnosi zasuwę i otwiera drzwi gwałtownym pchnięciem. Omiata pomieszczenie szybkim spojrzeniem i wskazuje na krzesło.

Kręcę głową, usiłując odwlec moment, w którym będę musiała wyjaśnić, co robię. Podchodzi bliżej, szarpnięciem przysuwa krzesło w swoją stronę, unosi i rzuca na podłogę z taką siłą, że jedna z drewnianych nóg pęka. Chce, żebym wytłumaczyła, co się dzieje. Pewnie mnie obserwował. Oczywiście.

Słowa nie chcą przejść mi przez gardło. Zawsze myślałam, że z radością powiem je Carterowi, ale teraz... nic nie mówię. Wciąż tylko kręcę głową.

– Vesp, do ciężkiej kurwy, nie mów mi, że... – Urywa i zaciska usta z wściekłości.

Nawet on nie może się zmusić do akceptacji faktu, że świat, który zdołał się skurczyć zaledwie do nas dwojga, w jednej chwili zrobił się większy.

– Ja... ja nie wiem. Nie wiem. Myślę, że... chyba... chyba – chlipię.

Zaczyna chodzić po pokoju.

– Nie... Nie... – burczy. – Kurwa!

Uderza pięścią w ścianę. Obraca się na pięcie i oskarżycielsko celuje we mnie palcem.

– Ty mała, kłamliwa pizdo! Mówiłaś, że cię otrułem. Po co? Chcesz się go pozbyć? Proszę bardzo. Co więcej, dopilnuję tego! – prycha. – Jakim prawem podejmujesz takie decyzje beze mnie?! Masz po prostu kurewskie szczęście, że jesteśmy po tej samej stronie!

Rusza szybkim krokiem w kierunku drzwi, ale nagle się zatrzymuje i nie odwracając się, mówi:

– Myślisz, że jesteś za dobra, żeby nosić moje dziecko? Nie... Nie o to chodzi. Po prostu nie jestem gotów się tobą dzielić. To dopiero początek i zamierzam zrobić z tobą znacznie więcej.

Zaraz potem zatrzaskuje za sobą drzwi, zostawiając mnie z przerażającymi wizjami tego, co takiego zaplanował.

SAM

– Nie możecie tu mieszkać – mówi tata do mamy.

Powinienem być w łóżku, ale z daleka zobaczyłem światła jego samochodu. Pomyślałem, że może być zły za to, że wyjechaliśmy, i chciałem usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Nie pozwolę, żeby Samowi znowu się coś stało. Tutaj jest bezpieczniejszy.

– A co ze szkołą? Ze Scootem? Z nami?!

– Będziecie odwiedzać nas w weekendy, tak jak do tej pory. Scoot sobie poradzi, jest silnym chłopcem. Latem i w przerwach od szkoły może tu przyjeżdżać. Wciąż jesteśmy rodziną. Po prostu robię to, co muszę.

– Sam jest moim synem. Też mam tu coś do powiedzenia.

– Przestań. Zawsze traktowałeś go jak ciężar. Sądziłam, że będziesz zachwycony.

– To niesprawiedliwe, Glorio. Mamy inne metody, to wszystko. Ja po prostu staram się wychować go na silnego mężczyznę. On tego potrzebuje.

– Zostaniemy tutaj i koniec.

– Posłuchaj, potrzebujesz odpocząć. Jesteś wyczerpana.

– Przestań traktować mnie protekcyjnie. Wszyscy ciągle chcecie gdzieś mnie wysłać. Nie jestem szalona! Po prostu wiem pewne rzeczy, a tobie wyprali mózg do tego stopnia, że nawet nie widzisz, co tak naprawdę się dzieje.

– Jeśli tak dobrze sobie radziłaś z ochronieniem Sama, to dlaczego został przejechany, kiedy był pod twoją opieką?

Na chwilę zapada cisza. Nawet mnie robi się trochę niedobrze. To nie jest wina mamy.

– Jak śmiesz?! – krzyczy.

– Glorio, zaczekaj, nie chciałem...

– Pewnie wolałbyś, żeby zginął. Wtedy odesłałbyś mnie bez skrupułów, a nasze rodziny mogłyby udawać, że nie istnieją. Że on nie istnieje. Wreszcie nie brukalibyśmy tych wspaniałych dziedzictw.

– Daj już spokój – wzdycha ojciec.

– Jestem jedyną osobą, która go rozumie i która wie, jak to jest być innym.

– Okej, powiedzmy, że teraz wrócę do domu. Potrzebuję cię. Nie wiem, jak wyszykować Scoota do szkoły, jak ugotować mu obiad i w ogóle... A co z Samem? On potrzebuje szkoły.

– Och, doprawdy? Potrzebuje miejsca, z którego ucieka każdego dnia? Czy ty go w ogóle słuchasz? Słuchałeś go kiedykolwiek? Czy po prostu narzucasz mu swoją wolę?

– Bądź rozsądna.

– Mogę uczyć go w domu. Pewnie myślisz, że nadaję się tylko do składania ubrań i przygotowywania jedzenia, ale chodziłam do Bryn Mawr⁴.

– Wiesz co? Jeśli chcesz tu z nim mieszkać, to w porządku. Myślisz, że poradzisz sobie lepiej niż ja? Okej. Mam już dosyć walczenia z tobą i z nim. Dosyć tej twojej paranoi. Kocham cię, ale nie mogę ulegać twoim kaprysom w nieskończoność.

– Ja też cię kocham, to nie ma z tym nic wspólnego. I mam nadzieję, że kiedyś zobaczysz to, na co byłeś ślepy.

– Taa. Powinnaś zadzwonić jutro do Scoota i wyjaśnić mu, że nie wrócisz.

– Porozmawiam z nim. I zobaczymy się w ten weekend. Nadal jesteśmy rodziną.

– Mhm – mruczy ojciec.

Drzwi skrzypią, a potem się zatraskują. Biegnę do okna, żeby zobaczyć, jak światła auta oddalają się od domu. Kiedy zmieniają się w plamkę nie większą od gwiazdy, zakradam się do drzwi prowadzących na korytarz i zaczynam nasłuchiwać. Po kilku minutach maszyna do szycia zaczyna turkotać. Mama wciąż tylko szyje, szyje i szyje. Podążam korytarzem za tym odgłosem. Drzwi są uchylone, więc zaglądam do środka. Pokój wygląda inaczej niż kiedyś. Ściany i okna są teraz obwieszane makatami, które uszyła. Do jednej z nich przypięła kilka wycinków z gazet. Zauważam, że dotyczą mojego wypadku.

Orientuje się, że czają się na korytarzu.

– Jak długo nie śpisz? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– No cóż, twój tata mnie odwiedził i teraz wszystko się ułoży. Będą odwiedzali nas ze Scootem w weekendy. Myślę, że przechodzi na naszą stronę.

Popycham drzwi i wskazuję na ścianę z artykułami.

– Och. To taki mały projekt, nad którym pracuję. Próbuję zebrać dowody o wypadku i połączyć zamieszanych w sprawę ludzi. Ale nie chcę, żebyś się martwił. Mama się tym zajmie.

– A o-okna?

– Zasłoniłam je, żeby mieć pewność, że nikt tu nie zajrzy – odpowiada rzeczowo.

4. Bryn Mawr College – prywatny college sztuk wyzwolonych dla kobiet (przyp. tłum.).

Rozdział 18

SAM

Zrywam kominiarkę z twarzy i wpadam do domu, głośno wciągając powietrze. Chodzę nerwowo tam i z powrotem, bez przerwy waląc się pięścią w czoło.

Myśl. Myśl. Myśl!

Ale kiedy powraca temat Vesper, mój mózg odmawia posłuszeństwa. Czasami miewam coś, co można by określić mianem kontroli, lecz prawdę mówiąc, bardziej przypomina to desperackie balansowanie na krawędzi przepaści bez dna. W końcu przychodzi taki moment, kiedy nie mogę już ustać ani sekundy dłużej i spadam. Okazuję słabość. Nie planowałem tego. Wszystko przez moją impulsywność, która kazała mi ją porwać, choć to miała być szybka akcja. Która kazała mi ją rznąć bez opamiętania, nie myśląc o konsekwencjach. Nie mogę pozwolić sobie na więcej komplikacji. Ledwie potrafię ułożyć jakiś plan dla Vesper, a co dopiero mówić o dziecku.

Dziecko.

Nie jestem jak ci ludzie, do których domów zaglądam. Nie stanowią części ruchomego portretu oprawionego w okienną ramę. Jestem wyrzutkiem i nie zamierzam sprowadzać na świat podobnej sobie istoty. Zaszedłem za daleko, żeby teraz się cofnąć i stworzyć nowe życie.

Nogi się pode mną uginają i kucam, gdy nagle dociera do mnie to, co się dzieje. Moja matka miała rację, nigdy nie mógłbym być normalny. Wszyscy stroniliby ode mnie, obdarzając nienawiścią. Nie z powodu tego, jaki się urodziłem. Nie przez moje problemy z wymową czy dlatego, że cały świat spiskował, by mnie zabić.

To ja do tego doprowadziłem. Wypełniłem jej przepowiednię. Stałem się czymś tak nieludzkim, że nie mogę nawet mieć tego, za czym od zawsze goniłem. Właśnie ten akt pogoni i zdobywania siłą sprawił, że teraz nie mam szans osiągnąć swoich marzeń. To dziecko nie posiada domu, do którego mogłoby przyjść. Fantazje o tym, że zajmuję miejsce Cartera i czynię Vesper swoją własnością, miały żyć wyłącznie w moim umyśle. Zawsze będę jękającym się dziwakiem z bliźniami i tłumem krzyczących ofiar za sobą. A najcenniejsza z nich jest matką mojego dziecka.

Pochylam głowę, biorę głęboki wdech, po czym wstaję i idę do szopy. Przekopuję narzędzia, aż znajduję wąż ssący. Wyciągam go i prostuję, by sprawdzić jego długość. Jest satysfakcjonująca, więc chwytam przemysłowy odkurzacz, jakąś taśmę i wracam do domu. W gorączce łapię za taśmę i przyklejam wąż do odkurzacza. Siadam na chwilę, by przyjrzeć się swojemu dziełu. Nigdy wcześniej tego nie robiłem, słyszałem tylko o tym, jak radziły sobie niektóre kobiety.

Nim posunę się dalej, zdaję sobie sprawę, że potrzebuję wsparcia. Wpadam więc do kuchni i przeszukuję szafki. Z reguły nie pijam mocnego alkoholu, a jedynie piwo, ale teraz szukam butelki whiskey, po czym biorę hojny łyk. Potrząsam głową, bo alkohol pali mi gardło.

To wciąż za mało, potrzebuję planu B. Biegnę do szafy na dole i zrzucam kurtkę z wieszaka. Rozprostowuję go na całą długość, ale zostawiam hak.

Rękawiczki. Whiskey. Odkurzacz. Wieszak. Paliwo do generatora. Sznury. Lubrykant.

Mam plan.

Pędzę do szopy Vesp spocony i nabuzowany. Muszę to powstrzymać, zanim sytuacja

wymknie się spod kontroli. Moja wolność jest najważniejsza. A dziecko spowodowałoby jej nieuchronną utratę.

VESPER

Słyszę Noc, zanim wchodzi do środka. Zazwyczaj porusza się bezszelestnie, ale dziś nie dba o to, że zauważę jego obecność. Idzie miarowym krokiem, roztaczając wokół siebie aurę fałszywego spokoju. Wiem, że tylko udaje. Zrada go pot spływający po nagim torsie i lekko przyspieszony oddech. Butelka whiskey w jego dłoni podpowiada mi, że człowiek, od którego nigdy nie czułam alkoholu, teraz musi ukoić nerwy.

Bez słowa stawia butelkę na podłodze i związuje mi ręce za plecami. O Boże, więc jednak. Bałam się, że właśnie to się stanie, kiedy odkryje, że jestem w ciąży. Stałam się za dużym ciężarem. To dlatego nie potrafiłam zaakceptować zmian, o których krzyczało moje ciało.

– Co robisz? – pytam. – Proszę, nie. Pozbędę się go, znajdę jakiś sposób.

Wychodzi i wraca po chwili z miotłą. Łapie mnie za jedną nogę, ale cofam ją przestraszona. Sięga znowu, siłą przyciąga moją kostkę do kija, po czym owija ją sznurem i przymocowuje do jego końca. Potem to samo robi z drugą, tak że nie mogę złączyć nóg.
– Proszę, powiedz mi, co się dzieje – szlocham.

Wywołane przerażeniem gorąco sprawia, że pot wstępuje mi na całe.

– Proszę! – krzyczę, desperacko starając się dosięgnąć w nim czegoś ludzkiego.

Przecież kiedyś sam musiał być dzieckiem, niewinnym, nieskażonym światem.

– Tak się boję – wyznaję przez łzy swojemu bogu.

Podnosi butelkę alkoholu i przyciska mi ją do ust.

– Nie! – protestuję.

Chwyta mnie za twarz, ściska policzki i przechyla butelkę. Gulgoczę, kiedy moje usta zalewa palący płyn. Pomimo prób pozbycia się go z ust wypijam trochę. Działa, posyłając gorący dreszcz w dół moich rąk i kręgosłupa, ale tylko na moment. Adrenalina z hukiem przetacza się przez otępiające ciepło, gdy Noc podnosi mi sukienkę, polewając whiskey mój brzuch i intymne miejsca.

– Co... – Urywam, bo nagle dociera do mnie, co się wydarzy. O Boże, on będzie próbował się tego pozbyć! – Jeśli chcesz to zrobić, proszę, jestem pielęgniarką... Prawie. Jak...? Proszę, powiedz mi! – krzyczę, ale jest skupiony na swoim zadaniu i najwidoczniej podanie mi alkoholu całkowicie wyczerpało pokłady litości, jakie dla mnie miał.

Znowu wychodzi. Przestaje krzyżeć. Zamiast tego czekam, a rytm mojego szlochu synchronizuje się z dudnieniem tłukącego w piersi serca. Kiedy wraca z przemysłowym odkurzaczem, do którego przykleił taśmą wąż ssący, wzdrygam się ze zgrozy. Próbuję się odczołgać najdalej, jak mogę.

– Za... zabijesz... mnie... – chlipię, dławiąc się płaczem. – Wykrwawię się... na śmierć.

Szarpie za miotłę, przyciągając mnie na skraj łóżka.

– Ogłuszę cię, jeśli będę musiał. Twój wybór – grozi.

Podporządkowuję się, wiedząc, że w ten sposób zawsze jest z nim łatwiej. Chciałam tego. Chciałam, żeby dziecko ze mnie zniknęło. Może gdybym błagała o jego ratunek, skończyłoby się inaczej, ale nie walczyłam. Sama sprowadziłam tę śmierć. Na chwilę wychodzi na zewnątrz i wraca, by włączyć odkurzacz. Ogłuszający warkot tylko podsyca chaos w mojej głowie. Muszę krzyżeć, żeby mnie usłyszał, nie mam innego wyjścia.

– Proszę, musi być inny sposób!

Leje whiskey na wąż i pokrywa końcówkę lubrykantem. Treść żołądka podchodzi mi do

gardła. Krawędzie pola widzenia rozmywają się w mroku, groza lada moment pozbawi mnie przytomności.

Przyciąga krzesło do stóp łóżka. Znowu próbuję się odsunąć, ale łapie za miotłę, żeby trzymać mnie blisko. Oświetlająca pokój lampa na przemian gaśnie i się zapala, kiedy odkurzaczy kradnie jej prąd.

– O Boże – mamroczę pod nosem.

Za kilka sekund wysię ze mnie embrion. Nie walczyłam o to dziecko. Porzuciłam nadzieję, kiedy tylko zdałam sobie sprawę, że mam je w sobie. I może właśnie wtedy popełniłam błąd, myśląc, że moją jedyną opcją jest pozbycie się pasożyta. Może to wcale nie jest przekleństwo ani trucizna Nocy, lecz klucz do rozwiązania łamigłówki, jaką mam teraz przed sobą.

– Proszę! – krzyczę. – Chcę tego dziecka! Chcę go! – szlocham histerycznie.

Zostałam zredukowana do minimum, odarta z dumy i człowieczeństwa. To dziecko jest wszystkim, co mam. Moim jedynym narzędziem, jedyną obietnicą nadziei. Świadomością, że choć wszystko mi odebrano, jednocześnie coś otrzymałam.

– Chcę je zatrzymać! Chcę twojego dziecka! – krzyczę głośniej, przerażona, że nie słyszy mnie przez jazgot odkurzacza. – Możemy... – Urywam.

Nigdy nie mówiłam głośno „o nas” jako o jedności. O drużynie. Nigdy nie mieliśmy wspólnego celu, tylko rzeczy, których chcieliśmy i o które się targowaliśmy. Wiedziałam, że poczuł się zdradzony, gdy dotarło do niego, że chcę pozbyć się dziecka. Stałam się naprawdę dobra w odczytywaniu jego niewerbalnych sygnałów. Marzył o posiadaniu mnie, tak jak ja marzyłam o nim. Marzył o życiu ze mną. Postrzegaliśmy to dziecko jako barierę na drodze do osiągnięcia naszych indywidualnych celów. Ale co, jeśli ono może dać nam to, czego oboje pragniemy?

– Możemy stać się rodziną – chlipię.

Trzyma wąż niebezpiecznie blisko moich drżących ud. Napinam każdy mięsień w ciele, które chce szarpać się i panikować, lecz nie mogę teraz rozgniewać Nocy buntem. Oboje trwamy nieruchomo niczym postacie na obrazie namalowanym przez szaleńca. Mam wrażenie, że upływają tak całe minuty. Światło migocze, a Noc znika w ciemności i pojawia się z powrotem.

Ciemność. Jasność. Ciemność. Jasność.

Żarówka przygasa, gdy wycie odkurzacza się wzmacnia, i rozjaśnia się, kiedy dudniący ryk cichnie. Dygocząc, czekam na werdykt, aż w końcu Noc wstaje i wyłącza odkurzaczy. Zapada cisza, głęboka i ciężka w porównaniu z niedawnym obłędem, jaki tworzyła mieszanina krzyków i ogłuszającego buczenia, odbijająca się echem od ścian pomieszczenia. Ulga jest tak wielka, że opadam na łóżko i zaczynam szlochać jak opętana. Będę żyć i urodzę dziecko tego mężczyzny. Wszelkie mrzonki, że kiedykolwiek powrócę do mojego poprzedniego życia, zostały unicestwione. Oczywiście, że nigdy nie miałam na to szansy, ale teraz zgasła ostatnia iskierka nadziei, a ja rozpaczam po Vesper Rivers.

Noc ostrożnie mnie rozwiązuje. Stoi nade mną – bez koszulki, z mokrą od potu skórą. Jeszcze nigdy dotąd nie widziałam, by jego oczy miały tak miękki wyraz. Kciukiem ociera mi łzy z policzka, podnosi dłoń do ust, a potem delikatnie przesuwa językiem po śladzie mojego smutku. Uspokajam się, studiując czystość jego oczu, sposób, w jaki się porusza. Łagodność w gestach sugeruje, że dzisiaj mnie nie skrzywdzi. Nie odrywam od niego spojrzenia. Z drżącym oddechem czekam na to, co zrobi. Chcę, żeby położył się obok i znowu mnie objął. By przegonił ból, który sam mi zadał. By powiedział, że pragnie tego dziecka i że od teraz będzie dla nas dobry. By znowu wypełnił moje ciało trucizną.

Lubi smak mojego smutku, a ja lubię, kiedy wstrzykuje we mnie swój jad. Stanowi

największe zagrożenie, lecz gdy mam go po swojej stronie, wiem, że nic mi nie grozi. Czekam więc z nadzieją na wyraźny znak, że jestem chroniona przed nim – przez niego. Rozsunie moje nogi, żeby mnie posmakować? Czy wyciągnie penisa i pozwoli, żebym rozładowała jego napięcie?

Czekam.

W końcu się rusza. Nie odrywając ode mnie oczu, które przywodzą na myśl plażę w środku lata, sięga pod brodę i ściąga kominiarkę.

Rozdział 19

VESPER

Studiuję twarz Nocy z takim skupieniem, że to wręcz za dużo na raz. Zupełnie jakbym stanęła za blisko telewizora, a ruchome obrazy zmieniły się w maleńkie kwadraciki czerwieni, zieleni i błękitu. Jego oczy wydają się jeszcze jaśniejsze w kontraście z brwiami i zarumienioną twarzą. Usta, zwykle tylko częściowo widoczne przez otwór w kominiarce, są pięknie wykrojone i pełne. Szczękę ma kanciastą, ale nie ostrą, wciąż młodzieńczą. Nie widzę ani śladu zarostu. Włosy – brązowe, lekko muśnięte złotem – są zmierzwiłone od kominiarki. Po złożeniu tych części razem mogę zrobić krok wstecz i wyobrazić go sobie świeżo po prysznicu, uczesanego. Wyglądałby jak nieszkodliwy młody mężczyzna. Szokująco przystojny, nieszkodliwy młody mężczyzna. Chłopak z sąsiedztwa.

Ale jego twarz nosi rażące znamię niedoskonałości. Szeroka blizna biegnie od prawego kącika ust aż po skroń niczym fizyczna manifestacja rozdarłej duszy. Choć znaczy jego policzek jak rozpadlina, jest blada i płaska, co sugeruje, że coś mu się przytrafiło dawno temu. Na szyi po tej stronie dostrzegam płatąninę poszarpanych blizn.

Kiedy w końcu mam obraz wszystkich jego cech – niedoskonałości i urody – widzę przed sobą fizycznie pięknego mężczyznę. Blizny w żaden sposób nie wpływają na moją opinię. Wręcz przeciwnie, dodają kolejną warstwę intrygującej głębi komuś, kto ma oczy jak lód, a skórę gładką niczym piasek, z którego przed chwilą cofnęła się woda.

Nie wiem, co dalej robić. Do tej pory trzymałam się jego anonimowości jak złudnej nadziei, że nic, co się ze mną działo, nie wydarzyło się naprawdę. Wydawało mi się, że ten mężczyzna uważa, iż nie jestem warta, by poznać go w sposób, w jaki on poznał mnie. Kominiarka oznaczała brak zaufania. Przypominała, że jestem więźniem. Teraz jednak go widzę. Odsonił się, a ja nie wiem, czy mimo wszystko nie wolałabym, żeby tego nie robił, ponieważ mam przed sobą twarz, której mogłabym zaufać. Twarz przeczącą wszystkim krzywdom, jakie mi zadał.

Jest namacalny. Stał się... kimś. Nie potworem bez twarzy.

Widząc cały obraz tego człowieka, chcę poznać historię jego blizn. Wszystkich. Tych na zewnątrz i tych w środku.

– Dlaczego w tej chwili? – mamroczę.

Patrzy na mnie bez wyrazu, jakby sam nie był pewien. Siadam, ani na moment nie odrywając oczu od jego twarzy. Nie wiem, jak długo to potrwa. W każdej chwili może ponownie założyć kominiarkę, a wtedy znów stanę się jedyną osobą w tym pomieszczeniu.

– Skończyłam już walczyć – deklaruję z przekonaniem, choć głos nadal mi drży.

Mówię prawdę. Nie mogę bez przerwy prowadzić bitew przeciw niemu i sobie samej jednocześnie. Bitew, w których wygrana jest przegraną, a przegrana wygraną.

Znów tylko na mnie patrzy, ale widzę, jak jego pierś opada w powolnym wydechu.

– Nie wiem, co mam robić. Po prostu... Po prostu chcę, żebyś się do mnie odezwał. Powiedział mi, co będzie dalej, co ci chodzi po głowie. Dlaczego przerwałeś? Dlaczego zdjąłeś kominiarkę? Chcesz tego?

Milczy. Odsonił już bardzo dużo, ale nie mogę zaprzepaścić tej chwili. Jestem dla niego czymś więcej, niż chce przyznać, więc powinnam mu o tym przypominać. A jeśli się mylę,

muszę oszukać samą siebie i uwierzyć w to kłamstwo, żeby przetrwać.

Powoli podnoszę się na kolana, tak że jestem z nim niemal twarzą w twarz.

– Nie umiem czytać ci w myślach. Nie wiem nawet, jak masz na imię. Ale czuję się tak, jakbym cię znała lepiej niż kogokolwiek innego w całym swoim życiu.

Sięgam drżącą dłonią do jego twarzy, tam gdzie została uszkodzona dawno temu. Ryzykuję. Wszystko to może okrutnie się na mnie zemścić, ale nie znam żadnego innego sposobu. Wiem tylko, jak dbać o innych. Opiekuńczość to coś, nad czym nie potrafię zapanować. Widziałam, jaką siłę ma łagodność. Jeżeli w tym człowieku tkwi jeszcze jakikolwiek strzępek duszy, oznacza to, że gdzieś głęboko w sobie pragnie czułości. Może właśnie dlatego mnie zabrał: pod całą tą wrogością kryje się ktoś, kto po prostu chciał tego, co widział przez okna cudzych domów.

Wyciągam rękę tak wolno, że aż zastanawiam się, czy kiedykolwiek w ogóle go dosięgnę. Podejrzewam, że ją odepchnie i szybkim krokiem wymaszeruje na zewnątrz albo aż przewróci mnie na brzuch i weźmie, co chce. Ale on stoi jak skamieniały, kiedy moja dłoń dotyka jego policzka.

– Nie wiem, co robię – wyznaję. – Powiedz mi, że ty wiesz. Bo nie powinnam tego chcieć, ale twoja twarz... – mówię, przysuwając się tak, że moje usta muskają jego. – Przerażasz mnie, a jednocześnie mogłabym patrzeć na ciebie cały dzień.

Ostrożnie całuję jego wargi. Wciąż pozostaje śmiertelnie poważny, a ja sztywnieję, zdezorientowana brakiem reakcji.

– Nie – mówi.

– Och, ja... – zacinam się.

Czuję się zawstydzona, odsłonięta. Odepchnięta przez mężczyznę, który mnie porwał. Może jednak nie ma w nim niczego, co chciałoby czuć się potrzebnym. Może bezsensownie się łudziłam.

Odsuwam rękę, ale łapie mnie za nadgarstek, aż krzyczę przestraszona.

– Nie...

Przyciąga mnie do siebie jednym gwałtownym ruchem. Przywieram do gorącego ciała tak mocno, że czuję łomot serca, żar pożądania. Wbrew wypowiedzianym słowom wszystko w tym człowieku mówi „tak”.

– Ja... Nie wiem, co robię – wyznaję.

Łapie mój tyłek tak mocno, że ze świstem wciągam powietrze, po czym ściąga mnie z łóżka w swoje ramiona. Oplatam go nogami, a ręce zarzucam na szyję. Zapach mężczyzny, seksu i whiskey bierze górę nad smrodem śniadania gnijącego po drugiej stronie pokoju. Nagle widzę tylko jego: opaloną skórę, jasnobrązowe włosy, turkusowe oczy ze złotą plamką. Całuje mnie tak mocno, że pieką mnie usta. Odwzajemniam pocałunek z równą intensywnością, starając się oddać ten ból, o który mnie przyprawia: agonię pomieszaną z przyjemnością. Grzech połączony ze zbawieniem. Więzienie prowadzące do takiego rodzaju wolności, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

Trzymam się kurczowo tego mężczyzny, staram się znaleźć tak blisko, jak to tylko możliwe, żeby stać się częścią jego osoby, częścią, której nigdy by nie zniszczył. Jednocześnie chcę wciąż na niego patrzeć. Jest czymś więcej niż fantazjami, jakie snułam, kiedy zastanawiałam się, kto może się kryć pod tą maską. Jego twarz opowiada historię. Pragnę ją poznać. Wtedy będę mogła znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

Rzuca mnie na ścianę, wyciskając mi powietrze z płuc, po czym gryzie i ssie moją szyję. Muskam ustami jego wargi, policzek, skroń, a sól z błyszczącej, opalonej skóry doprawia każdy pocałunek. Wszystko to jest bezładne i desperackie, ale tak dobrze być po jego stronie. Kiedy

mnie chce, chce mnie całej, kompletnie. Myślałam, że bycie kochaną to coś, co sprawia największą satysfakcję, ale myliłam się. Daje ją świadomość, że ktoś ma obsesję na twoim punkcie, że jest tobą bezgranicznie zauroczony i zaryzykowałby wszystkim, byleby cię mieć. Takich wyżyn miłość nie potrafi osiągnąć. Miłość płonie powoli, stopniowo zmiękcza serce, dusząc je na wolnym ogniu. Ale to – to jest gwałtowna powódź. To dym bijący od steku wrzuconego na rozgrzaną patelnię. To coś przerażającego, pełnego gwałtowności, którą miłość tłumi.

Odsuwa się nagle i nabiera powietrza, jakby właśnie wyrwał się z transu. Spoglądam na niego pytająco, usiłując złapać oddech, lecz zaraz odwraca mnie twarzą do ściany i popycha na nią tak mocno, że policzek pulsuje mi od uderzenia. Najwyraźniej próbuje wrócić do wcześniejszego porządku, do czasów sprzed tamtej nocy pod prysznicem albo sprzed kilku minut, kiedy pokazał mi swoją twarz. Stara się temu zaprzeczyć.

Tyle razy nagięłam się do jego woli, nie stawiając oporu. Wypinałam się, ssałam, dławiłam i zaciskałam zęby jako bierna uczestniczka, więźniarka jego żądy. Dochodziłam, marzyłam o nim, czekałam przez długie godziny w łamiącej duszę samotności. W jakimś stopniu pozwalało mi to trzymać się starej Vesper. Pomimo tego wszystkiego mogłam twierdzić, że on po prostu brał, a ja tylko niechętnie to znosiłam. Ale teraz dawnej Vesper już nie ma, a ja chcę więcej. W końcu mogę to przyznać. Żeby naprawdę przetrwać, muszę pogrążyć się w tym cała i przedostać się przez fasadę tego, co się między nami dzieje. Jeśli chcę, żeby pokazał, co przede mną ukrywa, najpierw sama powinnam odsłonić swoje sekrety.

Obracam się, by znów znaleźć się z nim twarzą w twarz. Patrzę wyzywająco w te oczy, tak jasne, że nic się w nich nie odbija. Ten akt buntu wytrąca go z równowagi na dostatecznie długi moment, bym zdążyła go złapać, przyciągnąć do siebie i zaatakować jego usta moimi. Oddycha ciężko, na chwilę odwzajemniając pocałunek, ale zaraz znowu się odsuwa. Czuję to – czuję, jak jego mięśnie napinają się pod moim dotykiem, jak niemal drżą, kiedy próbuje się powstrzymać przed podążeniem tą drogą. Jedyńą, na której możemy naprawdę zobaczyć się nawzajem.

Odwraca mnie znowu, tym razem przyciskając przedramię do moich pleców, a wolną ręką gorączkowo rozpinając dzinsy. Ja jednak nadal walczę. Wilgotna skóra pozwala mi się wyslizgnąć i znów znaleźć się twarzą do niego. Odpycham jego rękę na bok, wplatom mu palce we włosy i przyciągam do siebie.

– Nie... – odzywa się, ale tłumię słowa pocałunkiem

Próbuje się uwolnić, po czym znów się odsuwa. Tym razem podnosi mnie i rzuca na łóżko, twarzą w dół.

Jestem zdeterminowana. Będzie musiał mnie ogłuszyć, jeśli pragnie zrobić to w ten sposób. Wiem, że w głębi duszy wcale nie chce. Wyczuwam to w jego gorączkowych pocałunkach. Wiję się pod nim i przewracam na plecy, kiedy usiłuje wyjąć penisa z rozporoka. Tym razem pozwala mi na to, by dać sobie dość czasu na zdjęcie spodni i mieć wolne ręce podczas następnej próby. Wykorzystuję tę chwilę, by dźwignąć się na nogi, i odsuwam się błyskawicznie na drugą stronę łóżka. Jest zupełnie nagi, kuszące wypukłości mięśni prowadzą do drgającej pożądaniem erekcji. To ciało – dotychczas zamaskowane, pozbawione głowy – odkąd stało się częścią osoby, wydaje się tak bardzo inne. Lśniące i naprężone, przypomina przyczajonego tygrysa szykującego się do skoku. Lecz tym razem zamiast czekać na ruch tego mężczyzny przebiegam przez łóżko i odważnie rzucając się na niego. Nie ma innego wyjścia jak mnie złapać. Obraca się i przewraca na materac, ja ląduję na nim. Jednym szarpnięciem pozbywam się koszuli nocnej, odsłaniając nabrzmiałe podnieceniem piersi. Siada, otaczając mnie jedną ręką, a drugą opierając na łóżku.

– Nie rób tego – szepczę, bojąc się, że mnie z siebie zrzuci. – Chcę cię zobaczyć.

– Nie – odpowiada, a w jego głosie pobrzmiwa nutka wrażliwości. Choć zazwyczaj tyle mówi podczas pieprzenia, teraz jest taki cichy.

Językiem rozchylam chłopięce, miękkie usta i nasuwam się na niego. Robię to zupełnie bez wysiłku, a mimo to zapiera mi dech w piersi. Oboje wdychamy nawzajem w swoje usta. Otaczam go nogami, przyciskając do siebie, ogłaszając swoje zwycięstwo nad jego upartymi próbami walki. Jest we mnie tak głęboko, jak tylko może się znaleźć. Zaczynam jęczeć, bo wypełnia mnie aż do bólu.

– O Boże! – krzyczę wreszcie. – Nie wytrzymam!

To za wiele, jest za głęboko.

Kołysze pode mną biodrami, przesuwa dłonie na mój kark i ciągnie za włosy, jakby chciał odsunąć mnie od siebie. Przez chwilę myślę, że spróbuje jeszcze jednego manewru. Że w ostatnim momencie rzuci mnie na brzuch, żeby zerznąć w dupę i w ramach kary zostawić bez orgazmu. Zamiast tego po prostu patrzy, jak go ujeżdżam.

Czuję specyficzny dreszczyk, jaki może mi dać tylko on, mężczyzna, który pragnie wyłącznie mnie. Jestem jedyną kobietą na świecie. Należę do niego. Nie muszę rywalizować o jego spojrzenie z nikim ani z niczym.

Siada wyżej i wsuwa ręce pod mój tyłek, by unieść mnie nieco w górę i dotrzeć ustami moich piersi. Przesuwa nimi po wrażliwych sutkach. Bola, ale jego wargi znajdują sposób, by dać im ulgę i sprawić mi przyjemność. Kiedy pulsowanie głęboko we mnie wzmaga się coraz bardziej, zaczynam pojękiwać rytmicznie. Chwytam go za głowę i przyciskam ją do swoich piersi. Jego kutas pulsuje mocno, kiedy dochodzę w spazmach, i zaraz tryska we mnie ciepłym strumieniem spermy.

Mężczyzna opada na łóżko. Moje ciało wiotczeje, pozbawione całkiem siły, i osuwam się na niego bezwładnie. Skóra dotyka skóry, ciała unoszą się w synchronicznych oddechach jak dwie części jednej żywej istoty.

Głowę ma odwróconą ode mnie. Wiem, że jest zdezorientowany. I zły, że dopuścił, by sprawy zaszły tak daleko. Sięgam do jego włosów, bawię się kosmykami. Przez całe miesiące zastanawiałam się, co bym zrobiła, gdybym mogła zobaczyć go całego. A teraz wszystkim, na co mam ochotę, jest ten prosty rytuał. Dotąd wychodził zaraz po tym, jak mnie zerznął. Czułam się wtedy, jakby wyrzucano mnie za burtę, pozostawiano samej sobie na wzburzonym, bezlitosnym morzu. Ale ten drobny akt czułości pozwala mi utrzymać się na powierzchni. I jeśli przecucie mnie nie myli, tak samo działa to na niego.

Wciąż tutaj jest. Kilka godzin temu był przerażającym stworem w masce, a teraz leży obok mnie, pogrążony we śnie. Zabarwione złotem kosmyki i łagodny wyraz twarzy kontrastują z bliznami. Ten niezwykły widok przywodzi na myśl zranionego anioła. Usnęłam w jego ramionach i nie wiem, jak wiele czasu upłynęło.

Kiedy mija początkowe rozkojarzenie, zauważam, że drzwi do kabiny są otwarte. Można je zamknąć tylko od zewnątrz, a on wciąż jest tutaj. To może być moja szansa na ucieczkę. Jeśli się obudzi, mogę powiedzieć, że wybierałam się do toalety. Ale jeżeli uda mi się uwolnić z jego objęć, po cichu wymknę się na dwór i ucieknę daleko, zanim się zorientuje.

Coś mnie jednak powstrzymuje. Co zrobię, gdy wrócę do poprzedniego życia? Nie mam pewności, czy nadal chcę się pozbyć tego dziecka, ale paraliżująca jest myśl o skonfrontowaniu się ze światem – z Carterem – będąc w ciąży z innym mężczyzną. Żaden związek nie mógłby tego przetrwać.

Do tego ogarnia mnie poczucie winy. Wygląda na niezwykle wrażliwego i – nie wierzę,

że tak myślę – w końcu mi zaufał. Pozwolił mi na siebie patrzeć, a ja myślę o tym, żeby go zdradzić. Jeśli mnie złapie, co jest bardzo prawdopodobne, zapewne już nigdy nie dostanę takiej szansy.

Lecz nie mam pojęcia, co mnie tu dalej czeka. Oczywiście nic nie jest pewne, ale nie mogę zostać w tej budzie na zawsze. Jestem żywą istotą, nie przedmiotem. Moje życie nie powinno tak wyglądać. Może ostatnia noc coś zmieniła? Skoro udało mi się wygrać małą bitwę, czas przynieść kolejne zwycięstwa, aż w końcu wymyślę, co robić dalej.

Patrzę na drzwi kompletnie rozdarta, sparaliżowana strachem i niezdecydowaniem. Powinnam uciekać, ale to byłby próżny wysiłek. Nie dobiegłabym zbyt daleko, a gdyby jakimś cudem mi się udało, nie czuję się gotowa stawić czoła dawnemu życiu. Jeszcze nadarzy się lepsza okazja.

Mimo wszystko powoli wysuwam się spod jego ramienia, tylko na próbę. Nawet nie drgnie. Ale kiedy skradam się w kierunku łazienki, podłoga trzeszczy, a on podrywa się gwałtownie. Ledwie widzę jego sylwetkę, gdy gorączkowo maca łóżko, szukając mnie obok.

– Jestem tutaj – szepczę, podchodząc do niego i delikatnie kładąc mu dłoń na ramieniu. – Muszę iść do łazienki.

Nieruchomieje. W ciemności nie widzę jego twarzy. Odnajduje latarkę i omiata pokój strumieniem światła.

– Wychodzisz? – pytam. Miło było spać z kimś obok.

Nie odpowiada.

– Powinieneś zostać, jest już bardzo późno.

Świeci latarką po moim ciele, z góry na dół. Oślaniam oczy dłonią, a on kieruje światło na bałagan na podłodze. Teraz, kiedy alkohol wyparował, znowu czuć smród. Zdążyłam się już do tego przyzwyczać, ale on najwidoczniej jeszcze nie.

– Możemy użyć odkurzacza, skoro go tu przyniosłeś.

Nadal nic nie mówi, ale podaje mi latarkę, kierując moją rękę w stronę resztek jedzenia. Łapie za wąż i włącza urządzenie. Najpierw świecę na bałagan, ale rozbawienie bierze górę. Ten człowiek musi mieć w sobie choć cień poczucia humoru, dlatego zamiast we wskazane miejsce kieruję światło na jego tyłek. Odwraca się, poirytowany, żeby zganić mnie za brak skupienia, i zauważa, że chichoczę. Spuszcza wzrok, by zobaczyć, gdzie pada światło. Przewraca oczami, ale nie jest naprawdę zły, choć wskazuje z powrotem na bałagan.

– Okej – odpowiadam.

Kiedy zaczyna sprzątać, kieruję światło na jego grubego penisa, który kołysze się w rytm ruchów rury odkurzacza. Znowu przestaje, patrząc na mnie rozszerzonymi oczami i wskazując na bałagan.

– No co? Jest śliczny. – Krztuszę się od śmiechu.

Patrzy na mnie ze śmiertelną powagą, jakby nie mógł uwierzyć, że mnie to bawi.

– No dobra – wzdycham. – Psujesz zabawę.

Świecę na bałagan. Kiwa głową i samym ruchem ust odpowiada: „dziękuję”, po czym bierze się do roboty. Po skończeniu odkurzania zaczyna zbierać swoje rzeczy. W międzyczasie podaje mi paczkę suszonego mięsa, które zjadam łączywie. Jestem pewna, że postanowił wrócić do siebie. Układa wszystkie rzeczy pod drzwiami i zabiera mi latarkę. Kieruje strumień światła na łóżko, potem na mnie, a później znowu na łóżko.

Wskakuj.

Wykonuję polecenie. Wskazuje światłem na drugą stronę.

Przesuń się.

Robię, co mi każe, a on ze spokojem układa się na pościeli. Udaję, że nie doznałam

szoku. Pewnie jest po prostu zmęczony i nie chce mu się wracać. Zerkam na drzwi, przed którymi powstała barykada z jego rzeczy. Wcale nie planował się zbierać.

Kładę się i wbijam wzrok w ciemny świetlik. Mężczyzna otacza mnie ramieniem, lecz nie w przypadkowym geście wykonanym przez sen, a zupełnie świadomie. Mogłabym wmawiać sobie, że to czułość, ale instynkt podpowiada mi, że jeśli tym razem się poruszę, natychmiast go obudzę.

Rozdział 20

SAM

Od dwóch dni siedzę razem z mamą w jej pokoju . Nie pozwala mi wychodzić. Czasami jest normalna, a czasami dostaje jakiś sygnał i musimy się chować. Wtedy tylko szyje i szyje. Kiedyś zapytałem dlaczego, a ona powiedziała, że to wszystko, co może teraz robić, i że dzięki temu mniej się boi. Mówi, że maszyna do szycia zagłusza inne rzeczy.

Gdy jest spokojna, czyta mi albo rozwiązuje ze mną zadania z matematyki, zupełnie jak w szkole. Poza tym mogę godzinami bawić się w lesie. Ale jeśli stwierdza, że ktoś się do nas podkrada, daje mi książki i każe samemu siedzieć w kącie na podłodze. Mówi, że dzięki temu nawet jeśli ludzie zdołają przejrzeć przez materiał i papier, to mnie i tak nie zauważą. Wcześniej tata przyjeżdżał ze Scootem w każdym weekend, ale coraz częściej zaczęli się z mamą kłócić i teraz odwiedza nas tylko raz w miesiącu.

– Mamo, jestem głodny.

– Wciąż masz jedzenie – mówi, nie podnosząc głowy.

Patrzę na leżący obok talerz upstrzony okruszkami.

– Zwolnij trochę.

– Nudzę się.

Cmoka z irytacją i przestaje szyć.

– Przykro mi, że się nudzisz. Ale są dni, gdy musimy robić rzeczy, których nie chcemy, a to jest jeden z nich.

Czasami nie wierzę, że jacyś ludzie po mnie idą. Siedzimy tutaj od roku i nikogo jeszcze nie widziałem ani o nikim nie słyszałem. Mama nie pozwala mi nawiązywać nowych znajomości ani odwiedzać sąsiadów. Kilka razy opuściłem farmę, ale zawsze w jej towarzystwie i nigdy nie odzywaliśmy się do kogokolwiek. Chodziliśmy tylko do sklepów i kupowaliśmy potrzebne rzeczy.

– Ma-mamo, zwierzęta. Trze-e-eba się nimi za-za-zając.

– Nic im nie będzie. Masz, poczytaj sobie – mówi, podając mi Kto zje zielone jajka sadzone?. Kiedyś to była moja ulubiona książka. Mama czytała mi ją przed snem i łaskotała po nosie, gdy przychodziła moja kolej, żeby powiedzieć: „Jestem Sam”. To była pierwsza lektura, jaką w całości przeczytałem na głos, nie zająknąwszy się przy tym ani razu. Teraz mama daje mi ją, kiedy chce, żebym siedział cicho.

Przerzucam strony i wywracam oczami. Potrafię wyrecytować treść nawet od końca, więc czytanie nie ma już sensu. Zaczynam robić się zły. Chcę krzyczeć. Chcę wyjść i się pobawić. To niesprawiedliwe.

– Nie lubię siedzieć w tym pokoju. Nie lubię siedzieć na podłodze. Chcę stąd wiać na jednej nodze! – krzyczę.

Mama podchodzi do mnie i siada obok.

– Ciiii... Musisz być cicho. – Ociera moje łzy. – Heeej, to było naprawdę dobre. Sam to wymyśliłeś?

Kiwam głową.

– Kiedy przy-y-yjedzie Scoot? – pytam, a usta trzęsą mi się od szlochu.

– On... O nie – mamrocze, zrywając się na nogi, i zaczyna przeszukiwać tkaniny. –

Masz tutaj zeszyt do wypracowań?

Podaję go jej. Zgląda na ostatnią stronę i liczy dni w kalendarzu.

– Cholera, przyjedzie dzisiaj. – Zerka na zegar. – Będzie tutaj za godzinę. Potrzebuję twojej pomocy, Sam. Musimy posprzątać ten bałagan i przywrócić wszystko do normalności.

Cieszę się, że tata i Scoot przyjadą i będę mógł wyjść z pokoju, więc zaczynam zgarniać ścinki. Mama nie chce, żeby tata wiedział o tym, że się ukrywamy. Wtedy robi się zły i grozi, że zabierze mnie do Sacramento. Wiem jednak, że do tego nie dojdzie, bo tak naprawdę nie chce, bym cały czas przy nim był.

Biegamy po domu, sprzątam, odkurzamy. Wciągamy buty i lecę zająć się końmi i kozami. Nabrudziły i skończyło im się jedzenie. Po wyjściu z obory, zauważam pick-upa taty podjeżdżającego przed dom. Na fotelu pasażera siedzi Scoot. Stoję z wiadrem w dłoni, czekając, aż tata zatrzyma samochód. Brat wyskakuje z niego i pędzi do mnie.

– Blee, ale śmierdzisz. – Klepie mnie w ramię z udawaną odrazą.

– To-to zwie-e-erzeta – mówię.

Chcę brmieć perfekcyjnie dla taty, a to sprawia, że jąkanie się nasila.

Tata podchodzi do mnie. Dzisiaj nie ma na sobie munduru, tylko dżinsy i koszulę w paski.

– Cześć, synu – mówi, mierzwiąc mi włosy. – Mama jest w domu?

Kiwam głową.

– Widzę, że zagoniła cię do pracy, to dobrze. Nie możesz całymi dniami tylko czytać książek. Musimy wciąż pracować nad naszym projektem, prawda?

– Jakim projektem? – pyta Scoot.

Tata klepie go po plecach.

– Idź do mamy, dobrze?

Brat patrzy na nas podejrzliwie, ale zaraz biegnie w kierunku domu.

– Jak mama? Zachowuje się dziwnie?

Kręcę głową. Muszę chronić nas przed szpiegami.

– Martwię się o ciebie.

Nic nie mówię, tylko spuszczam wzrok na swoje buty, do których przykleił się gnój.

– W porządku, nie będę zabierał cię stąd siłą. Ale powinieneś mi powiedzieć, jeśli mama coś ukrywa.

Nie umiem ocenić, po czyjej stronie jest tata.

– Chodźmy do domu, musisz się wykąpać. Jadłeś już?

Kręcę głową.

– No to trzeba cię też nakarmić. Dzisiaj wieczorem będziesz potrzebował całej energii, jaką masz.

VESPER

Znowu mnie zamknął. W pokoju nie ma żadnych śladów szaleństwa z zeszłego tygodnia, pomijając nowe drzwi od łazienki. Myślałam, że zrobiłam chociaż jakiś mały otwór w jego zbroi, ale zdaje się, że każdego dnia zakłada nową. Lecz zanim zacznę dogłębniej analizować swoje problematyczne położenie, żołądek nagle skręca mi się z głodu. Paczka suszonego mięsa, którą dał mi wczoraj, wystarczyła tylko na przetrwanie nocy. Jak zwykle nie wiem, kiedy będzie następny posiłek albo wizyta. Tutaj czas nie istnieje. Idę do łazienki. Woda skończyła się przedwczoraj i w przypiływie życzeniowego myślenia pociągam za sznurek prysznica, mając nadzieję chociaż na cienką strużkę. Zupełnie się nie spodziewam obfitego chluśnięcia.

– Cholera! – piszczę, odskakując do tyłu. Ale to dobrze. Uzupełnił zbiornik!

Spuszczam wzrok na swoje ciało i uznaję, że powinnam dokończyć robotę, więc jeszcze raz pociągam za sznurek i wskakuję pod chłodny strumień. Otwieram usta, nawadniając siebie i dziecko.

Moje dziecko. Nasze dziecko.

Oczyszczam umysł z tej myśli. Nie chcę zastanawiać się nad tym, jaką odpowiedzialność na siebie biorę, ani o tym, jak wykorzystuję to dziecko, żeby przetrwać. Nie mogę pozwolić sobie na rozważania o własnej, wątpliwej moralności. Powinnam skupić się wyłącznie na tym, co muszę zrobić, żeby to wszystko wytrzymać.

Zamykam oczy i rozkoszuję się wodą, gdy nagle rozlegają się kroki. Chce, żebym je słyszała. Potrafi być cholernym ninją, więc jeśli go słyszę, to znaczy, że albo mnie prowokuje, albo nic go to nie obchodzi, albo – mam nadzieję, że tak jest w tym przypadku – postanowił dać znać o swojej obecności, żebym nie wystraszyła się na jego widok, gdy wyjdę z łazienki.

Otwieram drzwi stopą i zerkam przez szparę, jednocześnie splukując pianę.

Jest w środku, w pełnej krasie, z odsłoniętą twarzą, ubrany w mocno znoszoną koszulkę i dzinsy. Właśnie stawia tacę z jedzeniem na stoliku. Czuję mdłości. Nie jestem pewna, jak po ostatniej nocy powinnam się przy nim zachowywać. Bez kominiarki wydaje mi się taki ludzki. Zupełnie jakbym poznawała go jeszcze raz na nowo.

Musi wiedzieć, że patrzę, ale nie zwraca na mnie uwagi. Może on też czuje się dziwnie. Schodzi z mojej linii wzroku. Chyba nie zamierza od razu sobie pójść? Wyłączam prysznic i łapię ręcznik, a potem pędzę do drzwi jak zaintrygowany szczeniak. Już go nie ma.

Wzdycham z rozczarowaniem. Muszę wykorzystać ostatnią noc, zanim znowu wybuduje wokół siebie mur. Zaraz jednak drzwi otwierają się znowu, a on jest z powrotem, tym razem z jeszcze jednym małym stolikiem.

Zamieram na środku pokoju, owinięta w ręcznik. Przyłapał mnie na wpatrywaniu się w drzwi, przez które wyszedł.

– Dzień... dobry – zacinam się jak dziewczyna na widok chłopaka, z którym zeszłego wieczora przeżyła swój dziewiczy pocałunek.

Kiwa głową. Pierwszy raz widzę go w świetle dnia. Grubsze z jego blizn wydają się połyskiwać w promieniach wpadających przez świetlik. Ale słońce równie jasno oświetla też resztę jego osoby i okazuje się, że jest jeszcze bardziej przystojny, niż mi się wydawało.

Ustawia stolik pod ścianą i znowu wycofuje się na zewnątrz. Czekam cierpliwie, zastanawiając się, co będzie dalej. Tym razem wraca z... gramofonem. Z gramofonem!

Nie czułam się tak od czasu, kiedy miałam dziesięć lat, a babcia zaskoczyła mnie wycieczką do Disneylandu. Desperacko staram się udawać niewzruszoną, jednak uśmiech ciśnie mi się na usta i po chwili już szczerzę się jak idiotka.

Opiera jedną płytę o ścianę za gramofonem. To muzyka z Gorączki sobotniej nocy. Mała sugestia odnośnie tego, co może go interesować. Wątpię, by miał czas kupić ten album dzisiaj rano, więc musi pochodzić z jego osobistej kolekcji. Nigdy bym go o to nie podejrzewała.

Podbiegam do gramofonu, ale delikatnie kładzie mi rękę na ramieniu i wskazuje na drugi stolik. Jedz.

Oczywiście. Ekscytacja sprawiła, że na moment się zapomniałam. Na tacy leżą owoce, bekon – rzadki smakołyk – jajka na twardo, tosty, owsianka i sok pomarańczowy. Jak na tutejsze standardy to prawdziwa uczta. Najpierw łapię tost i łapczywie pochłaniam kilka kęsów.

– Dziękuję – mówię z pełnymi ustami.

Nie odpowiada, ale obserwuje mnie kątem oka. Zajadając owsiankę, przyglądam się niespodziance, którą mnie nagroził. Może jednak coś się zmieniło ostatniej nocy.

Tym razem nie wychodzi po dostarczeniu mi posiłku, tak jak zwykł robić do tej pory. Zamiast tego nastawia gramofon i siada na swoim krześle. Poczwszy wreszcie, że zaspokoiliam pierwszy głód, postanawiam się odezwać:

– Lubisz Bee Gees?

Wzrusza ramionami.

– Oglądałeś film?

Kiwa głową.

– Podobał ci się?

Wzrusza ramionami.

– Widziałam go z... – Gryzę się w język, zanim wspomnę o Carterze. – Z przyjaciółmi. Fajny był. Miałam jedną znajomą, która dostała prawdziwego hopla na jego punkcie. Jest zakochana w Johnie Travoltie. Widziała film chyba z dziesięć razy. Któregoś wieczora, kiedy zakuwałyśmy i potrzebowałyśmy przerwy, nauczyła mnie kilku układów tanecznych.

Nieznacznie unosi brew. Nie jestem pewna, czy udaje zainteresowanie czy nie.

– Fajnie by było mieć imię dla ciebie, wiesz? – mówię. – Prawdziwe.

Wierci się na krześle, lecz milczy.

Zjadam ostatnią łyżkę owsianki i czując, że jestem wypchana jak prosiak, przewracam się plecami na łóżko.

– Uch, zaraz pękne – wzdycham.

Zadowolenie z posiłku trwa jednak tylko kilka sekund, po których wracają moi nowi przyjaciele – poranne mdłości.

– O nie – jęczę, zakrywając usta, i biegnę do łazienki.

Pochylam się nad toaletą i oddaję jej niemal cały posiłek. Po dłuższej chwili powoli podnoszę się z klęczek, po czym obmywam usta i wychodzę z łazienki na chwiejnych nogach. Nie patrzę na niego. Nie wiem, jak traktować przy nim sprawy związane z dzieckiem, więc łatwiej mi udawać, że nic się nie wydarzyło. Podchodzę do gramofonu i wyjmuję płytę z opakowania. Trzeszczący dźwięk igły przesuwającej się w rowku wywołuje we mnie dziecinną radość.

Czuję, że staję za mną. Wciąż jestem owinięta tylko ręcznikiem i doskonale wiem, czego chce. Kładzie mi dłoń na ramieniu w niemal delikatnym geście. Odwracam się, gotowa rzucić ręcznik i pozwolić mu robić rzeczy, na które muszę się zgodzić, by móc zatrzymać przyniesiony przez niego prezent. Spojrzenie turkusowych oczu pada na łóżko. Dostrzegam sportową torbę.

– Dla mnie? – pytam.

Kiwa głową.

Zaglądam do środka, po czym wyjmuję kilka pięknych sukienek. Jedne są długie, inne krótkie, wszystkie kwieciste i zwiewne. Tak długo byłam naga, a potem miałam jedynie kusą koszulkę. Ubranie było akurat najmniejszym z moich zmartwień, lecz teraz, kiedy dostałam tyle ślicznych sukienek, przypominam sobie o różnych drobiazgach, za którymi tęsknię.

– Są piękne – mówię. – Przymierzę je.

Cofa się i opiera o ścianę ze skrzyżowanymi ramionami, obserwując, jak zakładam lekką, sięgającą do kostek białą sukienkę upstrzoną drobnymi różowymi i niebieskimi kwiatami. Okręcam się, a jej brzeg wiruje w powietrzu.

– Co myślisz? – pytam.

Kiwa głową z aprobatą.

Rozkładałam sukienki na łóżku, kiedy zaczyna się How Deep is Your Love. Nucę słowa piosenki i przez moment pozwalam sobie czuć się dobrze. Kto by pomyślał, że tamta jedna noc i cięża mogą tak zmienić moją porywacza.

W tej chwili tymczasowej błogości on staje za mną.

– Ciii... – szepcze mi do ucha, otaczając mnie ramieniem w pasie.

– Co robisz? – pytam, a całe moje odprężenie błyskawicznie rozplywa się w drzeniu i strachu.

Nie mówi ani słowa, ale zasłania mi oczy czarnym materiałem i zawiązuje supeł z tyłu głowy.

Rozdział 21

SAM

– Obudź się – szepcze tata i potrząsa moim ramieniem.

Przecieram oczy, rozglądając się za ogniem albo jakąś inną przyczyną, dla której mógłby budzić mnie w środku nocy. Ale jest ciemno i cicho, żadnych oznak zagrożenia.

– Załóż to – mówi, podając mi spodnie, buty i bluzę.

– Dla-a-acze...

– Ciii... Nie chcę, żebyś obudził mamę albo Scoota. Wyjaśnię, kiedy stąd wyjdziemy. Buty załóż dopiero na zewnątrz, żeby nie hałasować.

Wypełniam jego polecenia, na palcach schodzę po schodach i siadam na werandzie. Niebo jest czyste, księżyc świeci jasno, a wokół panuje cisza, nie licząc kilku cykających świerszczy.

– Chodźmy – mówi, podciągając mnie na nogi.

Idę za nim przez pastwisko, w kierunku lasu. Kiedy zbliżamy się do pierwszych drzew, zatrzymuję się niezdecydowany.

– Chodź, Sam.

– Co ro-o-obimy? – pytam.

Chciał, żebym pomógł mu coś zbudować w lesie. To ma być nasz sekret. Ale dzisiaj nie ma ze sobą żadnych narzędzi ani innych rzeczy potrzebnych do pracy. Las wydaje się jeszcze ciemniejszy i bardziej przerażający niż zazwyczaj. Dzisiaj wszystko wygląda inaczej.

Wzdycha i przykłęka przede mną.

– Mama chce, żebyś tu był. Zawsze stawia na swoim. Wiem, że chcesz z nią zostać, więc nie zabiorę cię, ale zadbam o to, żebyś stał się mężczyzną. Nauczysz się tego, czego mnie nauczył mój ojciec. Traktowałem cię zbyt łagodnie, musisz stać się twardszy. I podobnie jak wszystko inne, co tutaj robimy, to też będzie naszą tajemnicą. Nie możesz nikomu o tym powiedzieć, jasne?

Kiwam głową.

– Mówię poważnie, Sam. Jeśli powiesz o tym matce, wywołasz tylko więcej problemów. A wiesz, co się dzieje, kiedy się denerwuje. Robię to dla twojego dobra. Musisz nauczyć się, jak sobie radzić, gdy kiedyś jej zabraknie. A teraz chodźmy.

Ciągnie mnie za sobą i w końcu zapala latarkę. Idziemy wzdłuż strumienia, więc domyślam się, dokąd tata mnie prowadzi. Kiedy docieramy do jeziora, przystaje.

– Zdejmij ubranie – rozkazuje.

Nie ruszam się.

– Dalej – popędza mnie.

Rozbieram się do bielizny.

– Zrobisz dzisiaj dziesięć rund.

Patrzę na wodę, zupełnie czarną, nie licząc kilku srebrzystych smug księżycowego światła. Musi być zimna i w dodatku wygląda tak, jakby pod powierzchnią kryły się miliony potworów. Próbuje mnie zabić, tak jak mówiła mama.

– Nie – mamroczę.

– Wskakuj!

Kręcę głową.

Łapie mnie za rękę i ciągnie do wody. Sam wchodzi aż po uda, spodnie ma zupełnie przemoczone. Woda jest lodowata, szok sprawia, że po mojej senności nie zostaje żaden ślad.

– Spędzimy tutaj całą noc, jeżeli będziemy musieli, Sam. Popłyniesz na drugą stronę i z powrotem, dziesięć razy. Jeśli zrobisz to szybko, starczy ci jeszcze czasu, żeby zdrzemnąć się do rana. Jazda! – krzyczą.

Zaczynam płakać. Nie chcę tego. Wolę być w domu, mama mówi, że tam jest bezpiecznie.

– Twoje łzy w ogóle na mnie nie działają. Właśnie w tym tkwi problem. Jesteś cipa, Sam! Ale kiedy z tobą skończę, będziesz mężczyzną.

Stoi nade mną z rękami założonymi na piersi – nieustępliwy wielki cień. Muszę pływać albo nigdy nie zabierze mnie z powrotem do domu. Tyle razy bawiłem się w tym jeziorze. Jest wielkie, a ja nigdy nie musiałem przepłynąć go całego bez odroczyunku. I na pewno nie dziesięć razy.

Nurkuję pod powierzchnię, kopiąc i rozgarniając wodę ramionami, aż w końcu wynurzam się i nabieram powietrza. Robię to znowu. I znowu. Za każdym razem mam wrażenie, że lada moment znajdę się na drugim brzegu, ale zaraz odkrywam, że prawie wcale nie posunąłem się na przód. Nie przestaję płynąć, dopóki w końcu nie udaje mi się dotrzeć na miejsce. Chcę odpocząć na łuszczącej się skale, ale boję się, że złapie mnie skurcz, jeśli zrobię sobie przerwę. Dlatego odwracam się i płynę z powrotem. Tym razem muszę odpocząć u stóp ojca, z trudem łapiąc powietrze.

– Nie... dam rady... – jęczę, przekręcając się na plecy na gładkich otoczkach.

– Raz. – To wszystko, co mówię.

– Pro-proszę.

– Raz.

Szturcha mnie stopą, więc pełznę po dnie, aż woda sięga mi do podbródka. Płynę znowu.

Dwa.

Trzy.

Cztery.

Gdy wracam do niego po raz piąty, czuję się tak, jakby każda kończyna ważyła sto kilogramów. Kaszlę, wypluwając wodę, której nabrałem w usta podczas pływania. Nie mam już w sobie ani trochę siły. Ale on tylko powtarza w kółko „sześć”, aż w końcu uświadamiam sobie, że decyzja nie należy do mnie.

Dopływam na przeciwległy brzeg i kładę się na skale. Wszystko mnie boli, w płucach czuję ogień, a w głowie zamęt. Cały świat spowija całkowita ciemność, nie licząc punktu światła po drugiej stronie – ojciec trzyma latarkę, jakby dawał mi jakieś znaki. Biorę głęboki oddech i wchodzę do wody, kierując się w stronę jego światła.

„Chciałbym, żeby umarł”, myślę, kiedy ciało błaga mnie, bym przestał. I nagle noga sztywnieje mi gwałtownie, jakby jakiś gigant złapał ją i ścisnął z całej siły. W łydce eksploduje ból gorszy niż ten, który pamiętam z wypadku. Krzyczę i połykam wodę. Ból posyła alarmujące sygnały przez całe moje ciało, ale nie mogę się ruszyć. Wymachuję rękami, lecz bezskutecznie. Niemoc wciąga mnie pod powierzchnię i widzę, jak księżyc nad moją głową gwałtownie się kurczy. Próbuje się do niego zbliżyć. Rozpaczliwie macham ramionami, ale udaje mi się tylko wychylić ponad taflę i zaczerpnąć tchu, bo zaraz potem pulsujący ból w nodze powraca. Zachłystuję się wodą, która dostaje się do nosa i spływa przez gardło. Opadam coraz niżej i niżej. Wstrzymuję oddech, zastanawiając się, co zrobi mama na widok mojego martwego ciała.

Miała rację.

Tu, na dole, księżyc jest szary. Patrzę na niego przez falującą wodę. Jest cicho, choć krzyczę. Z moich ust jednak nie wydostają się dźwięki, tylko bąbelki. Puste słowa pełne powietrza. Zawsze były moją słabością.

Potem słyszę, jak coś z hukiem rozdziera wodę. Brzmi zupełnie jak bębny. Coś twardego owija się wokół mnie i nagle wystrzelam ponad powierzchnię niczym rakietą. Desperacko próbuję nabrać powietrza, ale nie mogę. Za każdym razem, gdy usiłuję oddychać, rzęzę tylko i krztuszę się raz po raz.

– Spokojnie – słyszę głos taty. – Nic ci nie będzie.

Holuje mnie do brzegu, powtarzając uspokajające słowa. Niespodziewanie mnie puszcza i orientuję się, że kłęczę. Zaczynam wymiotować wodą i mułem. Po chwili nareszcie mogę znowu oddychać. Skończyło się. Dowiódł mi swoich racji. Jestem bardziej zdezorientowany niż kiedykolwiek. Gdyby chciał mnie zabić, pozwoliłby mi utonąć.

Przetaczam się na plecy, dysząc ciężko i dygocząc.

– Chcę iść do do-do-domu – szlocham.

– Nic ci nie będzie – mówi tata, odgarniając mi włosy z twarzy. – Widzisz? Jesteś twardy. Masz to w sobie. Mama chce, żebyś myślał inaczej. Ale tak naprawdę jesteś bardzo silny.

Słowa nie trafiają do mnie, tylko spływają po skórze jak krople mulistej wody. Czuję je, słyszę, rozumiem ich sens, ale ześlizgują się po powierzchni, nie wnikają do serca. W tej chwili to wszystko jest dla mnie nieważne – No dobra, wstawaj – mówi tata, gwałtownym szarpnięciem podciągając mnie na nogi.

Chwieję się, wciąż oszołomiony po tym, jak o mało nie utonałem. Rozglądam się po ziemi, szukając ubrań.

– W tę stronę – wskazuje na wodę. – Siedem.

Patrzę na niego z niedowierzaniem. Musiałem źle usłyszeć. To niemożliwe.

– Siedem – powtarza.

VESPER

Prowadzi mnie przez las, nie reagując na pytania i prośby. Potykam się i jęczę za każdym razem, gdy natrafiam stopą na gałązkę lub kamień. W końcu bierze mnie na rękę. Ostatnim razem zrobił tak tamtej nocy, gdy prawie mnie wypuścił.

– Proszę... Powiedz tylko, że... że nie zrobisz mi... krzywdy – błagam rwącym się w panice głosem.

Syczy ostro, by mnie uciszyć. Przywieram do niego, dobrze wiedząc, że każda wycieczka, którą mi funduje, może być moją ostatnią. A mimo to trzyma mnie w ramionach z taką delikatnością, że w moim sercu tli się isierka nadziei na przetrwanie. W końcu się zatrzymujemy. Opuszcza mnie, a moje stopy dotykają wilgotnego podłoża. Wciskam palce w zimne błoto, szukając wskazówek.

Zdejmuje mi opaskę. Przed sobą widzę rozległe jezioro.

Woda znajduje się zaledwie centymetry ode mnie i kołysze się lekko, kusząc, bym zanurzyła w niej nogi. Wokoło rośnie las. Od miesięcy nie byłam na zewnątrz za dnia. Odkąd mnie zabrał, jeszcze ani razu nie czułam bezpośredniego dotyku słońca na skórze. Odwracam głowę do niego, niepewna, jak zareagować na ten gest. Musi być w tym jakiś haczyk. Zawsze jest.

– Dlaczego tu przyszliśmy? – pytam, jak zwykle nie oczekując odpowiedzi.

Wyciąga coś z kieszeni, mały notes i długopis, po czym pisze: „Dla Twojego umysłu”.

Chichoczę bez przekonania na tę odpowiedź, ale on się nie śmieje. Przyglądam się

otwartej przestrzeni, a rytm mojego serca wraca do normalności. Czuję się taka wolna, stojąc na brzegu jeziora, kiedy wiatr bawi się materiałem mojej sukienki.

– Jesteśmy na zewnątrz. Czy przychodzą tu inni ludzie?

Palcami rysuje duży krąg w powietrzu, po czym wskazuje na siebie.

– To wszystko twoje? – pytam.

Kiwa głową.

– Ho, ho!

Wzrusza ramionami nieporuszony. Budzi moją ciekawość. Ten człowiek ma wiele blizn, lubi Bee Gees, posiada na własność rozległy teren, włamuje się do domów i robi okropne rzeczy swoim ofiarom – to się nie trzyma kupy. Lecz nie mogę zapytać go o nic wprost, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Na razie wołę, żeby nadal rzucał mi te drobne okruchy informacji.

Spoglądam na wodę i wdycham świeże powietrze. Zamykam oczy, ciesząc się dotykiem słońca na skórze. Chlupot wyrywa mnie ze stanu swoistej medytacji. Wygląda tak... ludzko.

Zauważa, że na niego patrzę. Odwracam wzrok, jakbym miała przed nim coś do ukrycia. Macha ręką, by odzyskać moją uwagę.

– Hmm? – mruczę pytająco.

Wskazuje najpierw na mnie, a potem na wodę.

– Chcesz, żebym weszła? – Chichoczę.

Wzrusza ramionami. Jeśli chcesz.

Chcę, okropnie chcę. Marzę o tym, żeby zanurzyć ciało w chłodnej wodzie, żeby moje pulsujące piersi przestały cokolwiek ważyć.

– Ty też wejdiesz? – pytam.

Kręci głową.

– To sama nie chcę! – protestuję.

Macha ręką. Idź, idź, idź.

Zaciskam usta niezdecydowana.

– Ach, do diabła. Jest tak gorąco.

Wchodzę do wody, przytrzymując brzeg sukienki, żeby się nie zamoczył.

– Nie chcę, żeby była mokra – tłumaczę.

Spogląda na mnie szelmowsko i robi taki ruch, jakby ściągał koszulkę. No to ją zdejmij!

Tutaj jest inaczej, w promieniach słońca, w świetle dnia. Ale to tylko kwestia psychiki.

Widział takie części mnie, o których istnieniu w ogóle nie widziałam. Elementy schowane w pudełkach, które znajdują się w innych pudełkach ukrytych w szufladach gdzieś na dnie duszy. Moja naga skóra to tylko kolejna zasłona. Biorę więc uspokajający oddech i zdejmuję ubranie. Wchodzę do chłodnej wody, aż sięga mi do piersi. Szczękając zębami, oglądam się na niego, mając nadzieję, że zobaczę jego uśmiech. Muszę mu się przypodobać. Im więcej takich chwil stworzę między nami, tym mniej będzie mnie postrzegał jako więźnia.

On się jednak nie uśmiecha. Obserwuje moje ruchy, poprawiając spodnie. Już myśli o tym, co ze mną zrobi. Jego seksualny apetyt jest nie do zaspokojenia.

Zanurzam się cała i postanawiam płynąć pod wodą tak długo, jak dam radę. W takich chwilach czas zdaje się spowalniać i czuję się wolna. Dlatego zostaję pod powierzchnią tak długo, na ile mi pozwala zaczerpnięte powietrze. Po wynurzeniu się głośno łapię powietrze i rozglądam się dookoła. Okazuje się, że odpłynęłam dalej, niż się spodziewałam.

Patrzę na mężczyznę, jak podnosi kamień, a potem na przeciwległy brzeg. Mogłabym tam dopłynąć. Musiałabym wprawdzie wspiąć się po skałach, ale i tak miałabym ogromną przewagę nad moim porywaczem.

Zanurzam się znowu, odpływam jeszcze dalej. Testuję ograniczenia – swoje i jego.

Wynurzam się, kiedy zaczyna brakować mi powietrza. Tym razem macha do mnie, zredukowany do małej ludzkiej sylwetki w dżinsach i koszulce. Spoglądam w kierunku drugiego brzegu. Musiałabym wysilić się tak jeszcze cztery, może pięć razy, żeby tam dopłynąć.

– No chodź! – krzyczę wesoło, ukrywając swoje motywy na wypadek, gdyby mi się nie udało.

Zanurzam się i płynę szybko, szybciej niż kiedykolwiek podczas wycieczek nad jezioro Tahoe, gdzie jako dziecko uczyłam się pływać i gdzie prawie zgubiłam wisiołek od babci. Wisiołek, który on wciąż ma. To mi przypomina, że nieważne, ile dostanę sukienek, gramofonów czy wycieczek nad jezioro, wciąż pozostaję jego więźniem. Macham więc mocniej, usilnie rozgarniając wodę rękami.

Nie wiem, co zrobię, jeśli dostanę się na drugi brzeg, ale muszę spróbować. Powiedziałam, że nie będę walczyć, jednak wciąż jest we mnie coś, co nie chce umrzeć. Coś, co nie do końca pragnie świata na zewnątrz, ale też nie chce też tego, w którym się teraz znajduję. Gdybym mogła zostać na zawsze tutaj, pośrodku jeziora, czując na sobie wzrok Nocy puszczającego w międzyczasie kaczkę na wodzie, zrobiłabym to.

Gdy się wynurzam, na brzegu jeziora nie ma już nikogo. Widzę tylko małe punkciki żółci i błękitu – jego koszulkę i dżinsy. Spoglądam w kierunku wzburzonej wody. Rytmiczne rozbryzgi rosną, zmierzając w moją stronę. Płynie niesamowicie szybko. Przypomina mi drapieźnika, kiedy ledwo wynurza się ponad wodę, by zaczerpnąć tchu. A więc znalazłam jego granicę.

Tłumię impuls, który każe mi błagać o wybaczenie. Choć instykt podpowiada, żeby uciekać, biorę oddech i płynę w kierunku potwora. Tym razem jednak nie sunę gładko przez wodę. Moje ciało wydaje się ciężkie jak ołów. Nieważne, jak mocno kopię, czuję się tak, jakbym w ogóle nie ruszyła się z miejsca. Strach staje się czymś wręcz namacalnym. Jest ciężki, masywny i gęsty. Ciągnie mnie w dół, ale zmuszam się, by płynąć do tego mężczyzny. Kiedy jest zaledwie kilka metrów ode mnie, chowam się w wodzie aż po szyję, mając nadzieję, że dzięki temu ukryję drżenie ciała.

– Buu! – Chichoczę, gdy jego głowa wynurza się spod wody.

Dyszy ciężko, a spojrzenie ma skupione i napięte. Jego źrenice wyglądają jak dwie małe czarne kropki zanurzone w lodzie. Nie karmię potwora strachem. Przeprosiny i błagania byłyby przyznaniem się do winy. Ja przecież tylko go prowokowałam. Nie chciał do mnie dołączyć, więc musiałam znaleźć sposób, żeby pomóc mu podjąć decyzję. To wygłupy kochanków, nic poza tym.

Pryskam wodą, licząc, że zgaszę jego gniew jak płomień.

– Ale szybko pływasz! – przekrzykuję chlust wody.

Nie działa. Łapie mnie za przedramiona. Fałszywy uśmiech spełza mi z twarzy.

– Wiem, co robisz – warczy.

Nigdy nie wiem, kiedy się odezwie, ale gdy to następuje, rzadko mogę się spodziewać czegoś dobrego. Próbuje wyszarpnąć ręce, ale jego uścisk nie słabnie ani odrobinę.

– Chciałam tylko, żebyś do mnie dołączył i odprężył się trochę – mówię, wydymając usta. – Co miałabym zrobić? Uciec stąd nago? Wrócić do domu z twoim dzieckiem rosnącym we mnie? – Prycham z oburzeniem. – Tam nie mam już życia, nie rozumiesz? Ten świat i twoje dziecko, to wszystko, co teraz mam. Wiesz, że moja matka już uważa mnie za martwą. A Carter? Nie mogę do niego wrócić. Nie po tym, co zrobiliśmy. My... mamy coś, czego nie miałam z nim.

„To tylko słowa”, myślę, recytując usprawiedliwienie. To jedynie sposób, dzięki któremu przestanę mieć się na baczności. Nigdy ich nie planowałam. Pochodzą z jednego z tych ukrytych pudełek, które czasem chowam nawet przed samą sobą. Kiedy je wypowiadam, nie

jestem pewna, które są prawdą, a które kłamstwem.

– Marzyłeś o mnie. Powiedziałeś to tamtej nocy, gdy przyszedłeś do mojego domu. Marzyłeś o tym, żeby mnie rznąć, żebym była twoja. No więc oto jestem! Ale ty się do mnie nie odzywasz. Nie chcesz nawet zdradzić swojego cholernego imienia. W jednej chwili traktujesz mnie jak swoją dziewczynę, a w następnej mi grozisz. Ty sam jesteś jedyną osobą, która powstrzymuje cię przed dostaniem tego, czego pragniesz.

Tym razem mnie puszcza. Płynę w kierunku brzegu, zaskoczona, że moja mała improwizacja zadziałała. Poruszam się powoli, wyczerpana próbą ucieczki. Nie patrzę za siebie, bo boję się zobaczyć jego reakcję. Zatrzymuję się przy brzegu – tam, gdzie jest jeszcze dość głęboko, by z wody wystawały mi tylko ramiona – i nasłuchuję chlupotu za sobą. Nie chcę wychodzić z jeziora. Tak dawno nie byłam na zewnątrz i pomimo sceny, którą mu właśnie zrobiłam, jestem wdzięczna, że mnie tu zabrał.

Wciąż jestem podenerwowana. Spędziłam z nim tyle czasu, a wciąż nie potrafię przewidzieć jego reakcji. Przypomina mi to granie w hacele w dzieciństwie, kiedy małe kamyczki rozsypywały się po ziemi w nieprzewidywalny sposób.

Zamykam oczy i biorę kojący wdech, słysząc, że się zbliża. Łapie mnie za rękę i odwraca do siebie. Na jego twarzy wciąż maluje się złość i nieufność, które jednak walczą z łagodnością. Może ma już dosyć ciągłego kwestionowania moich intencji? Ale kiedy przyciąga mnie bliżej, ciemność bierze górę. Wpija się w moje wargi i mocno gryzie. Odsuwam się z jękiem, czując smak krwi, po czym robię mu to samo. Nasze usta pokrywają się szkarłatem, gdy zawieramy tę milczącą przysięgę krwi. Otaczam go nogami, a on łapie mnie za tyłek i wynosi na brzeg, by ułożyć moje nagie ciało na skale.

Kładzie się na mnie całym ciężarem, ściskając mi twarz w dłoniach. Usta ma podkreślone rozrzedzoną krwią. Na brzuchu czuję jego pulsującego kutasa.

– Jeśli spróbujesz odejść, będę musiał cię zabić. Nie chcę tego robić – wyznaje przez zaciśnięte zęby. – Nie zmuszaj mnie. Zabił mnie już na tysiące różnych sposobów. Ukradł mi niezliczone oddechy i nadzieje. Zamordował dziewczynę, która planowała wyjść za miłego lekarza. Zabił jej marzenie o pracy na rzecz innych. Unicestwił część duszy, zabierając ją z życia małego braciszka. Ograbił z dumy. Z tych wszystkich maleńkich śmierci narodził się ktoś nowy, kto widzi, że pod jego groźbami kryje się wrażliwość.

Błaga mnie, żebyśmy nie odchodziła. To nie wygląda na romantyczne uczucie, które można ubrać w słodkie jak syrop słowa. Jest opakowane w drut kolczastych gróźb. Ale w środku tego wszystkiego znajduje się coś, co ten człowiek chroni. Coś, czego nauczyłam się dosięgać i dotykać, nawet jeśli niesie ze sobą rany.

– Więc powiedz mi, kim jesteś – dyszę w jego usta.

Łapie mnie za mokre włosy i ciągnie tak mocno, że tężeje mi kark.

– Jestem... – Gryzie mnie w szyję, obojczyki, ramiona. – Jestem... – Przesuwa językiem po sztywnym sutku, zahacza o niego zębami. – Jestem... – Zsuwa się w dół mojego brzucha, drażniąc miejsce, w którym rośnie nasze dzieło.

Moja lechtaczka pulsuje w nadziei, że będzie następna. Marzę, by poczuć jego gorące usta na wychłodzonej zimną wodą skórze. Rozsuwa mi nogi.

– Jestem... – Gryzie mnie w wewnętrzną stronę uda, posyłając paroksyzm bólu do mojego podbrzusza. – Powiedz mi, kim ty jesteś – rozkazuje.

Jego wargi nieruchomieją tuż nad moją cipką, prowokują ciężkim oddechem. Sama już nic o sobie nie wiem. Zostałam rozdarta na kawałki i złożona z powrotem tak wiele razy, że nie rozpoznaję siebie w nagiej kobiecie leżącej na brzegu i ulegającej dzikim instynktom niczym zwierzę. Mówię więc jedyną rzecz, której jestem pewna. Jedyną rzecz, która w tej chwili jest

całkowicie prawdziwa.

– Jestem twoja.

Te słowa działają na niego jak płomień przystawiony do lontu. Chwyta ustami moją wargę sromową, napuchniętą, oczekującą na rozładowanie napięcia, które narasta między udami. Czubkiem języka przesuwając po wejściu, bawi się swoją własnością.

– Jeszcze raz – mamrocze.

– Jestem twoja – powtarzam bez tchu.

Wolno przesuwając językiem po łechtaczce. Jęczę przeciągle, więc robi to ponownie. Usiłuję otoczyć go nogami, ale rozsuwa je gwałtownie, przypominając, kto tu należy do kogo. Popycha mi uda do góry, całkowicie odsłaniając dolną część mojego ciała. Prezentuję się jak mięso przeznaczone do nadziania na rożen.

Pięści mnie ustami, pieprzy językiem. Jęczę coraz głośniej, a oddech więźnie mi w gardle, kiedy przyciska twarz do mojej cipki i tyłka. W następnej chwili niespodziewanie przestaje, choć jestem już tak blisko. Dysząc, obserwuję, jak klęka między moimi udami. Widzę jego sztywnego, nabrzmiętego kutasa.

Łapie mnie w pasie i przewraca na brzuch. Dotyk zimnych kamieni jest szokiem dla rozgrzanej skóry. Podciąga mnie na czworaki, twarde skały wbijają mi się w kolana i dłonie.

– Masz rację, Vesp. Pragnąłem cię, odkąd cię zobaczyłem. Czułem smak twojej pizdy, jeszcze zanim położyłem na niej usta. Czułem, jak zaciskasz się na moim fiucie, jeszcze zanim cię zerżnąłem. Widziałem twoje piękne oczy utkwione we mnie i usta na moim kutasie, jeszcze zanim połknęłaś moją spermę.

Przesuwając główką penisa po cipce, która niecierpliwie czeka na niego, pulsując w rytm uderzeń serca.

– Myślałem, że jeśli raz cię wezmę, zaspokoję swój głód. Ale każdy kolejny seks sprawia, że pożądam cię jeszcze bardziej. Im więcej mam, tym więcej chcę.

Wsuwając czubek główki we mnie, a potem się cofa. Obietnica tego, co zaraz nastąpi, przyprawia nas oboje o jęk.

– Tracę kontrolę, Vesp.

Przesuwając dłońmi między moimi nogami, a potem po kutasie, by rozprowadzić po nim wilgoć.

– Kim jestem? – pyta tym specyficznym głosem, zepsutym i nieprzyzwoitym. – Jestem człowiekiem, który nie ma do stracenia nic poza tobą.

Wchodzi we mnie i chociaż jestem gotowa, robi to tak nagle i mocno, że niemal krzyczę, dławiąc się oddechem.

– Jestem człowiekiem, który zaryzykował wszystko, żeby cię mieć.

Wysuwa się powoli, by zaraz wbić się we mnie z powrotem.

– Jesteś jedyna, Vesp.

Znowu wychodzi i znowu pogrąża się w moim wnętrzu.

– Jesteś... moją obsesją.

„Jego obsesja. Chciana. Potrzebna. Pożądana. Najważniejsza osoba w jego świecie”, to właśnie poczułam, kiedy jego oczy po raz pierwszy spotkały się z moimi. Nic nie elektryzuje tak bardzo jak wyznanie, że jest się komuś drogiem. Tak cennym, że wystawia cię to na zagrożenie. Coś tak niesamowitego nie może istnieć na tym świecie, nie wywołując burzy. Kiedy człowiek pragnie czegoś bardzo, bardzo mocno, to on sam staje się największym zagrożeniem.

Wciąż pozostając w moim wnętrzu, podciąga mnie do góry i przytula się do moich pleców. Jedną dłońmi łapie za pierś, drugą zsuwa w dół do łechtaczki. Wypycha biodra, uderzając o moje, a potem chwyta mnie za szyję i lekko ściska. Groźba miesza się z przyjemnością. Mój

strażnik i prześladowca. Mój kochanek i wróg. Obcy. Ojciec mojego dziecka.

– Chcę sprawić, żebyś czuła wszystko – dyszy mi do ucha.

– Czuję – udaje mi się wykrztusić. – Daj mi wszystko.

Zacieśnia chwyt tak mocno, że nie mogę wydobyć ani słowa więcej. Zaciskam się na jego penisie, a podniecenie rozplywa się pulsującymi falami po całym ciele. Stęka, wypełniając mnie swoim ciepłem. Nie rozluźnia palców na szyi, nie daje mi zaczerpnąć powietrza, tylko mocno przyciska moje ciało do siebie.

Jestem jego.

Wysuwa się z mojej cipki, podnosi się i staje przede mną.

– Pokaż mi – mówi.

Jego fiut wciąż jest sztywny. Wiem, co powinnam teraz zrobić. Liżę go, pokrytego mieszaniną nas obojga, a on delikatnie gładzi moje włosy. Patrzy na mnie, a jego zamglone oczy zdradzają, że okazuje w ten sposób seksualną dominację. Kiedy wreszcie czuje się usatysfakcjonowany, odsuwa się i wchodzi do wody, żeby się odświeżyć. Patrzę na niego bez słowa. Kolana mam czerwone od twardego podłoża, a jego sperma kapie ze mnie na kamienie. Spoglądam na drugą stronę jeziora. Dałabym radę tam dopłynąć, ale to, co rozciąga się za lasem, wydaje się innym wymiarem. Nie wiem, czy pomiędzy moją szopą a Sacramento istnieje inny świat, lecz mam świadomość jednego: oboje jesteśmy beznadziejnie ze sobą związani i utrzymujemy siebie nawzajem na powierzchni. Jeśli jedno z nas zniknie, drugie pójdzie na dno.

Rozdział 22

VESPER

Po wspólnej kąpieli w jeziorze Noc sięga po opaskę i chowa ją do kieszeni, wskazując głową w kierunku, z którego, jak mniemam, przyszliśmy.

– Uhm... Jeśli wybierzemy się tu znowu, co byłoby cudowne, będę potrzebowała butów.

Kiwa głową i sięga po notes.

„Zanieść Cię z powrotem?”

– Poproszę – wzdycham z ulgą.

Podnosi mnie, a ja otaczam go ramionami. Nie jestem już wystraszona ani nieufna jak wtedy, gdy niósł mnie tutaj. Czuję tylko głód i zmęczenie. Jedno i drugie silniejsze niż zazwyczaj. Podejrzewam, że to przez szalejące hormony. Nie mogę nic na to poradzić, że wtulam nos w jego szyję i zamykam oczy.

– Dlaczego tak jest – odzywam się, ziewając – że mówisz tylko czasami?

Jego ciało napina się na dźwięk tego pytania i oczywiście nie otrzymuję odpowiedzi. Ta automatyczna reakcja, która następuje mimo wszystkiego, co do tej pory przeżyliśmy, w końcu pozwala mi zrozumieć, że nie prowadzi ze mną żadnej wojny psychologicznej. To kolejny okruch, który muszę odnaleźć. Kryje się za nim jakaś historia.

Łagodne kołysanie w rytm kroków Nocy sprawia, że przysypiam w jego ramionach, aż w końcu czuję pod sobą chłód prześcieradła. Jestem kompletnie wyczerpana. Osuwam się w głęboki sen, ledwie rejestrując, że Noc mnie przykrywa.

Budzę się na dźwięk zamykanej zasuwki. Żołądek zawiązuje mi się w supeł, kiedy zdaję sobie sprawę, że poszedł. Nareszcie zaczynam go poznawać i bardzo chcę zobaczyć go znowu, by przekonać się, czy zdołam odkryć nowe tajemnice.

Podnoszę wzrok na świetlik – pomarańczowa mgiełka przesłania ciemnoniebieskie niebo. Głośno burczy mi w brzuchu i w tej samej chwili na stoliku zauważam jedzenie. Kilka kanapek, herbata, mleko. Ale moją uwagę przykuwa to, co leży obok – książka dla dzieci Kto zje zielone jajka sadzone?.

Ma już swoje lata, obszarpane okładki i grzbiet sugerują częste użycie. Może to pamiątka z jego dzieciństwa? Niemal do niej biegnę, ciekawa kolejnego okruchu. Książka otwiera się w miejscu, w którym umieścił liścik:

„Nie zadawaj mi więcej tego pytania. Nigdy nie dostaniesz odpowiedzi. Ale tutaj daję Ci coś innego”.

Odwracam małą karteczkę, jednak druga strona jest pusta. W pierwszej chwili myślę, że odnosi się do książki samej w sobie. Może uznał ją za prezent. Ale kiedy spoglądam na strony, między którymi umieścił liścik, chyba znajduję odpowiedź na swoje wcześniejsze pytanie. Czarnym tuszem zakreślono słowa: „Jestem Sam”. Nie jest już „Nocą”, „moim porywaczem” czy po prostu „nim”, lecz Samem.

Niewinne imię, świetnie pasujące do obrazu chłopaka z sąsiedztwa nie brzmi jak imię potwora. Z każdym kolejnym kawałkiem układanki tworzę jego nowy obraz przesłaniający milczące, zamaskowane zwierzę, które mnie skrzywdziło. Wyłaniający się z niego mężczyzna sprawia, że stary zaczyna zanikać i coraz trudniej mi go sobie przypomnieć.

SAM

Dlaczego ją wziąłem? Bo jej pragnąłem, bardziej niż kogokolwiek innego. Bo choć wmawiałem sobie, że jest jedną z nich, widziałem, jak zachowywała się wobec Johnny'ego i rozumiałem, że ma w sobie coś więcej. Zrobiłem to, ponieważ biorąc ją w posiadanie, czułem się dobrze. Lepiej niż dobrze. Zabranie jej ze sobą było zwieńczeniem wszelkich moich działań.

Jeśli tak jest naprawdę i właśnie dlatego przeczesywałem obce domy, to czemu z tym walczę? Skoro ja jestem żądzą, a ona zaspokojeniem, dlaczego nie spiję jej soków do ostatniej kropli? Zaryzykowałem wszystko, by ją mieć, więc teraz powinienem to wszystko dostać z powrotem.

Cholernie podobał mi się czas spędzony nad jeziorem, kiedy po prostu patrzyłem na nią, jak pluska się w wodzie, na jej policzki zarumienione od słońca i świeżego powietrza. Miło było po prostu puszczać kaczki i cieszyć się chwilą. Ale nagle z wściekłością przebudziła się ta część mnie, która nie potrafi do końca uwierzyć, że Vesper nie jest jedną z osób przysłanych tutaj, by mnie skrzywdzić. Musiałem ją zastraszyć, musiałem patrzeć, jak spokój w jej oczach przeradza się w grozę. Tę samą grozę, która trzyma nas razem.

Są też inne rzeczy mogące ją tu zatrzymać: dziecko, seks i... coś jeszcze. Potrafię dać jej wszystko, czego potrzebuje. Jeszcze nigdy nikt nie troszczył się o nią tak bardzo jak ja.

Nie żeby miała wybór.

Jestem zmęczony walką. Zmęczony tym, że nie mogę pozwolić sobie na to, by czuć się po prostu dobrze. Od tej pory, jeśli nie da mi ku temu powodu, zaprzestaną używania przemocy. Zawsze będę miał ją pod ręką, ale zamierzam korzystać z niej oszczędnie. W końcu taki właśnie miałem cel: złamać ją i odrzec ze wszystkiego, by zmieniła się w lalkę, którą zatrzymam dla własnej przyjemności.

Mimo to nie stała się pustą muszlą. Ewoluowała w coś, co może przetrwać, zachowując wszystkie najlepsze części siebie i odrzucając całe to gówno, które obrzydliwy świat każe nam ze sobą nosić.

Kiedy siedzę w milczeniu, z ustami ciężkimi od myśli próbujących wydostać się na zewnątrz, czuję się tak, jakbym to ja został z czegoś odarty. Jeśli w chwili słabości spróbuję się do niej odezwać, usłyszy, jak brzmie naprawdę. Słowa zaczną się rwać i zrujnują ten iluzoryczny obraz mnie, jaki stworzyła w swojej głowie. Zdecydowałem więc, że dam jej coś innego – moje imię. To największe ryzyko, jakie podjąłem, ale i zobowiązanie. Z tą wiedzą nigdy nie będzie mogła wrócić do świata na zewnątrz. Dzięki temu nie popadnę w zbytnią beztroskę. A poza tym chcę usłyszeć, jak je wypowiada.

Wyciągam jeszcze kilka płyt, które zamierzam zanieść do jej szopy. Miała rację, mówiąc, że potrzebuje stymulacji. Chyba udowodniła, że na to zasługuje, a ja przekonałem się, że dobre traktowanie szybko ją do mnie przywiązało. Kocham muzykę i miło będzie się z nią tym podzielić.

Ruszam do drzwi i w tym momencie dzwoni telefon. Czekam, aż odezwie się automatyczna sekretarka.

– Cześć, Sam, to ja – mówi Scoot. – Zadzwoń, jak będziesz mógł. Muszę cię o coś zapytać.

Zawsze to robi, zostawia jakieś niejasne wiadomości, żebym musiał oddzwonić. W tej chwili nie zaprzęgam sobie tym głowy i wychodzę z domu.

Idę przez las, latarką oświetlając sobie drogę do małej, białej szopy. Nocą, bez żadnych okien czy świateł, jest niemal niewidoczna, ale znalazłbym ją nawet z zasłoniętymi oczami. Podchodzę do drzwi, starając się, żeby mnie usłyszała i miała chwilę na przygotowanie, po czym

odblokowuję zasuwę. Vesper siedzi na łóżku, oświetlona mdłym blaskiem lampy. Muzyka gra cicho w tle. Trzyma książkę, którą dla niej zostawiłem, wręcz ściska ją kurczowo. Wygląda, jakby czekała cały wieczór na moje przyjście.

To miłe uczucie wiedzieć, że komuś na tobie zależy.

Patrzy na mnie wyczekująco tymi swoimi złotobrazowymi oczami. Jest pełna blasku – mój osobisty mały anioł w białym pudełku. Rośnie w niej zasiane przeze mnie nasiono. Jest czystą, płodną ziemią, na której możemy wyhodować życie. Jest wszystkim. Wstaje, przyciskając książkę do piersi, i podchodzi do mnie.

– Sam? – odzywa się miękko.

Moje imię, brzmiące w jej ustach niczym błogosławieństwo, odzywa się dreszczami w brzuchu. Kiwam głową.

– Jest twoja? – pyta, wskazując na książkę.

Przytakuję.

– Z dzieciństwa?

Znów kiwam głową.

– Szkoda, że ja nie miałam książki ze swoim imieniem, kiedy byłam mała. Na świecie nie ma za wiele Vesper – mówi z uśmiechem. „Ty jesteś jedyna w swoim rodzaju, Vesp”, myślę.

– Chcesz ją z powrotem? – pyta.

Kręcę głową, sięgając do kieszeni. Czasami pisanie każdej pierdoły jest równie męczące co jąkanie się, więc staram się być zachowawczy. Skłania mnie to do rozważnego dobierania słów. „To dla dziecka”, piszę. Na widok wiadomości jej oczy jaśnieją. – Dziękuję, Sam – odpowiada z łagodnym uśmiechem.

Przypominam sobie o płytach i podaję je Vesper.

– O rany, są świetne! – Emocjonuje się, przeglądając okładki. – Zostaniesz i posłuchasz ze mną?

Oczywiście, ale tylko wzruszam ramionami, żeby nie zdradzić, jak wiele znaczy dla mnie to zaproszenie. Podchodzę do krzesła, podczas gdy ona wyciąga album Pink Floyd, jeden z moich ulubionych.

– Chodź, usiądź ze mną na łóżku – prosi.

Przyzwyczałem się do oglądania Vesper – przez okna i otwory w ścianach, z krzesła w kącie pokoju. Nigdy nie uczestniczyłem w jej codziennych rytuałach. Byłem zaledwie obserwatorem i pokonywałem tę barierę tylko po to, by wziąć jedną jedyną rzecz, której oglądanie nie dawało mi pełnej satysfakcji.

Zawsze sądziłem, że świat wygląda inaczej, gdy mnie w nim nie ma. Że istnieje jakiś sekret, który wszyscy przede mną ukrywają i kiedy tylko zauważają moją obecność, zaczynają zachowywać się inaczej. Zdążyłem już jednak dobrze poznać Vesper. Kiedy wie, że na nią patrzę, wcale nie jest inna niż wtedy, gdy nie ma o tym pojęcia. Jej idealny narzeczony, Carter, nie znał Vesper tak dobrze jak ja. Widział tylko te ładne części, które chciała mu pokazać. Ja znam ją całą – jej piękno i brud, siłę i słabość. Wszystko.

Siadam więc na łóżku i opieram się plecami o ścianę. Ustawia płytę, a potem zaczyna kołysać się na boki w rytm pierwszej piosenki. Zaraz potem zajmuje miejsce po przeciwległej stronie, twarzą do mnie. Po chwili kładzie się na plecach i zgina nogi w kolanach, słuchając muzyki. Oczywiście nic do niej nie mówię. Ona też się nie odzywa. Zastanawiam się, dlaczego chce, żebym tu był. Dlaczego mogłaby chcieć towarzystwa kogoś, kto zrobił jej to, co ja zrobiłem? Wcześniej myślałem, że chodzi tu tylko o jej seksualne pragnienia, o fantazje zbyt zdeprawowane, by spełniać je gdzie indziej. Ale owo coś, co dzieje się teraz, nie ma z nimi nic wspólnego. To najbardziej niewinna wersja nas.

Nie oznacza to, że nie mam na nią ochoty. Sukienka zsunęła jej się z uda, odsłaniając gładką, zgrabną nogę. Czuję, że coś burzy się głęboko we mnie, pragnienie, które nigdy nie ucichnie. Odkąd po raz pierwszy poznałem dreszcz towarzyszący spełnieniu, stało się to moją obsesją. Zamknięty w domu bez możliwości znalezienia przyjaciół albo opuszczenia rancza robiłem sobie dobrze tak długo, że kutas o mało mi nie odpadł. Obsesja przybierała na sile wraz z innymi upodobaniami. To bestia, która nigdy nie ma dosyć. Dlatego potrzebuję Vesper tutaj. Jest jedyną osobą, która może mnie nasycić. Powstrzymać mojego wewnętrznego demona przed nieuchronną katastrofą, do której zmierzam.

W tym momencie jednak po raz pierwszy kontroluję tę potrzebę. Nie jestem pewien, jak to wyjaśnić, ale chyba dzieje się tak dlatego, że również po raz pierwszy czuję się dobrze, przebywając w towarzystwie drugiej osoby. To może być życie, które oglądałem na fotografiach w domach obcych ludzi. Życie, które podglądałem przez okna. Każdego kolejnego dnia znajdziemy chwilę, by siedzieć tak jak teraz, a ja będę patrzył, jak jej brzuch robi się coraz większy. Potem urodzi się dziecko – z moimi fizycznymi talentami oraz jej urodą i skłonnością do paplania. Będę mógł zacząć wszystko od nowa. Zdejmę z twarzy maskę i przestanę czuć to kurewskie wnerwienie, które towarzyszy mi przez cały czas.

– Chyba mam gorączkę – odzywa się Vesper, siadając nagle.

Zanim pojmuje, o czym mówi, podbiega do gramofonu i wyjmuje nową płytę. Och, ma na myśli tę gorączkę. Włącza Gorączkę sobotniej nocy.

– Wydaje mi się, że jeszcze pamiętam układ, którego uczyła mnie koleżanka – informuje z uśmiechem, szykując się na refren. Zaczyna tańczyć. Z tego, co pamiętam, robi to zupełnie jak w filmie. Przygryzam wargę, bo nie chcę pokazać, że się uśmiecham. Nie lubię przyciągać uwagi do swojej zniekształconej twarzy. Czasami blizna ciągnie za kącik ust i je wykrzywia, co wprawia mnie w irytację. Vesp musi też pamiętać, że nadal jestem zagrożeniem, ale... Boże, czasami tak trudno powstrzymać przy niej śmiech.

Po skończeniu całego układu Vesp tanecznym krokiem zbliża się do mnie.

– No chodź, wyluzuj trochę! – woła, łapiąc mnie za rękę.

Nie ma mowy. Nie ma, kurwa, takiej opcji!

Kręcę głową i spoglądam na nią spode łba, dając do zrozumienia, że prędeż zjadłbym gówna, niż ruszył nogą, ale nie przestaje mnie namawiać. W końcu w ramach protestu ciągnę ją, tak że traci równowagę i łąduje między moimi nogami. Czuję się niepewnie. Normalnie przewróciłbym ją na brzuch, żeby dyskomfort zniknął, ale tym razem po prostu w nim trwam. Chcę zobaczyć, jak to rozegra.

Najpierw wpatruje się w moje oczy, ale potem jej wzrok zaczyna błądzić po mojej twarzy. Odwracam głowę, żeby nie patrzyła na blizny. Przy niej zazwyczaj zapominam, że w ogóle je mam.

– Chciałabym nie myśleć o tym, że jesteś taki piękny – szepcze, sięgając do mojego policzka. – Zaczynam podejrzewać, że jestem szalona.

Doskonale wiem, co masz na myśli.

Łagodność znika, kiedy głosy, które ostatnimi czasy przycichły, znów rozbrzmiewają w mojej głowie.

Pogrywa z tobą.

Jesteś dziwakiem.

Mówi tak tylko po to, żeby dostać to, czego chce.

Łapię ją za rękę i kręcę głową.

– Sam. – Moje imię padające z jej ust na chwilę wytrąca mnie z równowagi. – Mówię prawdę.

Wstaję sfrustrowany uporem, z jakim stara się przedrzeć przez wszystkie moje bariery. Czyni mnie słabym, więc uciekam się do jedynego znanego mi sposobu na odzyskanie siły. Ulegam impulsom. Daję sobie spokój z jakimiś pieprzonymi potrzebami wyższego rzędu i słucham swojego ciała.

Popycham ją na ścianę. Pod wpływem wstrząsu płyta podskakuje w gramofonie i zacina się na jednym fragmencie, co brzmi drażniąco i niepokojąco.

– Nie ma tu nic pięknego – syczę przez zaciśnięte zęby, zmuszając ją, by padła przede mną na kolana. – Obciągnij mi fiuta – warczę.

Zapał, z jakim przystępuje do zadania, kompletnie wybija mnie z rytmu. Tak samo jak sposób, w jaki ściąga z ramion sukienkę, by odsłonić nabrzmiałe piersi o sterczących sutkach. Sposób, w jaki patrzy w moje oczy, przesuwając miękkim językiem po czubku kutasa, zanim zamknie go w ustach. Sposób, w jaki jej powieki przymykają się z pożądania.

Wcześniej musiałem stoczyć z nią prawdziwą walkę, po której w końcu pozwalała sobie na odsłonięcie swoich mrocznych potrzeb. Ale teraz w ogóle się nie wzbrania. Może faktycznie to zrobiłem? Może sprawiłem, że tutaj czuje się naprawdę wolna od całego tego pierdolenia? Może to wcale nie jest żaden fortel? Teraz, kiedy jej ciepłe wargi dają tyle rozkoszy mojemu kutasowi, mało mnie to obchodzi.

Dochodzę w jej ustach, a ona połyka spermę do ostatniej kropli, tak jak ją wytresowałem. Wstaje i znów patrzy mi w oczy, niezrażona moją próbą odzyskania kontroli. Przeczesuje palcami moje włosy, tak jak dziewczyny robią swoim chłopakom.

– Mówię prawdę – powtarza. – Chodź ze mną do łóżka,

Vesper.

Żołądek skręca mi się boleśnie, kiedy wypowiada moje imię z taką czułością. Zawsze chciałem wiedzieć, jak to jest być jednym z nich. Czy to właśnie to?

Bierze mnie za rękę i ciągnie do łóżka. Zdejmuję koszulę i dżinsy, ale zanim się z nią położę, podchodzę do drzwi i zamykam na klucz kłódkę, którą zamontowałem dzień wcześniej. Nie jestem aż taki głupi.

Rozdział 23

SAM

W ciągu dnia, zwłaszcza kiedy jest słonecznie, czuję się w wodzie zupełnie inaczej. Jezioro wygląda jak mały raj, nie jak miejsce, na którego widok serce zaczyna walić mi jak młotem, bo wiem, że będę tu uwięziony, dopóki nie dostanę skurczy, a woda nie zaleje mi płuc. Odpoczywam na brzegu, aż w końcu robię się niespokojny. Zaczynam puszczać kaczki na wodzie. Liczę, ile razy podskoczyły. Maksymalnie udało mi się dojść do dziesięciu.

Nagle ogarnia mnie potrzeba. To się zdarza przez cały pieprzony czas. Potrafię myśleć wyłącznie o rżnięciu i dochodzeniu. Scoot jest teraz w college'u i założę się, że non stop pieprzy laski. Ja utkwilem tutaj. Nie wolno mi opuszczać farmy, chyba że mam coś załatwić. Matka upiera się, że tu jest mój świat. Że na tym skrawku ziemi mam wszystko, czego potrzebuję.

Wyciągam kutasa i zamykam oczy, a wizje cycków i cipek przeplatają się z gniewnymi grymasami twarzy. Nie chcą mnie, muszę więc wyobrazić sobie, że przytrzymuję je siłą i biorę. Nie potrzeba mi dużo czasu, żeby dojść. Obmywam się w jeziorze i wracam do domu. Trzeba się zająć końmi i kozami.

Idę do obory, dom znajduje się jakieś trzydzieści metrów dalej. Mama krząta się po kuchni. W ciągu ostatniego roku była trochę spokojniejsza, może dlatego, że mam już szesnaście lat, wyrosłem i jestem silniejszy od niej. Ale za każdym razem, gdy wspominam o odwiedzeniu Scoota w szkole, robi się chora, więc nie naciskam.

Prowadzę do koryta konia, na którym pojechałem nad jezioro, i przywiązuję go, by w międzyczasie zająć się innymi. W oddali dostrzegam kłęb kurzu. To jakieś auto wjeżdża na długą drogę prowadzącą do posiadłości. Serce zaczyna bić mi jak szalone. Nie odwiedza nas tu nikt poza tatą i Scootem. Czasami zaczynam myśleć, że wszystko, co wmawia mi matka, jest jedynie urojeniem, lecz na widok zbliżającego się pojazdu ogarnia mnie groza i nieufność.

– Mamo! – krzyczę, biegnąc w stronę domu. – Ktoś jedzie!

W ciągu kilku sekund docieram do werandy i spotykam się z nią w progu.

– Wchodź do środka! – rozkazuje. – Idź na górę, ukryj się w mojej szwalni. Ja się tym zajmę, ktokolwiek to jest. Pod żadnym pozorem nie wychodź. Nieważne, co usłyszysz.

– Mamo, mogę nas ochronić! – protestuję.

– Po prostu rób, co mówię!

Biegnę po schodach na górę, do szwalni, ale zamiast zamknąć drzwi zostawiam je uchylone, żeby nasłuchiwać. Po minucie albo dwóch rozlegają się męskie głosy. Nie rozumiem słów, lecz po kilku chwilach mama krzyczy: „Nie!”. Wszystkie jej instrukcje tracą znaczenie. Biegnę do swojego pokoju, łapię kij baseballowy i pędzę na dół. Zatrzymuję się jednak w progu, niepewny i zaskoczony.

Mama siedzi przy kuchennym stole, zanosząc się płaczem, a nad nią stoją dwaj funkcjonariusze w policyjnych uniformach. Jeden trzyma dłoń na jej ramieniu. Otwieram usta, by zapytać, co się dzieje, ale słowa nie chcą mi przejść przez ściśnięte gardło. Nie mogę wykrztusić ani sylaby.

– Proszę pani – odzywa się jeden z policjantów, by zwrócić jej uwagę.

Podnosi głowę, oczy ma czerwone i opuchnięte od łez. Mężczyzna wskazuje na mnie, a mama nerwowo ociera twarz i niemal spokojnym głosem – zupełnie niepasującym do jej

zapłakanej twarzy – mówi:

– Mogą panowie już iść. Dziękuję.

Po kilku kolejnych zapewnieniach z jej strony w końcu wychodzą. Mijając mnie, lekko unoszą czapki, a ich posępne twarze potwierdzają to, czego już się domyśliłem.

– Sam... Twój ojciec...

– Nie-nie żyje? – pytam.

– Przeprowadzał rutynową kontrolę i potrącił go samochód. O Boże...

Mama wstaje, ale chwieje się tak mocno, że muszę ją złapać.

Nic nie czuję.

– Scooter... Jeszcze nie wie. Byli tak blisko... – szlocha.

– Ja-ja do nie-e-go za-a-adzwonię – oznajmiam, pomagając jej usiąść.

„Przed chwilą przyjechała policja. Tatę potrącił samochód. Nie żyje”, w taki sposób przekazuję wieści Scootowi. Słowa wydostają się z moich ust, wyraźne i dźwięczne. Nie wiem, czy czuję odrętwienie czy spokój, ale ten trans sprawia, że wypowiadam się bez zająknięcia. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie doznałem odrobiny satysfakcji, że to właśnie ja informuję Scoota o ojcu. Po raz pierwszy odczuwam dreszczyk towarzyszący unieszczęśliwianiu ludzi takich jak on. W pierwszej chwili Scoot się śmieje. Nie mówię nic więcej, tylko trzymam słuchawkę przy uchu, podczas gdy on pyta raz za razem, czy to jakiś głupi żart. Wreszcie milknie na długą chwilę, a potem jego pełen rozpacz płacz pali mnie w ucho. Słucham jego zawodzenia.

Czuję się jak obcy w rodzinie pełnej ludzi wielbiących człowieka, który wolałby, żebym nigdy się nie urodził. Człowieka, który przez lata wywlekał mnie z łóżka, żeby zadawać mi tortury i zmuszać do wysiłku ponad siły, przez co za każdym razem rzygałem z wycieńczenia. Człowieka, który krzyczał na mnie za to, że nie jestem taki jak Scooter. Który patrzył z takim rozczarowaniem. Który z chęcią pozwalał mi mieszkać na farmie, bo się mnie wstydził. W rodzinie, gdzie kolejne pokolenia osiągały same sukcesy, ja byłem porażką.

Nie potrafię zmusić się do uronienia choćby jednej łzy.

Scoot obiecuje pojawić się u nas następnego dnia oraz bierze na siebie zadanie powiadomienia dalszej rodziny. Ludzi, których nie widziałem, odkąd byłem małym dzieckiem. Mama i ja zostaliśmy zepchnięci na bok i zapomniani. Jej chorobę traktowano jak coś, co należy ukrywać za zamkniętymi drzwiami. Brat mamy, wybitny senator, nie odwiedził nas ani razu, odkąd się tu przeprowadziliśmy.

Po wylaniu morza łez matka idzie do łóżka z garścią tabletek. Nasza rodzina jest dziwna, ale znalazła sposób, by trzymać się razem pomimo przeciwności losu. Choć może nie powinna.

Oporządzam zwierzęta, a potem siadam na werandzie, patrząc na zachodzące słońce. Nie będę już musiał się martwić, że ojciec przyjdzie się nade mną znęcać. Nie będę czuł mdłości, gdy wejdzie do pokoju. Nawet jeśli nie był zły, miałem świadomość, że mnie ocenia.

I wtedy zdaję sobie sprawę z tego, jaki dar po sobie pozostawił. Pokazał mi noc. Czas, kiedy świat jest spokojny i cichy, i nie trzeba się martwić, że ktoś usłyszy, jak mówię. Po zażyciu tabletek nasennych mama odpoczywa w swoim pokoju. Nie muszę się przejmować, że pochoruje się przeze mnie ze zmartwienia. Po przeprowadzce na farmę z początku obawiałem się nocy, ale teraz nie muszę już dzielić jej z ojcem. Jest cała moja.

Ruszam w kierunku lasu. Chcę dojść nad jezioro, ale zatrzymuję się w połowie drogi. Byłem tam niezliczoną ilość razy. Pływałem w tych wodach, przedzierałem się przez zarośla, wspinałem na drzewa. Teraz chcę czegoś nowego, czegoś zakazanego. Wracam po rower i jadę przez podjazd, który ciągnie się ponad czterysta metrów aż do skrzynki pocztowej, wyznaczającej koniec naszej posiadłości. Pedałuję z całej siły, płuca pompują powietrze, mięśnie nóg mnie palą – zupełnie jak tamtego popołudnia, kiedy zostałem potrącony przez samochód.

Jadę tak szybko, jak tylko potrafię, niczym więzień uciekający z pierdła, ale kiedy zbliżam się do końca podjazdu, w brzuchu czuję bolesny skurcz. Ignoruję mdłości, naciskając mocno na pedały. Skrzynka jest coraz bliżej, aż wreszcie ją mijam i...

Hamuję trzy metry dalej, tuż przed wjazdem na drogę, obracając rower bokiem, żeby nie przelecieć przez kierownicę. Dysząc ciężko, spoglądam przez ramię, uwięziony za niewidzialną barierą. Nie wiem nawet, czy wierzę w powody, dla których matka trzymała mnie tutaj przez całe lata, a jednak stoję jak skamieniały. Za mną rozciąga się przestrzeń, gdzie jestem bezpieczny. Gdzie nie muszę się martwić o to, jak brzmię czy wyglądam. Ale z każdym rokiem coraz bardziej nasila się moje pragnienie odkrycia, jak wygląda świat na zewnątrz. Wciąż wyobrażam sobie rzeczy, których mógłbym doświadczyć, gdybym nie był tu uwięziony.

Kiedy mój oddech się uspokaja, zapada cisza. Oczywiście świerszcze grają nadal, ale dla dzieciaka, który spędził tutaj większość życia, ich odgłos nierozzerwalnie wiąże się z pustką i martwością na tym odludziu. Oprócz księżycy nie ma żadnego źródła światła. Droga jest czarna, zaniedbana. Noc może ukryć moje blizny. Może ukryć mnie całego, a ja dzięki temu przekonam się, jak to wygląda na zewnątrz, jak ludzie się zachowują, zanim mnie zobaczą i zajdzie w nich zmiana.

Rzucam rower na pobocze. Muszę być w stanie zeskoczyć z drogi, jeśli pojawi się jakiś samochód. Decyduję się ruszyć powolnym biegiem w prawo. Tata zmuszał mnie do biegania wielu kilometrów po lesie, wśród chaszczy i nisko zwieszających się gałęzi. Chłostały mnie w twarz, rozcinały skórę, upadałem. Nieodmiennie kazał mi wstawać i biec dalej. Mama czasami dostrzegała te ślady, ale wierzyła, że dorobiłem się ich podczas samotnych wypraw.

Biegnę pół godziny, aż docieram do niewielkiego domu, w którym pali się światło. Podejrzewam, że to moi najbliżsi sąsiedzi, chociaż nigdy wcześniej ich nie spotkałem. Serce bije mi szybciej nie od biegu, lecz z powodu dreszczyku emocji na myśl, że staję się częścią czyjegoś życia.

Podkradam się do okna na parterze, gdzie miga niebieskawe światło, jakby pochodziło z telewizora. Mężczyzna i kobieta siedzą na kanapie. Wyglądają na nieco starszych od moich rodziców. Boję się, że mnie zobaczą, więc schylam się co kilka sekund, a kiedy zaglądam do środka, widzę tylko górną część ich ciał. Kobieta wstaje i wychodzi z pokoju. Wygląda na to, że mówi coś do mężczyzny. Kiedy opuszcza pomieszczenie, zapala się następne światło. Podążam za nią do kuchni, gdzie wyjmuję dwa piwa z lodówki. Gasi światło i wraca do salonu. Przez cały dzień mógłbym oglądać banalne sceny z ich codziennego życia, drobne interakcje, jakich sam chciałbym doświadczać. Akurat gdy kobieta siada, na drodze przed domem pojawia się światło wyjeżdżającego zza rogu samochodu. Kucam, by zniknąć z widoku, a auto parkuje przed domem.

– Dzięki za podwózkę! – woła do kierowcy długowłosa dziewczyna, po czym zatrząskuje drzwiami samochodu.

Jest ubrana w krótką sukienkę i botki na obcasach. Biegnie do domu. Ostrożnie zaglądam przez okno i obserwuję, jak wchodzi do pokoju, by przywitać się z rodzicami, ale zaraz znika. Po paru sekundach zapala się światło na górze. Czuję się jak pies, któremu ktoś pomachał świeżym mięsem tuż przed nosem. Muszę zaspokoić głód. Biegnę na tyły domu i chowam się za drzewem, żeby mieć lepszy widok na to, co dzieje się na górze. Sylwetka dziewczyny miga w oknie, ale jestem za nisko, by zobaczyć coś więcej. Desperacko pragnąc lepszego widoku, wspinam się na najbliższe rosnące drzewo i sadowię się na jednej z gałęzi.

Wciąż ma na sobie sukienkę, ale zdjęła buty. Chichocze, rozmawiając z kimś przez telefon. Kładzie się na łóżku, owijając sobie długi kabel słuchawkowy wokół palca. Zastanawiam się, co mówi i kto jest po drugiej stronie. Koleżanka? Może jej chłopak? Nigdy nie miałem przyjaciół, a tym bardziej... Myślę, że mógłbym być dobrym chłopakiem, gdyby dała mi szansę.

Wyobrażam sobie, że to ja jestem po drugiej stronie linii. Mamroczę coś do niej i udaję, że reakcje, które widzę przez okno, zostały wywołane przez moje słowa.

– Może zabiorę cię jutro do kina?

– Najpierw pójdziemy na kolację. Gdzie chcesz iść?

– Więc to chcesz ze mną zrobić? Ale twoi rodzice będą w domu...

Obserwując tę śliczną dziewczynę, zapominam o samotności. Wszystko, co teraz robię, niczym się nie różni od otwarcia książki czy włączenia telewizora. To nie rzeczywistość, lecz coś jeszcze lepszego. Doświadczenie jedyne w swoim rodzaju przeżywane osobiście. Czas nie ma znaczenia, aż wreszcie dziewczyna się rozłącza i jestem zmuszony zakończyć rozmowę. Wrywa mnie to z transu, ale czekam, co nastąpi dalej.

Siada i spogląda na toaletkę. Rama lustra jest ozdobiona zdjęciami z polaroidu. Sięga do tyłu, by rozpiąć sukienkę. Moje serce i żołądek tańczą w oczekiwaniu na przedstawienie. W końcu palce znajdują zamek błyskawiczny i ciągną go w dół. Materiał rozsuwa się powoli, odsłaniając plecy, a dziewczyna pochyla się, by zdjąć sukienkę. Pod spodem ma koronkowy stanik. Dwa małe trójkąty zakrywają jej niewielkie piersi. Dostrzegam też jasnożółte majtki. Otwiera szufladę, wyciąga z niej znoszoną koszulkę i kładzie ją na łóżku. Potem rozpina stanik. Wzdycham, kiedy odsłania piersi. Oglądałem cycki w magazynach, które ukradkiem podrzucał mi Scooter, ale nijak nie umywały się do prawdziwych.

Jej są bardzo małe, ledwie ostające od klatki piersiowej, ale ich sutki sterczą i mój kutas pulsuje na ten widok. Znad brzo- gu majtek wyzierają kości biodrowe. Jest bardzo delikatna i wiotka.

Wyobrażam sobie wszystkie rzeczy, które zrobiłbym z tym ciałem, gdybym mógł. Ale nieważne, ile satysfakcji daje mi iluzja, wiem, że to nie rzeczywistość. Nie mogę tam wejść, żeby posać jej małe cycki. Zamiast tego sięgam w dół i łapię za kutasa, żeby zaspokoić żądę. Mamroczę pod nosem, by nie zakładała koszulki, dopóki nie skończę. Zupełnie jakby miała łączność z moimi myślami, dziewczyna staje przed lustrem i przeczesuje włosy palcami, podziwiając własne ciało. Sięga dłonią do piersi i lekko szczypie się w sutek. Nie wiedziałem, że dziewczyny też to robią, że dotykają się tak jak chłopcy. Drugą rękę kładzie na majtkach.

Mój fiut napręża się i zagryzam wargę, żeby nie jęknąć. Jeszcze nigdy nie czułem tego tak intensywnie. Choć waliłem sobie setki razy, teraz odczuwam wszystko zupełnie inaczej. Nie jestem sam.

Przesuwam dłonią po penisie, drugą ręką trzymając się drzewa, żeby nie spaść. Jestem już tak blisko. Jeszcze kilka ruchów... I właśnie wtedy dziewczyna nieruchomieje. Marszczy brwi, jakby coś wyczuwała. Opuszcza ręce i podchodzi bliżej, żeby wyjrzeć przez okno.

Zamieram, mając nadzieję, że gęstwina liści mnie osłoni, lecz kiedy nasze spojrzenia się spotykają, powoli dostrzega mój zarys w ciemności. Krzyczy co tchu w płucach, zupełnie jak w horrorze. Zsuwam się z drzewa tak szybko, jak tylko potrafię, a potem pędzę przez podwórze i wbiegam w las, nie zwracając sobie głowy tym, co dzieje się dalej. Gnam przez zarośla i obalone pnie – dokładnie tak, jak kazał mi ojciec przez wszystkie mordercze noce, choć nigdy nie sądziłem, że jego lekcje do czegoś mi się przydadzą. Doznaję satysfakcji na myśl, że nie taki cel mu przyświecał. To mój bunt.

Biegnę i biegnę, aż w końcu docieram do naszej posiadłości, ale gdy zbliżam się do domu, przypominam sobie, że zostawiłem rower przy ulicy. Jeśli przyjedzie policja, może wydać im się podejrzany. Wracam więc, zabieram go i jadę do domu. Czekam kilka sekund na werandzie, aż mój oddech się uspokoi. Mama nie może wiedzieć, że byłem na zewnątrz. Wślizguję się do środka przez frontowe drzwi, a potem idę na górę po starych schodach, które skrzypiałyby pod stopami każdej innej osoby, ale nie pod moimi. Nauczyłem się poruszać

bezszelestnie. Siadam na łóżku i dopiero kiedy się kładę, dopada mnie prawdziwe zdenerwowanie. Śmieję się, że udało mi się to zrobić. Serce wciąż tłucze się w piersi od emocji, od wspomnienia dziewczyny, która dotykała swojego ciała. Chwytam fiuta, żeby dokończyć robotę, wciąż podniecony przygodą.

Teraz, kiedy taty nie ma, noc należy do mnie.

VESPER

Ta ciąża nie jest dla mnie łatwa. Poranne mdłości są gwałtowne i nic nie wskazuje na to, by miały ustąpić, piersi nieustannie mnie bolą i jestem wiecznie wyczerpana. Jak na ironię zajmuje się mną Sam, spędzając tu noce i zabierając nad jezioro, kiedy tylko może. Odnoszę wrażenie, że unoszenie się w chłodnej wodzie pomaga mi dojść do siebie po nieprzyjemnych porankach.

Dostałam od Sama buty, więc nie musi mnie już nosić. Dyskretnie obserwowałam drogę. Zawsze trochę ją zmienia, czasami nawet kręcimy się w kółko, ale każdego dnia coraz lepiej orientuję się, jak dotrzeć na miejsce.

Nieraz zostawia mnie samą na całe godziny. Wyjaśnił mi w notatkach, że to przez pracę. Przebywa gdzieś tam, w świetle na zewnątrz, prawdopodobnie wchodząc w interakcje z ludźmi, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, kim jest.

Przez cały czas jest czułym opiekunem i kochankiem. Przygotowuje mi posiłki, spędza ze mną wieczory, razem słuchamy muzyki. Przynosi książki, które czytam nam na głos. Mówią, że dzieci nie są w stanie naprawić tego, co zepsute, ale ta ciąża wywołała sejsmiczne przesunięcie w tutejszym porządku rzeczy. Może konwencjonalna wiedza nie ma zastosowania w niekonwencjonalnych układach?

Dziś jest kolejny ranek, taki sam jak każdy w tej rutynie, która zaczęła się czternaście tygodni temu. Sam budzi się, a po chwili siada po swojej stronie łóżka, spuszczać nogi na podłogę. Nie odzywam się, jedynie patrzę na niego, a potem dalej, na stojącą pod ścianą kołyskę, którą przyniósł zeszłego wieczora. Jest wspaniała. Widziałam, że Sam starał się nie okazywać dumy ze swojego dzieła, ale niezbyt mu to wychodziło.

W zasadzie to było słodkie, kiedy mi ją ofiarował. Udając niewzruszonego, ze spuszczonym wzrokiem podał mi karteczkę: „Jeszcze nie jest gotowa. Pomaluję ją na taki kolor, jaki będziesz chciała, tylko daj mi znać”.

– Ty ją zrobiłeś? – zapytałam.

Potakną głową.

– Jest niesamowita – wyszeptalam, wodząc palcami po jasnym, świeżo oszlifowanym drewnie.

Skromnie wzruszył ramionami.

– A możemy tak ją zostawić? Pokój jest biały, podoba mi się drewno na tym tle – stwierdziłam, na co on się uśmiechnął. Sączące się przez świetlik promienie padają na nagą, umięśnioną postać. Skóra, tak gładka i opalona po dniach spędzonych na słońcu, z lewej strony jest nierówna, pobrużdżona, jakby została ułożona z fragmentów, które do siebie nie pasują. Przystojny, a jednak oszpecony. Inteligentny, ale kierujący się pierwotnym instynktem. Pełen przeróżnych historii, lecz nieskory do zwierzeń.

Okruchy. Odkąd zdradził mi swoje imię, rzadko mnie nimi obdarzał, lecz kilka dni temu, kiedy szliśmy dłuższą trasą nad jezioro, natknęliśmy się na stare drewniane konstrukcje. Wyglądały jak jakieś przeszkody.

– Co to jest?

Milczał przez chwilę. Wyraźnie widziałam, że intensywnie zastanawia się nad tym, czym może się ze mną podzielić. W końcu wyciągnął notes: „To plac zabaw. Stary”.

– Plac zabaw? – zapytałam sceptycznie.

Odniosłam wrażenie, że coś ukrywa, ale nie napisał nic więcej, więc dodałam to wydarzenie do swojej listy okrucich. Uznałam też, że lepiej zrobię, jeżeli skupię się na ustaleniu położenia tego „placu zabaw” względem jeziora, na wypadek gdyby udało mi się stąd wydostać.

Sam wstaje z łóżka i ogląda się raptownie, jakby przez cały czas wiedział, że patrzę na niego, po czym pisze w notesie: „Dzisiaj pracuję, ale wcześniej chcę Ci coś pokazać. Idziesz najpierw się wyrzygać?”. Śmieję się z jego braku taktu, ale nie, tego ranka czuję się zaskakująco dobrze. I do tego jestem zaintrygowana.

Idę więc do łazienki, by się umyć, a potem zakładam jedną z sukienek.

– Gotowa! – oznajmiam.

Unosi bandanę poskładaną w wąski pasek, wskazując na swoją twarz. Zastłonie ci oczy.

– Dlaczego? – protestuję, a żołądek skręca mi się z zupełnie innego powodu niż poprzedniego ranka.

Spojrzenie jego oczu mówi mi, że to nie podlega dyskusji. Ostatnio był dla mnie zbyt dobry, żeby nagle postanowił zrobić mi krzywdę. Co oznacza, że wybieramy się w jakieś nowe miejsce, dlatego unoszę ręce w geście rezygnacji. Kto wie, może dostanę kolejny okrucich?

– No dobra, choć to głupie.

Każę mi wejść sobie na plecy. W pierwszej kolejności orientuję się, że po wyjściu z szopy skręcamy w lewo zamiast w prawo, lecz z zastłoniętymi oczami szybko tracę poczucie odległości. Nagle otwierają się jakieś drzwi i w nos uderza mnie specyficzny zapach. Słyszę beczenie kozy i dyszenie jakiegoś innego zwierzęcia.

Stawia mnie na nogi. Drzwi skrzypią znowu, zamykając się za mną. Potem zdejmuję mi opaskę. Rozglądam się po niewielkiej oborze. W boksie na jej końcu stoi jasnobrazowy koń, a w naszym kierunku biegną dwie małe kozy.

– O mój Boże! – piszczę, kiedy jedna próbuje obgryźć brzeg mojej sukienki.

Sam przegania ją pacnięciem i syczy.

– My... Ty masz zwierzęta?

Obdarza mnie szerokim uśmiechem i kiwa głową.

– Nazywają się jakoś?

Znowu przytakuje, wyjmując notes, po czym pisze: „Mała koza to Trixie. Ta druga to Hilda. Klacz to Beverly”.

– Ojej... – wzdycham, głaszcząc kozy, które nie próbują już pożreć mi ubrania.

Wskazuje na klacz, a następnie klepie ją i wypuszcza z boksu. Beverly prychnęła, dając upust rozpierającej ją energii. Sam zakłada jej siodło i gestem daje mi znać, że bym na nią wsiadła.

– Naprawdę? – pytam.

Powtarza gest, tym razem intensywniej. Tak, pośpiesz się.

Podchodzę do klaczy i usiłuję podciągnąć się na jej grzbiet. Mój brzuch nie jest jeszcze duży, ale zaskakująco trudno mi utrzymać równowagę i normalnie się poruszać. Sam łapie mnie, że bym się nie przewróciła. Za drugim razem jakoś udaje mi się wdrapać na grzbiet Beverly. Sam jednym zwinnym susem wskakuje za mną, po czym pokazuje opaskę, którą znów trzeba założyć. Czuję, że lekko szturcha klacz w bok i wyprowadza nas z obory. Przez jakiś czas klusujemy w tym dziwnym zawieszaniu, gdzie pokazuje mi kolejną część siebie, a jednocześnie nie pozwala, bym zdobyła jakiegokolwiek informacji o swoim położeniu. Łagodne kołysanie konia i wiatr we włosach są przyjemne. Jak to możliwe, że w tym momencie czuję się spokojniejsza niż w swoim

poprzednim, bezpiecznym życiu?

Po kilku minutach zdejmuję mi opaskę. Znajdujemy się w lesie na ścieżce prowadzącej na otwartą przestrzeń. Widzę ciągnące się całymi milami łąki, a dalej porośnięte drzewami wzgórze. Żadnych dróg, żadnych domów. Czy właśnie to znajduje się po drugiej stronie jeziora? Czy mój plan ucieczki jest skazany na porażkę?

Staram się nie panikować. To może być kolejna wskazówka. Nie mam pojęcia, z której strony tu przyjechaliśmy. Nie mogę pozwolić ogarnąć się rozpacz, kiedy znalazłam sposób, by zachować nadzieję. Zamiast tego postanawiam docenić jasne słońce grzejące w policzki i okazjonalne prychnanie jasnobrazowej klaczki. Przez pewien czas cały mój świat ograniczał się do zamkniętej przestrzeni o wymiarach cztery na trzy metry. Teraz stał się zdecydowanie większy.

Po przejeździe Sam znowu zasłania mi oczy i zabiera do szopy, w której od jakiegoś czasu magazynuje podstawowe produkty spożywcze, żebym nie przymierała głodem, kiedy nie może przygotować świeżego posiłku. „Wrócę wieczorem”, informuje poprzez notes. Z uśmiechem macham mu na pożegnanie, a on zamyka za sobą drzwi. Postanawiam wykorzystać rzadką okazję zjedzenia posiłku i niezwrócenia go od razu. Łapię opakowanie krakersów i jabłko, po czym nastawiam jedną ze stale rosnącej kolekcji płyt. Choć mam rzeczy dostarczające rozrywki i chroniące przed utratą rozumu, nie sprawiają mi szczególnej przyjemności, kiedy jego tu nie ma. Towarzystwo drugiego człowieka jest równie niezbędne jak powietrze, woda i jedzenie.

W końcu zapycham się przekąską. Ogarnia mnie zmęczenie i przysypiam, kołysana dźwiękami muzyki Carole King.

Intensywny ból w podbrzuszu wyrывa mnie ze snu. Przez świetlik zauważam, że niebo zaczęło już ciemnieć, musiałam więc zdrzemnąć się dłużej niż zwykle. Łapię się za brzuch, ogarnięta paniką. Odkąd dowiedziałam się o ciąży, przez większość czasu nie dbałam o dziecko. Było zobowiązaniem, narzędziem. Lecz teraz czuję przerażenie i nagle chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by utrzymać je przy życiu. Nie tylko dla swojej ochrony, ale dlatego, że to dziecko nappełniło mnie obietnicą. Dopiero zaczynałam je poznawać, dopiero zaczynałam czuć, że rośnie. Patrzyłam, jako samo jego istnienie zamienia potwora w mężczyznę, który w ramach niespodzianki organizuje mi konną przejażdżkę. Nie może mnie teraz zostawić.

Wmawiam sobie, że to przejdzie. Mam pielęgniarską wiedzę i zdaję sobie sprawę, że istnieje wiele powodów bólu podbrzusza. Ale kiedy czuję skurcze, nie mogę odpędzić od siebie myśli o najgorszym. Biegnę do drzwi i uderzam w nie dłonią tak mocno, jak mogę.

– Sam! Sam! – krzyczę, dobrze wiedząc, że mój głos niesie się po bezludnym, pustym lesie.

Rozdział 24

SAM

Nasłuchuję przy drzwiach sypialni matki. Czekam, aż dźwięk pracującej maszyny do szycia umilknie. Gdy mama pójdzie spać, zrobię znowu to, co robię już od prawie roku: wyślizgnę się z domu w noc, gdzie wiodę swoje drugie życie. Takie, którego nie mogę doświadczać, kiedy świeci słońce i kiedy jedyną rzeczą, która pozwala matce zachować resztki przytomności umysłu, jest moja obecność. Odkąd tata zginął, więcej czasu spędza w swoim maleńkim, ograniczonym ścianami sypialni świecie niż poza nim. Choć przez cały dzień staram się zachowywać pozory, zajmując się farmą, czytając, jeżdżąc konno, słowem robiąc wszystko, by mój głodny mózg miał zajęcie – coraz mniej żyję za dnia, a coraz więcej nocą.

Przekonałem matkę, że nic mi się nie stanie, jeśli będę chodził do lokalnego college’u. Teraz jestem silny, silniejszy od niej. Lecz jeśli wracam do domu choć minutę później, niż powinienem, matka dostaje szału. Nie muszę się tym martwić, gdy zażywa swoje leki, po których zapada w głęboki sen. Wtedy znów mój czas należy do mnie.

Buczenie ustaje.

– Sam! Biorę tabletki i kładę się spać! – woła przekonana, że jestem w swoim pokoju.

Czekam kilka chwil, po czym otwieram drzwi.

– Dobranoc – mówię.

Odkąd tata zginął, mój problem z wymową zaczął słabnąć, gdy przebywam w domu. W szkole staram się nie odzywać i spędzam czas sam. Trzymam się na uboczu i wszystkich obserwuję. Patrzą, jak się socjalizują, uśmiechają, komunikują. Przychodzi im to z taką łatwością. Myśli zmieniają się w dźwięki i po prostu płyną z ich ust. Teraz, kiedy taty nie ma, nieustające napięcie, jakie czułem w gardle, znacznie zmalało. Myślę, że dam radę. Że słowa wydostaną się z gardła, choć może zająknę się tu i tam. Wciąż jednak nie potrafię zmusić się, by spróbować. Minęło tak wiele czasu, odkąd ostatni raz próbowałem kogoś poznać, że sama myśl o tym przyprawia mnie o szybsze bicie serca, a dłonie kleją się od potu. Dlatego tylko obserwuję. Zawsze to lepsze niż samotne siedzenie w domu. Z daleka wypełniam luki, udając, że uczestniczę w rozmowach.

Właśnie to robiłem wczoraj, zahipnotyzowany poruszającymi się ustami ślicznej dziewczyny mówiącej coś do stojącego obok chłopaka, gdy usłyszałem swoje imię.

Głos wydawał się odległy, jakby stłumiony przez grubą poduszkę. Byłem tak pochłonięty obserwowaniem rówieśników, że uznałem go za część fantazji.

– Sam! – rozległo się tuż przy mnie i poczułem uderzenie w plecy.

Zerwałem się na nogi, gotów do obrony. Przekonania matki zakorzeniły się w mojej psychice tak głęboko, że choć nie jestem pewien, czy cokolwiek z tego było prawdziwe, wciąż nikomu nie ufam.

Odwróciłem się i zobaczyłem Scoota.

– C... co ty tu robisz? – zapytałem.

– Spotykam się z taką jedną dziewczyną. Chodziła do szkoły niedaleko mnie, ale się przeniosła. A ty?

– Mam zajęcia.

Zrobił zaskoczona minę. W sumie się nie dziwię, bo chociaż od śmierci taty wiele razy

gadaliśmy przez telefon, nigdy nie powiedziałem mu, że postanowiłem wrócić do szkoły. Sam nie wiem dlaczego.

– O, to super. Jakie zajęcia?

– Zastanawiam się nad elektrotechniką – mruknąłem. – Ma-mama nie mówiła, że przyjeżdżasz.

Uśmiech Scoota zniknął, ustępując miejsca zmarszczonym brwiom.

– Bo jej nie powiedziałem – burknął, odwracając wzrok. – Wiesz, przyjechałem tylko na jedną noc. Nie chciałem robić zamieszania.

„Zamieszania”.

Mama to mój ciężar, a Scoot robi wszystko, co tylko może, żebyśmy mu nie przeszkadzali. Zupełnie jak reszta rodziny. Jedyna różnica polega na tym, że on nie ma wyboru i musi dzwonić przynajmniej raz w tygodniu.

– Łapię. – Pokiwałem głową.

Scoot spojrzął na zegarek.

– Jestem już spóźniony. Zadzwoń za kilka dni. – Klepnął mnie w ramię. – Cieszę się, Sam. Wyglądasz... brzmisz dobrze.

Teraz, kiedy mama poszła spać, cały drzę z oczekiwania. Muszę być cierpliwy i zaczekać, aż zapadnie w głęboki sen. Ten rytuał przyprawia mnie o dreszcz, którego wcześniej nie znałem. Idę pod prysznic – zawsze to produktywna forma zabijania czasu. Akurat gdy owijam mokre ciało ręcznikiem, dzwoni telefon.

– Cholera! – syczę i rzucam się do drzwi.

Mało prawdopodobne, żeby matka się obudziła, ale wolę nie wywoływać wilka z lasu. A w ogóle to kto, do kurwy nędzy, dobija się o takiej porze? Nikt do nas nie dzwoni, a już na pewno nie po ósmej.

Biegnę do telefonu. Nienawidzę tego pierdolonego ustrojstwa, które redukuje mnie do mojej największej słabości.

– Halo? – mówię do słuchawki.

– Sam, to ja – słyszę głos Scoota.

– Och, sta-stało się coś? – pytam.

– Nie. Znaczący... nic złego. Masz jakieś plany na wieczór?

Spodziewa się, że powiem „nie”. Wie, jak się rzeczy mają. I taka jest prawda – a przynajmniej odnośnie tego, o czym mogę mówić głośno.

– Mama śpi.

– To dobrze. Słuchaj, chodzi o tę dziewczynę, z którą miałem się dziś spotkać. Chcę z nią wyjść, ale już się umówiła z koleżanką, która nie chce czuć się jak piąte koło u wozu. Zrobisz mi przysługę i pójdziesz z nami?

Randka. Coś, o czym marzyłem. Zawsze pragnąłem wiedzieć, jak to jest. Właśnie takie sytuacje sobie wyobrażałem, obserwując innych ludzi, umieszczając siebie w migawkach ich życia. Ale teraz, gdy wreszcie pojawiła się taka możliwość, nie wiem, co mam z nią zrobić. Jestem znacznie lepszy w swoich wyobrażeniach niż na żywo. W mojej głowie słowa płyną bez wysiłku, blizny znikają z twarzy, odchodzi dręczące uczucie, że wszyscy śmieją się ze mnie w duchu.

– No weź, Sam. Nie możesz wiecznie robić tego, czego chce mama. Nie pozwól, żeby cię kontrolowała.

„Kontrolowała”? Czuję ucisk w piersi na dźwięk tego słowa. Dopiero w ciągu ostatnich lat zacząłem zdawać sobie sprawę, że to, co uważałem za jej opiekę, w rzeczywistości mogło być sposobem na trzymanie mnie w odosobnieniu. Bezpieczeństwo jest więzieniem.

- Uhm... Okej – mówię.
- Ekstra. Ona mieszka bliżej ciebie niż Sacramento. Wpadnę cię odebrać.
- Dobra. Zatrzymaj się przy... zje-zjeździe do nas. Będę tam czekał.

Trudno mi nie wiercić się nerwowo, kiedy podjeżdżamy pod dom Cindy, bo tak się nazywa koleżanka Scootera. Jak tylko parkujemy, otwierają się frontowe drzwi i wychodzą dwie dziewczyny. Ruszają miękkim krokiem w naszą stronę, a ich długie włosy kołyszą się z boku na bok. W ciemności trudno dostrzec twarze, widzę jedynie sylwetki. Krągłości, smukłe kończyny, łagodne linie. Rozmawiają z ożywieniem, śmieją się, gestykulują.

- Cześć, chłopaki! – odzywa się jedna z nich, otwierając tylne drzwi.
- Cześć, Cindy – odpowiada Scoot wesoło.

Dziewczyna ma płowe rozwichrzone włosy. Pewnie tworzą halo wokół jej głowy, kiedy świeci przez nie słońce. Druga wsiada za nią i zamyka drzwi.

- Cześć – mówi cicho.
- To moja kuzynka Phoebe – dodaje Cindy.

W samochodzie jest ciasno i zastanawiam się, czy to nie będzie przesada, jeżeli odwrócę się do tyłu, żeby popatrzeć.

- Hej, jestem Andrew, ale wszyscy mówią na mnie Scooter. A to mój brat Sam.
- Sam nie ma żadnej śmiesznej ksywy? – pyta Cindy z rozbawieniem.
- Chyba tata nigdy mu żadnej nie wymyślił. – Zastanawia się Scooter na głos.

Uznaję to za sygnał, żeby się odwrócić. Na widok Phoebe czuję się tak, jakby ktoś wylał na mnie kubeł lodowatej wody. Minął już prawie rok, ale nigdy nie zapomnę twarzy pierwszej dziewczyny, którą podglądałem. Smukłej, z małymi cyckami. Teraz ma nieco większe piersi, które wypychają dekolt bluzki.

Wydaje mi się, że zauważa wyraz mojej twarzy... że wszyscy go dostrzegają. A może patrzą na mnie, bo powinienem coś powiedzieć, ale milczę? „Twoja kolej, Sam, powiedz coś”, myślą. Zderzenie moich dwóch światów powoduje jednak, że gardło ścisną mi się w sposób, jakiego nie doświadczyłem, odkąd ostatni raz widziałem ojca, więc tylko kiwam głową.

Jeszcze nic się nie zaczęło, a już wszystko spieprzyłem.

– Mam nadzieję, chłopcy, że chcecie się zabawić – mówi Cindy, machając małą paczuszką.

Wieczorem w tej okolicy nie ma za wiele do roboty. Zakładałem, że pojedziemy do miasta, ale zamiast tego Scooter podkręca głośność w radiu i jedziemy z powrotem na farmę.

Podczas gdy ja wciąż usiłuję ustalić, czy Phoebe mnie rozpozna, kiedy będzie miała okazję lepiej mi się przyjrzeć, Cindy pyta o cel podróży.

– Moja rodzina ma tu farmę. Jest tam jezioro i w ogóle. Możemy imprezować i nie martwić się o bagiety. W przyszłości chcę zostać policjantem, nie mogę się w nic wpakować.

Nie jestem pewien, czy podoba mi się pomysł zabrania ich do nas. To mój dom, moja ziemia. Scoot zawsze był tu jedynie gościem. Nie podoba mi się, że w ogóle nie zapytał, czy mu na to pozwolę, tylko po prostu postanowił naruszyć moją bazę.

Podjeżdżamy do drogi gruntowej prowadzącej do bramy z napisem: „Osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. „Oni są nieupoważnieni”, myślę, kiedy Scoot otwiera bramę. Jedziemy tak daleko, jak się da, ale potem pozostaje jeszcze jakieś czterysta metrów do przejścia. Scoot wysiada z auta, a ja i dziewczyny idziemy w jego ślady.

- Nie jestem odpowiednio ubrana! – Śmieje się Cindy.
- Daj mi rękę – mówi Scoot, po czym ruszają przodem.

Od razu widzę, że Phoebe z trudem brnie przez ciemny las, przez gęstwinę, po której ja mogę biegać z zamkniętymi oczami. Powiniennem zaoferować pomoc, ale nie chcę się odzywać. Jestem teraz bardzo spięty, to wszystko jest zbyt prawdziwe. Łatwiej być chłopakiem schowanym za oknem, bo gdy druga osoba mnie widzi, zupełnie nie wiem, jak się zachować.

– Nie masz nic przeciwko, żebym... – odzywa się Phoebe nieśmiało, wyciągając do mnie rękę.

Kręcę głową i oferuję jej ramię. Najwidoczniej nie ma pojęcia, kim jestem. Dotyka mnie, czego nie robiła jeszcze żadna dziewczyna. Nie na żywo. W swoich fantazjach miałem kontakt z mnóstwem kobiet. Obserwowałem je w najbardziej intymnych momentach, wyobrażałem sobie, jak przesuwam językiem po mokrych cipkach. Ale teraz odbieram to całkiem inaczej, bo ona jest zupełnie inna niż wtedy, gdy nikt nie patrzy. Tak jak każdy.

Nie lubię być zmuszany do radzenia sobie z tymi różnymi aspektami. Ludzie mnie pochłaniają, sprawiają, że myślę za dużo. I nagle ścisza mi się gardło, słowa w nim utykają, a ja staję się pierdolonym idiotą z bliznami. Czy ona w ogóle przyjrzała się mojej twarzy? Czy widziała ją naprawdę? Czy zauważyła grubą, przypominającą sznur szramę biegnącą przez policzek? Tę pamiątkę po chwili, w której zmienił się mój świat, w której uderzyłem głową o asfalt i obudziłem się tygodnie później jako ktoś inny? Myśli pochłaniają mnie tak bardzo, że Phoebe stanowi jedynie swego rodzaju akcesorium podczas spaceru. Kiedy docieramy do jeziora, ledwie zauważam, że mnie puszcza. Siadamy wokół zabranej przez Scoota lampy, a Cindy wyciąga jointa. Nigdy wcześniej nie jarałem. Nigdy nie robiłem nic z tych rzeczy. Puszcza go w obieg, a kiedy joint dociera do mnie, podaję go dalej.

– Nie mówisz za wiele, co? – pyta Cindy.

Spoglądam na brata.

– To tajemniczy typ – rzuca Scoot z udawaną powagą.

– Zabawne, bo ty taaaaak lubisz gadać, Scooter.

Phoebe bierze skręta i zaciąga się powoli.

– Jesteś bardziej niż tajemniczy – dodaje.

Napinam się. Czyżby coś wiedziała?

– Wydaje mi się, że nie powiedziałeś jeszcze ani słowa.

Scooter nie może już dłużej ukrywać mojego problemu. Wszyscy na mnie patrzą. Panująca wokół cisza jedynie uwydatnia milczenie. Muszę się odezwać.

– O-o-o-o-on mmmó-mówi za-za-za... – O cholera, nie jest dobrze. Ostatni raz jąkałem się tak okropnie jako dziecko. Ale zaszedłem już za daleko, muszę dokończyć zdanie. – Na-na-na-nas o-o-o-o-obu.

Ogłuszająca cisza sprawia, że żołądek skręca mi się ze strachu. Ostatkiem sił powstrzymuję się, żeby nie wymiotować. Nie dam rady tu z nimi wytrzymać. Wolę tylko patrzeć. Branie w tym udziału jest zbyt bolesne. Cholernym laskom pewnie wszystko przychodzi z łatwością. Założę się, że ludzie je uwielbiają, bo są piękne i doskonale wpasowują się w otoczenie. Prawda jest taka, że najbardziej na świecie chciałbym być jak Scoot, który potrafi bez żadnych problemów wkręcić się w każde towarzystwo. I właśnie to gorące pragnienie zamienia mnie w chaos sylab i samogłosek.

Po sekundzie dłużej jak kilka minut – podczas której dziewczyny próbują zrozumieć, kim jest ten niewydarzony idiota przed nimi – Cindy uśmiecha się nagle i spogląda na Phoebe. Mam wrażenie, że ta reakcja przynosi jej ulgę. A potem zaczynają się śmiać. Myślą, że żartowałem.

Spoglądam na Scoota, czując upokorzenie i gniew, które doprowadzają mnie do wrzenia. Mógłbym zabić te dziwki tu i teraz, gdyby nie obecność brata. Wygląda na zawstydzonego – i

przeze mnie, i przez nie. Ale chce zaliczyć, więc musi być dla nich miły. Dziewczyny zauważają, że się nie śmieję, a Scoot tylko uśmiecha się sztywno. Chichot Cindy powoli cichnie.

– Ja... O Boże, przepraszam. Scoot nic mi nie powiedział.

Kiwam głową, pozornie akceptując przeprosiny. Phoebe wygląda na zbyt zawstydzoną, by wykrztusić choć słowo.

– No dobra, zrobiło się strasznie niezręcznie – wzdycha Scoot. – Może przełamiemy lody jeszcze raz? – Wyciąga paczkę tabletek. Każdy bierze po jednej. Nie wiem nawet, co to takiego, ale jestem tak cholernie wkurzony, że też jedną łykam. Nie ma tu ścian, w których mógłbym się ukryć, a jedyne, o czym teraz marzę, to zniknąć.

Noc szybko zamienia się w narkotykowy chaos. Cindy i mój brat znajdują dogodne miejsce w nadbrzeżnych chaszczach, żeby się pieprzyć. Pomimo mroku księżyc rzuca dość światła, żeby wydobyć z ciemności zarysy ich splecionych ciał.

Phoebe siedzi na trawie, powieki ma ledwo uniesione, kołysze się na boki. Sporo wypaliła i wzięła mnóstwo tabletek. Spoglądam na nią. Mogę wyczuć jej rozczarowanie, unosi się wokół niej jak negatywna aura.

– Cindy, muszę siku! – krzyczy.

– Co?! – odkrzykuje Cindy.

– Chodź ze mną zrobić siku w lesie! Tam jest strasznie!

Zarysy Cindy i Scoota rozdzielają się. Brat ciągnie ją z powrotem na dół, ale ona odsuwa się, po czym podchodzi do Phoebe i pomaga jej wstać. Po drodze posyła mi wymuszony uśmiech.

Spoglądam na Scoota. Jest zjarany, leży na ziemi i czeka, aż jego panna wróci. Spoglądam w kierunku, w którym poszły. Uderza mnie pragnienie, żeby patrzeć, słuchać. Obserwować Phoebe wtedy, gdy nie będzie wiedziała, że to robię. Są zaledwie dwadzieścia metrów dalej, słyszę, jak chichoczą i rozmawiają o czymś, kompletnie nieświadome mojej obecności.

– A jest?

– Nie sądzę. Scooter mówił, że jest normalny i to tylko wada wymowy. Nie wydaje mi się, żeby był opóźniony czy coś. Myślisz, że Scoot przyprowadziłby ci debila?

Phoebe wybucha śmiechem.

– Uch, chyba bym go zamordowała. Tak szczerze to on jest serio uroczy, byłam nieźle podekscytowana, jak wsiadłam, ale wszystko mi opadło, kiedy otworzył usta. A co mu się stało w twarz? Pytałaś Scootera?

– Podobno został potrącony przez samochód, który potem włókł go po ulicy. Był w śpiączce i w ogóle – bełkocze Cindy powoli. Co za ironia, że śmieją się z mojej wymowy, kiedy same są upalone.

– O matko, to straszne. Teraz mam wyrzuty sumienia.

– Wiesz, powinnaś go przelecieć. Pomyśl, że to taki akt dobroczynny.

– Prace społeczne. Myślisz, że jest prawiczkim? Bo ewidentnie nie umie gadać z dziewczynami.

– Chociaż tyle możesz zrobić po tym, jak się z niego śmiałaś.

– Ja? To przez ciebie! Śmiałam się dlatego, że ty zaczęłaś!

Obie rechoczą dłuższą chwilę, jakby to wszystko było świetnym żartem. Jakbym to ja był żartem.

– Dobra, zrobię to – deklaruje Phoebe. – Nie musi mówić nawet słowa.

– Myślisz, że się jąka, jak dochodzi? – chichocze Cindy.

Phoebe parska.

– Do-do-do-do-dochodzę! – rzezi ochryplym głosem.

– Wracajmy. Naszła mnie ochotę na drugą rundę – oznajmia Cindy.

Ruszam pierwszy, podczas gdy one dopiero się zbierają, i siadam tam, gdzie siedziałem, wściekły, a jednocześnie niespokojny. Jestem prawiczkiem. I chociaż mam cholerną ochotę skrócić tej całej Phoebe kark, to chętnie wezmę jej cipkę, jeśli mi ją da. W końcu wychodzą z krzaków.

– Bawcie się dobrze! – woła Cindy, machając nam zalotnie na pożegnanie.

Phoebe i ja siedzimy w ciszy, zaś Cindy staje się kolejnym rozmazanym kształtem w ciemności. Tym razem jednak Phoebe przysuwa się nieco bliżej.

– Szkoda byłoby zmarnować taką fazę.

Spoglądam na nią z uwagą, po czym mówię:

– No to chodź.

Drastyczna zmiana w brzmieniu mojego głosu szokuje nawet mnie samego. Nie tak dawno musiałem zmobilizować wszystkie siły, żeby wykrztusić jedno zdanie, a teraz z pewnością siebie zapraszam Phoebe do lasu. I chyba wiem, dlaczego tak się dzieje. Teraz to ja mam kontrolę. Słyszałem, co mówiła, podczas gdy ona nie miała bladego pojęcia, że słucham. Wiem, co się wydarzy. To ja zawiaduję sytuacją. Ogarnia mnie chłodny gniew podobny do kontrastujących ze sobą emocji, jakie odczuwam, kiedy obserwuję ludzi przez okna.

W oczach Phoebe pojawia się zaskoczenie.

– Okej.

Wstaję i wyciągam rękę, po czym odciągam ją daleko od Scoota i Cindy.

– Skromność. Lubię to – flirtuje ze mną.

Nie pozwalam jej jednak powiedzieć nic więcej, tylko popycham ją na drzewo i całuję. Sztywnieje na całym ciele, ale zaraz się poddaje. Wiem, że chce się pieprzyć, słyszałem, jak to mówiła.

Odsuwa się na chwilę dość długi, by zdążyć zapytać:

– Do diabła, Sam, kim ty jesteś?

„Nie masz najmniejszego pojęcia, dziwko”, myślę z pogardą. Szybko ściągam jej sukienkę. I oto jest! Zupełnie jak wtedy, gdy ją podglądałem, z tą różnicą, że teraz mogę jej dotknąć. Mogę się odezwać. Ale chcę tylko sprawić, żeby mnie zapamiętała. Żeby czołgała się po ziemi na samo wspomnienie mojej osoby. Już nigdy nie będzie się śmiać, kiedy o mnie pomyśli.

Wyjmuje mi kutasa ze spodni i otacza mnie nogą. Nie jestem zdenerwowany. Nie zależy mi na tym, żeby ją zadowolić. Nie obchodzi mnie, jak się spiszę. W tym momencie liczę się wyłącznie ja. Wchodzę w nią i sprawia mi to przyjemność. Cholernie wielką.

– Kurwa, Sam! – krzyczy.

Podoba mi się sposób, w jaki wypowiada moje imię. Nie kpiąco, lecz tak, jakbym był jej panem. Ale to za mało. W głowie mi się kręci od prochów i przesyconych drwiną słów, które usłyszałem. Od jej śmiechu. Od jej litości. Kutas rośnie tak samo jak mój gniew.

– Więc uważasz, że to akt dobroczynny? – pryham.

Jej zamglone dotychczas oczy nagle odzyskują jasność.

– Myślisz, że to rżnięcie z litości? – syczę.

Próbuje wywinąć się z moich objęć, ale nie zamierzam z niej wychodzić.

– To ty będziesz potrzebowała, żeby się nad tobą litowali – warczę, a każde słowo, każda sylaba jest krystalicznie czysta. Tak samo jak gniew, który trzymałem głęboko w sobie przez wszystkie te lata.

Wysuwam się z niej i obracam twarzą do drzewa.

– Współczujesz mi teraz? – pytam.

– Sam, przestań! Przepraszam – jęczy.

Zakrywam jej usta, zanim zdąży powiedzieć coś więcej.

– Przecież jestem tylko opóźnionym debilem. Nieszkodliwym małym idiotą. Nie wiem, co robię.

Sapie i krzyczy mi w rękę, lecz moje palce tłumią słowa. Pluję na drugą rękę, zwilżam fiuta i wpycham go jej w dupę. Głośny wrzask Phoebe wibruje na mojej dłoni, więc dociskam ją mocniej. Jest ciasna w środku, ledwie daję radę się wepchnąć. Szarpie się jak dziki koń, lecz jej drobna sylwetka nie stanowi dla mnie problemu. Ojciec sprawił, że stałem się silny.

Pcham kilka razy i dochodzę w środku. Czuję się tak, jakby każda drobina energii eksplodowała w moim ciele. Wysuwam się z niej, dysząc szybko. Jest ciemno, ale widzę błyszczące ślady łez na jej twarzy.

– Mogę iść? – szepcze.

Fałszywy urok i pewność siebie zniknęły zupełnie. W tej chwili jest tylko roztrzęsioną, wystraszoną dziewczyną. Teraz to nad nią należy się litować.

Łapię ją za nadgarstek.

– Nie mów nikomu. Zresztą i tak nikt by ci nie uwierzył. Zjarałaś się i nie kontaktujesz, a ja jestem niegroźny Sam. Ledwie umiem wykrztusić z siebie słowo, co nie?

Władza przeobraża mnie w kogoś innego. Czyni osobą, którą słyszę w swoich myślach. A teraz, kiedy wiem już, jak stać się człowiekiem, który – jak sądziłem – istniał tylko w mojej głowie, już nigdy nie przestanę.

Rozdział 25

SAM

Robię spaghetti i klopsy. Potrafię coś ugotować, jeśli skorzystam z pomocy którejs z wyciągniętych ze spiżarni książek kucharskich matki. I tak dobrze karmię Vesper, żeby była zdrowa i atrakcyjna. Lecz ciężarna kobieta ma zwiększone potrzeby i jestem pewien, że to poprawi jej humor. Dlatego przed wyjściem z domu sporządziłem listę potrzebnych produktów i w drodze powrotnej zrobiłem zakupy. Doceni ten gest. Doceni mnie.

Wrzucam spaghetti, a potem klopsy do naczynia żaroodpornego i w tym momencie rozlega się dzwonek telefonu. Czekam, aż włączy się automatyczna sekretarka.

– Cześć, Sam, tu Scoot. Dzięki, że w końcu oddzwoniłeś. Oczywiście musiałeś zrobić to w niedzielę rano. Dobrze wiesz, że byliśmy w kościele. W każdym razie zadzwoń do mnie. Chcę pogadać, okej?

Unikałem jego telefonów. Wiem, że nie powinienem i dlatego właśnie zadzwoniłem w niedzielę rano. Dzięki temu mogłem ściemnić, że przecież dzwoniłem, dałem znak życia. Po cichu liczyłem, że może w końcu Scoot się odczepi. Zadbałem o to, by przekazać mu wszystkie niezbędne informacje, których domagałby się podczas rozmowy: że wszystko u mnie dobrze, dużo pracuję, jestem zajęty. To wystarcza, by powstrzymać go od odwiedzin. Nie chciałoby mu się jechać do mnie aż godzinę, o ile nie uznałby, że wymaga tego sytuacja.

Ostatnio mam udany okres. Osiągnąłem stan umysłu będący jakąś wersją spokoju, przynajmniej kiedy jestem tutaj. Natrętne myśli już nie kpią ze mnie nieprzerwanie i mam piękną kobietę, która stała się kimś w rodzaju najbliższej przyjaciółki. Słuchamy razem muzyki, czyta mi, chodzimy pływać w jeziorze. Po raz pierwszy możliwe, że mam wszystko, czego potrzebuję. A Scoot tylko mnie dobija. Najzwyczajniej w świecie nie chcę z nim gadać.

Łapię naczynie żaroodporne przez rękawice kuchenne i wychodzę z domu. Kiedy po długim dniu pracy idę do szopy, ogarnia mnie spokój. Poza farmą nigdy nie czuję się odprężony. Jestem oszustem, a to wyczerpujące zajęcie. Ale Vesp wie wszystko. Jest fuzją rzeczy, których pragnę z tamtego i tego świata.

Gdy jednak zbliżam się do szopy, ogarnia mnie chłód. Instynkt podpowiada, że coś jest nie w porządku. Zawsze wierzyłem swoim przeczuciom, to dzięki nim policja nigdy nie zdołała mnie złapać. Myślę, że się to bierze ze spędzania tak długiego czasu w samotności.

Vesper jest jak pole mocy, które niweluje moją ostrożność. Zabierając ją i zatrzymując tutaj, postąpiłem wbrew swoim instyktom. Lecz teraz, w ciemnym lesie, znowu są silne i nie dają się zignorować. Przyspieszam kroku, ale nie biegnę. „Nie obchodzi mnie. Jest tylko więźniem”, powtarzam w myślach, bo nie mogę pozwolić sobie na to, by postawić ją na pierwszym miejscu. Jeśli tak zrobię, skończę w pierdlu.

Po otwarciu drzwi natychmiast staje się jasne, że mój instynkt nie kłamał. Vesper kuli się na podłodze, trzymając się za brzuch. Białą sukienkę ma czerwoną od krwi.

Krew.

Dziecko.

Umarło.

– Sam? – mamrocze.

Słyszę, jak naczynie z makaronem rozbija się na podłodze. Nawet nie poczułem, kiedy

wyślizgnęło mi się z rąk. Do tego momentu nie zdawałem sobie sprawy, jak mocno uwierzyłem w to, że będę miał dziecko z Vesp. Jak bardzo pozwoliłem sobie zatonać w tej głupiej fantazji. Że mogę doświadczyć odrobiny normalności. Że jakaś jej część mogłaby mnie wyleczyć.

Odwraca wzrok od tego, co leży na zakrwawionej podłodze, jakby nie mogła znieść jego widoku. Podchodzę bliżej i ogarnia mnie szok. Pośrodku kałuży dostrzegam małego chłopca. Drobne ciało, zamknięte oczy, maleńkie stópki, rączki, uszka, usta... wszystko zdążyło się już uformować. Nie był gotowy, by znaleźć się na świecie, wciąż półprzeźroczysty, wciąż obcy na tak wiele sposobów. A jednak idealny. Nie zdeformowany czy rozdarty na kawałki. Wygląda, jakby po prostu spał we krwi.

Zrobiłem, co należało. Nie usunąłem ciąży. Karmiłem Vesper. Dawałem jej rzeczy, dzięki którym miała zajęcie. Zabierałem ją nawet nad jezioro, żeby mogła pooddychać świeżym powietrzem.

Ona to zrobiła.

Głodziła się. Uderzała brzuchem o krzesło. Założę się, że to wszystko się na niej zemściło. Albo gorzej – może uwierzyłem, że nie muszę jej pilnować, a ona tylko się mną zabawiła. Pogrywała z moimi emocjami, przez cały ten czas próbując znaleźć sposób, by pozbyć się części mnie ze swojego wnętrza.

To jej wina!

Zaciskam pięści, dygocząc z wściekłości.

– Sam? – Tym razem w jej głosie pobrzmiwa nutka strachu.

Rzucam się w jej kierunku, ale przystaję, kiedy się zasłania.

Zrobiła to celowo, kiedy cię nie było. Nigdy cię nie chciała. Nigdy nie chciała twojego dziecka.

Mam ochotę ją uderzyć. Pragnę, żeby krwawiła i wyglądała tak, jak ja czuję się w środku. Chcę, żeby spała wśród krwi i rozdartych tkanek, ale powstrzymuję się, bo coś we mnie wyrosło. Coś, czego nie mogę wyrwać ani usunąć. To coś mnie zmienia, lecz nie w całości. Nie wpływa na wściekłość, która powoli dojrzewała w moim wnętrzu, jeszcze zanim potrafiłem mówić. Nie osłabia impulsów, których nie potrafię kontrolować od czasu wypadku. Nie zmienia emocji, bo nadal uważam, że miłość jest innym obliczem nienawiści.

Cała ta energia nie może zostać we mnie. Musi wydostać się na zewnątrz, musi zostać uwolniona. Odsuwam się od Vesper, chwytam krzesło – moje krzesło – i z całej siły ciskam o podłogę. Vesper krzyczy przeraźliwie, pełznąc w kąt i zostawiając za sobą smugę krwi. Robię to jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, rycząc jak wściekłe zwierzę, aż w rękach zostaje mi tylko samo oparcie. Odrzucam je w bok, ale nie czuję się usatysfakcjonowany.

– Ty to zrobiłaś! – wrzeszczę, wskazując na nią palcem.

– Nie... Nie! – krzyczy, lękliwie potrząsając głową.

Ale to nie ma znaczenia. Muszę postąpić według swoich zasad. Nie znam żadnego innego sposobu. Myśli, że ją skrzywdzę, ale nie rozumie, że ten wybuch zapewnia jej bezpieczeństwo.

Łapię gramofon i rzucam nim o ścianę. Plastik, metal i drewno eksplodują przy akompaniamencie łoskotu. Kopię w drzwi łazienki z taką siłą, że pękają i odrywają się od zawiasów.

– Przepraszam! – Płacze.

– Zamknij się!

Odwracam się do kołyski – mojego żalosego dzieła. Symbolu tego, jakim jestem pierdolonym frajerem. Kopię ją w amoku, rozwalam na kawałki całe to miejsce, całą iluzję. Ona mnie nie chce. Nie chce niczego, co jej dałem.

– Nie zrobiłam tego, Sam! To było poronienie. Ja też chciałam tego dziecka! – zawodzi.
Ale ja jestem ślepy. Nic nie może stłumić mojego gniewu. Łaknę krwi. Krew za krew.
Chcę zabić, nie mogę jednak zabić jej. Nie mogę.

Chwiejnym krokiem wychodzę z szopy i wracam do domu. Cały zmieniłem się w instynkt. Nie, to nieprawda. Instynkt służy przetrwaniu, ja natomiast jestem opętany, dziki. Chcę zadawać ból.

Gwałtownym pchnięciem otwieram drzwi obory i rzucam się w kierunku Hildy. W każdej innej chwili wybrałbym zabicie człowieka, a nie jednej ze swoich kóz. Obie beczą rozpaczliwie, kiedy ciągnę Hildę na drugi koniec obory. Beverly prycha i kopie nerwowo w ściany boksu. Atmosfera robi się gorączkowa, jakby zwierzęta wiedziały, co ma nastąpić.

Wiążę nogi Hildy i wieszam ją pod powałą. Biorę do ręki nóż, żeby rozplatać jej gardło, ale zamiast wbić go w kozę bez wahania kieruję ostrze w swoją stronę, przykładam do jednej z wielu blizn na przedramieniu i rozcinam ją, patrząc, jak stara rana otwiera się na nowo. Zabicie Hildy nie przyniosłoby mi ulgi, której tak bardzo teraz potrzebuję. Ktoś musi stać się odbiorcą tego gniewu, a koza z pewnością nie byłaby tego godna.

Z początku krwi nie ma zbyt wcale, lecz po chwili szkarłatna rzeka spływa do mojego nadgarstka, ścieka po dłoni i kapie obficie na podłogę obory. Podchodzę do licznych narzędzi zawieszonych na ścianie i dostrzegam swoje mętne odbicie w ostrzu sierpa. Znajduję następną bliznę, przyciskam do niej nóż i rozcinam. Robię to, by nasycić mieszkającego we mnie potwora. Kolejna szrama. Czuję, jak ostry czubek zagłębia się w mięso. Boli, ale to nic w porównaniu z płonącym we mnie ogniem usiłującym uciec przez każdą ranę, jaką zadaję swojemu ciału. Patrzę, jak moja skóra zmienia kolor na szkarłatny, jak połyskujący pot zabarwia się krwią.

Zwierzęta hałasują i miotają się, czując bijącą ode mnie furję. Ich odgłosy napędzają zakłęte koło mojej furii. Rozcięciami staram się ukoić emocje, ale z każdym nowym widzę krew i przypominam sobie o leżącym na podłodze dziecku, o fantazji, jaką Vesper hodowała w swojej macicy, o całej władzy, jaką nade mną posiada – i znów ogarnia mnie przemożne pragnienie, by ją skrzywdzić.

Dlatego muszę zrobić to znowu.

Ulga nie nadchodzi. Wciąż czuję. Wciąż jestem wściekły. Krew pokrywa mnie całego. Nie mogę odnaleźć kolejnych blizn. Kiedy wreszcie zdaję sobie sprawę, że żadne cięcia nie uwolnią moich dłoni od przemożnej potrzeby zadawania krzywdy, zamieram. Dyszę ciężko przez chwilę, a potem podchodzę do Hildy i przecinam sznur. Kozą upada na podłogę, przekręca się na bok i wierzga rozpaczliwie. Aż w końcu podnosi się na nogi i chwiejnym krokiem idzie do Trixie, becząc z przerażeniem.

Pozwoliłem sobie uwierzyć, że mogę być, kurwa, kimś innym, jednak wszystko zawsze kończy się w ten sposób. Krzykami i strachem. Tym, czego pragnę, jest ona. Tylko ktoś, kto stanowi źródło mojego bólu, może go ukoić. Zasnuwająca umysł mgła rzednie i przypominam sobie jej obraz. Dziewczynę, która odbiera mi zdolność myślenia do tego stopnia, że będąc przy niej, sam już nie wiem, kim jestem. Mam wrażenie, że u jej boku mógłbym zaakceptować wszelkie niedoskonałości mojej osoby. Przypominam ją sobie, skuloną na podłodze, łkającą. Śliczną małą laleczkę w białej sukience przesiąkniętej krwią, z twarzą wykrzywioną grozą i cierpieniem.

Zostawiłem ją tam.

Samą.

Przerażoną.

I nie pamiętam, czy zamknąłem drzwi.

VESPER

Z niedowierzaniem patrzę na swój dom. Wszystko dokoła zostało rozbite na kawałki, zupełnie jakby przeszło tędy małe tornado, które jakimś cudem tylko mnie nie zrobiło krzywdy. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, kiedy się pojawił. Zmienił się, odkąd odkrył, że jestem w ciąży. To dziecko było moim kołem ratunkowym i doskonale o tym wiedziałam. Ale zaczęłam myśleć, że może chodziło o coś więcej, że on i ja powoli odnajdujemy własną drogę. Byłam dobrą dziewczynką, sięgałam głęboko w jego wnętrze, by szukać w nim człowieczeństwa. A kiedy faktycznie je znalazłam, zaczęłam zatracać samą siebie.

W jakim stopniu była to walka o przetrwanie, a w jakim zakochiwałam się w swoim porywaczu? Nie potrafiłam już dłużej się nad tym zastanawiać. Nie kiedy patrzyłam w oczy przywodzące na myśl ocean i nakrapiane złotem muszle wyrzucone na brzeg. Nie kiedy to ciało, smukłe, opalone i nagie, leżało obok mnie. Nie kiedy przynosił mi nowe płyty lub pływał ze mną w jeziorze. Albo gdy czytałam mu na głos.

I z pewnością nie wtedy, kiedy przyniósł zrobioną własnoręcznie kołyskę. Większość normalnych ludzi nie zdobyłaby się na tak życzliwy gest.

Zapomniałam, kim jest. Ale teraz, siedząc w kałuży krwi, już pamiętam. Przedemną na moment pojawiła się bestia, która przetrzymywała mnie w piwnicy, głodziła i gwałciła.

A jednak kiedy drzwi otwierają się pod wpływem wiatru, a ja zdaję sobie sprawę, że zapomniał je zamknąć, nie uciekam. Czekam. Musi być w tym coś więcej. Musi kryć się jakiś haczyk. Drzwi kołyszają się do przodu i do tyłu i dociera do mnie, że on nie wróci. Nie od razu. Mam szansę uciec, zacząć wszystko od nowa. Straciłam dziecko, kotwicę trzymającą mnie w tym miejscu, więc mogę zostawić to za sobą.

Powoli wstaję, krzywiąc się pod wpływem skurczy. Na szczęście krwawienie ustało samo. W przeciwnym razie nie przeżyłabym nocy bez fachowej pomocy medycznej. Idąc do drzwi, próbuję przypomnieć sobie wszystkie obliczenia, jakie prowadziłam za każdym razem, kiedy zabierał mnie nad wodę. Zmieniał trasę wiele razy, ale myślę, że jeśli przypomnę sobie liczbę kroków, dam radę tam dotrzeć.

Zakładam buty, wyglądam na zewnątrz, a potem wychodzę. Zatrzymuję się tuż za drzwiami i od razu przypominam sobie, jak uciekałam ostatnim razem, jak przerażona byłam, słysząc za sobą jego kroki. Krzyczałam, błagałam o litość. Tamten człowiek wydaje się kimś zupełnie innym niż mężczyzna, z którym spędziłam ostatnie miesiące. Walczę z uczuciem współczucia wobec niego. Staram się nie wspominać wyrazu turkusowych oczu, kiedy dotarło do niego, że straciliśmy dziecko. Pragnął tego maleństwa. Odsuwam od siebie tę myśl, biorę głęboki oddech i ruszam. Adrenalina przyprawia mnie o bicie serca tak szybkie, że słyszę jego dudnienie w uszach. Byłam grzeczna i dostawałam nagrody. Od bardzo dawna nie musiał stosować żadnych kar, jednak próba ucieczki, podczas gdy on dostał napadu szału... Mogę nie przetrwać tego, co dla mnie wymyśli.

Panika i kompletna ciemność sprawiają, że szybko się gubię, mimo to nie przestaję biec, wiedziona nadzieją, że dostrzegę cokolwiek, co pozwoli mi odzyskać orientację. Przedzieram się przez zarośla i pajęczyny, a strach zagłusza ból.

W końcu docieram do czegoś, co widziałam tylko raz za dnia. Nocą wygląda to tak niepokojąco, że aż przystaję. Porzucony tor przeszkód, czy też „plac zabaw”, jak określił to Sam. Konstrukcje są porośnięte pnączami i innymi roślinami niczym ruiny w dżungli. Przypominam sobie wyraz jego twarzy, kiedy zapytałam, co to. Ukrywał coś bolesnego. To miejsce wydaje się puste, pozbawione szczęścia. Nagle uświadamiam sobie, że jeśli stanowiło część jego dzieciństwa, z pewnością nie było źródłem radości. Ale choć zbutwiałe struktury wyglądają jak z

koszmaru, jednocześnie są dla mnie darem. Dzięki nim wiem, gdzie jestem. Nasłuchuję odgłosów. Chociaż zdaję sobie sprawę, że Sam potrafi bezszelestnie się poruszać, czuję ulgę, słysząc jedynie szum wiatru w koronach drzew. Biorę głęboki oddech i ruszam biegiem w stronę jeziora. Mojego azylu. Mojej nadziei. Przekonałam samą siebie, że to właśnie ono dzieli mnie od reszty świata.

Dotarcie do niego zabiera mi więcej czasu, niż sądziłam, ale nie marnuję ani sekundy i od razu wchodzę do czarnej jak onyks wody. Kiedy sięga mi do pasa, zanurzam się i zaczynam płynąć. Wiem, ile potrwa dotarcie na drugi brzeg. Dokładnie to zbadalam podczas poprzednich pobytów tutaj. Nurkuję i płynę pod powierzchnią, dopóki płuca nie zaczną piec.

Nie oglądaj się za siebie.

Ten człowiek jest moją Sodomą i Gomorą, największym grzechem, najmroczniejszym pragnieniem. Bardzo kusi mnie, by rozmyślać o tym, co zostawiam za sobą. O życiu, w którym jestem czymś światem. W którym opiekuje się mną, sprawia mi przyjemność, a ja jestem jego skarbem. Nikt inny nigdy nie podjąłby ryzyka, na które on poważył się, żeby mnie mieć. Mógł dziś wyrzucić mi krzywdę, ale nie zrobił tego. Oszczędził mnie. Zmienia się. To ja go zmieniałam.

Płyn! Nie przestawaj!

Im dalej jestem, tym mocniej myśl o nim przyciąga mnie z powrotem. Ale to moja jedyna szansa.

Ludzie tacy jak on nigdy na dobre się nie zmieniają. Jest złamany. Problem w tym, że ja też. Może nie tak jak on, lecz uszkodzone fragmenty nas samych idealnie do siebie pasują. Łączą się w mozaikę złożoną z zajawek naszego wspólnego życia: z pływania w jeziorze, słuchania muzyki późnym wieczorem, odprężenia na jego twarzy, kiedy mu czytam, wiru mrocznych pragnień i podniecenia, które ogarniają mnie, gdy bierze moje ciało we władanie, ciszy mówiącej głośniejsz niż wszelkie słowa wypowiedziane kiedykolwiek przez innych ludzi. I te bliźny na jego ciele... Są różne, niektóre grube i długie, inne krótkie niczym szybkie ślady pędzla na obrazie. Pokrywają część skóry, jakby malowały historię tego mężczyzny. Ciemność, której nie jest w stanie ukryć, nieważne, jak bardzo próbuje uciszyć samego siebie. Został skrzywdzony, a teraz ja skrzywdzę go znowu. Przecież nie jestem taka. Pomagam ludziom, opiekuję się nimi. Nawet Johnny nie potrzebował mnie tak desperacko jak Sam.

Nie mogę jednak wrócić. Wiem, kim jest i co zrobił. A ja? Kim wówczas bym się stała?

Wynurzam się, by zaczerpnąć tchu, i odkrywam, że znajduję się już na środku jeziora. Tam gdzie chciałabym zostać na zawsze, gdzie mogę zachować najlepsze okruchy siebie z tych dwóch różnych światów. Oraz najlepsze okruchy jego.

Przyglądam się tej części jeziora, do której tak bardzo pragnęłam dotrzeć, odkąd znalazłam się tu po raz pierwszy. Nie mogę wrócić do tamtego świata. Nie jestem już nią. Mam tylko jej imię, skórę, oczy, włosy. Ale moja dusza została kompletnie zmieniona. Splamił jej czystość swoim mrokiem.

Odwracam się w kierunku, z którego przybyłam. Jakaś cząstka mnie ma nadzieję, że zobacze go na brzegu. Że przyszedł, by siłą zabrać mnie z powrotem, lecz jest tylko pustka i cisza. Patrzę w drugą stronę, gdzie czeka na mnie wolność, i zupełnie nic nie czuję.

Przestaję poruszać rękami i nogami. Tak łatwo jest zrezygnować, pozwolić, by ciało zanurzyło się w pustkę. Patrzeć, jak srebrna tarcza księżyca się kurczy, gdy osuwam się w ciemność. Już nie czuję się taka ciężka. Mogę zostać tutaj, między dwoma światami, na zawsze.

Pochłaniają mnie czerń i chłód. To jest prawdziwa wolność. Nikt nie może mnie mieć poza mną samą. Zamykam oczy i biorę oddech, lecz wciskająca się do gardła woda wyrывa mnie z transu. Szeroko otwieram oczy, nagle wszystko staje się jasne. Nie chcę wolności, jeśli oznacza

to życie, jakie wiodłam wcześniej. Nie mogę wyobrazić sobie świata bez Sama. To największy test. Klucz do mojej nowej wolności. Okazja, by pokazać mu, że miałam wybór i wybrałam jego.

Odbijam się od mulistego dna, po czym płynę w górę tak szybko, jak tylko mogę, zanim stracę przytomność. W końcu wydostaję się na powierzchnię, wypluwam wodę i ostatkiem sił łapię powietrze. Nieprzyjemny odgłos mojego rżenia niesie się w ciszy nocy. Z trudem docieram do brzegu, wypelzam na kamienie, a potem wymiotuję z wysiłku i osuwam się bezwładnie na bok. Przez chwilę leżę tak, chrypiąc i kaszląc, aż wreszcie przekręcam się na plecy i łapię oddech.

Pewnie już zaczął poszukiwania. Muszę wrócić do niego, zanim on przyjdzie do mnie. Musi zrozumieć, że to wszystko mój wybór. Chwiejnie wstaję na nogi, a potem ruszam przed siebie biegiem, tym razem mając lepszą orientację w terenie i jaśniejszy umysł niż wtedy, gdy próbowałam znaleźć jezioro. Dotarcie do szopy zajmuje mi o wiele mniej czasu. Drzwi wciąż są otwarte. Z odległości kilku metrów zaglądam do środka, wciąż nie mogąc zmusić się do spojrzenia na to, co wywróciło mój świat do góry nogami. Mogę poczekać tutaj. Mogę siedzieć przed szopą, aż Sam wróci.

Lecz nie potrafię. Po prostu nie umiem biernie czekać. To moja decyzja. Od samego początku dawał mi wybór albo przynajmniej jego iluzję. Ale tym razem wszystko zależy ode mnie. Sama określiłam swoje opcje, a potem sama podjęłam decyzję o powrocie. Dokonałam wyboru. I mam pewne żądania.

Postanawiam odnaleźć stajnię. Nie jestem pewna, jak się tam dostać, ale natykam się na coś, co wygląda na ścieżkę, zapewne oczyszczoną po to, by ułatwić Samowi codzienne wycieczki do mojej szopy. Pędzę nią, zdyszana, rozgorączkowana.

Był taki przerażający, lecz już się nie boję. Wiem, że mnie potrzebuje, może nawet bardziej niż ja jego.

Śmieję się z histeryczną ulgą na widok bursztynowego blasku świecącego mętnie w oddali. W końcu dostrzegam w ciemności zarys obory. Nie wiem, co zastanę, kiedy dotrę na miejsce. Nie wiem, czy on w ogóle tam jest, a mimo to biegnę najszybciej, jak potrafię. Mokra sukienka klei mi się do ciała, włosy przylegają do twarzy i ramion.

Chcę zawołać go po imieniu, ale dociera do mnie, że nic nie wiem o jego życiu. Założyłam, że mieszka sam i nie ma żadnych bliskich sąsiadów, lecz równie dobrze mogę wejść do obory i zobaczyć w środku grupę ludzi.

Nie mam jednak czasu na dalsze rozważania, bo drzwi otwierają się gwałtownie, a ze środka wypada Sam. Dyszy ciężko, jest spocony, ma na sobie tylko podarte dżinsy, a jego naga pierś błyszczy od krwi. Złotobrazowe włosy są zabarwione chaotycznymi smugami czerwieni. Oczy płoną mu na tle ciemnej nocy i szkarłatnych plam maskujących twarz.

Jest potworem, a ja wbiegłam prosto w jego szpony.

Rozdział 26

SAM

Ostatnią osobą, jaką spodziewałbym się zobaczyć po otwarciu drzwi obory, jest Vesper. Byłem gotów ją tropić. Powalić każde pierdolone drzewo, jeśli bym musiał. Chciałem ją gonić, a tymczasem – ona tutaj przyszła.

Zatrzymuje się gwałtownie na mój widok i omiata mnie wzrokiem od stóp do głów. Jestem tak kurewsko napięty, że to prawie boli. Każdy mięsień mam sztywny, a serce pracuje na najwyższych obrotach. Mój umysł, produkujący tysiąc myśli na sekundę, wciąż chce polować na kobietę, która właśnie mnie wytropiła.

Ona też dyszy. Musiała biec. Włosy ma mokre, białą sukienkę też, przez klejący się do ciała materiał widzę sterczące sutki. Smugi błota brudzą jej skórę i ubranie. Krew. Rozległa czerwona plama po stracie wciąż tam jest, nieco rozcieńczona przez pobyt w wodzie.

Woda.

Próbowała odejść. Ale teraz jest tutaj. Nic z tego, kurwa, nie rozumiem.

– Co ty zrobiłeś? – pyta głosem pełnym grozy.

Spoglądam na siebie, na krew pokrywającą skórę. Rozcięcia pieką, jakby ktoś osmagał biczem cały mój bok. To, co teraz widzi, to moje prawdziwe ja. Kręcę głową, nadal boleśnie spięty, jakbym szykował się do odparcia ataku. – Czy to był człowiek?

Zaprzeczam w milczeniu. Zerka w stronę obory.

– Któreś ze zwierząt?

Kręcę głową raz jeszcze.

– Czy to... twoja krew?

Potakuję. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle to widzi. Przyglądam się sobie. Warstwa krwi na skórze jest gruba i błyszcząca jak skarmelizowany cukier na jabłku. Vesper powolnym ruchem unosi dłonie, by mnie uspokoić.

– Jestem tutaj – mówi, choć głos ma słaby i drżący. – Jestem tu, Sam – powtarza, tym razem pewniej.

Lecz jej słowa są gównem. Przez całe moje życie słowa tylko mnie zdradzały.

– Chciałam odejść, przyznaję. Ale wróciłam, bo taką podjęłam decyzję. Ja... – Spuszcza głowę, tłumiąc szloch. – Nie wiem dlaczego. Nie skrzywdziłam dziecka. Lubiłam spędzać z tobą czas. Nie ma potrzeby, żebyś mnie zmuszał. Jestem tu. Możemy nadal robić to, co robiliśmy. Nic z tego nie musi się kończyć, ale wyłącznie jeśli tego chcesz. Jeżeli pragniesz życia, w którym nie musisz ciągle oglądać się przez ramię z obawy, że ucieknę, to nie możesz zabrać mnie z powrotem do tego, co było wcześniej. Chcę po prostu, żeby to coś między nami rozwijało się dalej.

Wszystkie myśli bez wyjątku mówią mi, że każdy miły gest, każdy uśmiech to tylko sposób, by mnie oszukać. Kto mógłby zechcieć kogoś takiego jak ja? Pokrytego bliznami demona muszającego walczyć z samym sobą, by wykrztusić choć słowo? Pragnę rzeczy, które nie są normalne, wiem o tym. Moja matka o tym wiedziała i dlatego trzymała mnie w odosobnieniu. Chroniła przede mną samym.

Ale Vesp jest tutaj. Nie ściagałem jej, sama przyszła. Powinienem ją nagrodzić czy ukarać? Czasami to nie jest takie oczywiste. Może ona to rozumie. Więc będę musiał zrobić

jedno i drugie.

VESPER

Popełniłam błąd. Nie powinnam była wracać ani wierzyć, że go zmieniałam. To zupełnie tak, jakby znajdował się pod wpływem zaklęcia, a ja bym próbowała przemówić do tej maleńkiej cząstki jego osoby, która wciąż mnie słyszy. Jakbym usiłowała ściągnąć go z powrotem do rzeczywistości. Trzyma nóż, którego w pierwszej chwili nie zauważyłam pośród tej mieszanki światła i cieni. Nikt nigdy się nie dowie, co się ze mną stało. Nikt nie pozna mojej historii. I nawet gdyby któregoś dnia mnie znaleziono, to czy świat dowiedziałby się, że choć miałam szansę uciec, wróciłam do mojego oprawcy?

Kończą mi się słowa. Nawet nie jestem pewna, czy w ogóle do niego trafiają. Używałam ich wcześniej, by pobudzić jego człowieczeństwo, ale stojąca przede mną osoba jest odurzona. Dzika. Poza zasięgiem ludzkiej mowy.

Zerkam w kierunku księżyca, a przez głowę przelatuje mi myśl, że umieranie nie jest takie złe, skoro po drugiej stronie spotkam babcię. Sam się nie rusza. Przeciąga tę chwilę w nieskończoność, podbródek ma opuszczony i przewierca mnie intensywnym spojrzeniem jasnych oczu płonących wśród nocy jak u kuguara. Szkoda, że nie poznałam jego sekretów przed odejściem z tego świata. Wydaje mi się to niesprawiedliwe.

– Proszę... – udaje mi się wykrztusić. To odruch. Nie sądzę, by jedno słowo miało pomóc, ale i tak je wypowiadam. A potem robię coś, co raczej nie płynie z wyrachowania. Działam powodowana instynktem. Słowa już do niego nie dotrą. Jeżeli nie mogę przemówić do tej części jego osoby, którą trzyma na uwięzi, to spróbuję porozumieć się z tą, która jest tu teraz. Opadam na kolana i pochylam głowę. To nie impas, nie walka. To akceptacja, która musi zostać odwzajemniona.

Wyciągam rękę, nie podnosząc wzroku, w nadziei, że ją przyjmie. W nadziei, że moje żądania nie są wygórowane. Czekam, ale nic się nie dzieje. Dopiero gdy zaczynam opuszczać rękę, chwyta ją twarda, mokra dłoń.

Wydaję zduszony okrzyk, kompletnie zaskoczona tym nagłym gestem. Podnoszę głowę i napotykam spojrzenie jasnych oczu. Podciąga mnie na nogi, a ja cofam się na widok noża w jego dłoni. Podąża za moim spojrzeniem, po czym ciągnie mnie w stronę obory i brutalnie popycha na ścianę. Wbija nóż w stare, splekane drewno.

– Zrobiłem to – mamrocze w moje usta – żeby cię ocalić.

Ujmuje moją twarz w okrwawione dłonie, a potem obdarza zaciekłym pocałunkiem podszytym gniewem i rezygnacją, smakującym krwią i potem. Zwycięstwo jeszcze nigdy nie miało tak gorzkiego smaku. Zaraz jednak odrywa się ode mnie równie gwałtownie, jak go zaczął. Chwyta za sukienkę i z trzaskiem rozdziera materiał, by wytrzeć w niego ręce do czysta. Wsuwa we mnie palce, a później podnosi je do twarzy, żeby lepiej im się przyjrzeć. Lśni na nich świeża krew – pozostałości życia, które stworzyliśmy, a które odeszło.

– Wezmę cię tak jak wtedy, gdy uciekłaś pierwszy raz – chrypi mi do ucha.

Tym razem ma inne powody. Rozrywa sukienkę do końca, a gorące powietrze owiewa mi skórę. Przesuwa ustami po mojej piersi, zostawiając na niej plamy krwi. Żelazisty zapach posoki i potu zakrada się do moich nozdrzy i budzi głód. Czuję się tak, jakbym była spragniona mięsa. Zaciskam palce na jego wilgotnych włosach, przeczesuję zakrzepłą krew. W ogóle mnie to nie rusza. Śmierć jest mi bliska od tak dawna, że stała się częścią mojego życia.

Sam oddycha szybko, napiera na mnie klatką piersiową. Sięgam w dół. Pod palcami wyczuwam pulsującą twardość. Zsuwa dzinsy i błyskawicznie się ich pozbywa. Mam przed sobą

nagiego, skupionego na pragnieniu samca – skórę, włosy, krew, mięśnie, pot. Nie marnując ani sekundy, łapie mnie i wciąga do obory. Wszystko dzieje się bardzo szybko, lecz mimo to zauważam ścieżkę krwi prowadzącą do miejsca, którego nie mogę w tej chwili dojrzeć – tam gdzie musiał wcześniej wyładować swoją brutalność. Wpycha mnie do pustego boksu. Piżmowy zapach zwierząt unosi się w powietrzu.

– Chcę widzieć twoje ciało w świetle – warczy, zmuszając do tego, bym uklękła na cienkiej warstwie siana. – Zerznę cię jak zwierzę.

Kłujące źdźbła przywierają do mokrej skóry, a on klęka za mną. Wciska się w moje wnętrze siłą. Nie jest delikatny. Krzyczę, kiedy mnie otwiera, z początku pchając powoli. Lecz nie robi tego dla mojego komfortu. Po prostu chce, żeby chwila trwała jak najdłużej. Dzięki temu mogę się odprężyć, czerpać przyjemność z jego kutasa w moim tyłku. I właśnie w momencie, gdy udaje mi się rozluźnić, pcha mocniej i ciągnie mnie

za włosy, jakby ujeżdżał konia. Sapie i jęczy, wbijając się raz po raz.

To moja kara.

I moja nagroda.

Wszystkie chwile, w których odbierał mi część mnie i zastępował ją częścią siebie, prowadziły do tego momentu. Odczuwam czystą, niczym niezmaconą przyjemność. Żadnego poczucia winy. Żadnego wstydu. Podjęłam właściwą decyzję, zostając. Zaryzykowałam najwyższą stawką i opłaciło się.

Sięgam w dół, do łechtaczki, by uwolnić się od palącej skórę żądz. Dochodzę dokładnie wtedy, gdy on wydaje głośny jęk, a jego kutas pulsuje w ciasnym uścisku mojego odbytu. Gorąco i echo orgazmu tłumią tępe skurcze w brzuchu, które wciąż nękają mnie po stracie dziecka.

Wysuwa się z mojej dziurki i przetacza na plecy. Coś się zmieniło. Jego oczy znów są ludzkie, a ciało rozluźnione. Dobrze wiem, że nie mam co liczyć na żadne słowa z jego strony, dlatego postanawiam się odezwać. Wciąż na kolanach odwracam się twarzą do niego. Podnosi na mnie badawczy wzrok.

– Jestem tutaj – powtarzam jeszcze raz.

Kładę się twarzą do niego, podkurczając nogi. Przez pierwszych kilka sekund nie reaguje, wciąż powstrzymywany niepewnością. Aż wreszcie przysuwa się bliżej, wciska ramię pod moje ciało i przyciąga mnie do siebie.

Wodzę palcami po ciepłej i śliskiej czerwieni na jego ręce. Nigdy nie miałam problemu z widokiem krwi, co było jednym z powodów, dla których uznałam, że nadaję się na pielęgniarkę. Przesuwam dłonią wzdłuż przedramienia i zatrzymuję się przy otwartej ranie, za którą znajduje się następna. Tyle razy w ciągu tej nocy zadał sobie cierpienie, że wręcz czuję jego ból.

– Sam... – szepczę łamiącym się głosem. – Musimy się tym zająć. Mogę to zszyć.

Nie odpowiada, czego się spodziewałam, ale kiedy podnoszę głowę, szukając jakiejś oznaki zgody, on już śpi. Pod szkarłatnymi smugami na jego twarzy maluje się spokój.

Opieram się o okrwawioną klatkę piersiową upstrzoną sianem i również zasypiam.

Rozdział 27

VESPER

Budzę się pod wpływem jasnych smug padających na moje powieki. Światło słoneczne przedziera się przez szczeliny między deskami, rozjaśniając mrok obory. Próbuję zmienić pozycję i przypadkiem budzę Sama. Nadal nie umiem stwierdzić, czy to przywiązanie czy nieufność.

– Dzień dobry – mówię, krzywiąc się pod wpływem bolesnego skurczu w podbrzuszu.

Pomimo długiego snu jestem wyczerpana po udręce, jakiej doświadczyło moje ciało. Na dodatek mam przemożną ochotę na stek. Sam siada i przeciąga się, a grudki brudu odpadają od jego ciała. Kiwa głową w moim kierunku. Dzień dobry.

Rany na przedramionach połyskują skrzepami. Sam prawie wcale nie krzywi się przy ruchu. Nie wiem, jakim cudem tak dobrze radzi sobie z bólem.

– Trzeba pozszywać twoje rany. Musimy je oczyścić, bo jeszcze dostaniesz infekcji. Poza tym umieram z głodu. Potrzebuję żelaza. Potrzebuję mięsa. Proszę – dodaję błagalnie.

Omiata mnie wzrokiem i życzliwie kiwa głową. Wstaje, po czym wyciąga rękę. Kiedy pomaga mi dźwignąć się na nogi, zdaję sobie sprawę, że jestem kompletnie naga. Nie ma tu miejsca na skromność, wiem, ale ostatniej nocy powiedziałam mu, że chcę, by nasza relacja się rozwijała, dlatego postanawiam go przetestować.

– Nie mam nic do ubrania.

Wystawia palec, dając mi znać, żebym zaczekała. Wciąża džinsy i wychodzi z boksu, ale zaraz wraca z białym T-shirtem.

– Dziękuję – mówię nieśmiało.

Ubieram się i idę za nim na dwór, a potem wąską ścieżką prowadzącą przez niewielki zagajnik. Docieramy do wolnej przestrzeni. Przed sobą widzę malowniczy dom z gankiem. Sam bez cienia wahania prowadzi mnie po schodach do frontowych drzwi.

Chłonę to wszystko: meble pamiętające dawne czasy i stojące w tym domu od pokoleń. Prostokątne kontury na ścianach po wiszących latach obrazach lub zdjęciach, które ktoś usunął. Niestety Sam ciągnie mnie do łazienki tak szybko, że ledwie mam czas zarejestrować i zinterpretować to, co widzę.

W łazience stoi ogromna żeliwna wanna na nóżkach, osłonięta bladożółtą zasłoną prysznicową. Sam odkręca wodę i gestem zaprasza do kąpieli. Zdejmuję koszulkę, a on swoje spodnie i wchodzimy do wanny. Woda zmywa z naszych ciał cały brud i dopiero wtedy mam pełen obraz ran, jakie zadał sobie Sam. Głębokich cięć jest chyba z tuzin, a wszystkie w miejscach poznaczonych bliznami. Nawet ze świeżymi ranami Sam nie wygląda jak potwór, lecz jak młody człowiek dostatecznie przystojny, by szramy tylko spotęgowały jego aurę tajemniczości. Nic w nim nie ma sensu. Nigdy nie powinien być zmuszony do robienia rzeczy, które zrobił, żeby mnie zdobyć – mnie lub każdą inną kobietę. Choć teraz już wiem, że to nie ma nic wspólnego z seksem.

Myje mi włosy, a ja myję jego. Wcześniej robił to dla mnie tyle razy, ale nigdy nie miałam szansy się odwdziaczyć. Między nami panuje cisza, w której słychać jedynie dźwięk wody lejącej się z kranu.

– Czy ja tu zostanę? – pytam.

Wzrusza ramionami. Nie planował tego. Odsuwa zasłonę, by wyjść z wody, na moment pozwalając mi spojrzeć na swoje nagie ciało, po czym zaciąga ją za sobą. Kończę mycie, a potem wycieram się ręcznikiem, zastanawiając się, dokąd mógł pójść. Wraca po kilku chwilach z zestawem igieł, nitką i spirytusem. Podaje mi to wszystko ze wzruszeniem ramion. Może być?

Zmuszam go, żeby usiadł na brzegu wanny. Przewlekam nić przez igielne ucho i moczę wszystko w alkoholu, a potem polewam nim pierwszą z ran. Sam zaciska zęby, bacznie mnie obserwując.

Wbijam igłę w brzeg rozcięcia. Syczy.

– Przepraszam!

Krzywi się, po czym kiwa głową, zachęcając, bym kontynuowała. Przeciągam więc nitkę i próbuję przebić się igłą przez skórę zgrubiałą od starych blizn. To nie są małe rany, a cały proces wymaga od niego ogromnej odporności na ból.

– Co tam się stało? W oborze? – pytam, chociaż wiem, że nie jest w stanie odpowiedzieć bez długopisu i notatnika.

Nie reaguje, ale nie spodziewałam się, że to zrobi.

Co jakiś czas – zazwyczaj po zamknięciu jednej rany i przed zabraniem się za następną – robię przerwę i delikatnie głaszczę go po włosach, a wtedy on opiera mi głowę na ramieniu, zamyka oczy i w milczeniu akceptuje moje pocieszenie. Gdy wreszcie kończę, jest pokryty czarnymi szwami jak stary pluszowy miś, pocerowany, żeby nie rozpadł się po dekadach używania.

– Wyglądasz jak szmaciana lalka. – Śmieję się.

Prycha, podchodzi do zlewu, puszcza wodę tak gorącą, że aż unosi się para, i obmywa twarz. W międzyczasie zaczynam sprzątać bałagan, jaki zrobiłam, zajmując się jego ranami. Słyszę ciche kliknięcie zamykających się drzwi. Odwracam się w poszukiwaniu Sama, ale jego już tu nie ma. Za to z kranu wciąż leje się woda. Na zaparowanym lustrze nad umywalką znajduję napisaną palcem notkę dla mnie: „Dziękuję. To musiałem być ja, żebyś to nie była Ty. Idę po mięso. UFAM”.

Kręcę się po domu, szukając czegoś do ubrania poza zalatującym oborą T-shirtem. Jego sypialnia znajduje się tuż bok łazienki, więc poszukiwania nie trwają długo. Pokój jest schludny i pozbawiony ozdób. Ot kilka mebli i dywan, żadnych nadprogramowych przedmiotów. Podwójne łóżko i drewniane biurko wyglądają, jakby stały w tym samym miejscu od lat. Półka nad biurkiem i regał na sąsiedniej ścianie są pełne książek. Sam wydaje się typem człowieka, który ucieka w fantazję. Otwieram drzwi niewielkiej szafy, w której znajduję stosy T-shirtów i kilka koszul. Żadnych niespodzianek. W części z wieszakami zauważam kilka garniturów. Przesuwam po nich palcami – materiał nie jest tani. Podejrzewam, że nie narzeka na niedostatek, co tylko czyni go jeszcze bardziej tajemniczym.

Zerkam przez ramię i przez chwilę nasłuchuję, by upewnić się, że mnie nie przyłapie, po czym na palcach podchodzę do biurka. Powoli otwieram szufladę, ale w środku jest tylko notes i kilka długopisów. Nie ulega wątpliwości, że ten pokój służy wyłącznie do spania, dlatego opuszczam go szybko i biorę się za następny. Kolejne drzwi okazują się zamknięte. Krążę od pokoju do pokoju, szukam wskazówek, wygląda jednak na to, że wszystko, co ważne, ukrył w zamkniętym pomieszczeniu. Dom sprawia wrażenie niewinnego, uroczego miejsca z kwiecistymi narzutami, zwiewnymi zasłonami i starymi meblami. Ale brakuje widocznych śladów użytkowania. W innych sypialniach nie znalazłam żadnych osobistych przedmiotów. Mieszka tu jedynie Sam, a wszystko wygląda tak, jakby nie do końca tutaj był.

Schodzę na parter. Pobieżne poszukiwania podpowiadają mi, że nic to nie da, a on może zjawić się w każdej chwili. Spuszczam wzrok na swoją koszulkę i przypominam sobie o sukienkach, które zostały w szopie. Moje serce ściska się z rozpaczy. Dziecko... Nie byłam w stanie na nie spojrzeć. Na tak zaawansowanym etapie prawdopodobnie mogłabym określić płć. Myśl o dziecku przez cały czas wywoływała we mnie sprzeczne emocje. Było symbolem mojej niewoli – ale także nowym życiem. Błogosławieństwem, nadzieją. Dramatycznie zmieniło moją sytuację. I może właśnie taki miało cel: zaprowadzić zmiany, a nie narodzić się i żyć. Odkąd tu trafiłam, nauczyłam się trwać w bólu, nie unikać go i przetrwać. A powrót właśnie na tym polega: to kolejny ból, który muszę znieść. Znajduję papier i ołówek,

po czym zostawiam dla Sama liścik: „Nie chcę chodzić całymi dniami w koszulkach, więc wracam do szopy po sukienki. Będę niedługo. Wiem, że instynkt każe Ci mnie gonić i możesz to zrobić. Ale przekonasz się, że mówię prawdę. Pamiętaj: ZAUFANIE”.

Czuję się pewnie, maszerując w stronę szopy. Docieram na miejsce w rekordowym czasie. Przed drzwiami zauważam powywlekane z szopy paczki z suchym prowiantem – pewnie jakieś zwierzę przeryło moje zapasy – a potem nagle robi mi się niedobrze. Nasze dziecko... Wbiegam do środka, lecz jego już nie ma. Na podłodze dostrzegam jedynie plamę krwi, choć wydaje się większa i bledsza. Zupełnie jakby ktoś usiłował ją wyczyścić. Wmawiam sobie, że to Sam się tym zajął. Nie mogę dopuścić do siebie myśli, że jakieś zwierzę zakradło się tutaj i pożarło maleńkie zwłoki. Dawniej sama sugestia, że mogłoby dojść do czegoś takiego, wywołałaby u mnie rzekę łez, jednak teraz jestem twardsza.

W grobowym nastroju przeszukuję swoje rzeczy. Przekopuję się przez bałagan, oplakując gramofon i porozdzierane książki. Udaje mi się wyciągnąć z poboju wszystkie ubrania. Niektórym przydałoby się spotkanie z pralką, ale są w przyzwoitym stanie. Otrzeputuję je ze śmieci, gdy nagle zauważam błysk światła. Płyta ze ścieżką dźwiękową z Gorączki sobotniej nocy, pierwsza z tych, które Sam mi przyniósł. Najwidoczniej zsunęła się na podłogę za stolikiem z gramofonem, zanim w szopie rozpętało się piekło. Uśmiecham się, biorąc ją do ręki. Pamiątka z czasów, kiedy wszystko zaczynało zmieniać się na lepsze. Odnotowuję w myślach, że muszę namówić Sama na naukę tańca. I może któregoś dnia pójdziemy razem na film.

Możemy zacząć od nowa. Możemy wyjechać, a wtedy on nie będzie musiał mnie ukrywać. Nie dotrzemy tam, gdzie oboje chcemy być, dopóki będzie wisiał nad nami cień naszej przeszłości.

Trzymam płytę, myśląc o mojej dziwacznej – a może wcale nie – propozycji. Z zadumy wytrąca mnie dochodzący z zewnątrz odgłos kroków i trzask miażdżonych butami opakowań z jedzeniem. Wywracam oczami, zadowolona, że Sam znajdzie mnie zajętą dokładnie tym, co powiedziałam, że będę robić.

– Gdzie się podziało zaufanie? – rzucam, nie odwracając się za siebie.

Kroki niespodziewanie cichną, nie pada ani jedno słowo. Jestem do tego przyzwyczajona. Muszę spojrzeć na niego, żeby nawiązać kontakt wzrokowy i porozumieć się za pośrednictwem gestów lub liścików. Odwracam się więc... ale osoba, którą widzę, nie jest Samem.

Patrzymy na siebie przez kilka sekund, zupełnie jakby czas zatrzymał się w miejscu. Męczyzna wydaje się równie zszokowany co ja. Odzywa się we mnie pierwotny instynkt, który każe mi błagać o pomoc, lecz jednocześnie myślę o Samie, o tym, co się z nim stanie, jeżeli to zrobię. Po wszystkim, co razem przeszliśmy, prosba o ratunek wydaje się zdradą.

Przyglądam się twarzy niespodziewanego gościa, usiłując wyłowić z pamięci jego tożsamość. Od bardzo długiego czasu nie oglądałam nikogo poza Samem, ale wydaje mi się, że widziałam już tego mężczyznę.

I to całkiem niedawno.

Głośno przełyka ślinę. W ustach musi mieć sucho, bo mówienie przychodzi mu z wyraźnym trudem.

– Ty jesteś... Vesper Rivers? – pyta.

Czy nią jestem? Mam jej twarz, ciało, włosy i oczy, ale czy jestem tamtą dziewczyną, która została porwana miesiąc temu? Sama już nie wiem. Jeżeli ten człowiek przybył na ratunek, to nie zwróci światu jej, tylko przyprowadzi kogoś obcego.

Wyczuwam, że kłamstwo nie wchodzi w grę, więc z wahaniem kiwam głową. Wydaje ciężkie westchnienie i cofa się na chwiejnych nogach.

– Ja... przepraszam – mówi, sięgając ręką za plecy w poszukiwaniu drzwi.

– Kim jesteś? – pytam desperacko, zdeorientowana i przerażona jego reakcją.

– Mu-muszę iść – jąka się, po czym zamyka szopę.

– Czekaj! – krzyczę, napierając na drzwi i waląc w nie pięściami, kiedy zamyka zasuwę.

– Kim ty jesteś?! – wołam, lecz odpowiada mi jedynie cisza.

Chodzę nerwowo po pomieszczeniu, usiłując zidentyfikować tę twarz. Wydawała się znajoma. I nagle odpowiedź spada na mnie jak grom z jasnego nieba. Przerzucam swoje rzeczy, szukając gazet, które Sam przyniósł, żeby ze mnie zadrwić. Ukryłam je pod materacem z myślą, że gdybym umarła, a ktoś znalazłby to miejsce, mogłyby posłużyć za wskazówkę. Rozrzucam je na łóżku, gorączkowo składam w całość i ostatecznie zyskuję potwierdzenie tego, o czym moje przecucie już wiedziało. Mam przed sobą zdjęcie z konferencji prasowej. Poniżej wypisano nazwiska widocznych na nim osób. Człowiek, który właśnie zamknął mnie w szopie, to ten sam, który powinien mnie uratować: szeryf Andrew „Scooter” Hunter-Ridgefield.

Rozdział 28

SAM

Jestem zaskakująco spokojny, wracając pick-upem od rzeźnika. Czy tak właśnie wygląda wolność? Nie pamiętam, kiedy nie czułem się więźniem swoich impulsów. Ostatniej nocy zdałem sobie sprawę, że to może być to. Całkiem prawdopodobne, że wcale nie muszę żyć w stałym napięciu, czekając, aż nadejdzie nieuniknione.

Przed odjazdem obserwowałem dom przez piętnaście minut. Zaufanie nie oznacza naiwności. Ale Vesp nie uciekła. Przez okna widziałem, jak krąży od pokoju do pokoju. Spodziewałem się tego. Oddałaby wszystko, żeby czegoś się o mnie dowiedzieć, lecz to nie budzi we mnie gniewu.

Kiedy skręcam na podjazd prowadzący do domu, nagle dopada mnie strach. Poczucie wolności ulatnia się błyskawicznie, a ja mam wrażenie, jak żołądek skręca mi się z nerwów. Wszystko wygląda dokładnie tak, jak zostawiłem, a jednak wyczuwam coś dziwnego. Moje wyostrome instynkty biją na alarm. Czyżby ze mną pogrywała? Odeszła mimo wszystko?

Przyspieszam na kamienistym podjeździe, samochód podskakuje na wybojach, aż wreszcie podjeżdżam przed dom. Trawę znaczą świeże ślady opon. Mógłbym pójść za nimi, żeby sprawdzić, dokąd prowadzą, ale najpierw muszę zajrzeć do domu i sprawdzić, czy Vesper nadal tam jest.

Wchodzę przez frontowe drzwi i... widzę go, jak siedzi na schodach prowadzących na piętro, z butelką whiskey w jednej ręce i wycelowanym we mnie pistoletem w drugiej.

Od tej nocy, kiedy wymknąłem się z domu po raz pierwszy i wspiąłem na drzewo, każda kolejna wyprawa prowadziła do powolnego samobójstwa. Wzięcie Vesper i pozwolenie, by uspiła moją czujność, było tak naprawdę momentem, w którym zebrałem się na odwagę, by w końcu pociągnąć za spust.

– Co tu robisz? – pytam Scoota.

Nazywam go tak, odkąd pamiętam. Wykorzystał tę ksywę podczas starań o posadę szeryfa, dzięki niej wydawał się bardziej swojski. Ale większość ludzi znała go jako Andrew Huntera-Ridgefielda.

Na jego twarzy pojawia się odraza.

– Coś ty zrobił? – odzywa się głosem, w którym wściekłość miesza się z rozpaczą.

– Gdzie ona jest?

– Chciałbyś wiedzieć, co? Nie martw się, radiowozy jeszcze tu nie pędzą.

Rejestruję wszystkie przedmioty, którymi mógłbym rozbić mu czaszkę, gdyby do tego doszło. Wiem jednak, że bym tego nie zrobił. Pomimo całej niechęci, jaką żywię do brata, pod całym tym gównem kryje się poczucie lojalności.

– Dzwoniłem do ciebie kilka tygodni temu. A potem znowu i znowu. Nie oddzwoniłeś. Nigdy nie możesz po prostu, kurwa, oddzwonić – syczy przez zaciśnięte zęby. – Następnego ranka po grillu zobaczyłem, jak Milly pakuje torby i wyjeżdża. Obserwowałem ją przy porannej kawie. Pomyślałem: okej, może po prostu gdzieś się wybiera. Ale jestem pierdolonym gliniarzem, Sam. Nie mogłem nie zauważyć jej miny. Wyglądała, jakby zobaczyła diabła. – Pociera twarz dłońmi, na chwilę przestając mierzyć we mnie z broni. – Nawet do głowy mi nie przyszło, że to mogło mieć coś wspólnego z tobą. Bo jesteś moim cholernym bratem, stary.

Pozwoliłem, żeby ta myśl mnie zaślepiła. Poprzytałem trochę dokoła, ale w końcu odpuściłem. Nikt nic nie wiedział. Milly jest nowa, może po prostu nie miała ochoty opowiadać grupie obcych ludzi o swoich sprawach.

Urywa na moment. Widzę, jak kataloguje wszystko z naszej przeszłości i łączy wątki – jak przystało na doświadczonego funkcjonariusza. W tej chwili tak bardzo przypomina ojca, że robi mi się niedobrze, kiedy zdaję sobie z tego sprawę. Czuję się tak, jakby tata wciąż tu był, wciąż mnie, kurwa, oceniał, wciąż patrzył z dezaprobatą i rozczarowaniem.

– Jestem zajęty, więc nie zastanawiałem się nad tym za dużo. Szczerze? Miałem tak dość gonienia za tobą, dość prób sprawiania, żebyś czuł się mile widziany, że postanowiłem dać ci spokój. Kiedy dzwoniłem, chciałem po prostu sprawdzić, co u mojego brata, a gdyby przy okazji pojawił się temat Milly, to super. Ale nie dawało mi spokoju, że ona nie wraca. Ta sprawa irytowała mnie jak wysypka, której nie mogłem podrapać. Aż wreszcie wczoraj zobaczyłem ciężarówkę i ekipę przeprowadzkową wynoszącą jej rzeczy. W końcu Milly się pokazała. Mogłem sobie odpuścić, mogłem stwierdzić, że to nie moja sprawa. Boże, prawie żałuję, że tego nie zrobiłem. Ale poszedłem na drugą stronę pierdolonej ulicy. Kiedy spojrzała mi w oczy, zobaczyłem najpierw strach, a potem złość. Udałem, że nic nie widzę, i zapytałem, dlaczego się wyprowadza. Ot, przyjacielska pogawędka. Nie odpowiedziała, tylko poszła zanieść swoje rzeczy do samochodu. Nie przestawałem naciskać, zastanawiając się, co takiego zrobiłem, aż w końcu nie wytrzymała. Powiedziała: „Dlaczego nie zapytasz swojego brata?”

Wzdycham. Nienawidzę siebie za to, że straciłem wtedy kontrolę. To takie drobne błędy prowadzą do sytuacji, że brat-szeryf siedzi w twoim domu i mierzy do ciebie ze spluwy.

– Poczulem się, jakbym dostał butem w ryj, wiesz? Nigdy tak naprawdę nie powiedziałem tego na głos, Sam, ale czuję się jak gównu przez to, co się wydarzyło. Że byłem totalnym fiutem i próbowałem ci zwiać tego dnia, kiedy potracił cię samochód. Dobrze wiem, co myślisz... Że później trzymałem się na dystans, bo byłem chujowym bratem. Ale tak naprawdę robiłem to dlatego, że za każdym razem, kiedy widziałem twoje blizny, chciało mi się rzygać z poczucia winy. Staralem się... Naprawdę bardzo się starałem. Pomimo tej twojej oschłości, wściekłych spojrzeń i każdej pierdolonej taktyki, jakiej używałeś, żeby mnie unikać. Więc kiedy ona to powiedziała, znowu zrobiło mi się niedobrze. Zrozumiałem, że jest coś, o czym nie chcę wiedzieć.

Powinno ścisnąć mnie w gardle. Powinienem czuć obawę przed każdym słowem, które mogłoby wydostać się z moich ust. Ale teraz, gdy w końcu tajemnica wyszła na jaw, ogarnia mnie ogromna ulga. Wreszcie czuję, że mogę być sobą. Niewidzialna ręka, która dotąd ścisnęła moją szyję, nagle znika.

– No cóż, miło, że uznałeś, iż jestem ci winien dożgonną wdzięczność, bo któregoś dnia obudziłeś się i postanowiłeś nie być chujem.

– Boże, ależ z ciebie dupek! – jęczy Scoot. – Jestem zmęczony tym twoim festiwalem użalania się na sobą, który trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu i trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Jesteś, kurwa, niemożliwy. Powinieneś... Powinieneś mnie teraz BŁAGAĆ.

– Nie masz pojęcia! – krzyczę. – Nie masz pierdolonego pojęcia, jak to jest być mną! Ty byłeś wolny! Tata nie budził cię w środku nocy i nie kazał ci pływać tak długo, aż zaczynałeś tonąć, bo cię nienawidził. Bo wierzył, że twoje narodziny były powodem, dla którego mamie pogorszyło się z tymi jej cholernymi urojeniami. Musiałeś spędzać z nią tylko kilka godzin w tygodniu! Potem obaj odjeżdżaliście, a ja zostawałem tutaj! Siedziałem tu jak jakiś pierdolony więzień!

– Mam zajebiście dosyć tego pieprzenia, Sam! – krzyczy Scoot, zrywając się na nogi i

celując pistoletem w sufit. – Nikt nie miał jaj, żeby powiedzieć ci prawdę, tylko tata, dlatego tak go nienawidziłeś! Więc pozwól, że ja też ci to powiem: byłeś kurewsko dziwnym dzieciakiem! Zawsze. Wszyscy to widzieliśmy. Nie miałeś racji, nigdy nie miałeś. I nie jesteś też pierwszą na świecie odmienną osobą. Możesz winić mamę, tatę albo mnie... Ale to zawsze było w tobie. Mama o tym wiedziała. Może nie mogła się zmusić, żeby spojrzeć na to w taki sposób. Ale to dlatego zabrała cię tutaj i dlatego tata na to pozwolił.

– No i proszę. – Parskam śmiechem. – Oto co tak naprawdę czułeś pod przykrywką troski i wyrzutów sumienia. Podoba mi się to! Zero pierdolenia. Jesteś jak reinkarnacja ojca.

Scooter robi kilka kroków, celując do mnie z pistoletu.

– Jesteś chorym pojebem. Powinienem cię zastrzelić, tu i teraz. Przyjechałem, żeby dowiedzieć się, o czym, do chuja, mówiła Milly. Jestem kurewsko pewny, że nie odpowiedziałbyś mi przez telefon, gdybym zadzwonił. Nie było cię w domu, wszystkie zdjęcia zniknęły. Pomyślałem, że w końcu odbiło ci jak mamie. Poszedłem do obory, gdzie znalazłem wyschniętą krew i mnóstwo czerwonych śladów prowadzących w stronę lasu. Pomyślałem, że może jesteś martwy, może ktoś tu przyszedł i cię załatwił, bo jesteś cholernym dziwakiem. Ale nie psychopata! Instynkt kazał mi iść ścieżką w las. Wyraźnie ją widać, więc pomyślałem, że ostatnio musiała być często używana. Po drodze widziałem połamane gałązki, jakby ktoś tamtędy biegł. Myślałem, że znajdę cię gdzieś na trasie... i wtedy zobaczyłem ją. Tę cholerną dziewczynę, o której nawijali we wszystkich wiadomościach, a której pierdolone zdjęcie wisi na ścianie mojego biura. Przez którą zarwałem tyle nocy, bo śledztwo utknęło w martwym punkcie z braku śladów. Która została porwana przez seryjnego włamywacza i gwałciiciela! I w tym momencie mózg mi eksplodował, bo nagle wszystko stało się jasne! – Scoot wydaje jęk wywołany udręką tak silną, że staje się wręcz fizyczna. – To byłeś ty... Wszystko się zgadza. Dzięki tacie i mnie wiedziałeś, jak pracuje policja. Dzięki pracy byłeś ciągle w ruchu. Jesteś silny i atletycznie zbudowany. Żyjesz na odludziu, więc nikt nie może zauważyć, że wymykasz się nocami. Ale jednej rzeczy nie rozumiem. Nikt nie wspominał o jakananiu, a to ewidentnie pierwsza rzecz, o której każdy powinien mówić. Czy w ogóle cokolwiek w tobie jest prawdziwe? Patrząc na niego spode łba, czując satysfakcję, że tak długo nabierałem tego cwaniaka.

– Och, jestem prawdziwy jak cholera.

– Ja pierdolę, powinienem cię zabić! – wrzeszczy, naprężając rękę z pistoletem, a po policzkach płyną mu łzy. Napinam się, ale wiem, że tak samo jak ja nie mógłbym go zabić, on też nie da rady pociągnąć za spust.

– Czyja to była krew... tam, w oborze? – pyta. – Ona nie była nawet draśnięta. Są tu inne?

– Nie.

– Więc czyja to krew?! – krzyczy.

Przestępuję z nogi na nogę, usiłując grać na zwłokę. Nie zrozumiałby tego, a ja nie jestem w nastroju na wyjaśnienia. Częściowo podwinęte rękawy mojej koszuli przesuwają się na tyle, by mógł zobaczyć kilka szwów.

– Co, do chuja...? – mamrocze. – Zdejmij koszulę.

Nie wykonuję żadnego ruchu.

– Ściągaj ją, kurwa! – woła, machając na mnie pistoletem.

Wzdycham z rezygnacją i pozbywam się jej. T-shirt pod spodem nie zakrywa ściegów biegnących przez moją rękę.

– Ona to zrobiła?

– Nie. Ja. Nigdy jej nie skrzywdziłem.

Patrząc na mnie przez kilka chwil, kompletnie skołowany.

– Człowieku, jesteś obłąkany.

Prycham.

– Pomyślałeś w ogóle o nas? O nazwisku?! Chciałem kandydować na burmistrza, w przyszłości może nawet na gubernatora. To dlatego podążałem śladem ojca. Chciałem pokazać, że pomimo pieniędzy potrafię ciężko pracować, tak jak wszyscy inni. Wiedziałeś, że to moje marzenie. Moja kariera będzie skończona! Zszargają nasze nazwisko, jeśli to się wyda.

„Jeśli...”

Pragnienie chronienia zamożności i władzy bierze górę nad wszystkim innym.

– Zniszczyłeś wszystko. Co z naszą rodziną? Co z wujem Tommym?

Nasz wuj, senator.

– Och, masz na myśli tę rodzinę, która zadbała o to, żebyśmy siedzieli tu cicho i się nie wychylali? Ani jeden z tych ludzi nie pofatygował się nas odwiedzić, wiesz? Nawet kiedy mama umierała, nikt nie pojawił się w szpitalu. Upewniali się tylko, że jest spokojna. Żeby pieniądze płynęły. Żebyśmy nie przynieśli wstydu naszej cudownej rodzinie. Tak, Hunterowie i Ridgefieldowie, wspaniałe rody Ameryki! Nie mogą zostać skalane obłąkaną kobietą i jej niedorozwiniętym synem! W dupie mam, co się z nimi stanie! – krzyczę z wściekłością.

Scoot patrzy na mnie przez chwilę, jakby w końcu dostrzegł bestię. Tę, którą ukrywałem pod płaszczkiem swoich manipulacji. – Nie błagała o pomoc – odzywa się wreszcie. – Chyba myślała, że jestem tobą, bo odezwała się takim słodkim tonem. Znalazłem ją w tej małej budzie w lesie. Wyglądała, jakby przejechała ją pociąg. Coś ty jej zrobił?

Nie zamierzam nic mówić, ale i tak mnie powstrzymuje:

– Wiesz co? Nie chcę słyszeć na ten temat ani słowa. Dowiedziałem się już zbyt wiele. Wiem, co zrobiłeś, ty chory pojebie. Posyłam mu mordercze spojrzenie. To tylko puste słowa. Muszę usłyszeć, co zamierza z tym zrobić. Czy to koniec?

– Więc co teraz? – pytam.

Zaczyna chodzić w kółko, masując skronie nasadami dłoni. Jest blady, niemal chorobliwie zielony, i wygląda, jakby w każdej chwili mógł zemdleć.

Prycha.

– Zrzuńowałeś mi życie – warczy. – Nieważne, co teraz zrobię, zrzuńowałeś je i chuj. Za każdym razem, kiedy spojrzę na swojego syna... – Jego głos słabnie. – Na jego oczy, uśmiech... Za każdym razem, gdy usłyszę jego śmiech, będę widział ciebie. Będę się zastanawiał, czy któregoś dnia stanie się taki jak ty, skoro jest tak bardzo do ciebie podobny. Czy też ma twoją popierdoloną chorobę. Ale w przeciwieństwie do ciebie kocham swoich bliskich i nie zamierzam pozwolić, żeby przez to przechodzili. Zrobię dla nich wszystko.

Siada i chowa twarz w dłoniach.

– Wyjedź z miasta – mówi cicho. – Nie chcę cię tu więcej widzieć. Jesteś martwy dla mnie i innych członków rodziny. Masz swój dobytek, akcje, nieruchomości, możesz pracować gdziekolwiek. Możesz sprzedać całą tę pieprzoną farmę za grube pieniądze. Nie chcę jej. Nie po tych obrzydlistwach, które się tu działy. Wtedy będzie po sprawie. Mam u ciebie dług, może jesteś taki przeze mnie. Lekarze mówili, że po tak silnym uderzeniu w głowę możesz być inny, ale nikt nigdy nie powiedział ci tego wprost.

Myśleliśmy, że możemy to zignorować i wszystko będzie dobrze. I tak byłeś dziwny, ale w porządku. Po wybudzeniu ze śpiączki stałeś się jeszcze dziwniejszy. Okej. Przyznaję, że może przyczyniłem się do tego w jakiś sposób. Ale teraz będziemy kwita. Jesteś dla mnie niczym.

Nie daję po sobie poznać, że jestem więcej niż zadowolony z werdyktu. Już nie muszę dłużej przed nim udawać.

– I musisz się jej pozbyć.

– Co? – syczę.

– Słyszałeś. Nie chodziło mi o to, że masz ją ze sobą zabrać, tylko o to, że nie może pozostać po niej żaden ślad. Trzeba wykluczyć możliwość, że opowie swoją historię. Sam, ona widziała moją twarz.

– Nie. – Kręcę głową. – Sam to zrób, to twój kurewski plan.

– Ale twój bajzel, więc musisz go posprzątać, do cholery! – krzyczy, unosząc pistolet nieco wyżej, by przypomnieć mi, że to nie demokracja i mam się podporządkować.

Studiuje moją twarz. Jej kamienny wyraz, który tak umiejętnie utrzymywałem przez całą dotychczasową rozmowę, musiał zniknąć. – Ty skurwysynu. Wydaje ci się, że ją kochasz? Myślisz, że jesteś do tego zdolny? Porwałś ją, pozbawiłeś życia i rodziny.

Jestem pewien, że zgwałciłeś milion razy, tak jak wszystkie inne. Może nawet torturowałeś... Ale z nią jest inaczej, co? – szydzi i rusza w moją stronę. – Myślisz, że to miłość? Że w ogóle rozumiesz ludzkie emocje? Ty nie jesteś nawet zwierzęciem! Zwierzęta nie krzywdzą ludzi, żeby mieć odlot. Jesteś potworem. Prawdziwym, pierdolonym potworem. Jesteś boogeymanem. Już ją zabiłeś, rozumiesz to? Widziałem ofiary, które nie mogły się pozbierać po mniej traumatycznych przejściach. Pewnie tak jej spierdoliłeś psychikę, że nie będzie w stanie funkcjonować w normalnym świecie. Ale jeśli się jej nie pozbędziesz, to przysięgam, kurwa, naprawdę przysięgam, że wrócę tutaj w pełnym majestacie prawa. Chrzanić reputację! Chrzanić rodzinę i chrzanić twoją pierdoloną wolność! Dopilnuję, żebyś smażył się w piekle! A ona znajdzie się w centrum uwagi całego świata i będzie cierpieć do końca życia. Więc lepiej przyjmij tę pierdoloną ofertę!

Scot zatrzymuje się tuż przed moją twarzą, z pistoletem wycelowanym w moje czoło. Po dolnej wardze cienkie mu ślina, małe żyłki w jego oczach wyglądają, jakby miały lada moment eksplodować. Zupełnie jak ojciec, kiedy robił się niecierpliwy podczas swoich „lekcji”.

Mruga szybko, starając się nieco ostudzić gniew.

– Możesz zachować życie. Ja po prostu chcę odzyskać swoje – mówi już spokojniej, cofając się o krok.

Gorące powietrze o zapachu whiskey owiewa moją twarz, kiedy czeka na potwierdzenie.

– Powiedz, że się tym zajmiesz – rozkazuje. – Powiedz, że już nigdy więcej nie usłyszę o tobie ani o niej.

Przypominam sobie swoją mantrę. Nic nie jest równie ważne jak wolność. Nie jestem typem człowieka, który chce, by jego nazwisko znalazło się we wszystkich gazetach razem z opisami tego, co zrobił. To mój sekret. No dobra, teraz to także sekret Scootera. Ale prędzej umrę, niż pójdę siedzieć. Nie dopuszczę, żeby świat, który nigdy mnie nie akceptował, usprawiedliwił tę dyskryminację tym, co zrobiłem – jak w tej chwili robi to Scoot. To musi być dla niego wspaniałe. W końcu może powiedzieć sobie, że zawsze byłem dziwakiem i że nigdy mnie nie lubił z powodu tego, co kryło się w moim wnętrzu.

– Okej – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Musisz zniknąć w ciągu trzech dni. Możesz sprzedać dom, będąc już poza miastem, zatrudnij pośrednika. Ale twoja stopa nigdy więcej nie postanie w tej części Kalifornii. – Rusza w kierunku drzwi.

Zanim odejdzie, muszę podsunąć mu coś, co nie da mu spokoju. Wiem, że żadne moje słowa nie zmienią jego zdania. Przez całą tę sytuację znalazł się pod ścianą. Nie chce, żebym trafił w ręce policji.

– Zapamiętaj tylko jedno, Scoot. Nie jesteś żadnym pierdolonym bohaterem. Nie robisz tego dla mnie czy dla niej, nawet nie dla Katie ani dzieci. Tata też miał kompleks bohatera, ale on przynajmniej wierzył w swoje pieprzone słowa. Ty robisz to tylko po to, żeby dalej móc wieść

czarujące życie, które zawsze miałeś. Zgrywasz glinę, więc możesz udawać zwykłego człowieka. Ale kiedy nadszedł prawdziwy test, kiedy naprawdę powinienes być jednym z nich i zrezygnować z tego, co daje ci tę kurewsko uprzywilejowaną pozycję, udowodniłeś, że wszystko to tylko gra. Pamiętaj, że masz krew na rękach. Nigdy nikogo nie zabiłem, a teraz będę musiał zrobić to po raz pierwszy, bo tego ode mnie chcesz.

Zatrzymuje się, gwałtownie otwiera drzwi i waha się przez moment, po czym odwraca się do mnie.

– Posłuchaj samego siebie – prycha. – Masz głos jak dzwon. To ukrywanie się utrudniało ci mówienie, co? Musiało być ci strasznie ciężko trzymać wszystko w tajemnicy tak długo. Mamy grupę zadaniową przydzieloną do twojej sprawy. Wiemy, od jak dawna zakradałeś się na posesje i podglądałeś ludzi w ich domach. Od zajebicie dawna. – Mruży oczy, łobuzerski uśmiech rośnie na jego twarzy. – Ale kiedy jesteś sobą... Kiedy jesteś prawdziwym sobą, kiedy to zło może zabłysnąć, potrafiłbyś namówić rybę do wyjścia z wody.

– Może.

Moja obojętna odpowiedź sprawia, że czerwienieje na twarzy, a uśmiech zamienia się w nieprzyjemny grymas.

– Żałuję, że w ogóle się urodziłeś. Byłeś kurewską pomyłką.

– Wiem.

A potem zostaję sam, nareszcie wolny. Prawdziwie wolny, nie tylko nocami. Za kilka dni będę człowiekiem, którego nic już nie powstrzyma.

Poza moim bratem, jego żoną, dziećmi i mną nikt nie odwiedzał regularnie matki, kiedy umierała w szpitalu. Jej rodzice nie żyli od lat, a brat przyszedł tylko raz, bo był zajęty pracą w senacie. Kuzynostwo wysyłało kwiaty i kartki. Młodszy członkowie rodziny nawet jej nie poznali. Była ciotką, o której pewnie słyszeli, ale której nigdy nie widzieli na oczy. Nosila ich nazwisko, a Hunterowie zawsze troszczyli się o swoją rodzinę, ale nie zamierzali okrywać się wstydem. Przypominała im, że pomimo bogactwa, które sięgało jeszcze czasów gorączki złota, pomimo wysokiej pozycji, jaką zajmowali w lokalnych i narodowych urzędach, pomimo domów, łodzi i dyplomów Uniwersytetu Stanforda nie byli odporni na wszystko.

Nieszczęście wydarzyło się nagle, a potem rozwijało powoli. Miała ranę, którą przede mną ukrywała. Nie chciała iść do szpitala, jej paranoja znowu sięgnęła szczytu. Wydobyłem z niej prawdę, dopiero gdy poczułem w pokoju smród ropy. Kilka tygodni wcześniej matka skaleczyła się zardzewiałym metalem w oborze. Wdała się infekcja, która mocno wpłynęła na pogorszenie jej stanu psychicznego. Spędzała w łóżku wiele czasu, lecz nie wydawało mi się to podejrzane, ponieważ już wcześniej tak robiła. Nie zauważyłem, jak poważny jest jej stan, dopóki nie było za późno.

– Nie możemy tam jechać – oponowała słabo jak dziecko przerażone perspektywą wizyty u dentysty.

– Mamo, dosyć tego! – krzyknąłem na nią. – Nikt nie zrobi ci krzywdy w szpitalu! Gorzej już nie będzie – zapewniałem błagalnie. Rana na udzie cuchnęła zgnilizną. Skóra przy rozcięciu czerniała, a nieco dalej napuchła tak mocno, że stała się połyskliwa i gładka.

Wyniosłem mamę z pokoju, niewzruszony jej krzykami i płaczem. Całe dotychczasowe życie przestrzegałem wszelkich zasad, jakie ustalała, i żyłem w cieniu, żeby ją zadowolić. Lecz teraz to, co według niej miało nas chronić, przywiodło matkę na skraj śmierci.

Siedziałem w poczekalni, kiedy zajmowali się nią lekarze. Moje instynkty – te, które pozwalały mi zakradać się do domów i zawsze uciekać niezauważonym – podpowiadały, że to nie może się dobrze skończyć. Wiedziałem, że kiedyś będę zmuszony do życia bez niej. Nie

sądziłem jednak, że nastąpi to tak szybko. Coś ścisnęło mnie w piersi na myśl o świecie, w którym zostanę naprawdę sam. Więzienn bez strażnika. Dziecko bez matki. Wciąż byłem tym chłopcem, którego nie chciał nikt poza nią. Nie należała do ideałów, ale jako jedyna naprawdę się o mnie troszczyła. Nikt inny nie okazał mi tak bezwarunkowej miłości. W końcu przyszedł lekarz. Twarz miał poważną i wiedziałem, że instynkt znów mnie nie zawiódł. Mówił coś o sepsie, o tym, jak organy wewnętrzne mamy przestają działać, o antybiotykach, zapewnieniu jej komfortu, o ostrożnej nadziei. O przygotowaniu się na jej odejście. O tym, że powinienem zadzwonić do rodziny. A potem zostawił mnie tam samego w ciężkim szoku.

Zadzwoniłem do Scootera i dałem znać, że musi przyjechać. Przez kolejne trzy dni czuwałem przy niej. Scooter nie mógł mnie zastąpić. Miał pracę i rodzinę, a poza tym to nie była jego sprawa. Wszystko powinno zakończyć się wyłącznie w obecności nas dwojga, tak jak zawsze. Tylko takie rozwiązanie wydawało się właściwe. Ostatniego dnia przez większość czasu leżała nieprzytomna wśród kroplówek i pikających urządzeń. Czułem wręcz, jak życie ucieka z jej ciała. W nocy, tuż po krótkiej wizycie Scootera, ocknęła się i zobaczyłem błysk jej turkusowych oczu. Złapałem ją za rękę, nie spodziewając się, że znajdzie w sobie siłę, by mówić. Ale wtedy poruszyła wargami, sklejonymi i spierzchniętymi z braku wody. Zwilżyłem je, a mgła zniknęła z jej spojrzenia. Doskonale zdawała sobie sprawę, co się dzieje.

– Sam – wychrypiała.

– Tak, mam? – szepnąłem, pochylając się bliżej, żeby lepiej ją słyszeć.

– Ja wiem – westchnęła.

– Wiesz? – zapytałem.

Wzięła kilka ciężkich oddechów, próbując zachować siły.

– Wiem, gdzie chodzisz... nocami.

Zaprzeczanie nie miało sensu. Siedziałem przy martwej kobiecie, a martwa kobieta nie może nikomu zdradzić sekretów.

– Staralam się. Staralam się cię ochronić

– Zrobiłaś to, mam? – zapewniłem.

– Jesteś inny. Wiedziałam o tym.

– Nikt mnie nie skrzywdzi. Możesz odpocząć. Obiecuję, że o siebie zadbam. Nie musisz już chronić mnie przed nimi.

– Nie... – Urwała, wyraźnie wyczerpana krótką rozmową. – Nie przed nimi. Przed... tobą.

Te słowa uderzają we mnie jak taran. Jej kochany chłopiec, jej aniołek. Przez cały ten czas sądziłem, że postrzegala mnie jako kogoś wyjątkowego, niezrozumianego. Ale ona dostrzegala ciemność. Zamieszkała ze mną na odludziu, bo chciała chronić wszystkich innych.

Łzy popłynęły po moich policzkach po raz pierwszy, odkąd byłem w stanie sięgnąć pamięcią. Mama tymczasem zamknęła oczy i nie wypowiedziała już ani słowa.

Kiedy siedziałem tak w ciemności obok mojej jedynej sojuszniczki, zdałem sobie sprawę, że przez cały czas była jedną z nich. To ona uczyniła mnie tym, kim jestem. Zawsze byłem sam. Ona też uważała, że jestem dziwakiem. A teraz, gdy jej zabrakło, już nic nie trzyma mnie w tym świecie. Jeśli żyła, żeby chronić innych, to teraz bestia wyrwała się na wolność. Przez te wszystkie lata, kiedy obserwowałem cudze życia, obecność matki powstrzymywała mnie przed sforsowaniem niewidzialnej ściany. Mogłem chodzić po obcych domach, badać rzeczy domowników. Mogłem podglądać ich przez okna, ale nie mogłem odebrać im życia. Nie mogłem ich tknąć.

Po kilku godzinach, przez które leżała przy mnie bez przytomności, pochyliłem się i wyszeptalem jej do ucha wszystko to, co czułem głęboko w sobie przez lata, ale w co bałem się

uwierzyć. Była wszystkim, co miałem, moją wybawicielką, lecz zawsze wiedziałem, że to właśnie ona mnie zniszczyła. O wszystko obwiniałem ojca. On zasługiwał na te oskarżenia. Nie mogłem pozwolić sobie na złośczenie się na nią – jedyną osobę, którą miałem.

A ona wykorzystywała to przeciwko mnie.

– Chcę, żebyś wiedziała, że cię nienawidzę, ty chora suko. Nie zrobiłaś nic, żeby kogokolwiek uratować, ze mną włącznie. Jeśli to słyszysz, chcę, żebyś wiedziała, że ludzie będą cierpieć przez ciebie. Obiecuję ci to. Nikt nie będzie bezpieczny. Już nigdy więcej nie otworzyła oczu. Umarła kilka godzin później.

Rozdział 29

VESPER

Sam wrzuca ostatnią torbę do pick-upa.

– Co ze zwierzętami? – pytam.

Kiwa głową i biegnie do obory. Podążam za nim, by zobaczyć, jak otwiera drzwi i wyprowadza zwierzęta na zewnątrz. Klepie Beverly w zad, a klacz zrywa się do biegu. Kozy odchodzą kilka kroków, ale zostają w pobliżu.

– Poradzą sobie? – pytam, kiedy wracamy do wozu.

„Mają tu wszystko, czego im trzeba”, pisze Sam w notesie, po czym wskazuje na podłogę auta. Spoglądam na niego ze zdziwieniem. Wzdycha i znowu wyciąga notes.

„Musisz się położyć i zostać w ukryciu, dopóki nie wyjedziemy daleko poza miasto. Ludzie mogą Cię rozpoznać”.

– Wiesz, nie musiałbyś tego pisać, gdybyś po prostu się odezwał – pryham.

Posyła mi surowe spojrzenie i rusza do drzwi po stronie kierowcy. Stoję wciąż w miejscu, nie mogąc pozbyć się niepokoju. Nigdy nie robiłam czegoś takiego. Czuję się jak przestępca.

Sam zatrzymuje się, wyczuwszy moje wahanie. Bierze oddech i podchodzi do mnie. Sztynnieję, zastanawiając się, czy stres wywołany ostatnimi wydarzeniami uszczuplił jego pokłady cierpliwości. Ale on tylko ujmuję moją twarz w dłonie, spogląda mi w oczy i pochyla się tak, by nasze czoła się zetknęły. Wszystkim, co widzę, są jego oczy. Przez długi czas nie znałam nic poza nimi, były moim największym źródłem strachu i niepewności, lecz teraz poszłabym za nimi nawet do piekła. Piekło jest w tej chwili moim domem.

Głośno przełykam ślinę.

– Okej – szepczę.

Przesuwa rękami po moich ramionach i w końcu chwyta za dłonie. W nietypowym dla siebie geście przywiązania ściska mi palce. Mogłabym przysiąc, że przez ułamek sekundy widziałam żal w jego zazwyczaj pewnym spojrzeniu.

Bierze do ręki notatnik i coś pisze. Twarz mu poważnieje, kiedy pokazuje mi notkę: „Powinnas zrozumieć jedną rzecz. Jeśli nas znajdą, nie zamierzam iść do więzienia”.

– Co masz na myśli? – pytam, a spokój, który przed chwilą czułam, momentalnie ustępuje miejsca czystemu przerażeniu.

Unosi długopis, ale zamiera i znów spogląda mi w oczy. Układa palce jak pistolet, przystawia je sobie do skroni i udaje, że pociąga za spust.

– Nie. – Kręcę głową stanowczo. – Nie pozwolę ci na to.

„Tak będzie lepiej dla nas obojga”.

– Nikt nas nie złapie! Wydostaniemy się stąd – obiecuję.

Potakuje z powagą, a ja układam się na podłodze pick-upa, gdzie położył kilka koców i poduszek dla mojej wygody. Jedziemy przez długi czas, a ja obserwuję świat przez okno tylnych drzwi. Widzę migające korony drzew albo znaki drogowe wiszące nad ulicami. Kiedy indziej jedynie niebo i chmury. Zgaduję, że najmniej elementów pojawia się podczas jazdy autostradą. Sam włącza takie stacje radiowe, które będą mi się podobały. Czasami obraca się, żeby sprawdzić, czy wszystko okej, a ja pokazuję mu uniesiony kciuk. W pewnym momencie niepokój

całkiem ustępuje, a miarowe kołysanie samochodu sprawia, że zapadam w drzemkę. Budzę się dopiero wtedy, kiedy spokojny rytm zostaje przerwany podskakiwaniem i hałasem.

– Jak długo spałam? – pytam, mając nadzieję, że podstępem zmuszę Sama do rozmowy.

Nie odpowiada.

– Mogę już usiąść? – pytam.

Cisza.

Spoglądam w okno, choć z tej perspektywy zauważam tylko, że jesteśmy otoczeni przez drzewa tak wysokie, że nawet nie widzę ich wierzchołków. Pnie mają naprawdę potężne, rdzawo-brązowe. Sekwoje. Chociaż niemal zupełnie zasłaniają niebo, mgliste, pomarańczowe promienie przedostające się przez konary mówią mi, że słońce już zachodzi.

Samochód się zatrzymuje.

– Sam? – pytam, podnosząc się do siadu.

Ignoruje mnie. Wysiada, zatraskuje za sobą drzwi i zaczyna grzebać na pace. Dopiero wtedy mogę się rozejrzeć. Znajdujemy się na drodze gruntowej gdzieś w środku lasu.

– Co się dzieje? – pytam, czując rosnący niepokój.

Wraca do samochodu i otwiera drzwi obok mnie. Zanim zdążę się odwrócić, zakłada mi na głowę poszewkę poduszki.

– Co ty robisz? – jęczę, usiłując się wyrwać.

Wywleka mnie z samochodu, prosto w błoto, po czym przewraca na brzuch. Siada mi na biodrach i przyciska do ziemi. Próbuję się szamotać, ale nie jestem w stanie powstrzymać go przed związaniem moich rąk za plecami. Jest potworem, zawsze o tym wiedziałam, ale nie upadłby tak nisko. Nie pozwoliłby uwierzyć, że wreszcie możemy być wolni, tylko po to, by zaraz odebrać mi wszystko w taki sposób.

– Proszę, Sam... – błagam. Po policzkach płyną mi łzy.

Byłam taka pewna, że mnie potrzebuje, że nie wyrzuci mi krzywdy. Jestem jedyną osobą, która go zna, jestem jego człowieczeństwem. Ale teraz widzę tylko czerń i zastanawiam się, czy już jestem martwa.

SAM

Po związaniu rąk Vesper rozcinam jej sukienkę nożem myśliwskim. Na moment wraca wspomnienie, jak rozdarłem koszulę nocną tamtego wieczora, kiedy ją zabrałem. Ale teraz jest inaczej. Żołądek skręca mi się boleśnie. Jestem chory z żalu, kiedy odziera ją z ubrania.

Odsłoniłem przed nią całą prawdę. Doszedłem do wniosku, że jestem jej to winien. Od dawna chciała poznać moją historię, a ja mogłem w końcu na to pozwolić. Wiedziałem, że nikomu tego nie powtórzę, bo nie pożyje dostatecznie długo. Lecz w całą tę prawdę wplotłem drobne kłamstwa, które wywoływały gorycz na moim języku.

Powiedziałem, że mój brat pozwolił nam odejść, że musi położyć się na podłodze, żeby nikt jej nie widział, a nie dlatego, żeby nie mogła zobaczyć, dokąd jedziemy. Skłamałem, że zabiję się, jeśli nas złapią, żeby nie kusiła jej perspektywa ucieczki. I w końcu powiedziałem – nie słowami, lecz spojrzeniem – że wszystko będzie dobrze. Że się nią zaopiekuję.

Kłamię cały czas. Jestem jednym wielkim chodzącym kłamstwem. Ale gdy powiedziała mi, że myślała o naszej wspólnej ucieczce, musiałem zapewnić, że mogę znaleźć dla niej nową wolność, choć miałem świadomość, że jedynym wyzwoleniem, jakiego zazna, będzie śmierć z moich rąk. Oszukiwanie nigdy nie sprawiło mi tak wielkiego bólu. Niczym nie różnię się od swojej matki, obiecując Vesper, że zabiorę ją z dala od niebezpieczeństwa, podczas gdy sam jestem niebezpieczeństwem.

– Myślałam, że ci na mnie zależy. Myślałam, że mnie chcesz, że będziemy razem! – szlocha.

Ten jeden raz cieszę się, że nie mogę z nią rozmawiać. Rozcinam worek na śmieci i zakładam go jej przez głowę. Nie chcę, żeby znaleziono ją nago, ale nie mogę też zostawić ubrania, które zrobiłem. Być może policja zdołałaby dotrzeć po tych śladach do mnie, nawet jeśli mój brat spróbuje zwieść śledczych.

Vesper próbuje uciekać, ale traci równowagę i upada na twarz. Niedobrze mi od patrzenia na jej żalosne wysiłki. Od tego, że oszukałem ją tak nikczemnie. Jediną osobę, przy której nie czułem się tak bardzo potworem.

Podchodzi do niej powoli, podczas gdy ona wierzga nogami, desperacko usiłując odczołgać się ode mnie, związana, pozbawiona możliwości zobaczenia czegokolwiek. Podciągam ją na kolana, ale jest wiotka, jakby w końcu się poddała. Jakby walczyła tak długo, że nie ma już w sobie więcej siły.

Jęczy, ale pod poszewką brzmi to bardziej jak nucenie – ciche, melodyjne. Wyciągam pistolet zza pasa i przystawiam go do jej potylicy.

– Proszę – łka.

Przesuwam palcem po spuście, ale ręka bardzo mi się trzęsie. Krzywię się i biorę głęboki wdech, próbując skupić wzrok, który zaczyna się rozmywać. Wystarczy lekki nacisk mojego palca, a ona przestanie istnieć. Pojawiła się w moim życiu, wyrwała je do góry nogami i będzie nawiedzać mnie we wspomnieniach, tak jak ja nawiedzam wiele innych kobiet przed nią. W końcu znalazłem się po drugiej stronie i to moje życie nigdy już nie będzie takie samo.

Zajmowałem się nią tak długo. Stała się moją odpowiedzialnością. Nie! To pieprzenie! Ona jest czymś więcej. Jest moją obsesją. Biciem serca. Nagrodą. Nie jest jedną z nich, lecz częścią mnie. Zabicie jej byłoby samobójstwem.

Opuszczam pistolet i zwieszam głowę. Jeśli mam się zabić, zrobię to tak, jak powinienem, a nie jak życzy sobie Scoot.

– Przepraszam – szepczę, lękając się powiedzieć coś więcej.

Boję się, że zacznę się jąkać, bo teraz nie czuję przyływu adrenaliny wywołanego dominacją. Podchodzę do niej od przodu i ściągam jej z głowy poszewkę. Oczy ma rozszerzone i zaczerwienione, łka niekontrolowanie, dysząc ciężko. Opadam na kolana, żeby spojrzeć jej w oczy i pocałować ją po raz ostatni. Będę czuł ten pocałunek na ustach przez resztę swojej żalostnej egzystencji. W ukryciu. Szukając choć cienia tego uczucia, zanim umrę.

Nasze usta ledwie się dotykają. Nie oddaje pieszczoty, zbyt zdezorientowana, żeby to zrobić. Odsuwam się więc, lecz nie potrafię odejść. Chciałbym posmakować jej jeszcze jeden raz.

– Zostawiasz mnie tutaj? – pyta głosem pobrzmiewającym rozpaczą.

Całuję ją znowu, tym razem ujmując jej twarz w dłonie, czując drżące wargi na swoich. Zatrzymuję pamiętki ze wszystkich miejsc, w których byłem, pamiętki po ludziach, których okradłem, a ten pocałunek będzie pamiętką po niej. Nie jest taka jak inni. Do tej pory nigdy nie oddawałem tego, co zabierałem. Teraz jednak sięgam do kieszeni, wydaję naszyjnik z księżycem i zapinam go na jej szyi.

– Proszę, zabierz mnie ze sobą – błaga.

Niech mnie znieawidzi, właśnie tak powinno być. Wstaję i piszę do niej ostatni raz: „Zrób to, co musisz”. Pokazuję notes i patrzę, jak czyta. Upewniam się, że dociera do niej sens. Potem wyrwywam kartkę, chowam do kieszeni i ruszam do samochodu.

– Sam – mówi, jakby wciąż wierzyła, że to wszystko bluff. Pogrywałem z nią tyle razy, że nie wie już, co jest prawdziwe. – Sam!

– Tym razem w jej głosie wibruje gniew. – Sam! – wrzeszczy, kiedy zajmuję miejsce za

kierownicą.

Jadę w kierunku bocznej drogi, obserwując we wstecznym lusterku, jak mnie goni. Jest ubłocona, bosa, ręce ma związane za plecami. Jej krzyki kłują mnie w uszy, ale oddalam się szybko i przestaję słyszeć pełen rozpaczy głos. Zapada noc, a ona jest już tylko plamą w moim lusterku. Hamuję ostro i oglądam się po raz ostatni. Czuję jednak niebezpieczną siłę przyciągania, dlatego odwracam się do niej plecami i wbijam wzrok w drogę przed sobą.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 31

VESPER

Nazywam się Vesper Rivers.

Kiedyś łatwo mi było wypowiadać to zdanie. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co znaczyło. Nad wszystkimi drobnymi detalami, liniami i cieniami, które się w nim kryły. Może dlatego, że byłam tylko dwuwymiarowym szkicem osoby, grubymi konturami obrysowującymi tożsamość. Lecz teraz pojawiły się zmarszczki i małe, niemal niewidoczne bruzdy, które układają się w obraz tak złożony, że w zależności od tego, pod jakim kątem na siebie spojrzę, za każdym razem widzę kogoś innego.

Nie, oznajmienie obcej osobie, kim jestem, to zbyt trudne wyznanie. Strażnik parku pomyśli, że mnie zna, bazując na informacjach podawanych w wiadomościach, ale to tylko jeden z obrazów mojej osoby, wąska perspektywa. Gdyby zobaczył świat z mojej, byłby zszokowany.

Czekam więc, brudna, drżąca, popijając z kubka herbatę. Wciąż mam na sobie worek, który założył mi Sam, a na nim polarowy koc, i czekam na jedyną poza Samem osobę, która wie tyle samo co ja. Której nie będę musiała okłamywać.

Na ścianie naprzeciwko wisi głowa jelenia. Obok niej widzę zdjęcie pierwszego człowieka, na którego natknęłam się, biegnąc boczną drogą, przy której zostawił mnie Sam. Na fotografii jest z żoną i córeczkami. Cały ten świat zdaje się atrapą. Pobielone ściany mojej maleńkiej chatki, jezioro, niekończący się las – to była rzeczywistość.

Czuję ich spojrzenia. Lokalni funkcjonariusze policji obserwują mnie przez przekrzywione żaluzje na drzwiach dających fałszywe poczucie prywatności. Wypiłam osiem i pół kubka herbaty, po jednym na każde pół godziny czekania na szeryfa Ridgefielda. Jego nazwisko to wszystko, co mówię, ignorując wszelkie pytania. Nie zdradzam, kim jestem. Nie wyjaśniam, co się wydarzyło. Gapię się na niedopitą herbatę, kiedy drzwi otwierają się nagle. Nasze spojrzenia spotykają się i zauważam panikę w oczach szeryfa. Bardzo się stara, żebym jej nie dostrzegła. Po jego bladej twarzy i grobowej minie ewidentnie widać, że miał nadzieję nie zobaczyć mnie nigdy więcej.

Zamyka drzwi za sobą. Spoglądam na rozchylone żaluzje, a on podąża za moim spojrzeniem i chwyta za pokrętko, by zasłonić nas przed ciekawskimi spojrzeniami. Mocno zaciskam palce na kubku, kiedy powoli odsuwa krzesło po drugiej stronie stołu. Tak jest łatwiej. To mogę znieść, w przeciwieństwie do wielkiego zamieszania z policją i prasą. Tylko jedno pomieszczenie, ten człowiek i ja.

– Wyjechałem, kiedy tylko zadzwonili. Porzucono cię daleko od domu.

Ma na myśli parterowy budynek na słonecznym przedmieściu, z którego zostałam porwana. Miejsce, w którym oświadczył mi się mój chłopak. Ale to nie jest już mój dom.

Kiwa głową.

Jest mądry. Nic nie mówi. Nie wie, ile ja wiem, jednak zdaje sobie sprawę, że ode mnie zależy, czy jego życie pozostanie w równowadze. Wreszcie dociera do mnie ciężar sekretu Sama. Nie chodzi tylko o upokorzenie i wstyd przyniesiony rodzinie, lecz o wypracowaną przez pokolenia reputację oraz dobrobyt, które w jednej chwili mogą legnąć w gruzach. O przyszłość

tego człowieka, która momentalnie wyparuje.

„Twój brat zabrał każdą część mojego jestestwa. Ale dał mi fragmenty siebie. Dopasował je do mnie siłą. Teraz z nimi zostałam, porzucona jak niechciane zwierzę. Nie jestem tą dziewczyną ze zdjęcia, które masz w teczce. Ona nie wróciła. Zniknęła na zawsze”.

– Jesteśmy sami? – pytam.

Spogląda przez ramię, po czym przysuwa się bliżej.

– Na razie.

– Sam powiedział mi o wszystkim – mówię.

To nie jest ani groźba, ani deklaracja posłuszeństwa wobec stróża prawa, tylko informacja. W jednej chwili oblewa go pot, a skóra zmienia kolor z bladożółtego na szary. Przełyka ślinę.

– Ale ja nic nie wiem – dodaję.

Jego pierś opada z głębokim wydechem. Pochylam się do przodu, patrząc mu w oczy. W ogóle nie przypominają oczu Sama. Są brązowe, o lekko rdzawym odcieniu. Potrzebują światła, żeby błyszczeć, podczas gdy tęczówki Sama zdawały się jaśnieć w ciemności.

– Nie wiem, jak się nazywa. Nie wiem, dokąd mnie zabrał. Nie odezwał się ani słowem. Nic nie widziałam. Zasłonił mi oczy i woził godzinami, zanim mnie porzucił. Przykro mi, że nie mogę bardziej się przydać.

Nie mam pojęcia, dlaczego to robię. Dlaczego chronię człowieka, który tak mnie potraktował. Bo z pewnością nie dla Andrew czy może Scootera, jakkolwiek by nie brzmiało jego imię. Jestem teraz wolna. Nie znajduję się już pod wpływem Nocy. Pozwolił mi opowiedzieć moją historię, ale jeśli to rzeczywiście zrobię, on zostanie zamknięty, a wtedy nastąpi koniec. Nie czuję się gotowa, żeby zdradzić nasze sekrety. Nie chcę dzielić się ze światem tym nowym obrazem mojej osoby. Niech widzą mnie tak, jak głosi historia opowiadana w wiadomościach. Jeszcze nie skończyłam z Samem, nawet jeśli on myśli, że skończył ze mną. Szeryf Ridgefield siedzi w milczeniu przez kilka chwil, analizując całe szambo, które właśnie na niego spłynęło.

– Jeśli nic nie wiesz, to dlaczego chciałaś widzieć się ze mną? – pyta, sugerując tym samym, że tego zechcą dowiedzieć się ludzie, którzy będą ze mną rozmawiać w przyszłości.

– Nie wiem – odpowiadam, wzruszając ramionami. – Nic nie wiem.

Opiera się na krześle i wydaje głośne westchnienie.

– Dlaczego to robisz? – pyta sceptycznie.

Przesuwam palcem po przybrudzonej krawędzi stołu. Nie wiedzą, jak mnie kapał, karmił, pieprzył, obejmował. Nie wiedzą o pięknych sukienkach, o tym, jak wirowały, kiedy tańczyłam do muzyki z płyt, które przynosił. Jak moje dłonie, niegdyś zadbane, przerzucały strony książek, które mi dał.

– Nawet ty byś nie zrozumiał – mamrocę.

Pochyla się niżej, jego twarz wykrzywia ból.

– Nie miałem pojęcia, Vesper. Proszę, zrozum. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłby zrobić coś takiego.

Kiwam głową.

– Mogę dopilnować, żeby niczego ci nie brakowało. Żeby zadośćuczynić za twoje... cierpienie.

– Nie chcę. Będziesz musiał po prostu mi zaufać.

– Dlaczego go chronisz? – pyta. – Skąd mogę wiedzieć, że nie obudzisz się jutro i nie powiesz wszystkim? Jeśli będę go krył, znajdę się w tym gównie po same uszy, rozumiesz? Ryzykuję wszystkim, co mam. Tego właśnie chcesz?

– Tu nie chodzi o niego – zapewniam szeryfa. – Ani o ciebie – dodaję, spoglądając na swoje mętne odbicie w spękanej, chromowej ramie plakatu za jego plecami. – Jeśli chcesz powiedzieć prawdę, zrób to. Nie mogę cię powstrzymać.

Marszczy brwi.

– Zabiorę cię do szpitala i tam przesłucham. Zrobiło się tu małe zamieszanie. Tutejsi policjanci domagają się uznania ich zasług, bo znaleziono cię w ich rewirze. Pieprzone gliny z Keystone. Będę musiał tam iść i zrobić małe czary-mary.

Kiwam głową, popijając zimną, gorzką herbatę, żeby czymś się zająć.

– Vesper, ja mam rodzinę. Małego syna i córkę. Proszę.

Nie obwiniam go za to, że sytuacja wydaje mu się zbyt piękna, żeby była prawdziwa.

– Czy moja rodzina wie? – pytam.

Powrót nadal jest czymś zupełnie abstrakcyjnym, a to pomieszczenie zdaje się istnieć w jakimś stanie zawieszenia. Nawet o nich nie pomyślałam, dopóki nie wspomniał o zawiezieniu mnie do szpitala.

Spuszcza wzrok.

– Zadzwonili do twoich rodziców, ale nikt nie odbierał. Potem zadzwoniliśmy do twojego narzeczonego, który powiedział, że są poza krajem i spróbuje się z nimi skontaktować. To on zabierze cię do domu.

Chociaż wisi nade mną perspektywa ponownego spotkania z Carterem, kompletnie nic nie czuję. Pamiętam, jak kiedyś oglądałam wiadomości o dziewczynie, która zniknęła. Jej rodzice każdej nocy zostawiali na werandzie włączone światło w nadziei, że wróci. Nie ruszali się z domu przez dekady w obawie, że nie będzie ich, kiedy ona się zjawi. Oczywiście nigdy nie wróciła. Moja matka jest gdzieś daleko. Pod tym względem nic się nie zmieniło. I odnajduję w tym coś dziwnie pocieszającego.

Kiedy po badaniach zauważam Cartera, wybucham płaczem. Nie sądziłam, że tak zareaguję, dopóki nie pojawił się przede mną. Od czasu powrotu nie uroniłam ani jednej łzy. Nawet podczas przesłuchania, gdy opowiadałam, co robił ze mną obcy mężczyzna.

Zasłaniał mi oczy. Zawsze nosił kominiarkę, więc nie mogłam zobaczyć żadnych szczegółów. Nigdy się nie odzywał. Poznałam tylko kolor jego oczu. „Brązowe”, powiedziałam z przekonaniem.

Patrzyłam, jak po skroniach szeryfa Ridgfielda płyną strużki potu zdradzające, że jego opanowanie to tylko fasada. Po drodze, w samochodzie, nie rozmawialiśmy dużo. Ustaliliśmy jednak, że tak naciskałam na jego obecność, bo zobaczyłam jego nazwisko w gazetach, które służyły mi za toaletę w piwnicy.

Dawniej w takich sytuacjach robiłam się nerwowa i gadatliwa. Chciałam wypełnić każdą nierówną szczelinę ciszy, by wszystko na powrót stało się okrągłe i gładkie. Teraz owo napięcie wydaje się trywialne w porównaniu z grozą, którą przeżyłam. Nie zgodziłam się na badanie ginekologiczne. Lekarka naciskała, ściągnęła nawet samego szeryfa, żeby spróbował ze mną porozmawiać. Zrobił to, choć jestem pewna, że był zadowolony z mojego uporu. Nie zamierzałam nikogo do siebie dopuszczać. Pewnie uznali, że to z powodu traumy. Chciałam, żeby doszli do tego wniosku. Ale tak naprawdę opierałam się dlatego, że mam w sobie sekret, który należy tylko do mnie i do Sama.

– Vesper – mówi Carter miękko i biegnie w moją stronę.

Oczy mu się szklą od emocji i w tym momencie wybucham. Byłam totalnie rozbita, kiedy straciłam babcię. Płakałam po niej całymi dniami. Lecz po jakimś czasie nawet najostrejszy ból traci na intensywności i człowiek stara się nie myśleć o osobie, która odeszła.

To najlepszy sposób, by cierpienie ustało. Aż pewnego dnia okazuje się, że myślenie i mówienie o tej osobie nie powoduje już ostrego klucia w sercu ani nie pozbawia tchu.

Pamiętam, jak sama tak sądziłam. Minęły dwa lata od śmierci babci, a ja żyłam dalej swoim życiem. Któregoś dnia sprzątałam w pokoju i w jednej z szuflad znalazłam zdjęcie. Nie należało do najlepszych – było krzywo zrobione, ona sięgała po coś poza kadrem, na podłodze zobaczyłam kawałek swojej nogi. Pewnie siedziałam i czymś się bawiłam. Zdjęcie nie miało żadnego znaczenia, nie zapisał się na nim żaden doniosły moment. Babcia nawet się nie uśmiechała. Pewnie dlatego schowałam je w szufladzie. A mimo to okazało się, że nie jestem przygotowana na pustkę, jaką babcia po sobie zostawiła. Rozpacz zaatakowała znienacka i zszokowana zdałam sobie sprawę, że płaczę.

To samo zrobiłam przy Carterze. Odepchnęłam go w odległy zakamarek umysłu, zapomniałam o nim i naszej wspólnej przyszłości. Ale na jego widok rozpacz wyrывa się z kajdan i przejmuję nade mną władzę. To życie, któremu Sam zwrócił mnie w tak okrutny sposób, było od dawna martwe. Zdażyłam już opłakać Cartera i ten świat, a teraz mam w jakiś sposób uwierzyć, że cokolwiek z tego jest prawdziwe. Nigdy nie było, nie wtedy, gdy mogło zostać mi odebrane z taką łatwością. Spotkanie z Carterem jest zupełnie jak znalezienie tamtego zdjęcia. Nie zwraca mi jego, tylko sam ból.

Otacza mnie ramionami, lecz nie czuję się gotowa na jego dotyk. Ręce ma długie i smukłe, nie twarde i silne. Pachnie wodą kolońską i sterylnym szpitalem, nie mężczyzną, lasem i szamponem wyczuwalnym na wilgotnych włosach. Teraz to Carter jest obcym, ale wiem, że nie powinnam się tak czuć, więc daję mu to, czego potrzebuje.

Po kolejnej rundzie pytań Ridgefield wyprowadza nas tylnym wyjściem. Nie widziałam wcześniej żadnych dziennikarzy, ale nie wątpię, że już gromadzą się na zewnątrz. Szeryf znacząco kiwa głową i przypomina łagodnie, że będą dzwonić, kiedy śledztwo posunie się naprzód. Dziękuję mu, a Carter umieszcza mnie na siedzeniu pasażera w swoim samochodzie z taką ostrożnością, jakbym była figurką z cienkiego szkła.

Rozdział 32

VESPER

Mieszkanie, do którego zabiera mnie Carter, jest obce. Nie w metaforycznym sensie, lecz w dosłownym – kiedy mnie porwano, mieszkał jeszcze z rodzicami, odkładając na własny kąt. Wygląda na to, że zrealizował swój plan.

– Pomyślałem, że może powrót do domu tak szybko nie jest dobrym pomysłem – mówi nieśmiało.

– Ładnie tu – mruczę, oglądając surowe wnętrze.

– Nie miałem czasu na dekorowanie i w sumie nie czułem takiej potrzeby. Może ty mogłabyś mi z tym pomóc – sugeruje, śmiejąc się nerwowo.

Uśmiecham się wymuszenie. Wydawało mi się, że byłam gadatliwa, a przynajmniej takie odnosiłam wrażenie przy milczącym Samie. Okazuje się jednak, że nagle mam niewiele do powiedzenia. Przywykłam do długich okresów ciszy i teraz dźwięki wydają mi się kompletnie niepotrzebne.

– Jesteś głodna? Mogę przygotować coś do jedzenia.

Umieram z głodu. A przede wszystkim chcę, żeby miał coś do roboty poza obserwowaniem mnie i zastanawianiem się, jak powinien się zachowywać, bym nie rozpadła się na kawałki.

– Pewnie, zjem cokolwiek. I chciałabym wziąć prysznic.

– Oczywiście, oczywiście!

Pośpiesznie prowadzi mnie do łazienki, zostawia mi ręcznik i instruuje, jak uzyskać idealną temperaturę, używając kapryśnego pokręta. Zamykam drzwi za sobą – odruchowo, jak przypuszczam. Kliknięcie przypomina mi o głośnym szczęku rozlegającym się za każdym razem, gdy Sam zostawiał mnie w szopie. To sygnał, który kiedyś oznaczał, że jestem bezpieczna, a teraz – że jestem sama. Policja zabrała gruby worek, którym byłam owinięta, i zostałam w fartuchu z flizeliny. Ściągam go, patrząc na siebie w lustrze. Włosy mam znacznie dłuższe, a ciało zrobiło się jeszcze smuklejsze, niż było. Przesuwam palcami po brzuchu. Na zewnątrz nie ma żadnego śladu tego, co jeszcze niedawno znajdowało się we mnie. I chociaż trochę trwało, zanim przyjąłam do wiadomości istnienie dziecka, w końcu zaczęłam czuć się jak matka. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, nawet szeryf Ridgefield.

Sam miał świadomość, że nie mogę wrócić, a jednak mnie wypuścił. Zostawił w świetle, który nigdy nie zrozumiałby decyzji, jakie podjęłam. Zmienił mój kształt, a potem spróbował wepchnąć z powrotem w miejsce, do którego już nie pasuję. Wchodzę pod strumień ciepłej wody. Zamykam oczy i przypominam sobie, jak po raz pierwszy wziął mnie pod prysznicem w kabinie. Bez słów pokazał mi, że czynię go słabym.

Osuwam się po zimnej ścianie i siadam na podłodze. Woda spływa po skórze, a ja zaczynam szlochać. Jestem przerażona. Nie wiem, ile jeszcze zdołam przetrwać. Zaakceptowałam go, a on mnie od siebie odepchnął i pozwolił upaść. Jest gdzieś tam, wiem o tym. I któregoś dnia odnajdę go i oderwę od jego życia, tak jak on oderwał mnie od mojego.

– Przepraszam, myślałem, że mam coś więcej w lodówce – mówi Carter, kiedy siadam przed tostem przekrojonym po przekątnej. – Jest tak późno, wszystko już pozamykane. – Daj spokój, tost jest super – zapewniam.

Odgryzam kęs i podnoszę wzrok. Stoi pod ścianą, patrząc na mnie.

– Przepraszam, Vesp. Po prostu... Nie mogę uwierzyć, że wróciłaś.

– Ja też nie.

– Wiesz co? Nigdy nie straciłem nadziei. Znaczący... na logikę wiedziałem, jakie są szanse, ale znałem też ciebie. Jesteś silna i taka dobra, i... Dlatego kupiłem to mieszkanie. Pomyślałem, że jeśli wrócisz i tego zechcesz, będziesz mogła zamieszkać gdzie indziej niż w tamtym domu.

Zamieram. Nie wiem, co powiedzieć. Nie jestem silna, nie walczyłam dość dzielnie. A może walczyłam? Tak bardzo zależało mi na przeżyciu, że stałam się kimś innym?

– Dziękuję – odpowiadam.

– I chcę tylko powiedzieć, że przepraszam... że nie mogłem cię obronić. Próbowałem wyważyć drzwi, robiłem wszystko, żeby do ciebie dotrzeć. I słyszałem, co powiedziałaś... Co zrobiłaś, żeby nas chronić. Jestem tak...

– Carter, proszę. Nie rób tego. Nie masz za co przepraszać.

Marszczy brwi i kiwa głową, powściągając rozpacz.

– Więc gdzie jest moja rodzina? – pytam, gotowa poruszyć bolesny temat.

– W Brazylii, podróżują po Amazonii. Zadzwoniłem do biura podróży, w którym wykupili wycieczkę, i dowiedziałem się, że jeszcze przez kilka dni będą poza zasięgiem.

Prycham.

– Zabrała Johnny'ego do Amazonii? Jest szalona. No cóż, przynajmniej była zmuszona spędzać z nim więcej czasu.

– Mhm.

Carter nerwowo odwraca wzrok.

– Co? – dopytuję się.

– Słuchaj, masz mnóstwo spraw do nadrobienia. Dzisiaj powinnaś po prostu odpocząć, porozmawiamy jutro, dobrze?

– Carter, mów, do cholery! – warczę.

Bierze głęboki wdech, a potem spuszcza głowę.

– Johnny już nie mieszka z twoją matką.

– Co takiego? – parskam oburzona.

– Jest w placówce dla niepełnosprawnych.

Ta informacja wyciska z moich płuc całe powietrze niczym potężny kopniak w pierś. Robi mi się niedobrze na myśl, że nie tylko ja zostałam zapomniana, ale i Johnny. Zrywam się na nogi i chwiejnym krokiem ruszam do sypialni. Carter opuszcza swój posterunek pod ścianą i biegnie do mnie.

– Co robisz, Vesp? – pyta.

– Jadę po niego. On nie może tam zostać. Nie przeszłam przez to wszystko po to, żeby oddała go do jakiegoś domu opieki! Co za samolubna suka! – krzyczę.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

– Oczywiście, że ci się nie wydaje. Nigdy go nie chciałeś. Nikt go nie chciał!

Garbi się.

– Vesp, to niesprawiedliwe.

– Nie mogę pozwolić, żeby tam zgnił. Ma rodzinę, nie jest pierdoloną rośliną, tylko człowiekiem, który potrzebuje miłości i uwagi!

Próbuję ominąć Cartera, ale staje mi na drodze.

– Vesp, znam ten ośrodek. To miłe miejsce. Johnny dostaje mnóstwo uwagi i jest otoczony fachową opieką. To naprawdę dobre miejsce – powtarza.

– On mnie potrzebuje – naciskam. – Potrzebuje mnie!

– I co mamy zrobić, porwać go stamtąd? Nie jesteś jego prawną opiekunką.

– Zrobię, co będzie trzeba – pryham, mijając go.

Carter chwytą mnie za ramiona, a ja wzdrygam się od jego dotyku. Mam wrażenie, że to zdrada wobec osoby, która tyle mi odebrała.

– Proszę, posłuchaj mnie – nalega Carter. – Dopiero co wróciłaś. Musisz zadbać o siebie. Johnny jest w bezpiecznym miejscu. Niedługo będziesz mogła go odwiedzić, ale na razie nie jesteś w stanie się nim zaopiekować. Ten jeden raz powinnaś zająć się sobą. On też wiele przeszedł. Nie możesz po prostu wparować tam i go zabrać. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo będzie się czuł skołowany? A co z tobą? Zniknęłaś na prawie rok. Musisz skupić się na sobie. Jeśli zależy ci na Johnnym, zostawisz go tam, dopóki nie będziesz absolutnie pewna, że naprawdę jesteś gotowa zająć się takim dzieckiem jak on.

Rzeczywistość uderza mnie jak chluśnięcie zimną wodą w twarz. Nie potrafię normalnie żyć, a przynajmniej nie bez Sama, który wziął na siebie całą odpowiedzialność. Ubierał mnie, karmił, zabawiał. Troszczył się tak, jak ja troszczyłam się o Johnny'ego. I podobnie jak Johnny będę musiała teraz nauczyć się wszystkiego od nowa.

– Miałam go uratować – szlocham, a Carter przytula mnie i przez krótką chwilę wracają wspomnienia jego ciepłych uścisków. – Wszystko się popieprzyło.

Zostawiłam Johnny'ego, tak jak Sam zostawił mnie. Może zrobił to w akcie litości, tak samo jak ja tamtej nocy, gdy postanowiłam odciągnąć go od Johnny'ego, ale jedna i druga decyzja miała nieprzewidziane konsekwencje.

Carter trzyma mnie w ramionach, a po moich policzkach płyną łzy. Pozwalam sobie na to tylko przez krótką chwilę, a potem wysuwam się z jego objęć. Przez cały czas myślałam, że się zmieniałam, podczas gdy wszystko wokoło pozostało takie samo. Ale świat nie czeka na ciebie tylko dlatego, że zostałam porwana. Po prostu przerasta wspomnienia o tobie, tak samo jak las przerósł konstrukcje, które Sam zbudował jako dziecko.

Rozdział 33

VESPER

– Powinienem zostać tutaj – oznajmia Carter, zakładając zegarek. – Zrozumieją. Cholera, może mógłbym po prostu wziąć wolne.

– Nie – protestuję twardo. – To niedorzeczne. Nie możesz wywracać swojego życia do góry nogami. Doceniam propozycję, naprawdę, ale nie pozwolę na to. Nie możemy dopuścić, żeby mój powrót wszystko zmienił.

– Nie dam rady się skupić, wiedząc, że jesteś tu sama. Powinniśmy poczekać przynajmniej do czasu, aż wrócą twoi rodzice, Vesper.

– Minęły już cztery dni, na pewno niedługo się zjawią. Poza tym i tak będę siedziała tu cały dzień. Na zewnątrz stoi radiowóz, obserwują mnie. Jeśli chcesz, żeby wszystko wróciło do normy, musimy zachowywać się normalnie.

Wstaję z krzesła i podchodzę w stronę Cartera. Wyczuwam, czego pragnie. Chce, żebym go dotknęła, pocałowała, ale nie mogę. Tak naprawdę wciąż mnie tu nie ma.

– Nie zrzucaj tego na mnie, nie mogę być odpowiedzialna za coś takiego. Proszę, po prostu wracaj.

– No dobra, ale będę dzwonił co godzinę, żeby sprawdzić, czy wszystko u ciebie dobrze.

– W porządku.

– Okej – odpowiada, choć wciąż jest niepewny.

Podążam za nim do drzwi. Odwraca się do mnie i wzdycha.

– Okej – powtarza. – To cześć.

– Cześć – odpowiadam ze smutnym uśmiechem.

Jest sztywny, jakby ścisnęła go jakieś niewidzialne ręce. Widzę, jak się napina, powstrzymując potrzebę przytulenia mnie. Powinam powiedzieć mu, że może to zrobić, ale nie potrafię.

– Nic mi nie będzie.

Kiwa głową i wychodzi.

Czekam, aż umilkną jego kroki, a potem zamykam drzwi i zakładam łańcuch. Odwracam się i przyciskam do nich plecy, z trudem nabierając powietrza. Wreszcie mogę oddychać. Minęły dopiero cztery dni, a Carter już mnie dusi. Powinam łaknąć stałej uwagi, lecz nie takiej. Tę, której pragnę, potrafił dawać mi tylko Sam. Carter jest ostrożny, delikatny i niezręczny. Nie mogę wymagać wiele od naszej relacji i dobrze o tym wiem, ale po prostu potrzebuję przestrzeni dla siebie. Nie wystarczają mi ucieczki do łazienki, gdzie biorę superdługie prysznice, żeby móc się wypłakać.

Podchodzę do okna i wyglądam na ulicę. Przy krawężniku stoi radiowóz. Szeryf mówił, że będą mnie pilnować przez tydzień, na wypadek gdyby sprawca po mnie wrócił. Musi udawać, że chce rozwiązać tę sprawę. Prawdopodobnie postanowił zaryzykować, wierząc, że Sam jest zbyt mądry, by pojawić się tak szybko. Włączam telewizor. Akurat leci jakaś telenowela, więc zmieniam kanał i wtedy widzę swoją twarz. Zdjęcie nieznanego dziewczyny. Panikuję i znowu zmieniam kanał, zanim zdążę usłyszeć choć słowo z tego, co mają do powiedzenia na mój temat. Docieram do ostatniej stacji, a potem skaczę po kanałach z powrotem. W wiadomościach zdążyli już przejść do kolejnej sprawy. Wciąż jednak nie potrafię uspokoić swoich myśli, więc wyłączam

telewizję. Kręcę się po niewielkim mieszkaniu, ostrożnie dotykając przedmiotów, jakby były rzadkimi artefaktami.

Słyszę hałas za drzwiami i zamieram. Czy to on?

Biegnę tam i zerkam przez judasza. Okazuje się, że sąsiadka wchodzi do swojego mieszkania. Spuszczam wzrok na przedramię. Wszystkie włoski stanęły mi dęba. Pędzę do okien, by upewnić się, że są zamknięte, a rolety zasłonięte.

Potrząsam głową, jakbym próbowała rozpędzić sprzeczne myśli. Wciąż go pragnę i nienawidzę siebie za to. Jestem przerażona, a jednak chcę, żeby po mnie przyszedł. Stanowi największe zagrożenie i zawsze będę czuła wiszące nad sobą niebezpieczeństwo, dopóki znowu nie znajdę się przy nim. Bycie z Samem to jedyny sposób, bym poczuła się bezpieczna.

Kolejne godziny upływają mi na podskakiwaniu przy każdym głośniejszym dźwięku i przestawianiu różnych rzeczy z miejsca na miejsce, aż w końcu niepokój bierze górę nad strachem. Zakładam koszulę Cartera oraz spodnie, które przywiózł z mojego domu, upinam włosy i pożyczam jego okulary przeciwsłoneczne.

Patrząc na drzwi przez minutę, zastanawiam się, czy powinnam opuścić strefę bezpieczeństwa. Minęły cztery dni, odkąd przez nie przeszłam. Szkoda, że nie mogę po prostu wybrać się nad jezioro. Jest takie spokojne i rozległe, w niczym nie przypomina ciasnego więzienia, w którym teraz siedzę.

„Przestań, Vesp. Nie wracasz. Zrób to. Musisz to zrobić”.

Niepewnie wyciągam drżącą dłoń i łapię za klamkę.

„Dasz radę. Przekręć ją. Zrób to”.

Zamykam oczy, biorę drżący oddech, po czym przygryzam wargę, usiłując wykrzesać z siebie resztki energii.

Przeszywający dźwięk telefonu sprawia, że odskakuję do tyłu. Znowu z trudem nabieram powietrza, wyrwana z uspokajającego transu, w który sama się wprowadziłam. Dzwoni trzy, może cztery razy, zanim zdaję sobie sprawę, że powinnam odebrać. Pod nieobecność Cartera to mój obowiązek.

– Halo? – mówię do słuchawki.

– To ja – odpowiada Carter.

– Cześć.

– Przepraszam, trochę późno dzisiaj dzwonię. Wszystko w porządku? Jak się masz?

– Jest okej. Nic się nie zmieniło, odkąd wyszedłeś – zapewniam. – Jak ci mija dzień?

– Dobrze. Tak jak wspominałem, trudno mi tutaj siedzieć z myślą, że jesteś sama.

– A ja ci mówiłam, że nie musisz się o mnie martwić.

– W takim razie... zadzwonię za godzinę. Tym razem zgodnie z grafiką.

– Dobra.

Rozłączam się, teraz już zdeterminowana, by od razu wyjść na zewnątrz i wrócić w ciągu godziny, zanim Carter znów zadzwoni. Maszeruję w kierunku drzwi, spowalniana przez wątpliwości, które zdają się hamować moje ciało, lecz tym razem łapię za klamkę i naciskam na nią z determinacją.

Telefon dzwoni znowu. Prycham, poirytowana natarczywością Cartera akurat teraz, kiedy znalazłam w sobie trochę odwagi. Człapię z powrotem do telefonu i podnoszę słuchawkę.

– Halooooo – mówię melodyjnym tonem, ukrywając rozdrażnienie.

Nie ma odpowiedzi.

– Carter? – pytam.

Oddech. To wszystko, co słyszę po drugiej stronie.

– Carter, czy to ty? – dopytuję się, przekonana, że to jakieś problemy z połączeniem. Nadal dociera do mnie jedynie odgłos oddechu. Jest tak lekki, że słyszę go wyłącznie dzięki martwej ciszy w domu.

Usta mi drżą, kiedy z trudem wypowiadam wszystko to, co w tej chwili potrafię:

– Sam?

Czekam na coś, na jakikolwiek znak, dopóki rozmówca nie rozłącza się, a agresywny sygnał w słuchawce nie zaczyna dudnić mi w uchu. Z trudem odkładam słuchawkę na widelki i wlokę się do łazienki. Przekręcam piszczący kurek, aż strumień wody z prysznica jest dostatecznie głośny, by zatopić w szumie każdy drobny dźwięk mogący wywołać przerażenie, a potem siadam na klapie sedesu i czekam na powrót Cartera.

– Zabieram cię na kolację – oświadcza Carter, zdejmując ubrania po powrocie z pracy.

– Och... Ja... Uhm...

– Minęło sześć dni. Nie chcę na ciebie naciskać, ale chociaż spróbujmy, co? Dziennikarze w końcu odpuścili, myślą, że jesteś gdzie indziej.

Przypominam sobie, jak niewiele brakowało, żebym tamtego dnia sama z siebie wyszła na zewnątrz. Ów tajemniczy telefon idealnie wstrzelił się w moment, gdy zaczęłam zastanawiać się nad życiem, które za sobą zostawiłam. To był on. To musiał być on. Ciągle zastanawiam się, o co mu chodziło. Chciał w ten sposób pokazać, że wciąż o mnie myśli? A może to swego rodzaju drwina?

Podskakuję na dźwięk każdego telefonu. Czekam nerwowo, aż Carter odezwie się w słuchawce, bo boję się, że jeśli przejmę inicjatywę, zdradzę swój sekret. Na razie jednak nie wydarzyło się nic niezwykłego, a mnie nawet do głowy nie przyszło, żeby gdzieś wychodzić. Przecież mógłby zadzwonić pod moją nieobecność i przegapiłabym szansę na zamknięcie pewnego rozdziału swojego życia.

– Pójdziemy w jakieś ciche miejsce, nie będziemy tam siedzieć za długo – naciska Carter.

Rozbiera się do bokserek, ja zaś uświadamiam sobie, że to pierwszy raz od mojego powrotu, kiedy rozebrał się przy mnie. Przypominam sobie, co mi się w nim podobało: to, jaki jest wysoki, jak ładnie układają się mięśnie na jego brzuchu. – Twoja mama wróci za kilka dni. Wiem, że to będzie dla ciebie trudne, dlatego pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jeśli przypomnisz sobie, jak to jest trochę się rozluźnić.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– No dobra – mruczę wreszcie.

– Świetnie! – odpowiada, po czym z rozpędu całuje mnie w czoło.

Mimowolnie sztywnieję. Carter udaje, że tego nie zauważa, ale znam prawdę.

– Wezmę szybki prysznic – mówi.

Idzie do łazienki i ostrożnie zamyka drzwi za sobą, a ja wzdycham głośno, a potem opadam na łóżko.

Dzwoni telefon. Na moment przestaję oddychać. W pierwszym odruchu chcę rzucić się do aparatu, ale Carter może wyjść, by odebrać, a ja wolałabym nie musieć wyjaśniać swojego nagłego entuzjazmu w tej kwestii. Dzwonek brzęczy nadal. Carter nie wraca, z czego wnoszę, że musi być już pod prysznicem. Podchodzę do aparatu między trzecim a czwartym dzwonkiem.

– Halo?

Cisza.

– Halo? Jest tam kto? – pytam, a gardło ściska mi się od emocji. – Jeśli to ty, powiedz

coś, proszę.

Westchnienie.

– Jak mogłeś mnie tak zostawić? Dlaczego to zrobiłeś? – syczę. – Odpowiedz, proszę. Wiem, że możesz coś powiedzieć. Daj mi chociaż tyle po tym wszystkim.

Nic. Nie zaszczyca mnie ani słowem.

– Wyrzuciłeś mnie jak niechciane zwierzę, a teraz znów wdzierasz się w moje życie? Czego ty chcesz? Jeśli chciałeś mnie zostawić, to zrób to. – Wcale tak nie myślę, ale wiem, że właśnie w ten sposób powinnam powiedzieć. Cisza.

– Niech cię szlag, niech cię jasny szlag – warczę na chwilę przed tym, jak po drugiej stronie rozlega się kliknięcie, a on znowu znika z mojego świata.

Odkładam słuchawkę i ocieram łzy rękawem. Zerkam w lustro, upewniając się, że nic po mnie nie widać. Carter chciałby wiedzieć, co się stało, a ja nie mam ochoty mu wyjaśniać

Siadamy przy stoliku w Ten 22, restauracji którą kiedyś uwielbiałam – i pewnie nadal uwielbiam. Carter promienieje. Sądzi, że to przełom. Staram się być obecna, ale potrafię myśleć tylko o telefonie. O tym, jak nienawidzę Sama i jak tęsknię za naszym cichym, szalonym światem. O tym, że rzeczywistość wygląda niczym plan filmowy. Wszystko wokół wydaje się mniej realne od tego, co miałam wcześniej, jakby było makietą skleconą z dykty i tektury.

Droga do restauracji mija w ciszy, ale kiedy siadamy do stolika, rejestruję zamieszanie dookoła: szcęk widelców, śmiechy, talerze stukające o blaty. Oczy. Tak wiele oczu. Czuję, że patrzą na mnie, i zastanawiam się, czy...

– Chcesz coś do picia, Vesp? – pyta Carter.

Podnoszę wzrok i zauważam nieco zatroskaną minę kelnera. Dopiero teraz rejestruję, że stoi przy nas.

– Uhm... Wystarczy woda.

– Poprosimy na początek o frytki i guacamole.

Staram się uspokoić i w miarę możliwości wyluzować, ale docierające do mnie odgłosy wydają się dziwnie wzmocnione. Żyłam w ciszy tak długo... Niemal każdy dźwięk, który słyszałam przez ostatni rok, był rezultatem starannie przemyślanej decyzji.

– Wszystko w porządku?

– Proszę, nie zadawaj mi tego pytania. Może być każde inne, byle nie to – jęczę.

– Uhm, okej... Jak ci minął dzień?

Parskam śmiechem.

– No cóż, siedziałam w twoim mieszkaniu, oglądałam telewizję i gapiłam się na ściany.

– Brzmi zabawnie – żartuje Carter.

– Tiaaa – wzdycham, przesuwając dłonią po twarzy i włosach. – A jak u ciebie?

Gdy tylko zaczyna mówić, wyłączam się. „Czego chce Sam? Te cholerne laski naprzeciwko powinno się zamknąć, są takie głośne. Ich śmiech brzmi, jakby się z kogoś nabijały. Może ze mnie? Kojarzą moją twarz z wiadomości?”, myślę.

– Vesp... Vesp?

Głos Cartera sprowadza mnie na ziemię.

– Tak? – odzywam się.

– Wszystko w... – Gryzie się w język. – Przepraszam – mówi szybko, machając dłonią.

– Wiesz, wyglądasz pięknie.

– Naprawdę?

Jakoś tego nie czuję. Mam wrażenie, że noszę w sobie pustkę, którą każdy może

zobaczyć.

– Tak.

– Zmieniłam się, odkąd ostatni raz mnie widziałeś?

– Nie. To znaczy... włosy ci urosły. Ale ty to ty. Wciąż masz ten uśmiech, te oczy. Zawsze lubiłem na ciebie patrzeć, ale teraz doceniam to jeszcze bardziej.

– Dziękuję. – Uśmiecham się łagodnie, choć wiem, że to, co powiedział Carter, nie jest prawdą.

Zmieniłam się. Może mój uśmiech i oczy pozostały takie same, ale ja nie. Carter musi zdawać sobie z tego sprawę, przynajmniej podświadomie. Rozumiem jednak niechęć do przyznania się, że osoba, którą darzyło się uczuciem, teraz pod wieloma względami stała się kimś obcym.

– A ja? – pyta.

– Ty jesteś taki sam. Tylko włosy masz krótsze.

Carter szczerzy zęby w uśmiechu. Spuszcza wzrok na stół, jakby wahał się przez chwilę, a potem spogląda na mnie z determinacją. – Słuchaj, nie wiem, czy to właściwy moment, ale pomyślałem... Chciałbym ci coś dać.

Sięga do kieszeni i wyciąga pudełko. Rozpoznaję je od razu. Podaje mi je tak samo jak tamtej nocy, gdy zostałam porwana. – Chcę, żebyś nadal go miała. Chcę zacząć od tego miejsca, w którym przerwaliśmy. Nie zgadzam się, żeby jakiś szaleniec nam to odebrał. Czekalem rok i zaczekam tak długo, jak będzie trzeba, aż poczujesz się gotowa. Tamtej nocy byłem przekonany, że zostaniesz moją żoną. I wciąż czuję to samo.

Bierze mnie za rękę, a ja pozwalam mu wsunąć pierścionek na ten sam palec, na którym znalazł się rok temu. Teraz jest nieco luźniejszy.

– Związaaliśmy się tamtej nocy, a to wiele dla mnie znaczyło. Nadal znaczy.

– Dla mnie też – szepczę.

Kobieta naprzeciwko zaczyna rechotać jak opętana, a ja aż podskakuję na krześle. Carter wygląda na zatroskanego. Próbuję zignorować nieznaną i skupiam się z powrotem na nim.

– Ja też tego chcę...

Kolejny wybuch śmiechu. Irytuje mnie, wywołuje niepokój. Chcę, żeby się po prostu zamknęła. Żeby oni wszyscy się zamknęli. Nagle odzywają się trąbki. Mariachi, serio? Nie przypominam sobie, żeby wcześniej tu występowali.

Serce tłucze mi się w piersi, podejmując skazaną na porażkę próbę ucieczki, a dźwięki wokół zaczynają się rozplýwać. Zaraz potem rozlega się jazgot, który wybucha mi w uszach niczym granat: przypominający chichot hieny śmiech kobiety, śpiewający z przejęciem mariachi, paplanina gości. Zauważam, jak jakiś mężczyzna pośpiesznie pomaga kelnerowi ze szklankami, po czym rusza do wyjścia.

To on? Czy to naprawdę on?!

Mamrocze jego imię. Zupełnie jakby miał nade mną hipnotyczną moc, wstaję od stolika i idę za nim w kierunku drzwi.

– Vesp! Co ty robisz? – pyta Carter, łapiąc mnie za rękę.

Oglądam się przez ramię i wyrwam ją, ale kiedy się odwracam, mężczyzny już nie ma. Biegnę do drzwi i otwieram je, lecz nigdzie go nie widzę.

– Cholera! – warczę.

– Vesp! – woła Carter za mną. – Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

– To on! Był tu przed chwilą!

– Co? Kto? – Carter milczy przez moment, aż wreszcie dociera do niego znaczenie moich słów. – Ten porywacz?

Z trudem łapię powietrze, zastanawiając się nad odpowiedzią, która nie obnaży wszystkich tych kłamstw, jakie opowiedziałam, ale nie mam teraz na to siły. Ledwie mogę oddychać.

- Widziałas, dokąd poszedł? – pyta.
- Nie, zatrzymałeś mnie i straciłam go z oczu.
- Powinniśmy zadzwonić na policję.
- Nie... nie!
- Dlaczego?

Bo okłamałam ich praktycznie w każdej kwestii. Bo teraz, gdy ucichły hałasy, muzyka i śmiechy, nie jestem pewna, czy to był on. Nie widziałam jego twarzy. A nawet jeślibym widziała, to przecież powiedziałam, że cały czas nosił kominiarkę, więc jak miałabym go rozpoznać? Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę tego zrobić, najbardziej pokręcony ze wszystkich – nie jestem gotowa go oddać. On należy do mnie.

- Obiecałeś, że tu będzie spokojnie! – odgryzam się.

Manipuję Carterem, wiem. Wywoływanie w nim poczucia winy nie jest w moim stylu, ale tylko w taki sposób mogę uciąć jego dociekania.

Odpowiada przepaszającym spojrzeniem.

– Ja... Nie jestem nawet pewna, czy to był on. Przepraszam, chyba po prostu spanikowałam. Zostawmy to.

– Hej. – Kładzie mi dłoń na ramieniu. – Wezmę jedzenie na wynos, zapłacę i pójdziemy do domu, okej? Zaczekaj w środku, dobrze? Nie mogę zostawić cię tu samej.

Masuję skronie, próbując złagodzić napięcie.

- Nic mi nie będzie. W środku jest za głośno. Dam radę.
- Okej – odpowiada miękko.

Czekam na parkingu przed restauracją, obserwując wychodzących sporadycznie gości. Tutaj jest spokojnie, tu mogę wziąć oddech. Nie wydaje mi się, by człowiek, za którym pobiegłam, faktycznie był Samem. Nawet już nie wiem, dlaczego to zrobiłam. W końcu zaczynam się uspokajać. Przypominam sobie, że to dopiero początek. Dalej będzie lepiej. Musi być.

Odwracam głowę i dostrzegam parę wysiadającą z samochodu. Kobieta wydaje się starsza, na oko ma jakieś czterdzieści kilka lat, lecz skórę pomarszczoną od zbyt wielu lat spędzonych na słońcu. Towarzyszający jej mężczyzna to wysoki blondyn o sportowej sylwetce. Nie wiem czemu, ale jego opalenizna i niesforna fryzura kojarzą mi się z plażą i surfingiem. Idzie za nią chodnikiem prowadzącym do drzwi restauracji. Kobieta omiata mnie wzrokiem od góry do dołu, a potem robi to jeszcze raz. Marszczy brwi. Uśmiecham się krzywo i odwracam wzrok. Już ma wejść do środka, ale zatrzymuje się i mówi:

- Przepraszam, ty jesteś tą dziewczyną z wiadomości? Musiałam zapytać.

Byłam przygotowana, że coś takiego może się wydarzyć. Po porwaniu moją twarz całymi tygodniami pokazywano w lokalnych wiadomościach, a odkąd cudem wróciłam, media robią to znowu. Nie spodziewałam się jednak, że kiedy zaczepi mnie obca osoba, odbiorę to jako natrętne i bezczelne naruszenie mojej prywatności.

„To nie twój pieprzony interes”.

- Nie – odpowiadam.

– Och, przepraszam, po prostu musiałam zapytać. Jesteś bardzo do niej podobna. Wiesz, o kim mówię, prawda?

„Wiem. O dziewczynie ze zdjęć. Jej już nie ma. Nie może nawet iść do restauracji, żeby go nie zobaczyć”, wzdycham w myślach. Spuszczam wzrok i bawię się kosmykiem włosów,

który wciąż wpada mi w oczy.

– Tak, widziałam ją – odpowiadam.

– To niesamowite, że uciekła. Biedactwo, nawet nie umiem sobie wyobrazić, przez co przeszła.

„To sobie nie wyobrażaj. Zresztą i tak nie byłabyś w stanie. I nie masz prawa zadawać pieprzonych pytań”.

– Susan – odzywa się mężczyzna, ewidentnie poirytowany.

Właśnie wtedy z restauracji wychodzi Carter.

– Chodź, Vesp – mówi, podchodząc bliżej i próbując zgarnąć mnie ramieniem do samochodu. Bezskutecznie.

Twarz kobiety rozjaśnia się na dźwięk mojego imienia.

– O mój Boże, to jednak ty! – Wytrzeszcza oczy w podziwie, jakby właśnie znalazła rzadki klejnot.

– Sue! – woła mężczyzna, stojąc przy otwartych drzwiach restauracji i dając kobiecie znaki, żeby się pośpieszyła.

Wyczerpała mi się cierpliwość. Po długich dniach bycia twardą, kłamania, dostosowywania się do świata, który kiedyś był tak znajomy, a teraz stał się obcy, wreszcie się to stało. Ta kobieta pociągnęła za luźny koniec i odarła mnie z zasłony spokoju. Jak śmie? Czy ona nie rozumie, o czym mówi? Kiedy zapytała, czy jestem tą dziewczyną, zapytała jednocześnie, czy zostałam porwana, zgwałcona i czy zrobiono mi dziecko. Pyta, czy poroniłam. Czy wciąż kocham narzeczonego. Czy czuję się winna, że mój brat został umieszczony w placówce opiekuńczej i dlaczego moja matka nie przerwała podróży, żeby do mnie wrócić.

– Za kogo ty się, kurwa, masz? – syczę.

Odchyła się z niedowierzaniem. Jakbym to ja była niegrzeczna. Jakby to ona miała prawo czuć się urażona.

– Słucham? – odzywa się po chwili. – Chciałam tylko życzyć ci wszystkiego dobrego.

– Nie masz prawa podchodzić do mnie i zadawać pytań. Moje życie to nie twoja sprawa, ty bezmózga, zasuszona flądrowo.

Po tych słowach kobieta wreszcie się zamyka, zastygła w szoku. Szturcham ją ramieniem, przechodząc obok w drodze do samochodu. To nie w stylu Vesper Rivers, a przynajmniej nie w stylu jej „poprzedniej” wersji. Nigdy nie straciłaby cierpliwości ani nikogo nie obraziła. Bardzo by się starała, żeby to niekulturalne babsko czuło się komfortowo, mimo że sprawiło jej taką nieprzyjemność. Zadałaby o to, żeby wszyscy wokół byli zadowoleni. Z pokorą zniosłaby wszelkie przykrości, byleby inni nie musieli tego robić.

Carter woła moje imię, ale idę dalej, zatrzymując się dopiero przy drzwiach po stronie pasażera. Wsiada i odblokowuje je dla mnie. Opadam ciężko na siedzenie, protestując w ten sposób przeciw sama nie wiem czemu.

– Nie przejmuj się. Nic mi nie jest.

Kręci głową.

– Ciągłe powtarzasz, że mam się nie przejmować, że wszystko w porządku. – Pochyla się w moją stronę. – Myślisz, że cię nie znam? Że nie widzę, jak cierpisz? Wiem, że płaczesz w łazience. Wiem, że wciąż się boisz. Ale nie dam rady ci pomóc, jeśli nie będziesz ze mną rozmawiać. Daję ci przestrzeń, jednak muszę zrozumieć, co się z tobą stało.

To pytanie majaczyło w jego oczach, odkąd wróciłam. Obserwuje mnie, jakby historia była zapisana na mojej skórze, jakby mógł wszystko zrozumieć, jeśli tylko uważnie ją przestudiuje. Nie powiedziałam mu niczego, o czym sam by nie wiedział. Lecz nawet wersja, której się spodziewa, na zawsze zmieni sposób, w jaki będzie mnie postrzegał. Dowie się, że

jakiś facet miesiącami bawił się mną jak swoją prywatną zabawką. Że pozbawił mnie ubrań, przykuł do ściany i głodził, więc nie miałam innego wyboru, jak mu ulec. Że przez wiele miesięcy nie widziałam nikogo innego, tylko człowieka w kominiarce. Że rznął mnie na takie sposoby, na jakie Carterowi nigdy bym nie pozwoliła. Że doszedł w moim wnętrzu tyle razy, że nie potrafiłabym zliczyć. Że był nienasycony i pragnął mnie jak wygłodzony drapieżnik. Przy całym ogromnie dramatu, jaki wylałby się z mojej opowieści, nie wiem, czy potrafiłabym nie zdradzić, że na samo wspomnienie ogarnia mnie dreszczyk emocji, że strach i ekscytacja przyspieszają mi oddech i robię się mokra.

A wtedy Carter dowiedziałby się, że zaczęłam pragnąć zamaskowanego mężczyzny tak samo, jak on pragnął mnie. Straciłabym Cartera nieodwołalnie i definitywnie. Ofiara nie powinna tęsknić za myśliwym. To, co łączy Sama i mnie, jest nienaturalne. Anormalne. Odrażające.

– Nie chcesz wiedzieć... – chrypię.

– Powiedz, co się stało. Możesz mi zaufać – mówi, ocierając łzę z mojej twarzy. – Wiesz, że zostałam przeszkolony, żeby słuchać takich rzeczy. Mogę to przyjąć. Nie chcesz się z nikim widywać, ale musisz z kimś porozmawiać. Możesz mi zaufać – powtarza, gładząc mój policzek.

Jestem chora. Sam sprawił, że stałam się chora. Na myśl o tym, co mogłabym powiedzieć o nim Carterowi – o błysku kocich oczu, o krzywiznach mięśni, o bliznach, o piekle, które znalazło się tak blisko, że go naznaczyło – moje serce zaczyna łomotać jak oszalałe.

Nie mogę powiedzieć Carterowi o czymkolwiek nawet w pieczołowicie odmierzonych dawkach. Robię więc to, czego nauczyłam się od samego diabła: przysuwam się i całuję go. Nie robię tego delikatnie, nie szukam pozwolenia. Po prostu biorę. Nie dam mu szansy zastanowić się, czy to właściwe. Dzięki mnie będzie mu tak dobrze, że przestanie się martwić czymkolwiek innym. Dokładnie tak, jak zrobił to ze mną Sam. Daję mu czułość, której tak desperacko pragnął, napinając się w mojej obecności i całym wysiłkiem powstrzymując pragnienie, żeby mnie dotknąć. Udaję, że wszystko ze mną w porządku. Wykorzystuję Cartera jako mdły substytut Sama.

– Przestań, Vesp – jęczy, ale nie odpycha mnie.

Wchodzę mu na kolana i między nogami czuję, że mój fortel działa. Że dzisiejszej nocy nie będzie mnie już o nic pytał. Mam tylko nadzieję, że jednocześnie nie zmienię go w taki sposób, w jaki Sam zmienił mnie.

Rozdział 34

VESPER

Siedzimy w ciszy przy stole, a sztuce stukają o ciemnopomarańczowe talerze. Matka w końcu wróciła. Odebraliśmy ją i mojego ojczyma z lotniska, gdzie z ogromnym zaangażowaniem odegrała spektakl pod tytułem „Ponowne spotkanie z zaginioną córką”. Była niezwykle podekscytowana, że się odnalazłam. Tak bardzo, że nie tylko nie przerwała swojej podróży po Amazonii, ale została tam jeszcze przez dodatkowe dwa dni. Odświeżona i opalona, tuliła mnie przesadnie mocno, zalewając się fałszywymi łzami radości. Przez całe życie sądziłam, że jej na mnie zależy, tylko została uformowana z innej gliny, a ja odziedziczyłam boleśnie silną empatię po ojcu, ktokolwiek nim jest. Ale nie. Po tym wszystkim nie sądzę, żeby była do tego zdolna. Jest odpowiedzialna i nigdy nie zostawiłaby mnie pod czyimiś drzwiami z liścikiem przypiętym do ubrania. Jednak właśnie tym zawsze dla niej byłam – i nadal jestem – odpowiedzialnością. Dlatego umieściła Johnny’ego w placówce. Carter może myśleć, że chciała dla niego jak najlepiej, ale jej motywacje są zupełnie inne. Jeśli rzeczywiście Johnny na tym skorzystał, to wyłącznie w ramach efektu ubocznego.

Pozwoliłam jej się objąć, pozwoliłam, żeby przez cały czas pieprzyła o podróży, podczas gdy ja patrzyłam przez szybę. Coś ścisnęło mnie w gardle, gdy przypominałam sobie, jak patrzyłam przez szybę tamtego dnia, gdy Sam zwrócił mi wolność.

Wolność...

Gniew zaczyna ustępować miejsca czemuś innemu. Mogłabym go wsypać. Powiedział mi wszystko o swoim życiu. Mógł zamordować mnie w tamtym lesie i nikt o niczym by się nie dowiedział. Ale nie zrobił tego i chyba powinnam to docenić. Staram się odsunąć od siebie te myśli, ale wciąż czuję się tak, jakby mnie porzucił.

– Niedobre? – pyta matka.

– Hm? – Podnoszę wzrok znad pieczonej wołowiny i groszku, który rozgarniam po całym talerzu. – Dobrze – odpowiadam, zanim zdąży dodać coś jeszcze.

– Zrobiłam, bo wiem, że to twoje ulubione danie – mówi, jakby próbowała udowodnić, że łączy nas wyjątkowa więź.

– Moje ulubione danie to stek nowojorski. – Czuję satysfakcję, kiedy wierci się na krześle i ociera usta chusteczką.

– No cóż, spodziewałam się, że wspólny obiad będzie bardziej ekscytujący – wzdycha i przekrzywia głowę, najwidoczniej odnosząc się do mojej niezbyt ciepłej reakcji na lotnisku.

Wydarzenie takie jak to powinny zbliżać do siebie członków rodziny, prawda? Tymczasem ja nigdy nie czułam się bardziej odległa od siedzących przy stole osób.

– Nie wszystko na świecie istnieje po to, żeby twoje życie było przyjemniejsze – prychnam.

Z brzękiem upuszcza nóż i widelec na talerz.

– Nie to miałam na myśli.

Nie reaguję, patrząc tylko na brązowe mięso i mdły groszek. Pomarańczowy talerz to paskudne tło dla tych kolorów.

– Carter, kupiłem w czasie podróży fantastyczne cygara. Może zapalimy w ogrodzie? – pyta Peter.

Carter spogląda na mnie, czekając na sygnał. Czuję to, ale nie podnoszę wzroku.

– Uhm, pewnie – zgadza się po chwili z wahaniem.

Kiedy panowie wychodzą, mama od razu zaczyna:

– Posłuchaj, Vesper. Nie umiem nawet sobie wyobrazić, przez co przeszłaś, ale...

– W ogóle o nim nie wspomniałaś, ani razu. Nie wypowiedziałaś nawet jego imienia – syczę przez zęby, ciągle wpatrując się w talerz.

– Co?

– Twój syn.

Wzdycha, jakby trzymała to w sobie przez cały wieczór, zastanawiając się, kiedy będzie mogła poruszyć temat.

– Kochanie, nie wiedziałam, jak zacząć. Wydaje mi się, że nie masz się najlepiej. Nie chciałam cię zdenerwować.

Śmieję się sarkastycznie i w końcu patrzę jej w oczy.

– Oddałaś go. Pozbyłaś się mnie i wreszcie mogłaś zrobić to samo z nim. Założę się, że byłaś zachwycona, kiedy dowiedziałaś się, że wróciłam – mówię z przekąsem.

– Jak możesz w ogóle mówić coś takiego? Naprawdę tak myślisz? Że nie chciałam, żebyś się odnalazła?!

– A kto, do diabła, zwleka cały tydzień z powrotem do domu, kiedy dowiaduje się, że jego porwana i uważana za martwą córka jakimś cudem się odnalazła?! Uważasz, że to normalne?

– Wiesz, jak wyglądała sytuacja. Byliśmy w dżungli!

– A jak już z niej wróciliście? Zostaliście do końca tej cholernej wycieczki!

– Nie muszę wysłuchiwać tych okrutnych oskarżeń. Mieliśmy zarezerwowany lot.

– To nie słuchaj, ale mnie nie okłamuj. Przeszłam zbyt wiele. Widziałam za dużo prawdy, żeby łyknąć twoje kłamstwa jak jakaś idiotka.

Przez moment kręci głową, wyginając usta w podkówkę.

– Zawsze postrzegasz życie w prosty sposób, sama o tym wiesz. Nie każdy jest takim aniołem jak ty. Nie każdy potrafi stale dawać tak ofiarną miłość. Nie wszyscy są zaprogramowani w taki sposób.

– Nie jestem żadnym aniołem, mamó.

– Więc jakim prawem siedzisz taka zadowolona z siebie i mnie osądzasz? Starałam się, jak mogłam. Zajmowałam się tobą sama i myślę, że całkiem przyzwoicie cię wychowałam. A co do Johnny'ego... Ja po prostu nie umiem sobie z nim poradzić. Kiedy zostałaś porwana, w ogóle nie byłam w stanie nad nim zapanować.

– Więc uciekłaś jak zawsze...

Ucisk w gardle niespodziewanie wraca. Nie przez nią, tylko przez Sama. Zostawił mnie zupełnie tak jak ona.

– Nie wiem, czego chcesz, Vesper. Czy świat miał stanąć w miejscu dlatego, że zniknęłaś? Ja miałam przestać żyć?

– Już parę tygodni później uznałaś mnie za martwą. Nie dałaś mi nawet szansy – wytykam. – Możesz się usprawiedliwiać, ile tylko zechcesz, ale przynajmniej bądź ze sobą szczerą. Cieszyłaś się, że po raz pierwszy od dekad pozbyłaś się ciężaru. Że znowu możesz być tą dziewczyną z komuny, siadającą na każdego kutasa, jaki się napatoczy.

Łzy wypełniają jej oczy. Zrywa się z miejsca i z całej siły uderza mnie w twarz. Podnoszę się z krzesła.

– Myślisz, że to boli? Że to jest ból? – Łapię nóż do steków i przystawiam go do przedramienia.

- Vesper! – krzyczy.
- Mogę to zrobić i nic nie poczuję!

Słyszę, jak przesuwają się drzwi wychodzące na ogród, a sekundę potem czyjeś dłonie łapią mnie za nadgarstki. Nie chciałam tego zrobić, próbowałam tylko coś udowodnić, lecz wszyscy patrzą na mnie, jakby w końcu dotarło do nich, że nie jestem sobą.

Nie jestem dziewczyną, której misja polega na sprawianiu, żeby wszyscy czuli się lepiej. Żeby ich życie stało się łatwiejsze. Już nie. Jestem trudna. Dziwna. Nigdzie nie pasuję i zawsze czuję się niekomfortowo. Przeszawiam drobiazgi, usiłuję umieścić rzeczy we właściwych miejscach. Widziałam i czułam coś, co sprawiło, że uprzejmości wydają mi się zbyt trywialne.

Widzą, jakim problemem się stałam, i potrafię rozpoznać, że tego nie chcą. Chcą dostać z powrotem swoją słodką, posłuszną Vesper. Czują się zobligowani, tak jak moja matka od zawsze.

Ale ja tego nie chcę.

Budzę się z uczuciem przypominającym kaca. Sęk w tym, że wczoraj nie piłam. Wychodzę z sypialni. Carter właśnie nalewa sobie kawy. Jęczę cicho. Wszystko mnie boli na wspomnienie okropności poprzedniego wieczora.

– Okej, to była porażka – wzdycham.

Twarz Cartera jest napięta.

– Vesper, myślę, że powinnaś się z kimś zobaczyć.

– Co?

– Z terapeutą. Przeszłaś piekło i chyba trudno ci wrócić do rzeczywistości.

– Carter, minęły niecałe dwa tygodnie, daj mi trochę czasu.

– Rozumiem, ale właśnie o tym mówię. Czas, żeby ktoś ci pomógł. Im szybciej, tym lepiej.

– Nie potrzebuję pomocy.

Odstawia dzbanek z kawą na blat i wzdycha głęboko, usiłując złagodzić napiętą atmosferę.

– Posłuchaj – mówi, po czym podchodzi bliżej i kładzie mi dłonie na ramionach. – Rozumiem, że są pewne rzeczy, o których nie chcesz rozmawiać ze mną, ze swoją matką lub kimkolwiek innym. Dlatego właśnie ktoś zaufany z zewnątrz w sam raz się do tego nada. Nie powtórz tego nikomu, a ty będziesz mogła dojść do ładu ze swoimi emocjami.

– Carter, ja wiem, jak działa terapeuta.

– Wiem, że wiesz. Próbuję po prostu postawić sprawę jasno. Mam wrażenie, że w twoim odczuciu wszyscy jesteście przeciwko tobie. Być może dzieje się tak dlatego, że masz w sobie mnóstwo rzeczy, które usiłujesz chronić jak zamknięta muszla. Zrobiłaś się twarda i rozumiem, że traumatyczne przeżycia tak wpływają na ludzi. Chciałbym po prostu, żebyś miała kogoś, przed kim mogłabyś się odsłonić. A potem wrócisz do swojego życia, może skończysz szkołę.

– Zastanowię się – odpowiadam krótko.

Nie wiem, czy tego chcę. Kiedyś pielęgniarstwo stanowiło dla mnie trofeum na piedestale, do którego się wspinałam. Ostatnio jednak ten cel nie wydaje mi się już tak atrakcyjny.

Carter uśmiecha się do mnie z nadzieją, lecz zanim coś powie, dzwoni telefon. Posyła mi smutne spojrzenie, po czym odwraca się i podnosi słuchawkę.

– Halo.

Po chwili marszczy brwi.

– Halo, kto mówi?

Mamrocze coś pod nosem, a potem odkłada słuchawkę.

– Pomyłka albo jakiś problem na linii – wyjaśnia.

– Och. – Udaję zainteresowanie, nalewając sobie kawy.

Żołądek ściska mi się z rozczarowania na myśl, że straciłam okazję do objechania Sama.

– Może poprosisz znajomych z pracy o jakieś rekomendacje, a ja pomyślę o umówieniu się na wizytę? – Nie jestem pewna, na ile mówię szczerze, ale nie chcę, żeby Carter martwił się o mnie. Zawsze wtedy ociąga się przed wyjściem.

– Okej, tak zrobię. Muszę lecieć. – Całuje mnie w czubek głowy i odwraca się do drzwi.

– Och, jeszcze coś. Nie żebym popierał ten twój wczorajszy wybuch, ale miło było zobaczyć, że w końcu postawiłaś się matce. Tylko pomyślałem sobie, że to mogłoby być bardziej produktywne i mniej przerażające.

Śmieję się, unosząc swój kubek w toaście. Carter wychodzi. Czekam kilka sekund, ostrożnie odstawiam kubek i na palcach podchodzę do drzwi, by nasłuchiwać kroków. Cisza. Przekręcam zamki, zakładam łańcuch, a potem wracam do telefonu i wykręcam 0.

– Dzień dobry. Przed chwilą ktoś do mnie zadzwonił i zastanawiałam się, czy można by sprawdzić, skąd było to połączenie.

Podejrzewam, że to moja przyjaciółka, ale zgubiłam jej numer.

– Przykro mi, proszę pani, nie mogę tego sprawdzić. Może pani podać nazwisko i miejscowość?

– Ja... Nie, ona się wyprowadziła. Nie wiem dokąd.

– Nie zna pani nazwiska swojej przyjaciółki?

Pod wpływem dociekliwych pytań tracę pewność siebie i rozłączam się, przy okazji uświadamiając sobie, jak niebezpiecznie blisko byłam otwarcia czegoś, czego nie powinnam ruszać. Wpadam jednak na inny pomysł. Nie wiem, do czego mnie doprowadzi, ale przynajmniej na jakiś czas zapełni pustkę ziejącą w moim sercu. Zerkam na kluczyki do mojego samochodu, który odebrałam wczoraj od matki. Powiedziałam Carterowi, że na razie nie zamierzam z niego korzystać, ale mądrze byłoby mieć go w pobliżu, tak na wszelki wypadek. Kłamałam.

Rozdział 35

VESPER

Pierwszy przystanek robię w Las Palmas House. Wbrew temu, co sobie wyobrażałam, budynek nie ma sterylnego wyglądu charakterystycznego dla placówek opiekuńczych. Plan zakładał, że odwiedzę Johnny'ego w weekend razem z matką i ojczymem w ramach tak zwanego zjazdu rodzinnego. Nie figuruję na liście osób dopuszczonych do wizyt, więc musiałam poczekać na jej powrót. Co prawda po wczorajszej kolacji można założyć, że matka i ja nie spędzimy razem czasu w ten weekend, lecz mam nadzieję, że mimo wszystko uda mi się zobaczyć Johnny'ego chociaż na chwilę. Może nawet pozwoli mi się z nim spotkać, jeśli dopisze mi szczęście. Nie mogę już dłużej czekać. Muszę sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

Placówka mieści się w ładnym, dwupiętrowym budynku. Carter przyniósł mi ulotkę ze szpitala. Ośrodek jest niewielki, jednocześnie przebywa w nim nie więcej niż dwadzieścioro dzieci. Mają dostęp do terapii zajęciowej i behawioralnej. Nie chciało mi się wierzyć, że obcy ludzie mogą zaoferować Johnny'emu więcej niż ja. Ale stojąc przed spokojnym budynkiem ozdobionym krzewami róż po obu stronach frontowych drzwi, pośród śmiechów zajętych zabawą podopiecznych, odnoszę wrażenie, że to dobre miejsce dla dziecka.

Podążam za odgłosami na podwórze otoczone siatką. Znajduje się tam boisko, na którym spędzają czas dzieci o różnych poziomach sprawności fizycznej. Niektóre siedzą na wózkach inwalidzkich, inne biegają dookoła. Nagle go zauważam. W rękach trzyma piłkę, którą po chwili rzuca do chłopca na wózku. Nie trafia. Trudno mu wycelować przez usztywnione nadgarstki i dłonie o upośledzonej sprawności. Jakaś kobieta z uśmiechem podnosi piłkę. Podaje ją chłopcu na wózku, a on rzuca do Johnny'ego. Mój brat macha rękami i łapie piłkę. Zakrywam usta, tłumiąc okrzyk, ale pozwalam sobie okazać radość kilkoma podskokami. W oczach mam łzy wzruszenia. Nigdy do tej pory nie widziałam, żeby Johnny złapał piłkę. Uśmiecha się promiennie. Wydaje się wyższy, a rysy jego twarzy zaczynają się zmieniać.

– Dzień dobry – wita mnie pracownica ośrodka z uprzejmą podejrzliwością.

– Och, dzień dobry – odpowiadam, prostując się.

– Jest pani z rodziny? – pyta.

– Tak, Johnny Rivers to mój brat. Przepraszam, wiem, że to może wydać się dziwne, ale podejrzewam, że nie ma mnie na liście gości. Miałam przyjechać tu z matką, tyle że była za granicą i... Wiem, że macie wyznaczone godziny odwiedzin, ale ja... Cóż... Wróciłam po długim czasie i nie mogłam czekać już ani chwili dłużej.

W jej orzechowych oczach dostrzegam zrozumienie. Patrzy na mnie ciepło i kiwa głową.

– Tak się składa, że rozmawiałam z pani matką dziś rano. Pani jest Vesper, prawda? Bardzo ładne imię. Pani matka zadbała, żeby mogła pani odwiedzić Johnny'ego.

Spowodowany gniewem ucisk w żołądku rozluźnia się nieco. Wszyscy jesteśmy trochę dobrzy, a trochę źli. I wszyscy próbujemy jakoś odnaleźć się w życiu.

– Ma terapię za jakieś piętnaście minut. Może pani iść się z nim pobawić.

Wskazuje wejście na plac zabaw. Spotykamy się przy bramie, którą przede mną otwiera. Nie wiem, jak się zachować wobec Johnny'ego. Powiedziano mu, że porywacz mnie zabrał, a potem spałam. Czy będzie zdezorientowany? A może cały ten czas to tylko mgnienie oka dla dziecka, wokół którego działo się tak wiele od mojego zniknięcia?

Biorę oddech, usiłując powstrzymać łzy, po czym podchodzę do niego od tyłu i lekko klepię w ramię. Obraca się szybko i zamiera na mój widok, a piłka wysuwa mu się z rąk. Przez sekundę lub dwie patrzy na mnie bezmyślnie, aż wreszcie wybuch płaczem, rzuca mi się w ramiona i przytula mocno.

– Johnny – szepczę. – Już dobrze. Wróciłam.

Po chwili rozluźnia uścisk na tyle, żebym mogłam spojrzeć mu w oczy.

– Jesteś smutny? – pytam.

Kręci głową.

– Szczęśliwy?

Potakuje, ocierając łzy przedramieniem.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. – Przystaję powstrzymywać łzy, które płyną teraz nieprzerwanie po policzkach. – Przepraszam, że mnie nie było.

Johnny znów kiwa głową.

– Podoba ci się tutaj?

Uśmiecha się i przytakuje kilkakrotnie. Sama widzę, że świetnie sobie radzi. Ma tutaj towarzystwo innych dzieci, z którymi może się bawić, nabrał więcej siły i poczucia równowagi. Upokarzające jest przyjęcie do wiadomości, że być może to ja potrzebowałam go bardziej niż on mnie.

Ciągnie moją rękę i prowadzi do chłopca na wózku, Thomasa, który chyba też cierpi na porażenie mózgowie, ale może mówić. Johnny ma teraz najlepszego przyjaciela, kogoś, kto go lubi. Kogoś, kto rozumie, przez co każdego dnia przechodzi. Kto rozumie go tak, jak ja nigdy nie zdołam.

Rzucamy piłką z Johnnym i Thomasem, dopóki nie nadchodzi czas terapii. Przy pożegnaniu obiecuję, że wrócę, a Johnny uśmiecha się promiennie. Jest bezpieczny. Było warto zrobić to, co zrobiłam. Nieważne, co się ze mną stanie, on sobie poradzi.

Biblioteka jest niemal pusta o tej porze dnia, więc bibliotekarka wydaje się ucieszona, że może mi pomóc. Mówię jej, że szukam materiałów na zajęcia o nieruchomościach. Z ogromnym zaangażowaniem asystuje mi przy wyciąganiu rejestrów zbindowanych w grube książki. Zaczynam poszukiwania od posiadłości należącej do rodziny Hunterów lub Ridgefieldów. Musi być duża, prawdopodobnie przeznaczona na farmę, i leżeć w cichym, odizolowanym miejscu. Okazuje się, że do obu rodzin należy mnóstwo ziemi. Jest wielu Hunterów i Ridgefieldów oraz całe pokolenia właścicieli ziemskich.

Kilka godzin później, bazując na rozmiarze i lokalizacji, udaje mi się zawęzić pole poszukiwań do tuzina posiadłości, lecz nadal niczego konkretnego nie ustaliłam. Patrzę na zegarek i niespodziewanie burczy mi w brzuchu.

Powinam się zbierać. Carter z reguły przyjeżdża do mieszkania późno, ale czasami zaskakuje mnie wcześniejszymi powrotami. Czuję jednak, że jestem bardzo bliska znalezienia miejsca, w którym zaczęłam formować swoje nowe życie. W końcu przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

Bibliotekarka kieruje mnie do działu z mapami, gdzie mogę sprawdzić lokalizacje. Chcę przekonać się, czy któryś z majątków leży w pobliżu zbiornika wodnego. Kompletnie się na tym nie znam i chociaż jezioro wydawało mi się ogromne, w rzeczywistości mogło mieć niewystarczające rozmiary, żeby naniesiono je na mapę. Po sprawdzeniu pięciu posiadłości mój genialny pomysł zaczyna wydawać się bezużyteczny.

Gryzę koniec ołówka i próbuję rozluźnić ramiona, które zeszywniały od garbienia się nad stołem. Przyglądam się mapie w poszukiwaniu kolejnej lokacji: 1021 Redwood Lane, Villa

Buena, Kalifornia. Kilka razy zaciskam i rozwieram powieki, by ulżyć oczom zmęczonym przeglądaniem map i list nieruchomości. Lecz gdy wreszcie odzyskuję ostrość widzenia, znajduję farmę. Przesuwam palcami po mapie i choć to jedynie plamy druku naniesione na papier, wszystko wydaje się znajome. Usiłuję znaleźć granice, posiłkując się zapisami z rejestru, i wtedy to zauważam – bladoniebieski, nieregularny owal. Woda.

Skala mapy sugeruje, że zbiornik wodny ma mniej więcej takie same rozmiary jak jezioro z moich wspomnień. Nie muszę nawet patrzeć na inne miejsca. Już wszystko wiem i nagle dostrzegam na mapie całą posiadłość. Dzięki miesiącom liczenia kroków pomiędzy szopą a wodą mogę bez problemu określić miejsce, w którym mieszkałam, i to, w którym prawdopodobnie stoi dom oraz obora. Serce tłucze mi się w piersi jak szalone, aż nie mogę zaczerpnąć tchu.

Farma jest prawdziwa. Naprawdę istnieje. Powoli zaczynałam wierzyć, że wszystko, co przeżyłam, to tylko wytwór mojej wyobraźni. Choć upłynęło tak niewiele czasu, fragmenty wspomnień rozmywały się w pamięci zupełnie jak sen, który odpływa, jeśli nie zapiszesz go sobie zaraz po przebudzeniu.

Drżącymi dłońmi zbieram wszystkie książki i dokumenty na stertę, a mapę składam i wsuwam do torby. Spoglądam na zegar i aż krzyczę z zaskoczenia, bo dochodzi dwudziesta. Carter pewnie dzwonił do domu milion razy i zdążył już wrócić. Wybiegam z biblioteki i pędzę do mieszkania.

Otwieram drzwi, udając, że moja nieobecność to nic niezwykłego. Carter rozmawia przez telefon, chodząc tam i z powrotem po pokoju. Obraca się gwałtownie i ścisza nasadę nosa palcami, ogarnięty wyraźną ulgą na mój widok.

– Już nieważne, właśnie weszła do mieszkania. Tak. Okej, okej. Cześć.

– Kto to był?

– Twoja matka.

– Po co do niej dzwoniłeś? – warczę.

– Wydzwaniałem do ciebie godzinami. To pierwszy dzień, gdy pod mieszkaniem nie stoi radiowóz, a ty zniknęłaś. Sam nie wiem, jakim cudem powstrzymałem się od telefonu na policję. Wróciłem, a ciebie nie było. Żadnego liściku, niczego!

– Przepraszam, straciłam poczucie czasu – odpowiadam, rzucając na podłogę przy drzwiach swoją pełną sekretów torbę.

– Gdzie byłaś? – pyta, co irytuje mnie bardziej, niż przypuszczałam.

Od mojego powrotu Carter zachowuje się jak niańka, a nie narzeczony, co zaczyna działać mi na nerwy.

– Muszę zdawać ci raporty ze wszystkiego? Jestem już dorosła, wiesz?

– Wczoraj wieczorem przystawiłaś sobie nóż do ręki i groziłaś, że się potniesz. Dzisiaj zniknęłaś. Co miałem myśleć?

– Nie zamierzałam się pociąć! – krzyczę.

– To nie jest normalne zachowanie.

Prycham gniewnie. „Normalne”. On naprawdę oczekuje, że będę normalna?

– Masz rację, to nie jest normalne. Przykro mi, że mój powrót jest tak niewygodny dla ciebie i wszystkich innych. Przykro mi, że pojawiłam się i wyróciłam wasze życie do góry nogami. Przykro mi, że wszyscy muszą znosić moje dziwne, nienormalne zachowanie. Przykro mi, że to wszystko było dla ciebie takie ciężkie – syczę z sarkazmem.

– Nie zachowuj się tak, Vesp.

– Nie byłam na to gotowa. Na żadną z tych rzeczy. Myślałam, że już nigdy nikogo z was nie zobaczę. Nie wiedziałam, że wrócę do domu, dopóki to się nie wydarzyło. Więc wybac, że

potrzebuję trochę czasu, żeby się dostosować i oczyścić myśli. Czasu, podczas którego nikt nie będzie patrzył na mnie jak na wariatkę. To nie ja do tego doprowadziłam!

– Nie to miałem na myśli.

– Co ty poświęciłeś? Co mu powiedziałeś, kiedy zadał ci pytanie?

– Pytanie? Kto? O czym ty mówisz?

– No wiesz, kiedy dał ci wybór... – podpowiadam.

Nie powinnam tego robić. To niesprawiedliwe, ale myśl o tym zawsze siedziała mi gdzieś z tyłu głowy, od początku osłabiając moją determinację. Gdy dostałam wybór, rzuciłam na szalę własne ciało. Nie pozwoliłabym Samowi skrzywdzić Cartera, więc powiedziałam mu, że może mnie mieć.

– Gdy spytał, czy przyjmiesz ciosy, czy pozwolisz mu... – Nie mogę tego powiedzieć na głos. W tych słowach kryje się tyle wstydu.

– Pozwolę mu co? O czym ty mówisz?!

– Czy pozwolisz mu mnie zerznąć! – wybucha.

Wyrzucenie z siebie ukrytej w głębi serca goryczy jest oczyszczające. Usiłowałam chronić Cartera, ale to nie działało. Cały sztywnieje i przez moment mam wrażenie, że zwymiotuje. Patrzę, jak przeszukuje wspomnienia.

– Nie wiem, o czym ty mówisz, Vesp. Chodzi ci o tamtą noc? – Jego oczy szklą się od łez i wydaje mi się, że to jednak ja będę rzygać. – Myślisz, że mógłbym pozwolić mu... – Krtusi się. – Pozwolić mu zrobić ci coś takiego? Myślisz, że mógłbym dać mu pozwolenie...?

Poczucie krzywdy na jego twarzy jest tak widoczne, że nie mogę na niego patrzeć. Lepiej znoszę własny ból niż jego.

– Powiedział mi...

– Kłamał! – krzyczy Carter. – Przepraszam, potrzebuję... Potrzebuję powietrza – mówi między ciężkimi oddechami.

– Carter! – wołam go przeproszającym tonem, ale już zmierza do drzwi.

– Po prostu muszę się przejść – wyjaśnia.

Zostawia mnie, patrzącą w milczeniu na drzwi. Nie uwierzyłam Samowi, kiedy mi to powiedział. Oczywiście, że Carter by tego nie zrobił. Ale jakaś część mnie pragnęła, żeby okazało się to prawdą. Wtedy byłoby mi jakoś łatwiej.

Wpatruję się w drzwi długo, pewnie ze czterdzieści minut, i aż podskakuję, kiedy rozlega się zgrzyt klucza w zamku. Carter wchodzi do mieszkania, a ja podrywam się na nogi. Nie wygląda dobrze. Jest blady, oczy ma zaczerwienione i opuchnięte. Moje pytanie było okrutne.

– Przepraszam za to, co sugerowałam. Miałam w głowie całą wyszukaną przemowę, ale tak naprawdę chciałam cię po prostu przeprosić.

Carter przeczesuje potargane włosy, a potem garbi się, pocierając twarz dłońmi.

– Przepraszam, że cię nie ochroniłem. Przepraszam, jeżeli cię ograniczam. Ja po prostu... Czuję, że cię zawiodłem, i...

– Nie, nie... – przerywam mu szybko i podbiegam, żeby chwycić go za rękę. – Nie mówiłam tego poważnie. Po prostu poczułam się zaatakowana i powiedziałam to, żeby zaatakować ciebie. Zachowałam się obrzydliwie. Tak jak mówiłam, ta cała sytuacja to nie moja wina. Ani nie twoja.

Carter pochyla głowę i wzdycha.

– Masz rację. Nadal uważam, że powinnaś się z kimś zobaczyć i mam nazwiska kilku terapeutów, ale nie chciałem na ciebie naciskać. Po prostu tak długo czekałem, żeby cię odzyskać, a teraz mam wrażenie, że chociaż jesteś tuż obok, to wciąż nie mogę cię osiągnąć.

Myślałem o naszym życiu po twoim powrocie, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo to będzie bolesne. Dla ciebie. To egoistyczne oczekiwać, że wrócisz i będziesz zachowywać się tak, jakby ostatni rok się nie wydarzył. Do mnie też wracają wspomnienia. Policjanci nachodzili mnie w pracy, żeby porozmawiać, znaleźć jakieś nowe informacje, cokolwiek, co mogłoby pomóc. Nie mówiłem o tym, bo nienawidzę wracać do tamtej nocy, ale przez to wspomnienia odżywały. A teraz znowu są świeże i czuję się tak, jakby ten potwór czał się tuż za rogiem, żeby cię porwać. Chcę pomóc, ale nie potrafię. Jestem tak kurewsko bezsilny. Ten sukinsyn...

Kręcę głową, a żal kłuje mnie w serce.

– Posłuchaj, wypuścił mnie i już tu nie wróci. Wiem, że to dla ciebie trudne. I byłeś niesamowity, może nawet zbyt niesamowity. Chcę, żebyśmy znowu cieszyli się sobą. Dzwonisz co kilka godzin, ciągle się martwisz... To nie jest dla ciebie zdrowe. Nie spodziewałam się tego wszystkiego. Szczerze mówiąc, przypuszczałam, że już dawno temu zostawiłeś to za sobą. Myślałam, że zostałam zapomniana.

– Nie jestem twoją matką, Vesp.

– Wiem – mamrocze pod nosem.

Myślę o mapie ukrytej w torbie, o tym, jak pomimo naszego zrozumienia, pomimo faktu, że kocham Cartera, potrafię skupić się tylko na znalezieniu tamtego miejsca. On może tego nie zrozumieć, ale muszę tam jechać. Muszę odciąć się od przeszłości na własnych zasadach.

– Co powiesz na to – odzywa się Carter – żebyśmy coś zjedli i miło spędzili weekend? Skupmy się po prostu na terażniejszości. Myślę, że to był długi tydzień dla nas obojga.

– Świetny pomysł. Może dla odmiany zjemy na mieście?

Skręcam w drogę gruntową i z początku nie jestem pewna, czy trafiłam we właściwe miejsce. Kiedy jednak wyjeżdżam zza kępy drzew i dostrzegam dach obory, wiem już, że moje przypuszczenia się sprawdziły.

Czekałam dwa tygodnie, żeby tu przyjechać. Dwa długie tygodnie. Zawsze nienawidziłam tego powiedzenia: długie tygodnie, dni, minuty. Minuta to minuta, godzina to godzina. Teraz jednak wiem, że to nieprawda. Nie kiedy leżysz naga w zimnej piwnicy, spragniona, głodna, a każda sekunda zdaje się trwać całą wieczność. Nie kiedy jesteś w ramionach najbardziej okrutnego człowieka, jakiego znasz, a on karmi cię przyjemnością, jakby dawał ci zastrzyk heroiny, i te same sekundy mijają w mgnieniu oka, przyspieszają jak w swobodnym upadku, po czym uderzasz o ziemię wśród bolesnej eksplozji, gdy wszystko kończy się zbyt szybko.

Zaczęłam koncentrować się na czasie spędzonym z Carterem. Na odbudowywaniu naszej relacji, dopuszczaniu go do siebie na nowo. Muszę sprawić, żeby mi zaufał. Dzięki temu nie będzie dzwonił do domu co godzinę i nie zauważy mojej całodennej wycieczki, takiej jak ta.

Powinno mi być strach. Co, jeśli on nadal tam jest? Ale już się nie boję. Można powiedzieć o mnie wiele rzeczy, lecz z pewnością nie to, że jestem bojaźliwa.

Mocno zaciskam palce na kierownicy. Byłam tak skupiona na znalezieniu tego miejsca, że nawet nie pomyślałam, czy postępuję właściwie. Sądzę, że przynajmniej część z tego, co powiedział Sam, to prawda – jego brat chciał, żeby zniknął. Ten człowiek musiał mieć poczucie, że przynajmniej jedną rzecz zrobił dobrze, a usunięcie własnego brata z miasta z pewnością by mu w tym pomogło.

Parkuję pomiędzy oborą a domem i wysiadam z auta. Pod butami chrzęści wyschnięta trawa. Rozglądam się, po czym postanawiam zajrzeć do obory. Skradam się do niej, mając na uwadze, że ktoś może przebywać na terenie posiadłości. Gdyby wpadł tu na mnie szeryf

Ridgefield, pewnie dostałby zawału.

Ostrożnie uchylam drzwi, a potem wślizguję się do środka. Robię kilka kroków, wiedziona wspomnieniem kałuży krwi Sama, ale niespodziewane skrzywienie powoduje, że chowam się w najbliższym boksie. Wstrzymuję oddech i nasłuchuję dłuższą chwilę, a krew pulsuje mi w skroniach jak szalona. Sekundy mijają w ciszy, dopóki nie rozlega się końskie rżenie. Wychodzę z ukrycia i podchodzę do wyjścia, by zobaczyć Beverly wtykającą łeb do obory.

– Cześć, mała – odzywam się łagodnie.

Klacz prycha pod wpływem mojego dotyku.

– Nieźle wyglądasz. Wolność chyba ci służy.

Kóz nie ma nigdzie w zasięgu wzroku. Mijam Beverly i kieruję się do domu, by kontynuować misję. Klacz podąża za mną, jakbym była jakąś wypaczoną wersją księżniczki Disneya, i zatrzymuje się na stopniach ganku. Frontowe drzwi nie są zamknięte na klucz. Zawodzą w proteście, kiedy je otwieram, niezdolne ochronić sekretów swojego właściciela.

Wszystko wygląda dokładnie tak, jak zostawiliśmy. Niemal jakbyśmy nigdy nie opuścili tego miejsca. Zastanawiam się, czy Sam zamierza kiedyś tu wrócić. Wchodzę po skrzypiących schodach na górę, a potem zaglądam do pokoju przywodzącego na myśl mroczny zakamarek umysłu. Ściany wciąż pokryte są barwnymi makatami i wycinkami z gazet. Ostatnim razem nie miałam dość czasu, żeby dokładnie je przeczytać i przetrwać wszystkie informacje.

Ściągam artykuły jeden po drugim. Oglądam zdjęcia Sama i jego rodziny. Teraz wygląda inaczej, ale patrzenie na jego dziecięcą twarz i tak boli. Nienawidzę faktu, że mu współczuję, ale nie potrafię kontrolować tego bardziej niż potrzeby oddychania.

Znajduję czarno-białą fotografię. Jest na niej taki mały. Zrobiono ją przed wypadkiem. Stoi na ulicy, wzdłuż której rosną drzewa o rozłożystych konarach. To miejsce tego rodzaju, gdzie dzieci bawią się beztrudnie, a matki wychodzą przed dom, by zawołać je na obiad. Nigdy nie miałam czegoś takiego, nie dorastałam tak jak większość dzieci. Tylko okazjonalne wizyty u babci pozwalały mi zajrzeć na moment w takie życie. Mieszkała przy podobnej ulicy, w domu podobnym do tego, który widać na zdjęciu obok posesji Sama. Przyglądam się uważniej numerowi. Ledwie jestem w stanie go odczytać, ale niespodziewanie zalewa mnie fala wspomnień, więc ostatecznie rozpoznaję cyfry dziewięć i osiem.

Kręcę głowę z niedowierzaniem. Nie kojarzę go, ale w sumie nie znałam tam zbyt wielu dzieci. Czy Sam mnie pamięta? Chciałabym go o to zapytać, porozmawiać z nim. Potrzebuję odpowiedzi, ale wiem, że nic nie dostanę. Nowe odkrycie wywołuje niepokój, jakby wszystko, co mnie spotkało, wydarzyło się za sprawą przeznaczenia. Jak gdyby już w chwili mojego urodzenia postanowiono, że mam znaleźć się tutaj, dokładnie w tym miejscu.

Odkładam zdjęcie i pociągam za jedną z makat, by odsłonić fragment nagiej ściany z bielonych desek. Potem biorę się za następną i kolejną, usiłując usunąć całe to szaleństwo, aż w końcu u moich stóp zalega sterta kolorowych materiałów.

Rozglądam się po przestronnym i jasnym pokoju, niegdyś symbolu mrocznego, opanowanego szaleństwem umysłu. Wygląda znacznie lepiej w dziennym świetle. No, może z wyjątkiem jednej z desek na ścianie. Jest krótsza od reszty i odrobinę odstaje. Podchodzę do niej i naciskam. Jest obluźwana, a mimo to siedzi dość mocno. Biegnę do stołu, łapię nożyczki, wbijam je w szparę i podważam deskę. Wypada z łatwością. W niewielkiej wnęce dostrzegam szkatułkę. Wygląda na starą. Jest piękna, jak większość rzeczy w tym domu, wykonana z ciemnego drewna, o rzeźbionym wieku. Ostrożnie biorę ją do ręki, stawiam na stole i otwieram. Oklejone butelkowiezielonym filcem wnętrze skrywa biżuterię, zdjęcia i drobiazgi, których nie potrafię sklasyfikować. A potem doznaję oświecenia: to jego trofea.

Odsuwam się z przerażeniem, jakby skrzynka była zainfekowana. Nagle nie czuję się już taka wyjątkowa. Muszę skonfrontować się ze świadomością, że jestem tylko kolejną pozycją na długiej liście ofiar tego drapieżnika. Kolekcjonował części nas. I nie mam wątpliwości, że gdyby mógł z dumą umieścić je na ścianach, zrobiłby to bez wahania. Wywiesiłby skradzione uśmiechy bijące z tych zdjęć, zakłócone życia.

Drżącą dłonią zakrywam usta, a po policzkach płyną mi łzy. To boli w sposób, którego się nie spodziewałam. Jakbym znalazła list miłosny od ukochanego zaadresowany do innej kobiety. Zdrada. Oszustwo. Nigdy nie powiedział, że nie był takim człowiekiem, ale pokazał mi coś innego, a ja mu uwierzyłam. Naprawdę uwierzyłam. Niemożliwe, by jednocześnie istniał skrzywdzony w dzieciństwie, wrażliwy mężczyzna i człowiek ukryty pod maską. Nie mogli żyć w nim obaj, jeden musiał umrzeć. Zupełnie jak dawna ja, która uschła i zwiędła, by zrobić miejsce dla osoby, która zajęła jej miejsce.

Wyjmuję coś z torby i umieszczam tam, gdzie znajdowała się szkatułka. To swego rodzaju wiadomość dla Sama. Potem zatrząskuję wieko skrzynki, nie mogąc patrzeć na jej zawartość ani chwili dłużej. Muszę ją zatrzymać jako ubezpieczenie i przypomnienie.

Rozdział 36

SAM

Zabrała cholerną szkatułkę. To nie ma sensu. Niemożliwe, żeby znała lokalizację farmy – jej znalezienie wymagałoby sporego wysiłku. A jednak zrobiła to. Myśli o mnie równie często co ja o niej.

Gdy opuszczałem dom, moje myśli krążyły wokół pytania, co zrobić z Vesp. Zamierzałem ją zabić, naprawdę. Miałem się jej pozbyć i wrócić na farmę, żeby po sobie posprzątać.

Zawsze niweczyła moje plany. Zanim dotarło do mnie, co robię, zostawiłem ją nieco ponad kilometr od posterunku strażnika parku i zwiąłem. Mogła mnie wsypać. Powiedzieć, jak wyglądam, powtórzyć całą pieprzoną historię mojej rodziny, podać markę i model samochodu. Po tym wszystkim dowody rzeczowe byłyby tylko wisienką na torcie. Musiałem ją ubiec. Zrobiłem to, co robi większość uciekinierów – ruszyłem przed siebie, by najszybciej, jak to możliwe, znaleźć się jak najdalej stąd. Pod pretekstem postoju na posiłek zatrzymałem się w przydrożnym barze niedaleko Los Angeles. Zrobiłem to w nadziei, że zobaczę jakieś wiadomości na małym, niewyraźnym ekranie telewizora za ladą.

– Podać do ciasta kawę? – zapytała kelnerka, żując gumę i stawiając przede mną szarlotkę, którą wcześniej wskazałem palcem w menu.

Kiwnąłem głową.

To dziwne. Pomyślałem, że mógłbym z nią porozmawiać. Pewnie zaciąłbym się na chwilę tu i tam, ale w tamtym momencie w ogóle mnie to nie obchodziło. Miałem totalnie wywalone, co ktoś pomyśli w związku z tym, jak brzmiałem. Tajemnica, która do niedawna niewidzialną ręką ścisnęła mnie za gardło, zniknęła. Uciekałem, ale jednocześnie pogodziłem się z myślą, że to koniec. Że gorzka kawa i szarlotka to mój ostatni posiłek. Że świat dowie się, kim naprawdę jestem. Wszystko to w jakiś sposób przyniosło mi spokój. Podobno właśnie tak czuje się człowiek, który wie, że umrze. Opanowanie bierze górę.

Mogłem się odezwać, ale nie miałem ochoty. Woląłem oszczędzać oddech dla Vesp, o ile jeszcze kiedyś ją zobaczę.

W końcu zaczęły się wieczorne wiadomości i w ogóle nie zaskoczył mnie temat, który poruszono jako pierwszy.

– Vesper Rivers, zaginiona kobieta z Sacramento, została odnaleziona dzisiaj w Parku Narodowym Sekwoi. Funkcjonariusze potrzebują pomocy w zlokalizowaniu sprawcy.

Łyknąłem kawy, czekając, aż na ekranie pojawi się idealny portret pamięciowy – albo lepiej, zdjęcie mojej twarzy – a kelnerka na moment znieruchomieje, po czym powoli spojrzy w moim kierunku i zacznie szukać pretekstu, żeby wyjść zadzwonić.

Portret faktycznie się pokazał, lecz była to jedynie inna wersja rysunku, który pokazywano do tej pory. Odstawiłem kawę na blat i wbiłem widelec w ciasto.

– Wzrost około stu osiemdziesięciu centymetrów, twarz osłonięta kominiarką, oczy brązowe.

Parsknąłem śmiechem, zwracając na siebie uwagę kelnerki, ale miałem to w dupie. Mogła spojrzeć mi prosto w oczy i zobaczyć, że nie jestem tym człowiekiem.

Vesper to zrobiła. Kurwa mać. Nie było opcji, żeby brat krył mnie bez jej pomocy.

Wstałem, buzując energią, rzuciłem piątaaka na ladę i pokręciłem głową. Koń, który mówi patrzył za mną z plakatu reklamującego film.

„Ja pierdolę, jestem wolny. Jestem kurewsko wolny”, powtarzałem w myślach jak mantrę. Ale gdy tylko wyszedłem na zewnątrz, miejsce ulgi zajął głód. Kiedy mój plan naprawdę zadziałał i uczyniłem z Vesp osobę, która zrobiłaby dla mnie coś takiego, już nie mogłem jej mieć. Co, do jasnej cholery, miałem teraz począć?

Podszedłem do automatu telefonicznego przed barem i wyciągnąłem z kieszeni kilka żółtych kartek, które przed wyjazdem z miasta wyrwałem z książki telefonicznej.

„Dr Richard Peters”.

Wrzuciłem monetę do automatu i wybrałem numer. Potrzebowałem po prostu usłyszeć jej głos, nie musiałem nic mówić. Chciałem upewnić się, że tam jest. Musiała wiedzieć, że nie przestałem jej pragnąć, że dobrze się spisała. To jej nagroda.

Po pięciu sygnałach trzasnąłem słuchawką o widełki, a reszta bilonu z brzękiem wypadła na ziemię. Zebrałem monety i wrzuciłem je z powrotem do otworu. Tym razem spojrzałem na inną stronę i aż zadygotałem z gniewu i odrazy. Pan Perfekcyjny. To jedyne miejsce poza domem, w którym mogła przebywać.

Żadnej odpowiedzi. Pewnie wciąż siedziała na posterunku. Wróciłem do samochodu i ruszyłem w drogę. Zaraz potem minąłem znak do połowy zakryty krzakami, na którym widniał napis: „Los Angeles 15 mil”.

I tak oto wylądowałem w L.A. Nie wychylałem się przez kilka tygodni, żeby upewnić się, że ze strony Vesper nie był to jakiś wyszukany podstęp. Nie mogłem jednak oprzeć się pokusie usłyszenia jej głosu, błagań, bym uwolnił ją od przyziemności jej nowego zwykłego życia. Teraz już pewnie mnie rozumie – ze mną nie była więźniem, ale stała się nim tam, na zewnątrz, skrzepowana oczekiwaniami i relacjami, których w swoim mniemaniu potrzebowała.

Nie mogę wrócić i porwać jej znowu, to tak nie działa. Nie jestem rycerzem w lśniącej zbroi, tylko Hadesem. Rozrywam ziemię i ciągnę Vesp w dół. Daję jej swoje nasienie, które przyjmuje pomimo protestów. Teraz to ja jestem jej domem. Została wypuszczona na zewnątrz, ale wkrótce zda sobie sprawę, że musi do mnie wrócić, że to nieuniknione.

Po kilku tygodniach wróciłem – pieprzyć Scoota – żeby oczyścić tę cholerną farmę ze wszystkiego, co mogłoby mnie obciążyć, zanim zatrudnię ekipę, która zabierze resztę rzeczy. Pokój matki wygląda, jakby przeszło przez niego pierdolone tornado. Tam gdzie wcześniej ukryłem szkatułkę, znajduję egzemplarz Kto zje zielone jajka sadzone?, który dałem Vesper.

Zabrała szkatułkę. Jest pełna żywych wspomnień. Nie wiem, czy Vesper poradzi sobie z posiadaniem czegoś tak potężnego. Znajdzie tam wiele rzeczy, ale jednej nie – w środku nie ma ani śladu jej samej. Patrząc na dziurę w ścianie, sięgam do kieszeni i wyciągam złożoną fotografię. Jest wytarta, linia zagięcia przecina ją dokładnie pośrodku. Przesuwam palcami wzdłuż bruzdy, przez jej uśmiech aż po szyję. Zagniecenie zupełnie zamazało wisiorek. Czasami żałuję, że go nie zatrzymałem, by wciąż móc mieć kawałek jej osoby, coś więcej niż tylko wspomnienia, które z upływem czasu wyblakną tak jak to sfatygowane zdjęcie.

VESPER

– Pomyślałem, że moglibyśmy zrobić sobie długi weekend i gdzieś się wybrać – sugeruje Carter, podając mi mokry talerz do wytarcia.

– Tak?

– Może... Może wybierzemy się nad jezioro Tahoe? Zawsze uwielbiałaś to miejsce.

To prawda. Kiedyś uznałabym to za cudowny pomysł, ale teraz drzewa, woda i

wspomnienie zgubionego wisiorka zabiorą mnie z powrotem do niego.

– Pewnie.

Próbuję zamaskować wahanie niepewnym uśmiechem, lecz Carter je wyczuwa.

– Vesp, nie musimy jechać akurat tam. Możemy się wybrać w każde inne miejsce.

– Nie, nie. To dobry pomysł.

Nie chcę wszystkiego komplikować. Zmieniłam się tak bardzo, że nie mam ochoty jeszcze wydłużać tej listy. Nie chcę wyjaśniać, dlaczego wzmianka o moim ulubionym miejscu nie sprawia już, że piszczę z entuzjazmu.

Widzę, że Carter mi nie wierzy.

– Tak naprawdę to jestem podekscytowana – mówię i tym razem sztuczny uśmiech wychodzi mi lepiej. – Myślę, że świeże powietrze i otwarta przestrzeń będą idealne. Chcesz, żebym zaplanowała wycieczkę?

– Jasne. Decyduj o wszystkim. Podoba mi się to.

Staram się, tak bardzo się staram. Próbuję zaakceptować życie, którego przecież powinnam chcieć. Carter jest mężczyzną, którego powinnam pragnąć. Usiłuję się przestawić, ale to wyjątkowo trudne, kiedy szkatułka pełna ofiar znajduje się na dnie mojej szuflady z bielizną.

Nie wiem, co z nią zrobić. Na razie za jej pośrednictwem próbuję sobie uświadomić, że to tu jest moje miejsce. Że pomimo wszystkich łagodnych momentów, jakich doświadczyłam z Samem, to właśnie szkatułka zawiera jego prawdziwe ja.

Ale podobnie jak myśli o Samie obecność szkatułki ciąży mi na sercu i nigdy nie zapominam, że tu jest. Kradnie mi chwile z terażniejszości. Muszę coś z tym zrobić. Może popełniłam błąd i nie powinnam kryć Sama. Nie wydaje mi się, żebym potrafiła wieść normalne życie, dopóki nie pozwolę mu odejść na dobre. Nie mogę zachować i jego, i tego świata. Być może nadszedł czas, żeby wydać go w ręce policji.

Carter wychodzi załatwić kilka rzeczy i zostawia mnie samą. Jak zawsze w takich chwilach idę do szuflady, wyjmuję szkatułkę i przeglądam jej zawartość. W środku jest tyle przedmiotów, tyle historii. Myślę, że powinnam to zrobić – zadzwonić do szeryfa i powiedzieć, że nie możemy dłużej tego ciągnąć. Nie chcę robić tego za jego plecami. Zerkam na zegar. W piątek o tej porze powinien być jeszcze w biurze. Wpycham szkatułkę do torby i zostawiam liścik Carterowi: „Szeryf Ridgefield chciał, żebym ZNOWU przyjechała na przesłuchanie. Wrócę najszybciej, jak się da”.

Posterunek jest zaledwie kilka minut stąd. Szeryf stoi przy recepcji, pogrążony w rozmowie z mężczyzną w brązowym garniturze. Znam go, jest z prokuratury. Trzymam się na skraju jego pola widzenia, żeby nie przeszkadzać, ale jednocześnie staram się zostać zauważona. Mija zaledwie kilka sekund, po których mnie dostrzega. Kładzie dłoń na ramieniu mężczyzny i kiwa głową w moim kierunku. Ściskają sobie ręce, a potem szeryf podchodzi do mnie.

To przystojny mężczyzna, ale w inny sposób niż jego brat. Jest schludniejszy, zachowuje się pewnie, kroki ma cięższe. Nie jest dużo starszy od Sama, ale wygląda o wiele dojrzałej. Sam sprawia wrażenie, jakby już zawsze miał wyglądać młodo. Może to praca wpływa na tę różnicę? Może posiadanie sumienia?

– Vesper, zapraszam do mojego biura.

Przyciskam torbę nieco mocniej do boku i idę za nim. Mam wrażenie, że wszyscy wiedzą. Że wszyscy czują zło, które ze sobą przyniosłam.

Od czasu naszego pierwszego spotkania widzieliśmy się kilka razy, głównie po to, żebym mogła mu „pomóc”, odpowiadając na więcej pytań. Dziwnie jest iść przez posterunek, siedzieć tutaj, składać zeznania i dobrze wiedzieć, że szeryf doskonale zna odpowiedzi i że robi cały ten cyrk na pokaz.

– Kawy? Wody?

– Nie, dziękuję – odpowiadam.

– Usiądź. – Wskazuje krzesło po drugiej stronie biurka.

Zajmuję miejsce. Nasze spotkania za każdym razem wyglądają tak samo. Są formalne, zgodne z procedurami i żadne z nas nie wspomina o tajemnicy. Ale teraz jestem tu po to, by zburzyć ten mur.

– Moja sekretarka mówiła, że nie było cię w domu, kiedy zadzwoniła. Zostawiła wiadomość twojemu chłopakowi. Powiedział, że jesteś już w drodze. Że ze mną rozmawiałaś, ale to nieprawda.

– Rozmawiała z Carterem? – pytam, próbując coś z tego zrozumieć.

– Tak.

– Dlaczego dzwoniłeś? – pytam.

– A dlaczego ty byłeś już w drodze? – ripostuje, opierając łokcie na biurku.

Mocniej przyciskam do siebie torbę. Chyba nie powinnam dzielić się tym, co mam, dopóki nie dowiem się, czego chciał.

– Ja, uhm... Niepokoję się. Chciałam z tobą porozmawiać. On do mnie dzwoni.

Ridgefield wzdycha i pociera czoło.

– Pieprzony idiota. – Nie podoba mi się, że tak o nim mówi. – Powiedziałaś komuś?

– Nie.

– Nawet swojemu chłopakowi?

– Nawet jemu.

– Dobrze. W takim razie to sprawa tylko między nami i niech tak zostanie. Powinnaś zmienić numer i zastrzec go. Powiedz chłopakowi, że dzięki temu będziesz czuła się bezpieczniej i że masz dosyć dziennikarzy.

– Pomyślałam po prostu, że powinieneś wiedzieć o tym z powodu śledztwa. Nie przeszkadza mi to.

Opiera się na krześle i wciąga powietrze przez zęby.

– Nie chcesz go przed tym powstrzymać? Przypomnij mi, co się tu dzieje, Vesper. Dlaczego to robisz? Nie potrafię zaznać spokoju. Nie śpię po nocach, obawiając się, że się rozmyślisz.

Chciałabym móc wykrztusić odpowiedź. Nie potrafię mu nawet obiecać, że nie zmienię zdania.

– Czy kiedykolwiek naprawdę znałeś Sama? – pytam.

Prycha.

– W pewnym momencie powiedziałbym, że tak. No cóż, może nie do końca, ale rozumiałem go w jakimś stopniu. Teraz za to mogę zupełnie szczerze stwierdzić, że nie mam najmniejszego pojęcia, kim on jest.

Zerkam w kierunku zdjęcia na biurku, na rodzinę szeryfa. Tak perfekcyjną, tak normalną. Zauważam małego chłopca stojącego przed ojcem z niewinnym uśmiechem na buzi.

– Och, wygląda zupełnie jak Sam, kiedy był mały.

Twarz Ridgefielda sztywnieje, jakbym dźgnęła go w bolące miejsce.

– Taa, jest identyczny – żali się. – A ty?

– Co ja?

– Czy kiedykolwiek naprawdę go znałaś?

– Myślę, że tak. Łatwiej byłoby, gdybym mogła zaprzeczyć. Trudno zdradzić kogoś, kogo się zna.

Kiwa głową.

- Albo kogoś, kogo myślałaś, że znasz.
- Więc co chciałaś mi powiedzieć? Czy po prostu potrzebowałaś uspokojenia?
- Tak naprawdę to ja chciałem uspokoić ciebie. To wszystko niedługo się skończy.
- Co masz na myśli? – drążę, a niepewność zawiązuje mi żołądek w ciasny supeł.
- Ktoś przyznał się do porwania.
- Co? – stękam kompletnie oszołomiona.

Wyjmuje teczkę, otwiera ją i kładzie na biurku zdjęcie. Z kolorowej fotografii spogląda na mnie ciemnowłosa mężczyzna w średnim wieku.

– Zabójca z Północnych Lasów – informuje szeryf, stukając palcem w twarz zapuszczonego człowieka.

– Ale to nie był on i dobrze o tym wiesz – mówię, zupełnie jakby potrzebował tego wyjaśnienia.

– Dzięki temu sprawa zostanie zamknięta. Nie będziesz musiała się martwić, że przeszłość wróci, by nas prześladować.

– Nie rozumiem.

– Ten człowiek jest seryjnym gwałcicielem i mordercą. Jeździ ciężarówką i zostawia ofiary w całym stanie. Trzymamy go w areszcie. Jest zamieszany w sprawy dwudziestu sześciu zabójstw w całej Północnej Kalifornii, a on sam przyznaje się do przynajmniej pięćdziesięciu.

– Dlaczego? Nie rozumiem.

– Zgodził się dostarczać nam informacji o dodatkowych zbrodniach, żeby dostać mniejszy wyrok. Niektórzy tak robią. Przyznają się do wielu rzeczy. Czasami dla rozgłosu, czasami po to, żeby nas zdezorientować. Ale ten ma mały domek, który pasuje do scenariusza. Nie posiada przyjaciół ani rodziny. Mógłby trzymać kogoś w zamknięciu, tak żeby nikt się nie zorientował. Opowiedział dobrą historię. Wiedział rzeczy, o których mógł wiedzieć tylko porywacz.

– Jakim cudem?

– Kiedy prowadzisz przesłuchanie, zawsze znajdzie się sposób, żeby... zasiać ziarno.

– Ale on jest niewinny.

– On nie jest niewinny, Vesper. Zabił ponad dwadzieścia osób, w tym dziewczyny, które nigdy by nikogo nie skrzywdziły. Sukinsyn podpisał zeznanie, w którym twierdzi, że cię porwał. Możemy wreszcie zamknąć tę sprawę. I tak będzie siedział w pierdlu aż do śmierci. A wszyscy inni poczują satysfakcję, że śledztwo dobiegło końca.

– Nie rozumiem. Co z innymi zbrodniami?

– Pozwól, że tym ja się zajmę. Najem się trochę wstydu, ale dam sobie radę. Och, a farma Sama została już wystawiona na sprzedaż, sprawdziłem osobiście. Nawet jeśli znajdują się tam jakieś dowody, po wprowadzeniu się nowych lokatorów najpewniej zostaną skażone ich DNA, więc staną się zupełnie bezużyteczne.

Ostatnia informacja – myśl, że Sam odejdzie na dobre – wywołuje ukłucie bólu.

– Mam wrażenie, że to nie w porządku.

– A ja mam wrażenie, że przez to – szeryf celuje we mnie palcem – dostanę kiedyś zawału.

Wywracam oczami.

– Vesper, ten człowiek to brutalny morderca. Zagrożenie dla społeczeństwa. A niepokojąca prawda wygląda tak, że Kalifornia jest pełna jemu podobnych zwyrodnialców. Czasami czuję się tu jak na Dzikim Zachodzie. Wsadzając go do więzienia, tylko wyświadcymy światu przysługę.

– Robiłeś to już wcześniej?

– Vesper, przysięgam, że nigdy. Ale znalazłem się w niezręcznym położeniu. Nie możemy zadowolić się brakiem odpowiedzi. Oboje musimy sprawiać wrażenie, że chcemy, by ktoś za to zapłacił. Jeśli nie zamkniemy sprawy, nie powstrzymam innych przed węszeniem, przed znalezieniem czegoś, czego nie byłem w stanie ukryć. Chcę, żebyśmy wszyscy mieli to za sobą. A ty – ciągnie ciszej, przysuwając się do mnie – nie chciałaś go wydać. Nigdy cię do tego nie zmuszałem.

Dobrze, że zachowałam szkatułkę w tajemnicy. Coś mi mówi, że gdybym ją oddała, znalazłaby się w spalarni. Szeryf Ridgefield nieustannie domaga się zapewnień z mojej strony, co nagle zaczyna mnie martwić. Jestem niewygodną, niedokończoną sprawą i być może Sam to nie jedyna osoba zdolna do złych uczynków.

– Masz rację, to idealne rozwiązanie. Dzięki temu wszyscy będziemy mogli ruszyć naprzód.

– Musisz zrozumieć, Vesper. Uratowałam moją rodzinę. Jeśli potrzebujesz czegokolwiek, chcesz odejść i zacząć życie od nowa gdzie indziej lub po prostu potrzebujesz wsparcia, mogę ci pomóc.

– Doceniam – mówię i wstaję, czując się tak, jakby ściany biura miały lada moment na mnie runąć.

Szeryf odchyła się na krześle i krzyżuje ręce na piersi, wyraźnie powstrzymując chytry uśmieszek.

– Więc naprawdę nie zamierzasz mi powiedzieć?

– O czym? – pytam, stając za krzesłem, by choć w ten sposób odgrodzić się od tego mężczyzny.

– Który miesiąc? Nic po tobie nie widać, ale kiedy Katie była w ciąży z Jamesem, brzuch zaczął jej rosnać dopiero w szóstym.

– Co? – wydaję zduszony okrzyk.

– Chronisz Sama. Nie pozwoliłaś lekarzom się zbadać, ale pobrali ci krew i mocz. Naprawdę sądziłaś, że się nie dowiem?

– Nie jestem w ciąży, przysięgam – zapewniam drżącym głosem.

– Musimy ufać sobie nawzajem, jeśli ma się udać – mówi, pochylając się do przodu. – Z pewnością rozumiesz, że jeżeli pojawi się dziecko wyglądające jak Sam, z tymi jego cholernymi oczami, albo z DNA niepasującym do tego kołosa z lasu, to cała konspiracja może wyjść nam bokiem. Tak jak mówiłem, istnieją sposoby, żeby się tym zająć. Po cichu.

– Nie ma żadnego dziecka – syczę przez zaciśnięte zęby. Gniew gotuje się we mnie na myśl, że nasze martwe dziecko jest dla niego tak wygodne.

Wnętrznosci skręcają mi się ze strachu i nie mam pojęcia, dlaczego nie czułam go wcześniej. Może to przez uniform sugerujący, że szeryf jest jednym z tych dobrych. Tak samo jak kominiarka Sama świadcząca o jego złych zamiarach. Ale bywa, że dajemy się zwieść przebraniom. Czasami to człowiek w policyjnym mundurze chce wyrządzić nam krzywdę. Czasami zamaskowana mężczyzna ratuje życie.

Nie sądzę, żeby Ridgefield kiedykolwiek spodziewał się zobaczyć mnie żywą. Aktualne zagrożenie stanowi on, nie Sam. Postanawiam więc powiedzieć coś, co nie będzie tylko płytkim zapewnieniem. To nie powinna być prawda, w końcu teoretycznie uczę się żyć dalej.

Kiedy układam słowa w głowie, coś ściska mnie w gardle, a język staje się ciężki i wyrzucenie z siebie dwóch zdań sprawia mi niemal fizyczny ból. Słowa nie powinny boleć tak bardzo, skoro są tylko kolejnym kłamstwem.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nikomu nie powiem? – pytam, opierając dłonie na biurku Ridgefielda.

Lekko kiwa głową.
– Bo Sam jest mój.

Rozdział 37

VESPER

Nad jezioro Tahoe wybieramy się w przyszłym tygodniu. Staram się, jak mogę, by dać szansę temu życiu. Szkatułka Sama spoczywa w szufladzie jak jakaś pokręcona wersja pocieszenia, upewniając mnie, że on wciąż istnieje. Za każdym razem, kiedy Cartera nie ma w domu, wychodzę do parku, biblioteki, gdziekolwiek, byle z dala od telefonu i nieprzewidywalnych połączeń.

Czuję, że to nowe życie powoli oplata mnie jak bluszcz. Próbuje zapuścić korzenie, wczepić się w ciało gałązkami. Nie mogę znowu być nią, dziewczyną sprzed porwania, ale może uda mi się zdławić wszystko to, co zaszło, i gdzieś tutaj znaleźć miejsce, by dalej egzystować.

Miesiąc temu opuściłam biuro szeryfa z informacją, że ktoś inny weźmie na siebie winę za zbrodnię Sama. Krótco potem wszystkie wiadomości nieustannie trąbiły o tym człowieku. Odbyła się konferencja prasowa. Próbowałam oglądać ją w towarzystwie Cartera. Wziął mnie za rękę, lecz zaraz zabrałam ją z jego uścisku i wyszłam z pokoju. Nie mogłam słuchać tych wszystkich kłamstw. Nie mogłam tam usiedzieć, wiedząc, że Carter uważa człowieka pokazywanego na ekranie za tego, który mnie miał.

Czy jeśli zdołam trzymać się z daleka od pokusy, tak jak alkoholik trzyma się z dala od barów i sklepów monopolowych, kiedyś zacznę mniej o nim myśleć? Może kiedyś zapomnę?

Tego ranka Carter sprawia wrażenie, jakby starał się opuścić mieszkanie najszybciej, jak tylko się da. Ma na głowie mnóstwo spraw przed wyjazdem. Włączam wiadomości i okazuje się, że nie mogę uciec przed Samem. Jego brat jest na ekranie: „Szeryf Ridgefield ogłasza swoją kandydaturę na burmistrza Sacramento”. Rozmowa dotyczy wielkiego sukcesu w sprawie mojego porwania przez Zabójcę z Północnych Lasów.

Prycham z pogardą.

– Co jest? – pyta Carter, zakładając zegarek.

– Och, nic, tylko szeryf startuje na stanowisko burmistrza.

– Co w tym dziwnego?

– Nie wiem. Po prostu to zabawne, że uważają moją sprawę za sukces. Nie znaleźli mnie, zostałam wypuszczona. Jeśli ten facet mnie porwał, to ja nie wiem, jakim cudem szeryf zachował twarz, skoro powtarzał wszystkim dookoła, że to robota Nocnego Drapieżnika. Zdaje się, że ludzie o tym zapomnieli. Jakże wygodnie się złożyło.

– Jeśli? – powtarza Carter.

– Chciałam po prostu powiedzieć, że szeryf wcale nie wyszedł na takiego bohatera, jak mu się wydaje.

– Ale ten sukinsyn, który cię porwał, trafił do pierdła na resztę życia, prawda? – mówi, całując mnie w czubek głowy. – Mhm.

Zerka na telewizor.

– Nie lubisz tego kolesia, co?

Wzruszam ramionami.

– Dobrze się czujesz? – Troszczy się o mnie, ale wiem, że myślami jest już po drugiej stronie drzwi. To zrozumiałe.

– Wszystko w porządku.

– Okej, to do zobaczenia wieczorem.

Fakt, że wierzy mi na słowo, naprawdę dodaje mi otuchy.

Carter znika w ciągu minuty, a ja idę pod prysznic, przygotowując się mentalnie na kolejny dzień uników. Ale teraz Sam znajduje się na pierwszym planie moich myśli, więc nieważne, dokąd pójdę, on będzie tam ze mną.

Można by się spodziewać, że wstyd powstrzyma Andrew Huntera-Ridgefielda od ubiegania się o stanowisko burmistrza. Ale nie, właśnie dlatego chciał zamknąć sprawę. Nie chodziło o chronienie Sama, tylko o spełnienie własnych ambicji. Staje na podium w otoczeniu żony i dzieci, w drogim garniturze, twierdząc, że dba o ludzi. No cóż, ja mam szkatułkę zawierającą osiemdziesiąt dwa życia – pamiątki z cudzych domów, wspomnienia sterroryzowanych i skrzywdzonych ludzi – która dowodzi czegoś wręcz odwrotnego. Ale jestem winna w równym stopniu co on. Mogłabym zgłosić się do FBI. Różne scenariusze przemykają mi przez głowę, lecz wtedy dzwoni telefon. Na Sama jest stanowczo za wcześnie – no chyba że to jego nowa strategia, bo ostatnio znikam na całe dni. A może dzwoni Carter, bo czegoś zapomniał? Muszę odebrać.

Unoszę słuchawkę i od razu orientuję się, że to Sam.

– Mam twoją szkatułkę.

Czekam na odpowiedź, choć wiem, że jej nie usłyszę.

– Twój brat jest wielkim zwycięzcą całej tej sprawy. Oglądałeś wiadomości? Startuje w wyborach na burmistrza.

Nic.

– Czy to kiedykolwiek się skończy? Nie chcesz mnie, Sam. Nie byłabym tutaj, gdybyś chciał.

Rozłączam się, zanim zdążę powiedzieć coś jeszcze bardziej głupiego. Szykuję się tak szybko, jak mogę, żeby udać się gdzieś, gdzie mnie nie osiągnie.

Spędzam cały dzień w bibliotece, przerzucając strony książek, które w ogóle mnie nie interesują. Nie umiem się dzisiaj uspokoić. Mam w sobie mnóstwo sekretów i emocji, których nie mogę zdradzić. Wszystko, co robię, jest dokładnym przeciwieństwem tego, czego chcę. Postanawiam w końcu wpaść do Cartera w ramach niespodzianki i przynieść mu lunch. Jest asystentem na uczelni i pomiędzy zajęciami z reguły spędza czas w sali przeznaczonej do wypoczynku. Jadę na miejsce, ale nigdzie go nie widzę. Ktoś mówi mi, że przebywa w jednej z auli wykładowych, gdzie kończy zajęcia.

Znajduję salę. Drzwi są uchylone. Podchodzę do nich i słyszę dobiegające ze środka głosy, w tym jeden kobiecy, pełen emocji. Zatrzymuję się, zanim mnie zobaczą, i zaglądam z bezpiecznej odległości. Przed Carterem stoi dziewczyna o wycieniowanych rudawych włosach i z wielkimi okularami na nosie. Przyciska książki do piersi. To wszystko, co udaje mi się zauważyć, zanim muszę schować się za drzwiami.

Akustyka auli wykładowej pozwala usłyszeć niemal całą rozmowę, nawet z najwyższego poziomu.

– Nie rozumiem... Powiedziałaś, że to tylko tymczasowe. Minęły już prawie dwa miesiące, Carter.

– Cała ta sytuacja nie jest prosta. Ona wiele przeszła.

– Więc to wszystko usprawiedliwia? Po prostu bądź ze mną szczerzy. Kochasz mnie?

– Oczywiście.

– Ale nie bardziej niż ją.

– Postaw się na moim miejscu. Byliśmy zaręczeni, zanim ją porwano. Wszystko jest takie pogmatwane.

– Dla mnie też. Jednego dnia praktycznie u ciebie mieszkam. Mówisz mi, że mnie kochasz i że wreszcie widzisz swoją przyszłość z kimś innym, a następnego dnia dostajesz telefon i każesz mi się pakować. Mówisz, że ona wróciła i musisz upewnić się, że wszystko z nią w porządku. Miałaś zrobić tylko tyle! Upewnić się, że z nią dobrze. Ale teraz ona jest z tobą, i jedziecie razem na wakacje... – Urywa i zaczyna szlochać.

– Nie należę do ludzi, którzy zostawiają innych w potrzebie.

– I co dalej? Będziesz zajmował się nią do końca życia? To twój obowiązek? Mówisz, że nie jest z nią dobrze, ale ona nie chce iść na terapię. Powtarzasz, że po prostu musisz to zrobić, ale... Nawet nie będę pytać, czy uprawiacie seks. Nie mogę czekać w nieskończoność. Po prostu pozwól mi odejść – błaga.

– Nie mogę tego zrobić. Zależy mi na tobie.

– Musisz wybrać. Albo zaczniesz nowe życie ze mną, albo będziesz zajmował się kimś, kto być może już cię nie kocha. Ale ja nie zamierzam po prostu czekać do nie wiadomo kiedy i sypiać sama, podczas gdy ty będziesz ją pieprzył, aż zapomni o bólu. To wszystko jest chore.

Więcej już nie mogę słuchać. Odwracam się i wybiegam z budynku, po drodze wyrzucając lunch do śmietnika i ocierając łzy. Nic z tego nigdy nie wydawało mi się prawdziwe – bo wcale takie nie było. Powtarzałam sobie, że moje nowe życie może stać się dla mnie bardziej rzeczywiste niż to, które zostawiłam za sobą. Ale wiem, że to niemożliwe, bo Carter też udaje. Oboje udajemy dla siebie nawzajem. Każde z nas sądzi, że to drugie go potrzebuje, lecz tak naprawdę kurczowo trzymamy się iluzji.

W całym moim życiu czułam się pożądana bez reszty tylko przez jedną osobę. Świat bez żadnego problemu znalazł sposób, by kręcić się dalej beze mnie. Byłam martwa, a mój powrót jedynie wyrzucił go do góry nogami. Wszyscy próbujemy nieustannie odnaleźć równowagę, świat jednak chwieje się na swojej osi jak wirujący bączek, który łąda moment ma się przewrócić.

Moja matka spełniła swój obowiązek: doprowadziła mnie do dorosłości i jest gotowa wrócić do życia, z którego się wycofała. Johnny radzi sobie bez mojej pomocy. I nawet gdyby matka mi pozwoliła, nie jestem już tą dziewczyną, która mogłaby się nim zająć. Nie tak, jak kiedyś potrafiłam. Ledwie umiem zająć się samą sobą.

A Carter? Kochany Carter... Nie winię go. Nie jestem na niego zła. Zasługuje na kogoś, kto obdarzy go prawdziwym uczuciem i będzie błagał go tak jak ta dziewczyna. Nie na kogoś, kto odbiera telefony od swojego porywacza. Kto chroni mężczyznę, który zdeorganizował nasze życie. Nie kogoś, kto musi tak bardzo się starać, żeby go kochać.

Od swojego powrotu czułam się niepewna, wiecznie niespokojna. Nie jestem bezpieczna, a jedyną rzeczą mogącą przynieść mi ukojenie, jest powrót do płomieni. Muszę wejść do płonącego budynku i pozwolić, by strawił mnie ogień. Możliwe, że zmienię się w popiół, ale przynajmniej nie będę wiecznie żyła w strachu przed poparzeniem.

Niewykluczone, że mam jeszcze jakiś cel, ale na pewno nie znajdę go tutaj. Może się okazać, że osiągnięcie go nie przyniesie mi szczęścia, ale wiem jedno – moja historia musi rozegrać się w innym miejscu. Przy Samie. Szeryf Ridgefield pewnie sądzi, że już po wszystkim, ale koniec nie nastąpi, dopóki ja tak nie powiem.

„Drogi Carterze,

żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności za miłość i wsparcie, które mi okazałeś zarówno przed, jak i po porwaniu. Zasługujesz na życie pełne miłości i oddania, a ja nie mogę Ci

go dać. Muszę odejść. Muszę zacząć gdzie indziej. Może któregoś dnia wrócę i znów się zobaczymy, ale powinieneś żyć dalej. Zabierz kogoś innego nad jezioro Tahoe. To nie jest już moje miejsce. Poradzę sobie. Potrzebuję po prostu przez jakiś czas żyć po swojemu. Proszę, nie szukaj mnie. Wrócę, kiedy będę gotowa. Przepraszam za wszystko.

*Kocham
Vesper”*

Łapię torby – w jednej z nich bezpiecznie spoczywa szkatułka Sama – i wyruszam na poszukiwanie czegoś prawdziwego.

Rozdział 38

VESPER

Siedzę w tej knajpie od dwóch godzin. Piję czwartą kawę, a jajka na miękko stoją przede mną, od dawna zimne. Muszę je zjeść. Nie mam pracy i żyję z oszczędności zgromadzonych przed odejściem: z pieniędzy przeznaczonych na czesne i kasy, którą dostałam od matki – a tak naprawdę od ojczyma – żeby szybciej stanąć na nogi. Wystarczy mi na kilka miesięcy, jednak głupio byłoby marnować forszę na jedzenie, którego się potem nie je. Próbuję wmusić w siebie choć kęs, ale nie mogę.

Jestem coraz bliżej niego, czuję to.

– Dolewkę? – pyta kelnerka.

Traktuje moją okupację stolika z dużą cierpliwością. Bo właśnie to robią ludzie w knajpach, prawda? Przychodzą albo na szybki posiłek, albo szukają wytchnienia. Miejsca, w którym mogą posiedzieć i uciec na trochę od rzeczywistości.

– Jasne.

Podsuwam jej kubek, a ręka trzęsie mi się jak w febrze. Mam w sobie zbyt dużo kofeiny i nie przestaję pić jej dalej. Jestem zdeterminowana, żeby coś w końcu zrobić, ale do wyboru mam tylko dwie opcje: to, co chcę, i to, co powinnam. Moglibyśmy wrócić do cichych poranków pod kalifornijskim słońcem, kiedy czytałam mu książki. Albo do popołudni w wodzie, choć tym razem to będzie plaża zamiast jeziora. Wieczorem słuchalibyśmy muzyki. Nasz świat wypełniałaby cisza. Mieszkalibyśmy w nim tylko my dwoje, bez hałasu i innych ludzi, a on mógłby robić ze mną, co zechce. Pozwoliłabym mu na to. Pozwoliłabym, żeby pożarł każdy centymetr mnie jak najśłodszą rzecz na świecie. Jakbym była jedynym, co może zaspokoić jego głód.

Albo mogłabym zrobić też to, czego domagają się istnienia reprezentowane przez szkatułkę – odnaleźć go, zadzwonić do drzwi w nocy, a kiedy otworzy, strzelić mu z pistoletu w twarz. Odeszłabym wówczas tak jak on: w ciemność. Nie byłoby żadnego ewidentnego motywu, żadnego powodu, dla którego policja miałaby połączyć morderstwo z moją osobą. Potem wyrzuciłabym szkatułkę i pistolet do oceanu. Znalazłabym motel, a ponieważ zabiłabym jedyny powód do życia, jaki jeszcze mi został, wzięłabym garść tabletek i poszła spać.

Każda z tych koncepcji z równą siłą ciągnie mnie w przeciwną stronę. Jestem więc unieruchomiona w miejscu, zakotwiczona przez decyzję, którą muszę podjąć. I kiedy nie mogę już myśleć o tym ani chwili dłużej, znów odtwarzam w głowie rozmowę, przez którą ruszyłam w drogę do Los Angeles.

– Co tu robisz? – pyta szeryf Ridgefield, stając w progu swojego domu.

Ogląda się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt z domowników go nie obserwuje. W trakcie mojego prywatnego śledztwa udało mi się ustalić, gdzie mieszka: w tym samym domu, w którym on i Sam spędzili dzieciństwo. To najbardziej okazały budynek w okolicy, z intensywnie zielonym trawnikiem i pięknie kwitnącymi różanymi krzewami.

– Muszę z tobą porozmawiać – odpowiadam bez krzty wstydu czy wahania.

Ze środka dobiega piskliwy śmiech dzieci. Ridgefield znowu spogląda za siebie,

przewraca oczami i wzdycha.

– Dobra.

Odchyła się do tyłu i woła do żony, że przyjechał ktoś z pracy, więc wróci za kilka minut, po czym ruszamy chodnikiem w stronę najbliższej przecznicy.

– Nie powinnaś tutaj przyjeżdżać. Chodzi o pieniądze?

Obraża mnie jego podejrzenie, że zjawiłam się tu w tak trywialnej sprawie.

– Nie.

– Więc o co?

– Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Sam.

Śmieje się kpiąco.

– Co? Dlaczego?

– Mam swoje powody.

– Jesteśmy tak blisko zamknięcia sprawy. Czemu miałabyś chcieć się z nim zobaczyć?

Mija nas jakaś kobieta z pudłem i macha do szeryfa, przyglądając się nam z zaciekawieniem. Szeryf uśmiecha się wymuszenie, odwzajemnia gest powitania, po czym nachyla się w moją stronę i syczy:

– Oszalałaś?

– Nie masz prawa mnie osądzać.

Potrząsa głową.

– Może i zrobiłem coś okropnego, ale wcale nie chciałem być w to zamieszany. A ty miałaś swoją szansę. Na pewno nie skłamałaś po to, żeby mnie chronić, nawet mnie nie znasz. Chciałaś chronić jego albo siebie, albo sam nie wiem kogo.

– Nie przyszłam tu, żeby o tym dyskutować. Chcę tylko wiedzieć, gdzie on jest. Pokieruj mnie chociaż we właściwą stronę.

– Nie wiem. Dla mnie jest martwy.

– Mam uwierzyć, że gliniarz, który wypędził swojego niebezpiecznego brata z miasta, nie ma go na oku? Z moją głową może nie być najlepiej, ale głupia nie jestem, szeryfie.

– Nie zamierzam doprowadzać do tego, żebyś z powrotem do niego trafiła.

Stajemy na rogu ulicy, kiedy w rozmowie nadchodzi impas.

– Jaki miałeś dla mnie plan? – pytam.

– Co masz na myśli?

– Sam powiedział, że kazałeś mu wyjechać. Nam. Ale mnie zostawił. Wiem, że tego nie chciał. To się nie trzyma kupy.

– Więc tego chcesz się dowiedzieć? Czemu cię zostawił? Jezu, Vesper, daj sobie spokój.

Kręcę głową, kiedy próbuje bezlitośnie zbagatelizować moją udrękę, ale nie pozwalam wytrącić się z równowagi.

– Zamierzałeś pozwolić mu mnie zabrać. Powiedział, że możemy zniknąć. Ale potem mnie zostawił. To nie ma sensu.

– Ja, uhm... Co pani sugeruje, panno Rivers? – pyta sfrustrowany.

– Myślę, że wiesz, dlaczego mnie zostawił. To był jedyny sposób, żeby ocalić mi życie. Pozwoliłeś mu odejść, ta część jest prawdziwa. Ale nie ma mowy, żebyś pozwolił mu zabrać mnie ze sobą. Moje zdjęcia pojawiały się dosłownie wszędzie, dlatego stanowiłam ciężar. Nie mogłeś ryzykować, że ktoś zobaczy twojego brata ze mną. Wiem, że wywiózł mnie do lasu, żeby mnie zabić. Czułam jego frustrację i wahanie, kiedy próbował to zrobić. Czułam lufę z tyłu głowy.

Szeryf patrzy gdzieś w przestrzeń. Winę ma wypisaną na twarzy. Podjęłam ogromne ryzyko, rzucając mu takie oskarżenie. To było tylko podejrzenie i mogłam się mylić. Lecz teraz

nie musi mówić nawet słowa, żebym wiedziała, że miałam rację. Że pomimo całego szaleństwa Sama to jego brat-gliniarz chciał się mnie pozbyć, a Sam zaryzykował wszystkim, żebym przeżyła.

Sam wiedział, że jedynym sposobem na zapewnienie mi bezpieczeństwa będzie zwrócenie mnie światu. Kiedy znalazłam się na posterunku strażnika parku, nie mogłam już zniknąć. Byłam zbyt znana. Sam wiedział, że w trakcie procesu jego własne życie może zostać zniszczone, a mimo to pozwolił mi żyć i o wszystkim opowiedzieć.

– Musisz już iść. Nie doprowadzę cię do niego. Możesz myśleć, że w całej tej sprawie odgrywam rolę czarnego charakteru, ale robię to dla twojego bezpieczeństwa.

Dawna Vesper zrezygnowałaby po pierwszym „nie”. Nie chciałyby się narzucać ani naciskać. Zobaczyłyby wyraz twarzy szeryfa i sama poczułyby się winna za to, że skonfrontowała go z prawdą. Ale teraz nie odejdę, dopóki nie dostanę tego, czego chcę. Nie przyszedłam tutaj z prośbą, tylko z żądaniem.

– Andrew, prawda? Mogę tak do ciebie mówić?

– Mhm – potwierdza sceptycznie.

– Nic mi nie zostało. Ludzie tacy jak ja nie wracają do domów. My umieramy. Albo inni myślą, że umarliśmy. Ale z pewnością nie wracamy do przeszłości. Tymczasem ja jestem tutaj, choć nie powinno mnie być.

– Musisz dać sobie więcej czasu.

– Duszę się całą tą wolnością, tymi wszystkimi wyborami. Bez niego nie czuję się bezpieczna.

– To on sprawił, że się taka stałaś.

– Owszem. I są tylko dwa sposoby, dzięki którym poczuję się bezpieczna. Mogę albo wrócić tam, gdzie byłam, albo...

Powstrzymuję się przed wyznaniem funkcjonariuszowi planów morderstwa. Nie jest moim przyjacielem i muszę o tym pamiętać.

– Co ty próbujesz mi powiedzieć, Vesper? – Zaczyna się denerwować.

Nie powinnam zdradzać przed nim swoich sekretnych myśli. Nie mogę opowiedzieć mu o wstydzie płynącym z pragnienia mężczyzny, który robił ze mną niepojęte rzeczy. O tym, jak zadreżcam się każdą decyzją podjętą od chwili, w której Sam odjechał.

– Mam ją, Andrew. Mam jego szkatułkę z trofeami. Pewnie myślałeś, że zabrał ją ze sobą przed wystawieniem farmy na sprzedaż. Musiałeś o tym wiedzieć. O wszystkich tych drobiazgach, które nam zabrał, o pamiątkach. Takich jak to...

Sięgam pod bluzkę i wyciągam na wierzch wisiołek z zawieszka w kształcie księżycy. Dawniej znaczył dla mnie tak wiele. Nie sądziłam, że mógłby symbolizować więcej niż do tej pory, ale teraz jest przepełniony dodatkowymi znaczeniami, aż ciężki od nich. Skrywa w sobie tak wiele, że każdego dnia czuję jego ciężar.

Szeryf nic nie mówi. Stoi tylko z zaciśniętymi ustami i rękami skrzyżowanymi na piersi i czeka. Raz po raz przebiega obok nas jakieś dziecko, czasem przejeżdża samochód.

– Mam ją. Musisz zrozumieć, że nic mi nie zostało. Jeśli do niego nie dotrę, będę musiała sprowadzić go do siebie, a jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, jest wyjawienie wszystkiego, co wiem. Wizyta w FBI, przekazanie szkatułki i opowiedzenie im całej historii.

– Nie zrobiłabyś tego.

– Nie chcę.

– Czy to groźba? – pyta. Czoło błyszczy mu od potu.

– Jeśli coś mi się stanie, szkatułka zostanie znaleziona. Padnie wtedy więcej pytań, niż potrafisz udzielić odpowiedzi.

– Kiedy to się skończy? Myślałem, że możemy już o tym zapomnieć.

– Skończy się, gdy powiesz mi, gdzie go znaleźć, i sama będę mogła zamknąć sprawę. Miałaś swoje powody, żeby kłamać, ja miałam swoje. Ty wrócisz do swojej rodziny, a ja dokończę to, co zostało zaczęte.

– Co zrobisz, jak już go znajdziesz? Zabijesz go? Myślisz, że Sam na to pozwoli? – Andrew jest widocznie spięty. Wciska palce w skroń. – On jest mądry, Vesp. Unikał nas latami. Myślisz, że ci zaufa? A jeśli go zabijesz, znajdę się dokładnie w tej sytuacji, której próbowałem uniknąć. Nasze nazwisko pojawi się we wszystkich mediach.

– Obiecuję, że jeśli mi powiesz, gdzie go znaleźć, ta sytuacja nie odbije się na tobie. Sprawa w ogóle cię nie dotyczy.

– Jesteś szalona. Koniec rozmowy. Jeśli do niego pojedziesz i spróbujesz go zaatakować, to ty skończysz martwa – syczy przez zaciśnięte zęby, a potem odwraca się gwałtownie i odchodzi, zostawiając mnie z niczym. Wyłożyłam wszystkie swoje karty, a on zobaczył, że blefuję.

Odchodzi, lecz po kilkunastu krokach przystaje niespodziewanie i wraca do mnie.

– Chcesz się pakować w paszczę lwa? Dobra. Ale dasz mi szkatułkę.

– Nie ufam ci.

– Ja też ci nie ufam.

– Po prostu mi powiedz – nalegam. – Wtedy nie będziesz musiał oglądać mnie nigdy więcej. Nigdy. Nie potrzebuję pieniędzy. Chcę tylko wiedzieć, gdzie on jest. A kiedy do niego dotrę, szkatułka wyląduje w oceanie albo w ognisku. Jeżeli mnie zabije, będzie bezpieczna u niego. Nie mam żadnego powodu, żeby informować kogokolwiek o jej istnieniu. Chyba że dostanę go od ciebie.

Milczy przez chwilę. Zdaje sobie sprawę, że to niesprawiedliwy układ, ale wie też, że ma u mnie dług. Za jego sprawą niemal zginęłam. Teraz może przynajmniej dać mi informację.

– Znajdę go. Możesz albo mnie pokierować, albo sama zacznę węszyć – dodaję.

Wzdycha i spogląda na zegarek.

– Katie mnie zabije. – Podnosi wzrok na moją twarz. – Sam jest w Los Angeles. A przynajmniej był tam ostatnim razem, jak sprawdzałem. Myślałem, że chcę wiedzieć, co kombinuje, ale tak naprawdę wcale nie chcę. Bo jeżeli nie przestał... Nie mogę o niczym wiedzieć. Nie mogę... – Głos mu się rwie.

Andrew Hunter-Ridgefield to gliniarz z krwi i kości. W jego postawie widać coś wzniosłego, swego rodzaju dumę. To, co razem zrobiliśmy, zżera go od środka jak pasożyt. Musi chronić swoją rodzinę i odznakę, robiąc coś dokładnie odwrotnego, niż owa odznaka symbolizuje.

– Dziękuję – mówię. – To pożegnanie, naprawdę.

– Taa – mruczy z przekąsem.

Robi kilka kroków do tyłu, przyglądając mi się uważnie, a potem odwraca się i zostawia mnie samą na rogu ulicy.

Biorę łyk świeżej kawy i mimowolnie zerkam w górę, na mały ekran za barem. Właśnie wyświetla się na nim szkic zamaskowanego mężczyzny. Niewiele myśląc, podchodzę bliżej, niczym przyciągana niewidzialną siłą, i niemal wpadam na kelnerkę.

– Och, dźwięk jest zepsuty. Słyszała pani o nim? Straszny człowiek.

– Kto to?

– Nikt nie wie. Włamuje się do domów i zabija ludzi.

– Zabija? – powtarzam, a żołądek skręca mi się z mdłości.

To nie może być on. Nie mój Sam. On nie zabija.

Ale tak samo jak wtedy, gdy czułam, że jestem coraz bliżej, tak i teraz moje wnętrze ściska się boleśnie. Odwracam się akurat w tym momencie, gdy jakiś mężczyzna wychodzi z knajpy, zostawiwszy gazetę na stoliku, przy którym siedział. Na trzeciej stronie opisano historię kogoś, kto dopadł właśnie trzecią i czwartą ofiarę. Nie ma nic o gwałcie, tylko o włamaniu i morderstwie. Przestępca jest sprytny. Nosi kominiarkę i prawdopodobnie obserwuje wcześniej swoje cele. Ma atletyczną budowę. Dociera na miejsce zbrodni pieszo i w ten sam sposób je opuszcza. Nie pozostawia po sobie żadnych śladów. Jego oczy mają barwę intensywnej zieleni lub błękitu.

Zakrywam usta, a treść żołądka podchodzi mi do gardła. Szeryf Ridgefield powiedział, że Północna Kalifornia jest pełna zabójców oraz martwych ciał, za które nikt nie wymierza sprawiedliwości. Tutaj, na Południu, sytuacja z pewnością nie wygląda dużo lepiej.

Ale potem spoglądam na daty morderstw i po prostu wiem. Nagle staje się całkowicie jasne, jaką decyzję muszę podjąć.

Rozdział 39

SAM

Podczas wcześniejszych łowów nigdy nie musiałem zawracać sobie głowy krwią. Teraz jest wszędzie, w moich włosach, na ubraniach, pod paznokciami. Co za bajzel. Nie podoba mi się to urozmaicenie. Ale straciłem wszystko. Kiedy ją wypuściłem, potrzeba wróciła z całą mocą. Znowu zostałem sam, oderwany od ludzkości.

Czuję wściekłość, że w końcu dowiedziałem się, jak to jest mieć coś, czego pragnąłem, a potem to stracić. Znow znalazłem się w punkcie wyjścia.

Vesper była moim lekiem, moim rozsądkiem. Brakującym trybem w maszynie, która nagle zaczęła bezszelestnie pracować. A teraz zniknęła i cały pierdolony mechanizm rozleciał się na kawałki.

Próbowałem odtworzyć dreszczyk towarzyszący kiedyś polowaniom, lecz przy każdym kolejnym włamaniu wszystko wydaje się jakieś takie płaskie. Nie mogę odzyskać tego, co straciłem. Przepelnia mnie wściekłość, która musi znaleźć ujście, ale nie mogę wiecznie się ciąć. Wtedy zrobiłem to jedynie dlatego, żeby ją ochronić. Teraz furia wydostaje się na zewnątrz w wirze krwi i krzyków, dopóki dom nie stanie się tak cichy jak wtedy, gdy włamywałem się do niego po raz pierwszy.

Wiem, że Vesper wciąż mnie chce. Zanim pozwoliłem jej odejść, podejrzewałem, że być może to wszystko tylko manipulacja. Że to ona ze mną pogrywała. Lecz gdy usłyszałem w słuchawce jej drżący głos pytający, dlaczego ją zostawiłem, zrozumiałem, że to prawda. Że jestem jej potrzebny. Ale nie mogę po nią iść. To ona musi dokonać wyboru i przyjść do mnie. Jeśli właśnie to muszę zrobić, żeby ją zwiabić – zrobię to. Oto mój list miłosny do Vesper pisany cudzą krwią.

VESPER

W Los Angeles nastaje słoneczny dzień. To jeden z tych dni, które sprawiają, że człowiek się uśmiecha, gdy tylko otwiera oczy. Promienie grzeją łagodnie, pieczą skórę.

To dzień, w którym zabiję Sama.

Wpycham rzeczy do torby, przykrywając nimi szkatułkę z trofeami, i wychodzę z motelowego pokoju. Kieruję się do najbliższego telefonu. Otwieram książkę telefoniczną najpierw na nazwisku Ridgefield. Nosi je siedem osób, ale żadna nie ma na imię Samuel. Przechodzę do litery H. Żadnych Hunterów-Ridgefieldów, kilku Hunterów, ale ani śladu Samuela. Książka jest stara, więc podnoszę słuchawkę i dzwonię do operatora. Sam mógł zastrzec swój numer albo zmienić nazwisko. Ale po co miałyby to robić? Nie musi przed niczym się chować. Tylko dwie osoby znają jego sekret.

Operatorka odpowiada, niezainteresowana wagą mojego zapytania. Nie rozumie, co robi, kim jestem, przez co przeszłam ani co zamierzam. Znajduje w spisie jedyne go Samuela Huntera-Ridgefielda, po czym podaje mi jego numer oraz adres, nie zdając sobie sprawy, że wydaje na niego wyrok śmierci.

Patrzę na adres zapisany na kwitku z motelu. Ręka mi drży. Odkąd mnie zostawił, wyobrażałam sobie, że możemy spotkać się znowu. Ale nie w taki sposób.

Wysiadam z taksówki kilka przecznic od celu. Potrzebuję czasu, żeby się przejść i zdobyć na odwagę. Nie mogę po prostu wyskoczyć z samochodu prosto pod jego drzwiami.

To ładna okolica, pełna domów zamieszkałych przez duże rodziny, co jeszcze bardziej utwierdza mnie w moim postanowieniu. Ten potwór żyje wśród nich, a oni nawet o tym nie wiedzą. Nie mają pojęcia, że ich obserwuje, czekając na okazję, by w bestialski sposób odebrać im życie, tak jak zrobił to już z czterema osobami. Wsuwam dłoń do kieszeni i delikatnie obejmuję chwyt niewielkiego rewolweru, by nie odznaczał się przez cienki sweter.

Mogę wciąż zawrócić i iść na policję. Jeszcze czas, żeby zmienić tę historię. Ale jednocześnie czuję, że to nie wchodzi w grę. Jestem zaangażowana w tę sprawę na każdy możliwy sposób. Jeśli mam go zabić – małego chłopca odstającego od reszty społeczeństwa przez jękanie się i blizny, izolowanego przez szaloną matkę, dorastającego w rodzinie zbyt dumnej, by przyznać się do niedoskonałości – nie będę robić z tego przedstawienia. Załatwię to szybko. Litościwie.

Coś przewraca mi się w żołądku na widok numeru czterysta czterdzieści pięć na skrzynce pocztowej. Zatrzymuję się na ścieżce wiodącej do malowniczego domu i patrzę na drzwi. Cała dygoczę, nie mogąc zapanować nad nerwami. Czuję go. Czuję, jak odbiera mi równowagę, wybija mnie z orbity. Biorę głęboki oddech i idę do drzwi, mocno zaciskając palce na chwycie rewolweru.

Do drzwi prowadzą trzy schodki. Wchodzę po nich ostrożnie, jakby były zrobione z cienkiego lodu i mogły pode mną pęknąć. Staję przed drzwiami, próbując zapanować nad huraganem emocji przetaczającym się przez moje serce. Unoszę pięść, żeby zapukać, ale zanim to zrobię, drzwi się otwierają.

Cała krew odpływa mi z głowy i ogarnia mnie gwałtowny dreszcz, gdy nasze oczy spotykają się po raz pierwszy, odkąd opowiadał mi wszystkie te kłamstwa, żeby móc mnie zabić. Od dnia, w którym zaryzykował własnym życiem, żebym mogła przetrwać.

Powinłam była wiedzieć. Poszukiwania poszły zbyt łatwo. Sam nigdy się nie ukrywał. On czekał. Dlatego teraz stoi w progu – w wyblakłej czerwonej koszulce i porwanych dżinsach, z utkwionymi we mnie jasnymi oczami. Nie ma w nich ani krzty niepewności. Właśnie tu pewnego dnia spodziewał się ze mną spotkać.

Ściskam rewolwer, próbując zmusić rękę, żeby go wyjęła, ale nie chce mnie słuchać. Jestem jak sparaliżowana. Dystans stanowił moją broń, bliskość to jego siła. Czuję przemożne pragnienie, by opaść na kolana i skulić się u jego stóp jak niewolnica w obecności swojego władcy. Odruch wykracza poza racjonalne myślenie, zostałam w ten sposób wyszkolona. Wryto go w moim umyśle, ciele i duszy.

Chcę wkupić się w jego łaski. Chcę być dla niego dobra.

Cieleśna pokusa jest zbyt silna, by zdławił ją abstrakcyjny koncept dobra i zła. Jedyną realną rzeczą jest on, tutaj, teraz. Wiem, co zrobił, ale stojący przede mną człowiek, spokojny i pewny siebie, nie jest dziką bestią kryjącą się za maską. To ktoś całkiem inny.

Puszczam broń i wyjmuję rękę z kieszeni.

– Sam... – szlocham.

Nie wiem, co powinnam teraz powiedzieć. Nauczyłam się nie oczekiwać żadnych słów z jego strony. Chwyta moją dłoń i wciąga mnie do środka. Drzwi zatraskują się, a on popycha mnie na ścianę tak mocno, że uderzenie wyciska mi powietrze z płuc, a torba zsuwa się z ramienia na podłogę. Widzę przebliski niebezpieczeństwa w jego oczach. Promienie słoneczne odbijają się od bladej akwamaryny zupełnie jak od powierzchni oceanu, pięknego i zabójczego. Ilu ludzi dało się uwieść nieskończonym wodom, sądząc, że mogą je podbić, i nikt już więcej ich

nie zobaczył?

Serce tłucze mi się w piersi, cofając czas do pierwszej nocy, której mnie miał. Słaby dźwięk – niemal mruczenie – wydobywa się z jego gardła. Rzuca się na mnie jak drapieżnik.

To, co czuję, kiedy przyciska ciało do mojego, napełnia mnie wręcz odrazą. W jednej chwili tracę rozum i poddaję się wszystkiemu, czego nie powinnam chcieć. Zapominam o każdej niewygodnej rzeczy, by móc czuć ten moment w najczystszej postaci. Zamykam oczy i znów staję się dziewczyną, która nie ma innego wyboru, jak czerpać z tego przyjemność, by przetrwać. Potrafię wmówić sobie, że jestem w tym domu sama i muszę pozwolić, żeby mnie wziął. Ale wiem, że ten etap już dawno mam za sobą. Gorące usta całują moje wargi, obojczyki, krzywiznę podbródka, ramiona. Zęby przesuwają się po skórze, a ja jestem upojona myślą, że pożąda mnie tak niebezpieczny mężczyzna, że posiadam nad nim władzę, jakiej nie ma nikt inny, nieważne, ile pamiątek spoczywa w jego szkatułce.

Przychodząc tutaj, postanowiłam nie być ofiarą. Zabrałam pistolet, ale go nie użyłam. Pierwszej nocy dawno temu dał mi wybór, a teraz dokonuję kolejnego. Zaciskam palce na wyblakłej koszulce i podciągam ją, by móc znowu dotknąć jego skóry, rozgrzanej i śliskiej od potu. To nie może być niewłaściwe, skoro serce mówi mi, że tu jest moje miejsce. Od czasu powrotu nie zaznałam spełnienia. Ale tutaj, przyciśnięta do ściany przez najbardziej niebezpiecznego człowieka Los Angeles, czuję się znowu jak w domu.

Łzy płyną mi po twarzy, kiedy porzucam każdą zasadę, jaką kiedykolwiek wyznawałam. A nawet nie tyle porzucam, co podpalam, aż zmieniają się w popiół. Sam zdejmuje mój sweter, a potem zsuwa ramiączka sukienki, która opada na podłogę.

Udaje mi się zerwać mu koszulkę i wreszcie mogę poczuć jego smak – pot, gładką skórę i wreszcie poszarpane blizny. Przypominają mi mapy, którymi bawiłam się jako dziecko, te zrobione z tłoczonego papieru, na których możesz poczuć nierówności terenu.

Przyjmuję wszystko, zarówno miękkie, jak i chropowate części.

Dostrzegam drobne plamki farby i tynku. Wszystko wydaje się takie znajome. Kiedy przychodził do mnie po długim dniu pracy, żeby przynieść mi jedzenie, był zmęczony, a mimo to nadal się mną zajmował. Badałam wtedy wszelkie szczegóły, starając się zdobyć jakiegokolwiek wskazówki odnośnie jego życia na zewnątrz i mając nadzieję, że jakoś pomogą mi w ucieczce. Lecz gdy patrzę na nie teraz, ogarnia mnie sentyment.

Chowam twarz w szyi Sama, wdychając zapach jego skóry i mydła. Zalewa mnie fala gorąca, jakby cała krew odpłynęła mi nagle do stóp, a potem równie gwałtownie wróciła do głowy. Teraz, gdy wreszcie go widzę, dotykam, smakuję, czuję, momentalnie wracam do naszego ostatniego wspólnego dnia, jakby nigdy mnie nie zostawił. Jakby nie istniało nic poza nami. Jakby dobro i zło było czymś, co nas nie dotyczy. Tutaj to nie ma znaczenia. Ani wszystko inne, co zrobiliśmy i czym byliśmy. Powstajemy na nowo. Odwraca mnie, przyciska do ściany, gryzie w kark i po ramionach. Zrobimy to jak zwierzęta, bo Sam nie jest człowiekiem, jest dziki.

– Powiedz to – warczy.

– Pieprz mnie – błagam.

Muszę przestać myśleć. Muszę przestać ciągle się zastanawiać, ciągle walczyć. Kiedy znajdzie się w moim wnętrzu, przestaną, jak zawsze.

Nie waha się we mnie wejść. Przyciskam dłonie do ściany, a potem sięgam do tyłu, kiedy wsuwa się i wysuwa. Myślenie ustaje, pozostaje samo odczuwanie. Świat kurczy się do niego. Do tej chwili. Nic więcej nie ma znaczenia.

Poddaję się i jest mi z tym cudownie. Wbija się we mnie z całej siły, twardy jak kamień. W jego ruchach nie ma niepewności czy delikatności. Wiem, że nikt inny nie wywołuje u niego takiej reakcji jak ja. Wiem, że przez cały ten czas, gdy ja mieszkałam z Carterem, Sam nie był z

nikim innym.

Dlatego nie trwa to długo. Chwilę później czuję gwałtowne pulsowanie. Spuszcza się w moim wnętrzu i stęka mi do ucha, owiewając je urywanym oddechem. Wciąż przyciska mnie do ściany. Przesuwam piersiami po chłodnej powierzchni przy każdym oddechu. Sam bierze mnie za rękę i bez słowa prowadzi do łazienki, pod prysznic. Namydla moje ciało, przesuwa dłońmi po piersiach, brzuchu i krągłościach pośladków, a potem wsuwa mi palce między uda. Pieprzy mnie znowu pod wyłożoną kafelkami ścianą. Tym razem trwa to dłużej, a ja dochodzę raz za razem. Czuję się zupełnie tak, jakby ostatnie miesiące w ogóle się nie wydarzyły. Powinnam być przerażona, ale nie jestem. Nie ma powodu bać się Sama, kiedy dostaje to, czego chce.

Rozdział 40

VESPER

Budzę się z głową pulsującą od niezdecydowania. Pocieram oczy i z trudem unoszę powieki. Popołudniowe słońce świeci oślepiająco jasno. Oddech na chwilę więźnie mi w gardle, gdy obok zauważam Sama leżącego plecami do mnie. Do połowy jest okryty śnieżnobiałym kocem, a przedzierające się przez żaluzje promienie słońca padają na jego opaloną skórę. To dzieje się naprawdę, to nie był sen. Po raz pierwszy od powrotu do cywilizacji naprawdę się wyspałam. I pomyśleć, że stało się tak dopiero wtedy, gdy puściłam rewolwer i wzięłam go za rękę.

Patrzę na Sama, cichego, nieruchomego. Oddech ma zbyt płytki, bym mogła usłyszeć go przez szum skierowanego na nas wentylatora. Pokój wygląda zwyczajnie. Znajduje się w nim jedynie łóżko z białą pościelą, mały stolik i wentylator. W przeciwieństwie do farmy ten dom nie wchłonął historii całych pokoleń. Ale nie mogę pozwolić, by Sam przyczynił się do wypełnienia tej pustki krwawymi wspomnieniami. Muszę go powstrzymać. A teraz, kiedy śpi, nie może spojrzeć na mnie tymi hipnotyzującymi oczami. Nie może wziąć mnie za rękę ani pocałować. Nie mogę zobaczyć blizn na jego twarzy i współczuć chłopcu, który nigdy nie dowiedział się, jak to jest być akceptowanym przez tych, którzy powinni bezwarunkowo go kochać.

Przenoszę wzrok na otwarte drzwi sypialni. Na końcu długiego korytarza dostrzegam swoje ubrania i torbę. Tworzą bezładny stos, w którym zauważam błysk rewolweru. Pod tym wszystkim kryje się szkatułka. Za wszelką cenę musi pozostać przeszłością. Żadnych nowych zdjęć, żadnych nowych pamiątek, żadnych nowych trofeów.

Nie chcę tego robić, ale nie wydałam Sama w ręce policji i teraz jestem odpowiedzialna za jego działania. Znowu spoglądam na niego, zagryzając wargę, by stłumić emocje. Chcę, żeby tak wyglądało nasze życie. Właśnie tak jak teraz, kiedy leżymy razem w ciszy tylko we dwoje. Lecz jakaś część dawnej mnie nie może pozwolić, by to szaleństwo dalej trwało. Pochylam się blisko, żeby go poczuć, by upewnić się, że śpi. Jego pierś unosi się i opada w znajomy sposób. Widziałam to tyle razy w szopie, którą dla mnie zbudował.

Krzywię się, wstając z łóżka. Zaciskam powieki przy każdym cichym skrzypnięciu desek pod stopami, aż w końcu kucam przy swoich rzeczach i biorę do ręki rewolwer. Ruszam z powrotem do sypialni. Tym razem idę pewniejszym krokiem, nagle ośmielona. Nie przerażają mnie już żadne odgłosy. Mogę zrobić to wyłącznie teraz. Tylko w tej chwili mam szansę odpokutować za nasze grzechy. Unoszę broń i zaraz przekonuję się, że moja pewność siebie gdzieś uleciała. Rewolwer trzęsie się na wszystkie strony i nawet gdybym bardzo chciała, nie dałabym rady wycelować w tył głowy Sama.

– Jeśli zamierzasz to zrobić, Vesp, to zrób – słyszę niespodziewanie.

Zamieram zszokowana, że po raz pierwszy odezwał się w taki sposób. Płynnie, bez wsparcia seksu, przemocy czy gniewu. Jego głos jest ochryply, ale pobrzmiwa w nim miękkość.

– Ja... ja wiem, co zrobiłeś. Nie mogę pozwolić, żebyś... – Urywam. To nie powinno być takie trudne.

– Musisz podjąć decyzję, Vesp. Bo ja nie zamierzam... Nie mogę przestać tego robić, dopóki nie podejmiesz decyzji. Możesz pociągnąć za spu-u-spust i zakończyć wszystko tu i teraz. A wtedy zostaniesz sama. Będziesz musiała wrócić do mamy i tego swojego ślicznego chłopca, a

re-resztę życia spędzisz na udawaniu. Nie wytrzymałaś tego na-a-wet przez kilka miesięcy, a będziesz musiała grać do końca życia.

Zamykam oczy i potrząsam głową, próbując powstrzymać szloch. Kiedy unoszę powieki, Sam wciąż leży plecami do mnie. Robi mi przysługę, ułatwiając uporanie się z zadaniem.

– Albo możesz zostać tu ze mną. Bo-bo gdy mam ciebie, to działa. Jesteś obiektem mojej obsesji. Jesteś całym światem, mo-moim Świętym Graalem. Kiedy mam ciebie, w ogóle nie myślę o kimkolwiek... o czymkolwiek innym. Możesz zostać ze mną. Zro-zrobisz w ten sposób coś dobrego. Dla wszystkich. I dla siebie.

Już sam fakt, że po prostu mówi, wprawia mnie w osłupienie. W końcu przebiłam się przez jego mur. Sam pozwala mi zwyciężyć walkę, którą toczyliśmy przez cały ten czas.

– Ty mówisz – mamroczę.

Kiwa głową.

– Dlaczego teraz? – Wykrztuszenie tego pytania przez łyzy przychodzi mi z trudem.

– Bo z tobą jestem wolny.

Wciąż celuję w niego, a on unosi dłoń na znak, że nie zrobi mi krzywdy, po czym powoli odwraca się do mnie.

– Nie dam rady się powstrzymać, jeśli ty czegoś nie zrobisz. Albo pociągniesz za spust, albo zostaniesz ze mną. Śmierć lub życie. Wy-wybijaj.

– Ja... Mogę iść na policję. Mogę powiedzieć im prawdę.

– Vesp, dobrze wiesz, że do nich nie pójdę. Ale ciebie nie powstrzymam. Nie mógłbym... cię skrzywdzić.

Istnieją tylko dwie opcje. Zabiję go – bezpośrednio albo przy udziale wymiaru sprawiedliwości – lub pozwolę przeszłości umrzeć. – Jeśli ze mną nie zostaniesz, nie będę miał po co żyć.

– Dlaczego? Dlaczego ja jestem inna?

Muszę wiedzieć. Tylko w ten sposób mogę uwierzyć, że naprawdę z tym skończy, jeśli zostanie.

– Widziałem cię z Johnnym. Kiedy byłem ma-mały, zawsze chciałem mieć kogoś takiego. Marzyłem o takiej osobie ca-całe życie. Wiem, że tak samo zajmowałabyś się naszym chłopcem.

– Chłopcem? – powtarzam cicho. Mieliśmy mieć synka.

– Potrzebowałaś mojego ratunku.

Odwraca się do mnie plecami, pozwalając mi podjąć decyzję. Mogę wydobyć go z tej nędzy i żyć dalej we własnej. Albo zapomnieć o człowieku w kominiarce i wybrać tego, którego mam teraz przed sobą. Który byłby gotów dla mnie umrzeć, jestem tego pewna. Myśl o tym daje mi swego rodzaju spokój.

Przesuwam palcem po spuście, mogę pociągnąć za niego w każdej chwili. Co wydarzyłoby się potem? Ofiary Sama nie dowiedziałyby się o jego śmierci. Dla nich sprawa nigdy nie zostałaby zamknięta – chyba że zostawiłabym szkatułkę przy ciele. Każdą pamiątkę dałoby się połączyć z kimś, kogo skrzywdził.

Cofam jedną rękę z pistoletu, lecz tylko po to, by otrzeć łyzy.

„Dobro”.

Czasami wybór jest taki oczywisty. Ale przez ostatnich kilka lat moje serce i umysł nie mogły się ze sobą zgodzić. A teraz, w tym momencie, mam do czynienia z dwoma rodzajami dobra: jednym dla wszystkich ludzi, drugim dla mnie.

Nie da się spojrzeć diabłu w oczy i odejść bez części jego grzechów. Nie uda się go

pokonać, jeśli człowiek nie stanie się taki jak on. Nie można odwołać się do jego dobroci, dlatego trzeba nauczyć się jego sztuczek. Kłamiesz, pieprzysz się, manipulujesz, walczysz, miotasz obelgami, aż w końcu potrafisz posunąć się do wszystkiego, żeby wygrać bitwę. Za każdym razem, gdy to robisz, rozumiesz diabła coraz lepiej, aż w końcu on staje się twoim sprzymierzeńcem. Myślisz, że wygrałeś, że uczyniłeś go bardziej podobnym do siebie. Ale w rzeczywistości jest dokładnie odwrotnie. Nawet jeśli wygrasz, i tak przegrasz.

Sam czeka cierpliwie, jakby już pogodził się ze swym losem, niezależnie od tego, jaki dla niego wybiorę. Ale ja nie jestem zabójczynią. Im bliżej morderstwa, tym jego dokonanie staje się dla mnie trudniejsze. Mogę więc zrobić tylko jedno. Musi o tym wiedzieć.

Tak samo było ze wszystkimi innymi wyborami, które pozornie mi dawał – w rzeczywistości zawsze istniała tylko jedna droga. To właśnie z tego powodu pożąda mnie bardziej niż kogokolwiek innego. Jestem tą dziewczyną, którą zobaczył z Johnnym. Nie krzywdzę ludzi, tylko ich pielęgnuję. Sam pragnie kogoś wyłącznie dla siebie, a ja choć raz chcę stać się centrum czyjegoś wszechświata. Ponad rok temu oddałam się w ofierze. Jeżeli w ten sposób mogę uratować innych, oddam się raz jeszcze.

Mocniej zaciskam palce na chwycie rewolweru, ale ostatecznie opuszczam rękę. Sam odwraca się i w mgnieniu oka staje przede mną, ale nie atakuje. Zamiast tego delikatnie wyjmuje mi broń z ręki. Odsuwa bębenek rewolweru, wytrząsa naboje na dłoń, po czym rzuca je na łóżko.

Wybucham płaczem, a ręce, które kiedyś robiły mi krzywdę, teraz obejmują mnie czule.

– Ciii – szepcze Sam, głaszcząc mnie po włosach. – Nikt nie kocha cię tak jak ja.

„Kochać” – nigdy nie odważyłam się użyć tego słowa. Wydawało mi się, że to, co wydarzyło się między nim a mną, było zbyt perwersyjne, by określić je tym mianem. Ale jeśli wszystko, co dla siebie robimy, nie jest miłością – jeśli nie było nią wypuszczenie mnie za cenę jego wolności oraz okłamywanie policji i mojej rodziny, żeby zapewnić Samowi przeżycie – to co nią jest?

Gładzi mnie po głowie, a ja wtulam się w jego pierś. Okiełznałam go. Jest mój i tylko mój. Zadbam o to, żebyście byli przed nim bezpieczni.

– Wiem – odpowiadam cicho.

Czuję się tak dobrze, zrzucając z siebie ten ciężar, jak wtedy, gdy dryfowanie w jeziorze dawało mi poczucie lekkości. Cudownie jest wziąć ostatni oddech i pozwolić sobie zatonać głęboko, by ostatecznie nabrać pewności, że nie chce się tego kończyć. Chcę żyć. Chcę Sama. Wybieram jego.

SAM

Minie trochę czasu, zanim przyzwyczai się do tego wszystkiego. Ale poradzi sobie, tak jak poprzednio. Wiem, że jestem szczęściarzem, mogąc ją mieć, i dopilnuję, żeby nigdy tego nie pożałowała. Nie kłamałem, kiedy składałem jej obietnicę. Nie potrzebuję więcej polować. Dostałem swoją nagrodę. Musiałem okazać jej oddanie, nawet jeśli to oznaczało, że usłyszy moją wadę wymowy. Nie wiedziałem, jak wypadnę, dopóki się nie odezwałem. Równie dobrze mogłem zabrzmieć jak gdczący idiota, ale życie bez sekretów okazało się najlepszym lekiem. Mówienie przy niej będzie mi szło coraz lepiej, tak jak kiedyś przy matce. Choć noc na zawsze pozostanie porą dającą mi poczucie wolności, z Vesp znalazłem wreszcie swoje miejsce w słońcu.

To zabawne, że gdy wreszcie się przemogłem, by normalnie z nią rozmawiać, większość popołudnia spędzamy w łóżku, wpatrzeni w siebie. Ocieram łzy z jej mokrych policzków. Obserwuję, jak godzi się z decyzją, którą podjęła. Z każdą mijającą minutą wydaje się

spokojniejsza. Tego właśnie pragnęła – pozwolenia, by móc chcieć takiego życia. Musiałem sprawić, by poczuła, że robi coś dobrego. Że choć odkłada pistolet, to wciąż chroni ludzi.

Zdecydowałem – oczywiście za zgodą Vesp – że na kolację zrobię burgery na grillu. Boże, czuję się tak dobrze, czuję się... szczęśliwy. Wszystko to było jedną wielką loterią, ale koniec końców się opłacało. Planowanie zawsze się opłaca.

Układałem węgle tak, żeby idealnie okalały szkatułkę. Przez długi czas tylko dzięki niej czułem emocje tamtych chwil. Ale one nie były prawdziwe, wiem o tym, bo teraz mam wreszcie coś prawdziwego. Za każdym razem, gdy uchylałem wieko, wspomnienia stawały się trochę bardziej mgliste, a emocjonalna więź odrobinę słabsza.

Oblewam ułożoną na węglach szkatułkę nieprzyzwoitą ilością benzyny do zapalniczek, a potem odpalam zapałkę i przykładam do paleniska. W powietrze wystrzelają płomienie. Przy pomocy długiego widelca otwieram wieczko i dodaję benzyny do zawartości. Zdjęcie uśmiechniętej pary, której już nie pamiętam, zwija się w płomieniach.

Spoglądam w kierunku siedzącej na patio Vesper. Wygląda na zamyśloną. Rozumiem czemu. Słodka z niej dziewczyna. Właśnie to zobaczyłem w Vesper tamtego dnia. Jest ucieleśnieniem tego, o czym zawsze marzyłem: duszą wystarczająco dobrą dla nas obojga. Z upływem czasu pomogę jej pogodzić się z tym wszystkim.

Macham do Vesper. Posyła mi uśmiech, który zdradza, że myślami jest w setkach miejsc jednocześnie, ale mam ją tutaj i jedynie to się dla mnie liczy.

Powiedziałem, że to zrobię. Krok po kroku. Że złamię ją, by pozbyła się tego, co odciągało jej myśli ode mnie, a potem zbuduję na nowo. Nigdy o tym nie zapomniałem, nawet kiedy wydawało się, że to koniec.

Nie jestem zabójcą. Niezupełnie. Nie jeśli nie muszę zabijać. Ale jeżeli istniało cokolwiek, co mogło wreszcie popchnąć ją ku podjęciu decyzji, to było właśnie to.

Nie była całkiem moja na farmie. Nie miałem mojej Vesper, dopóki nie pozwoliłem jej odejść. Póki nie stałem się potworem, którego tylko ona w swoim mniemaniu mogła uratować.

Mówiłem szczerze. Teraz jesteście bezpieczni. Możecie podziękować za to Vesper.

Epilog

VESPER

– Popatrz, jak bawi się z Johnnym – mówi mama, wyglądając przez okno w kuchni.

Nie jesteśmy w naszym dawnym domu. Postanowiła go sprzedać, bo wiązało się z nim za dużo złych wspomnień.

– Mhm, ma do niego podejście – dodaję w zamyśleniu.

Zawsze gdy patrzę na Sama i mojego małego braciszka, czuję bolesne ukłucie w sercu – jak wtedy, gdy ogląda się coś pięknego i smutnego jednocześnie. Zerkam na matkę. Przygląda mi się ze specyficznym uśmiechem. Takim, którym chce pokazać, że oglądanie mnie w tej chwili przynosi jej szczęście.

– No co? – pytam zmieszana.

– Och, nic. Po prostu cieszę się twoim szczęściem. – Zakłada ręce na piersi i bierze oddech. – Posłuchaj... Wiem, że nie byłam najlepszą matką...

– Mamo, proszę, nie.

– Pozwól mi skończyć, Vesp. – Kładzie mi dłoń na ramieniu. – Zdaję sobie sprawę, że nie byłam najlepszą matką, ale zawsze chciałam dla ciebie jak najlepiej. Chciałam, żebyś była szczęśliwa. Kiedy odeszłaś, okropnie się o ciebie martwiłam. Myślałam, że straciłam cię na zawsze. Ale rozumiałam, że potrzebowałaś oddalić się od tamtego domu, nawet od Cartera. Cholera, pewnie przede wszystkim ode mnie. Jestem po prostu szczęśliwa, że teraz czujesz się lepiej. I że znalazłaś tak dobrego chłopca jak Sam.

– Dzięki, mamo. On też cię lubi.

Nie mogłam unikać domu do końca życia. Kocham brata i choć matka zdecydowała zostawić go w placówce, Johnny wciąż potrzebuje rodziny. Sam to rozumiał i zgadzał się ze mną. Dlatego po kilku miesiącach w L.A. wróciłam. Powiedziałam rodzinie, że poznałam pewnego chłopaka – i to nie byle jakiego, Huntera i Ridgefielda w jednej osobie. Kogoś o wspaniałym rodowodzie i wielkich pieniądzech. Kogoś, kto mnie uwielbia i nigdy nie opuści. Carter ułożył sobie życie, tak jak sądziłam. Teraz nie musi czuć się winny, bo ja też kogoś znalazłam.

Niewielka posiadłość w Los Angeles stała się naszym domem. Moglibyśmy wrócić do Sacramento, ale uznaliśmy, że dobrze będzie zostawić Andrew trochę przestrzeni. Tak często, jak tylko możemy, wybieramy się w długą podróż i odwiedzamy Johnny'ego.

Johnny sapie – to jego wersja śmiechu – wbiegając do domu. Słyszę ten dźwięk tylko wtedy, gdy bawi się z Samem. Sam dogania go i bierze na ręce, a wówczas Johnny gulgotce z rozbawieniem. Przypomina mi się, jak Sam pierwszy raz złapał Johnny'ego. Teraz jest inny, ale nawet wtedy to była tylko czcza pogróżka.

– No dobrze, chłopcy, czas na kolację. Gdzie Richard? – pyta mama i wychodzi z kuchni na poszukiwania mojego ojczyma. Sam odstawia Johnny'ego, a on podbiega do mnie i mocno się przytula.

– Idź umyć ręce – mówię, głaszcząc go po włosach.

Mały kręci głową.

– No już, mój kochany. – Nie daję za wygraną.

Prycha i wychodzi do łazienki, zostawiając nas samych.

– Jesteś piękna – mruczy Sam.

Uśmiecham się pod nosem. To, kim był kiedyś, wydaje się teraz odległym wspomnieniem, ale nigdy nie znika. Zawsze czai się gdzieś na obrzeżach moich myśli.

Sam pochyła się, żeby mnie pocałować, zupełnie jakby potrafił wyczuć myśli odbierające mi radość. Jego usta rozwiewają wszystkie moje wątpliwości. Sunie nimi przez policzek aż do ucha, po czym szepcze:

– Jestem przez ciebie cholernie twardy. Nigdy nie przestaję o tobie myśleć, nawet jeśli znikasz mi z oczu. Zawsze jesteś w mojej głowie.

Na tym polega jego groza i urok. Głód, jaki w nim budzę, nieodmiennie czai się tuż pod powierzchnią. Piękny diabeł o czystych oczach.

– Dobra, jedźmy! – słyszę głos matki.

Odskakujemy od siebie niczym nastolatki, których nakryto na nieprzyzwoitym zachowaniu. Sam przywołuje na twarz jeden ze swoich najbardziej niewinnych uśmiechów. Teraz już wiem, jak to możliwe, że nikt go nigdy nie podejrzewał. Potrafi przywołać ciemność tak intensywną, że nie ma w niej nawet cieni, a potem nagle stać się pogodnym człowiekiem emanującym niewinnością. W jednej chwili umie być myśląco skomplikowany, a w następnej słodko prosty.

Siadamy do kolacji w komplecie. Moja mama znowu ma religijną fazę. Minie jej, zawsze mija. Na razie jednak każe nam wszystkim pochylić głowy do modlitwy. Spełniam jej prośbę, ale zaraz przebiegam wzrokiem po twarzach i dostrzegam wpatrzony we mnie oczy Sama.

SAM

Wsparty o okienną ramę przyglądam się leżącej na łóżku Vesper. Cienka kołdra doskonale podkreśla jej kształty. Długie włosy rozłożyły się wachlarzem na poduszce. Odwracam głowę i zerkam w okno. Jest późno. Noc wciąż należy do mnie, lecz teraz służy mi do oglądania Vesper. Perfekcyjnej. Mojej.

Każdy dzień jest idealny. Mogę być taki jak inni, wtopić się w tło, choć tak naprawdę ja i Vesper skrywamy sekrety o sile rażenia bomby atomowej. Mój brat, jedyny człowiek, który je zna, startuje w wyborach na burmistrza. Zdobył znaczną przewagę nad innymi kandydatami, co gwarantuje, że nie złamie swojej przysięgi i będzie chronił dobre imię rodziny.

Nietrudno mi dotrzymać obietnicy złożonej Vesper. Nie mam już ochoty wychodzić na zewnątrz. To ona karmi wygłodniałe zwierzę mieszkające w moim wnętrzu. Wreszcie mam rodzinę, jakiej nigdy nie miałem. Młodszego brata, którego mogę traktować tak, jak Andrew nigdy nie traktował mnie. Matkę, która pomimo wielu wad w niczym nie przypomina kobiety trzymającej syna w zamknięciu z powodu tajonego wstydu i strachu. Można nie pochwalać tego, co zrobiłem, ale nie da się zaprzeczyć, że nie zadziało. Vesp przesuwając dłoń po prześcieradle, uśmiechając się przez sen. Unosi powieki, kiedy mnie nie znajduje.

– Mmm – mruczy, przecierając zaspane oczy. – Co robisz?

– Patrzę na ciebie.

Gestem daje mi znać, żebym wrócił do łóżka. Spoglądam przez okno po raz ostatni. Mam nieodparte wrażenie, że moje dawne ja to zupełnie inny człowiek. Kładę się w pościeli i biorę Vesp w ramiona. Zamyka oczy i niemal natychmiast zapada w sen. Udało mi się. Sprawilem, że mnie pokochała, że czuje się bezpieczna w moich objęciach.

Niech nikt mi nie mówi, że to nie miłość. Jeśli się kogoś kocha, zrobi się wszystko. Będzie się kłamać, manipulować, zabijać – nawet siebie – byleby zatrzymać tę osobę. Kiedy pozwoliłem Vesper odejść, uświadomiłem sobie, co nas łączy. Nigdy wcześniej tego nie czułem i

wiedziałem, że to nie może być koniec. Czasami miałem wrażenie, że wszystko przepadło, że ona już nie wróci, ale od samego początku zdawałem sobie sprawę, że muszę być konsekwentny. Musiałem zrobić wszystko, co konieczne, żeby sprowadzić ją z powrotem.

Miłość to nie kwiaty ani poezja, tylko determinacja i upór. Zadaj sobie pytanie, czy istniał ktoś, kto kiedykolwiek kochał cię tak, jak ja kocham Vesp? Możesz z ręką na sercu powiedzieć, że zrobił dla ciebie rzeczy, które ja zrobiłem dla niej? Carter był bryzą. Ciepłą, przyjemną, bezpieczną. Ale niczego nie poruszał, nie wstrząsał światem. Ja jestem burzą – silną, brutalną i groźną. Zniszczę wszystko, co stanie mi na drodze do celu. Kiedy przechodzę, wszędzie wokół widać ślady mojej obecności. Połamane gałęzie, roztrzaskane okna. Usuвам przeszkody, które wydają się nie do pokonania.

Przyszedł czas na szczerość. Tak naprawdę wypuściłem ją dlatego, że już wtedy wiedziałem. Miałem pewność, że na mnie nie doniesie. To, że wróci, było tak samo łatwe do przewidzenia jak fakt, że po nocy następuje dzień. Wciąż jednak musiałem ją przetestować, nawet jeśli oznaczało to rzucenie na szalę własnego życia. Zdała ostatni egzamin, po którym została nagrodzona. Lecz żadna z tych wszystkich rzeczy nie czyni naszego uczucia mniej prawdziwym.

KONIEC

